

**Elizabeth Thornton**

**Serena**

*(Dangerous to Love)*

*Przełożyła Ewa Mikina*

# 1

Ledwie Serena go dostrzegła, już wiedziała, że będą kłopoty. Jego wygląd na to wskazywał. Flynn rozdał właśnie karty, ona zaś poderwała głowę zaniepokojona obecnością tkwiącej nieruchomo w progu postaci, z dłonią wspartą od niechcienia na rękojeści krótkiej szpady. Nawet w półmroku mogła dojrzeć w jego oczach, którymi wodził po przepelnionej, zadymionej gospodzie, coś na kształt wyzwania.

Groźny, nieobliczalny, zuchwały – przemknęło jej przez myśl. Popatrzył i na nią, mierząc kunsztownie umalowaną twarz, połyskliwą szatę, ciemne pukle i biały gors. Szczególnie gors. Miała ochotę okryć się peleryną przed natarczywym spojrzeniem. Dlaczego akurat ona wzbudziła jego ciekawość? W porównaniu z resztą „dam” obecnych tego wieczoru w gospodzie nie zasługiwała na uwagę. Unikać zbytecznej ostentacji – obydwój z Flynnem przestrzegali tej zasady.

Wspomniawszy, jaką odgrywa rolę, posłała mu przelotny uśmiech i dotknęła palcem czarnej muszki przyklejonej w kącie ust; umówiony znak, by Flynn miał się na baczności. Obcy omiółł wzrokiem resztę gości i wołając o piwo usiadł przy stole pod ścianą. Po chwili podniósł się zwykły gwar, goście wrócili do rozmów.

Rzuciła Flynnowi krótkie, pytające spojrzenie, ale to nie on, lecz komediantka z Drury Lane odpowiedziała na jej nieme pytanie. Według Sereny to właśnie Cassie, ze swoim teatralnym wyglądem, w szerokiej krynolinie z czerwonej koronki, zasługiwała na podziw i uwagę. Serena miała na sobie proste szaty, które nie powinny zawadzać w wypełnieniu dzisiejszej misji.

– Julian Raynor – szepnęła Cassie, niemal pozerając wzrokiem rzeczzonego dżentelmena. – Wiesz, ten karciarz. Och, Lud, on patrzy tutaj. – Posłała mu zalotne spojrzenie, w którym błysnęły diabelskie iskierki.

– Może nasze damy zechciałyby wrócić łaskawie do gry – napomniął je z niecierpliwym westchnieniem młody aktor, partner Cassie.

– Przyłonczam się do tej sugestii – dodał Flynn spoglądając znacząco na Serenę.

Z trudem przychodziło jej skupić się na rozdaniu wista; w głowie brzmiało jeszcze echem imię najsłynniejszego londyńskiego karciarza. Powracając z niejakim wysiłkiem do ożywionej konwersacji toczącej się przy stole, Serena z uśmiechem i swobodną na pozór miną zaczęła rozgrywać swoje karty, ale myślami była gdzie indziej.

Nie pojmowała, co sprowadza Raynora do tak podejrzanego miejsca. Oberża „Pod Strzechą” nie była co prawda spelunką, ale też nikt nie nazwałby jej pałacem. Zachodzili tutaj służący z możnych domów, studenci, aktorzy z pobliskiego Drury Lane. Nie hazardowali się, jeśli

grali, to rzadko o wysoką stawkę.

Gwarna gospoda była wprost idealnym miejscem spotkań. Ani arystokratyczny akcent Sereny, ani prosta mowa Flynna nie wzbudzały tu niczyich podejrzeń. On rzeczywiście był sługą, ona uchodziła za aktorkę. Debiutującą komediantkę, mówiąc ściśle. Wybrali gospodę „Pod Strzechą”, gdyż było tu zejście do podziemnych labiryntów, które Flynn znał jak własną kieszeń.

Z Raynorem sprawa miała się wszak inaczej. Zawodowy hazardzista prowadził znany dom gry w pobliżu Fleet Street i powiadano, że co noc zamożna klientela, a między nią liczyli się też jej bracia, traciła tam i wygrywała fortuny za jednym obróceniem karty.

Raynor tak nie pasował do gospody, że Serena nie przestawała łamać sobie głowy nad przyczyną jego obecności. A miała powody, by się niepokoić. W każdej chwili mógł się pojawić ich „pasażer”. Mieli go przeprowadzić w bezpieczne miejsce w pobliżu doków, gdzie czekał już jej młodszy brat, Clive. Z pierwszym brzaskiem, jeśli tylko pogoda będzie sprzyjała, „pasażer” znajdzie się na pokładzie okrętu odpływającego do Francji, ku wolności.

Tu przypomniała sobie coś na temat Juliana Raynora, czy też – jak go nazywano – majora Raynora. Zążywał sławy nieomal bohatera wojennego. Jego śmiałe czyny pod Prestonpans przeszły do legendy. Powiadano, że gdyby było więcej podobnych mu śmiałków tamtego dnia w polu, siły rządowe znacznie wcześniej rozbiłyby rebeliantów i nie doszłoby do bitwy pod Culloden.

Jako wróg rebeliantów był i jej wrogiem. Jeśli zwęszyłby, jakie mają zamiary, jego obecność w gospodzie mogła się okazać katastrofalna nie tylko dla „pasażera”, lecz także dla Clive’a, Flynna, wreszcie dla niej samej. Za okazywanie pomocy jakobitom ciągle jeszcze kładło się głowę pod katowski topór.

Na wspomnienie Prestonpans, gdzie tak świetnie odznaczył się Raynor, przed jej oczami pojawiła się na chwilę twarz Stephena. Poległ tam okrutną śmiercią, a z nim umarły wszystkie jej marzenia.

Nic dobrego chować w sercu zadawnioną nienawiść. Rozumiała to, tak jak wiedziała, że ich sprawa stracona, ale dopóki tępiono jakobitów niczym robactwo, trzeba było walczyć. Jej ojciec miał szczęście. Kiedy rebelianci przegrali, zdołał zbiec do Francji i ślad po nim przepadł. Póki nie ogłoszą amnestii, musiały istnieć sposoby ucieczki.

Kątem oka dojrzała, że Raynor przesunął się nieznacznie z krzesłem, jakby chciał mieć lepszy widok na rozgrywkę. Co go tu sprowadza? Dlaczego obserwuje ich stolik? Z całej duszy pragnęła, aby to jej towarzyszka okazała się obiektem zainteresowania karciarza, a nie ona czy Flynn. Ożywiona Cassie zachowywała się jak na scenie, najwyraźniej chcąc przyciągnąć wzrok Raynora. Flynn natomiast zupełnie nie rzucał się w oczy. Pudrowany tupet i okulary w drucianej oprawie postarzały go o dziesięć lat. Nikt nie dopatrzyłby się w nim krewkiego

młodzieńca biegnącego z lektyką i skorego do ulicznej bójki pod najbliższym pretekstem. Jej przebranie było równie mylące. Zdaniem Flynna uczernione włosy i wymalowana mocno twarz odmieniały ją nie do poznania.

Gdyby ich zdemaskowano, najbezpieczniej dla obojga było trzymać się możliwie blisko prawdy. Nic w tym niezwykłego, że wytworne damy w poszukiwaniu nowych uciech wypuszczały się na ryzykowne wyprawy. Jej obecność tutaj mogła co najwyżej wywołać przelotny skandal, nic więcej. Prawdziwe niebezpieczeństwo groziło im dopiero w razie przyłapania z „pasażerem”. Im szybciej go przekażą, tym lepiej dla wszystkich.

Poza pojawieniem się Raynora wszystko przebiegało zgodnie z planem. Spojrzała znacząco w stronę Flynna i dotknęła loków nad czołem na znak, że to ostatnie rozdanie i pora ruszać.

Tym razem wypadła jej kolej. Musi znaleźć jakiś pretekst, by zakończyć grę. Po roku spędzonym w gospodach na podobnych zajęciach nabrała dość wprawy. Przetasowała z ręcznie talię, rozdała karty. Kiedy mimowiednie podniosła głowę, spotkała utkwiony w nią wzrok Raynora.

Zdjęta niedobrym przeczuciem, przelknęła z wysiłkiem ślinę i rzuciła pierwsza kartę.

Rozgrywała tak, jakby od tego zależało jej życie, nie dlatego, że chciała wygrać; czuła na sobie nieruchome spojrzenie Raynora i wiedziała, że zwróciła jego uwagę. Wygrana w tym towarzystwie nie była trudną sztuką. Serena musiała raczej skupić się z całych sił, żeby przegrać. Wzięła dotąd wszystkie lewy, gdy zobaczyła ostrzegawczą minę Flynna. Wiedziała, co to oznacza. Za nic nie chcieli zwracać na siebie uwagi, a tak się stanie, jeśli zagra za dobrze. Wygrana, przegrana – taką zwykle stosowali politykę. Sama gra nie była ważna, pomagała wmieszać się w tłum w oczekiwaniu na przybycie „pasażera”. Siłą woli udało się jej oddać dwie ostatnie lewy. Gra była skończona. Cassie i jej młody towarzysz zaczęli gruchać między sobą, ona i Flynn zebrali wygrane pieniądze.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem Flynn, widząc, że siedzi sztywna z napięciem.

Wszystko. Nic. Julian Raynor. Potrząsnęła głową.

Widziała, jak otwierają się drzwi, wchodzi młody człowiek ze skórzanym tobołkiem, a Flynn przysuwa się do niego powoli i zagaduje. Ale przede wszystkim widziała, że Raynor podnosi się i kiwa do niej palcem, przyzywając do siebie.

Chociaż zgniewał ją beczelny gest, nie mogła sobie pozwolić na jawny sprzeciw. Wzięła obszytą piórami pelerynę i podeszła doń.

– Siadaj. – Wskazał wolne krzesło. W jego głosie dało się słyszeć ciekawość i rozbawienie. Spoglądał na nią jak na poleć przedniej koniny wystawiony na sprzedaż.

I ona oceniała go spod rzęs: wysoki, za wysoki, by mogła czuć się w jego obecności spokojna; lekka przypudrowane ciemne włosy związane z tyłu w harcapy, żabot i mankiety z najdroższych koronek, ale niezbyt sute, wyszywany niebieski fraczek *habit* z jedwabnymi

wyłogami, szamerowany srebrem. O ostrych rysach, znacznie mniej przystojny niż jej bracia, Jeremy i Clive. Ze swoim nienagannym wyglądem mógł uchodzić za uosobienie elegancji. Nie znajdowała w nim żadnego uchybienia, nieufność budził tylko rodzący niemły dreszcz, bezosobowy, męski błysk w szaroniebieskich oczach. Zachowanie Raynora było niemal obraźliwe. Nie miała wątpliwości, że pierwsze wrażenie jej nie zwiódło.

Coś jeszcze przypomniała sobie na jego temat, plotki o pojedynkach i kobietach, tuzinach kobiet, o niewyobrażalnej wprost rozwiązłości, w którą była jednak w stanie uwierzyć. Niebezpieczny człowiek.

Nie czas teraz przywoływać go do porządku. Sytuacja wymagała taktu i przezorności, aczkolwiek ni jedno, ni drugie nie należało do jej mocnych stron.

– Major Raynor, czy tak? – zapytała z uprzejmym uśmiechem. – Zaszczyt to dla mnie, sir.

Spojrzała obojętnie przez ramię, licząc, że ściągnie na odsiecz Cassie, ale dostrzegła tylko, że nowa „przyjaciółka” wściekła opuszcza gospodę. Z tłumionym westchnieniem obróciła się na powrót ku przeciwnikowi.

Uniósł brew, przybierając cyniczno-kpiącą minę.

– Zrazu zwiódłaś mnie, pani.

Zaszokowana jego słowami opadła na krzesło.

– Pozwolisz sobie powiedzieć, że grasz nadzwyczaj dobrze jak na amatorkę. – Skłonił się i usiadł naprzeciw niej.

– Dziękuję – odparła drętwą.

– Ale nie o to idzie gra, prawda?

Spuściła powieki, chcąc ukryć przerażone spojrzenie.

– Nie wiem, do czego zmierzacie.

– Wiesz, pani. Byłaś pewna lub zgadywałaś, że nie przyglądałbym się tak, gdybym myślał, że oszukujesz.

– Oszukuję? – powtórzyła ostrożnie, strwożona, że za chwilę usłyszy słowo „zdrada”.

Nachylił się ku niej z wesołym błyskiem w oczach.

– Dobra robota, pani. Uczymy to szklanica? – Dał znak jednej z usługujących, by przyniosła butelkę klaretu.

Zaczynała rozumieć, że Julian Raynor niczego się nie domyśla. Poczwała ulgę, zaczęła szukać wzrokiem Flynnna.

Odciągnął ich „pasażera” w ciemny kąt sali i czekał na nią.

Odgadywała, co musi teraz myśleć. Na pewno przeklina ją, że się naraża, że w ogóle pojawiła się tutaj dzisiejszego wieczoru. Nie mogli dojść do porozumienia. Flynn uważał jej udział w misji za zbędny, wolałby sam wszystko załatwić, na co nie chciała przystać, wiedząc, że chłopak robi to tylko przez wzgląd na nią. Nie miała sumienia zrzucić nań całego ryzyka.

Ponownie spojrzała na Raynora. Chociaż uśmiechał się, nie mogła się pozbyć pierwszego wrażenia. Instynkt jej podpowiadał, że lepiej go nie prowokować i przyjąć ofiarowany napitek.

– Nie oszukiwałam – oznajmiła.

– Teraz to wiem. Czyż nie powiedziałem tego przed chwilą?

– Ale... co kazało wam myśleć, że mogło być inaczej?

– Muszka na policzku, sposób, w jaki odgarniałaś lok z czoła... sposoby adeptów szulerskiej sztuki.

Nie widząc wielkiego użytku w tajemnych znakach, Flynn od dawna utrzymywał, że smakuje w melodramatycznych efektach.

Uśmiechnęła się mimo zaniepokojenia.

– Może coś mnie rozpraszało?

– Może jesteś bardzo mądrą kobietą.

Jego oczy się śmiały, jakby obydwójce mieli udział w jakimś sekretnym żarcie. Czując, że stąpa po grząskim gruncie, przyrzekając sobie od tej chwili słuchać Flynn, uniosła szklanicę.

– Za co pijemy? – zapytała.

Z jego oczu nie zniknęły kpiarskie iskierki.

– Za naszą znajomość, panno... jak cię zwać?

Miała gotową odpowiedź.

– Victoria – odparła natychmiast. Od dziecka lubiła to imię i uważała, że bardziej godzi się z jej naturą niż bezbarwnie brzmiące Serena. – Victoria Noble, aktorka – dodała lekkim tonem, wchodząc w przyjętą rolę.

– Aktorka? Gdzie grasz?

I na to pytanie była przygotowana. Usta jej zadrżały, na chwilę spuściła wzrok, po czym znów spojrzała mu prosto w oczy.

– Powinnam powiedzieć: aktorka, gdy okazja zdarzy. Wiecie, jak to jest – wyjaśniła z wymownym wrzuceniem ramion. – Więcej jest komediantek niż ról do wzięcia.

– Ani słowa, panno Noble. Wszystko odgaduję. Przeszły ją ciarki na zawartą w ostatnich słowach insynuację. Czyżby wiedział więcej, niż sądziła? Dlaczego zatem uśmiecha się i nie woła straży miejskiej?

Udając, że upija łyk wina, poszukała wzrokiem Flynn, ale nigdzie go nie dostrzegła. Po „pasażerze” też nie było śladu. Coś musiało zająć. Flynn inaczej nie zostawiłby jej bez opieki. Pomimo lęku przed Raynorem powinna uwolnić się od niego. Odstawiła szklankę i zamierzała wstać.

– Pora późna. – Tu przysłoniła dłonią ziewnięcie. – A ja bardzo już jestem umęczona.

Ze zwinnością atakującej kobry, śmiejąc się, zamknął dłoń na jej nadgarstku.

– Lubię chętne dziewczki, ale spowolnij trochę, kwiatuszku, dekoracje niegotowe. – Widząc

jej zdumione spojrzenie, pospieszył z wyjaśnieniem: – Jeszczem nie zdążył zamówić dla nas izby. Dopij wino, a ja się sprawię w okamgnieniu.

– Izby... dla nas?

– Jeśli nie tu, może być gdzie indziej. Och, myślałaś, że chcę cię zabrać do swojego kasyna. Niemożliwe. Tam mieszkam, a przecież chcemy zakosztować trochę prywatności.

Kiedy wreszcie pojęła intencje, nie wiedziała, czy wstać i splunąć mu pod stopy, czy wybuchnąć śmiechem. Łotr i obwieś pierwszej wielkości, Julian Raynor, wziął córkę sir Roberta Warda za dziewczkę uliczną! Komiczne. Oburzające. Lepsza z niej aktorka, niż sądziła.

Patrzyła za nim z bezzmierną pogardą. Ledwie zamknęły się drzwi za jej amantem, porwała się na nogi, chwyciła pelerynę i nie zważając na gniewne pokrzykiwania usługujących, ruszyła do kuchni. Gdy była już przy tylnym wyjściu, drzwi się otworzyły i do wnętrza wpadło kilku zbrojnych. Usłyszała okrzyki „jakobici!” i obróciła się na pięcie.

Serce biło jej jak oszalałe, tchu nie mogła chwycić. Oszołomiona, jedno tylko pojmowała jasno. Zostali zdradzeni.

Hamując narastającą histerię, próbowała błyskawicznie ocenić sytuację. Kiedy rozmawiała z Julianem Raynorem, Flynn musiał coś zauważyć bądź usłyszeć. Obydwoje wiedzieli, że najniebezpieczniejszą część ich misji stanowiło przejmowanie „pasażera”. Potem w podziemnych labiryntach nikt już nie mógł ich wytropić. Modląc się, oby Flynn nie zwłóczył przez wzgląd na nią, ruszyła w stronę głównego wyjścia. Tu przez okna dojrzała w świetle latarni następną grupkę milicji miejskiej. Rzuciła okiem w stronę schodów i poczuła ramię chwytające ją w pól. Krzyknęła przerażona.

– To tylko ja. Kogoś się spodziewała?

Głos Raynora, dźwięczący rozbawieniem. Kątem oka dojrzała, jak milicja cofa na powrót do wnętrza kogoś, kto próbował wydostać się na ulicę. Albo wpadnie w ich łapy, albo zda się na Juliana Raynora.

Przyjrzała mu się. Może jest karciarzem, co nie znaczy, że musi być łajdakiem bez sumienia. Tak przynajmniej powiadał jej brat Jeremy. Tłumiąc złe przeczucia i spoglądając jeszcze raz w stronę milicji Jego Królewskiej Mości, pozwoliła wieść się na górę.

## 2

Julianowi ani w głowie były amory, gdy wiedziony impulsem kierował tego wieczoru kroki do gospody „Pod Strzechą”. Stał na galerii swojego domu gry, sącząc szampana, i patrzył obojętnie na rojny tłum wytwornych gości, kiedy uderzyła go myśl, że niewiele dba o wielki świat, który zbierał się pod jego dachem: afektowani, złażnieni nowości, zajęci próżnymi rozmowami ludzie dawno już przestali go bawić. Czuł znudzenie, choć miał ledwie trzydzieści lat i był filarem swojej profesji.

Ale bo też nuda – napomniął się natychmiast – była niewielką ceną za majątek, jaki zdążył zgromadzić, a nie myślał spędzić reszty życia w domu gry. Każdego zarobionego pensa inwestował w plantacje w Karolinie. Nowe życie w Nowym Świecie – do tego dążył i tego dopnie, gdy już ureguluje zadawnione sprawy honorowe.

Tu nawiedziła go jak zawsze nie dająca spokoju myśl o sir Robercie Wardzie i jak zawsze towarzyszyło jej wspomnienie własnej rodziny i gorzkiego, gorzkiego końca, jaki stał się jej udziałem. Już wkrótce – przyrzekał sobie – już wkrótce sir Roberta spotka zasłużony los. Zadba o to.

Chcąc uśmierzyć gniew, jaki nieodmiennie budziło w nim nazwisko sir Roberta Warda, wychylił jeden po drugim kilka kieliszków szampana. Przedłużające się wyczekiwanie nie dawało spokoju i rodziło przygnębienie. Niech tylko zmierzy się z sir Robertem, a będzie wolny i zacznie nowe życie.

Gdy tak trwał zatopiony w refleksjach, jego wzrok padł na lorda Percy’ego i jego kohortę firyków z uróżowanymi wargami. Znosił ich tylko dlatego, że byli zatraconymi hazardzistami, pieniądze przeciekały im przez palce.

Wtedy właśnie zdjął go nagły impuls: potrzeba zakosztowania prawdziwego życia w miejscu, gdzie mężczyzna musiał się zachowywać jak mężczyzna i gdzie wydelikaceni pankowie dostawali krótką odprawę, nie od miecza i czy kuli w pojedynku, ale od solidnego ciosu pięścią.

Tęsknił za bójką, a gospoda „Pod Strzechą” była wymarzonym miejscem. W okamgnieniu przekazał wszystkie obowiązki zaufanemu i przywołał lektykę.

Ku swemu zaskoczeniu znalazł oberżę bardzo odmienioną na lepsze od ostatniej tu bytności. Nie było już przewoźników znad rzeki i szczywanych szulerów, skorych do bitki o jedno krzywe spojrzenie.

Zamiast burdy znalazł inną godziwą rozrywkę. Dojrzał Victorię Noble, od niechcienia paluszkami tykającą muszki, i z miejsca wziął ją za oszustkę. Znał przecież na wylot wszystkie karciane sztuczki. Powinien. Zdemaskował w życiu niejednego, który parał się tą samą profesją.



Zaczął ją obserwować z rozbawieniem, próbując odgadnąć, który z jej kompanów jest z nią w zмовie. Pół godziny trwało, zanim przyszedł do wniosku, że dziewczyna nie jest szulerką, ale sprytną ladacznicą, która wie, jak zwrócić na siebie uwagę dżentelmena.

Postępowała z rozmysłem i skutecznie. Jej towarzyszkę, bardziej wyzywającą, obdarzył ledwie przelotnym spojrzeniem; tu wszystko było wiadomo od początku, jak z towarem wyłożonym na ulicznym straganie. Panna Noble natomiast poczyniała sobie o wiele chytrzej. Najwyraźniej rozpoznawszy go od pierwszego wejrzenia, zaczęła rozgrywać swoją szaradę, pewna, że żaden prawdziwy karciarz nie potrafi oderwać od niej oczu. Szelma chwyciła go na przynętę, ale kiedy już złapała, wiedział, że ma do czynienia nie z szulerką, lecz z osóbką, którą chętnie poznałby bliżej. Znacznie bliżej.

Aktorka z dopustu – przedstawiła mu się eufemizmem dla każdego aż nadto czytelnym. Nie żeby miał coś przeciwko kobietom jej konduity, bo zważywszy, jak przepędzał życie, byłby hipokrytą, gdyby ją potępiał. Dziwki, ulicznice były towarzyszkami jego młodości i nie tyle szukał u nich przyjemności, ile przyjaźni i rady. Prawdę rzekłszy, noszące się z wysoka i cnotliwe z pozoru damy, z którymi zażywał rozkoszy, niewiele się różniły od kurew jego młodości, o których z tym większą zwykł myśleć sympatią.

Victoria Noble, jeśli takie było jej prawdziwe nazwisko, nie przypominała mu w niczym znanych niegdyś ladacznic. Miała styl, to musiał jej oddać, a kierując się niemałym w tej materii doświadczeniem, skłonny był przyznać, że zasługiwała na sowite wynagrodzenie i że niewiele czasu minie, jak zostanie utrzymanką jakiegoś światowego pana. Co pomyślawszy zapytał sam siebie, czemuż to nie on miałby być owym światowym panem.

Nie była oszałamiającą pięknoscią ani nie wyróżniała się nadzwyczajną figurą, ale wynagradzały to delikatność rysów, żywe oko oraz wdzięczna kibić, taka w sam raz, ani rażąco chuda, ani przesadnie pulchna. Największy jej atut stanowiły ciemne, błyszczące włosy, aczkolwiek nie nosiła ich & *la modę*, pozwalając luźnym, gęstym splotom opadać na ramiona. Bez wahania mógłby wyliczyć tuzin kobiet, które z łatwością usunęłyby ją w cień, gdyby nie jedno: brak im było jej powabu.

Kiedy na nią patrzył, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że spogląda na różne kobiety. Oto w białych muślinach wygląda jak dziewczyna, którą za chwilę złożą w ofierze na ołtarzu Afrodyty. Przed chwilą, z błyskiem namiętności w oku, przywodziła mu na myśl wschodnie niewolnice, których jedynym zadaniem jest dawać rozkosz swemu panu i władcy. Kiedy zaś wysuwając podbródek zmierzyła go spojrzeniem, miał wrażenie, że jest podobna *grandę dame* rezydującej w swoim salonie. Patrzył tak, rozmyślając, w jaką porywającą istotę przeistoczy się za chwilę.

Wiedział jedno: nigdy dotąd nie spotkał nikogo jej podobnego. Musi ją mieć, jakiej nie zażądałaby ceny. Szczercząc zęby w uśmiechu, sięgnął po butelkę klaretu.

Przyjęła poczęstunek, myśląc tylko o tym, jak odwlec moment, kiedy trzeba będzie przenieść się z saloniku, gdzie w tej chwili siedzieli przy buzującym na kominku ogniu, do przyległej sypialni. Wyczerpali już temat domu gry, teraz, odrzuciwszy pelerynę, łamała sobie głowę nad jakimś innym, a obojętnym przedmiotem konwersacji.

– Opowiedz mi o sobie – zaproponował.

Jakże chętnie spełniłaby jego prośbę i uwolniła się od widoku tej twarzy, acz i to nie było najlepsze rozwiązanie. Odesłałby ją wtedy precz i musiałaby wrócić na dół, gdzie buszowała milicja. Jakże miałaby mu teraz wyjawić, kim naprawdę jest? Jak wytłumaczyć, że służący raptem zostawił ją samą? Prawda wyjawiona człowiekowi, który był bohaterem wrogich wojsk spod Prestonpans i antyjakobitą, nie przyniosłaby wybawienia, wręcz odwrotnie, zapewne sam wydałby ją w ręce straży.

– Niewiele tu do opowiadania. – Sączyła wino, zyskując na czasie i układając w myślach prawdopodobnie brzmiący życiorys.

– Masz rodzinę?

Nie. Jestem sierotą. – Wydawało się, że znacznie prościej będzie tak odpowiedzieć niż biedzić się wymyślaniami fikcyjnej rodziny i zaplatać pośród imion i pokrewieństw.

– A zatem nie masz innych środków do życia poza tymi, w które wyposażyla cię natura. Powiem, że szczerze się z tobą obeszła, kiedy na ciebie patrzeć.

Miała ochotę go zdzielić.

– Dziękuję – odparła.

Z piętra powyżej dobiegł odgłos zatraskiwanych drzwi, stłumiony tupot butów, potem szcęk kolejnych drzwi.

– Jak myślicie, co się tam dzieje? – zapytała utkwivszy wzrok w sufit.

– Mmm? Gospoda pełna, miałem szczęście, że znalazłem coś dla nas.

Rzuciła niepewnym okiem na drzwi prowadzące do sypialni i poczuła niemiły ucisk w żołądku. Nigdy, przenigdy – przyrzekła sobie. Nie jest aż taką idiotką. Wie, że zanim uliczna dziewczka obdarzy kogo swymi łaskami, musi się pierwiej upewnić, czy zabiegający o nie dżentelmen sprostą cenie. Przeto ona zażąda astronomicznej sumy, zaczną się targi, nie dojdą do porozumienia, wtedy opuści go z godnością. Byle nie przed czasem – napomniała się w myślach. Musi odczekać, aż minie niebezpieczeństwo i milicja zabierze się stąd. Kiedy już sobie pójda, każe gospodarzowi nająć powóz i wróci do domu bez uszczerbku.

Byłoby to aż tak proste? Czemu nie – powiadała sobie z uporem. Byle nie straciła głowy i nie wpadła w panikę. Dopóki siedzą w saloniku i Raynor nie czyni nic, by zaciągnąć ją do sypialni, nie ma się czego obawiać.

– Może odpoczniemy? – zapytał odpasując szpadę i odkładając na bok. Zdjął surdut i począł rozpinać kamizelkę. – Pomożesz mi? – zadał następne pytanie, z dłonią na guzikach

koszuli.

Zwilżyła wargi. Czas pomówić o zapłacie. Znowu gdzieś trzasnęły drzwi, tym razem na ich piętrze. Tupot się przybliżył. Milicja widać przeszukiwała cały dom. Jej by szukali? Mają jej rysopis? Podniosła się z rozszerzonymi strachem oczami.

Te oczy – pomyślał Julian – niezgłębione, jakby zmuszały dociekać skrywanych przez dziewczynę tajemnic. Jest kusicielką, co posiadała przedwieczne kobiece tajemnice, wobec których zwykły śmiertelnik staje bezbronny. Podeszła do niego z wahaniem, udanym, ma się rozumieć, choć czyniło wrażenie naturalnego. Musiał przyznać, że jest wyśmienitą aktorką. Niewolnica, kusicielką, dziewica, *grandę damę* – potrafiła być wszystkim, czego zapragnął mężczyzna.

– Uklęknij – powiedział, a ona uklękła u jego stóp, uosobienie kobiecej uległości. Przyciągnął ją do siebie. – Rozepnij mi koszulę.

Wielkie nieba, dobra jest w swoim kunszcie! Nie wdzięczy się, nie udaje skromnisi. Kobieta, która zna wartość milczenia i wie jeszcze wiele ponadto. W jej ruchach nie znajdziesz pośpiechu, raczej opieszalą zmysłowość, co doprowadza namiętność do szczytu. Oddychał z trudem, modne *culottes* zdawały się pękać pod naporem nabrzmiałego przyrodzenia.

Kiedy rozległo się pukanie, Julian zamknął oczy i zaklął siarczyście.

– Przeklęty gospodarz...

– Otwierać w imieniu Jego Królewskiej Mości! – usłyszeli twardy rozkaz.

Ktoś szarpał za klamkę. Julian podszedł do drzwi.

– Zostań, gdzie jesteś – rzucił przez ramię. Otworzył w chwili, gdy młody strażnik zamierzał się kopniakiem w drzwi.

– Mów, czego chcesz, człowieku – rzekł Julian bez ceremonii.

Ned Maseby nie widział jeszcze nigdy w życiu tak wielkiego pana. Jeden rzut oka w głąb izby objawił mu przyczynę zdekompletowanego stroju dżentelmena.

– Dopraszam się wybaczenia waszmości, jeno doszło nas, co się jakobity w gospodzie kryjom – bąknął młody Ned.

Julian powstrzymał się od komentarzy, acz wiele miał do powiedzenia. Mógłby rzec, że nie o to wojował, by jego wrogów, ludzi honoru, tropiono teraz bezlitośnie niczym lisy. W cywilizowanych krajach los przeciwnika rozstrzyga się na polu bitwy. Dla ucziwiem myślącego Anglika skandalem było, jak władza traktowała zwyciężonych. Nie czuł dumy, że stał po stronie tych, którzy wygrali.

– Jakobita? – zapytał uprzejmie. – I wygląda jak ja?

– Nii. – Ned otworzył usta w głupawym uśmiechu, próbując obrócić wszystko w żart. – Chyba żeście Szkot. Patrzymy za takim jednym, wodzem z Wyżyn.

– Zatem powinniście znaleźć go bez trudu – odparł Julian nieskazitelnym akcentem Południa

i odrobinę szerzej otworzył drzwi. Nedowi oczy wyszły z orbit, kiedy zobaczył, że klęcząca na podłodze dziewczyna rozwiązuje troczki stanika.

Na widok wściekłości w oczach Juliana obleśny uśmieszek zniknął natychmiast z twarzy chłopca. Zasalutował dziarsko i bąkając słowa przeprosin odstał od progu.

Zamknawszy drzwi na klucz, Julian stał chwilę zasepiony.

Serena trzęsącymi się dłońmi wiązała na powrót troczki, niepewna, czy się cieszyć, czy niesmak odczuwać, iż tak przekonująco odegrała rolę ladaczniczy, że i wielki libertyn, i prosty żołdak dali się nabrać.

– Co się stało? – zapytała. – Czemuście się tak zachmurzyli?

Julian odegnał ponure myśli.

– Nie masz się czego bać. Znasz naszych dzielnych chłopców z milicji. Wymyślą zdrajcę, kiedy żadnego nie ma na podorędziu, „Zdrajcy”, a więc tak myśli o jakobitach. Miała rację, że mu nie ufała. Nie pomógłby jakobickiemu zbiegowi. Nie żeby jakiś potrzebował jego pomocy. Z tego, co mówił chłopak, wносиła, że Flynn i „pasażer” zdołali umknąć. Teraz ona musi uczynić to samo.

– Zaczniemy od początku. – Julian wrócił do krzesła, na którym przedtem siedział. – Tym razem nikt nam już nie przeszkodzi. Nie, nie ruszaj się. Klęcz tak w pozie pełnej uległości.

Uniósł kielich i upił łyk wina.

– Teraz ty. – Kiedy wyciągnęła rękę, pokręcił głową. – Nie, ja go będę trzymał. Przysuń się bliżej.

Znowu znalazła się między jego kolanami. Nie wiedziała, co zrobić z rękoma. On wiedział.

– Połóż mi dłonie na udach.

Serena usłuchała. Czuła pod palcami twarde, napięte mięśnie, równocześnie wsłuchana w odgłosy przeszukiwań dochodzące z oddali.

– Pij – polecił przytykając brzeg kielicha do jej ust i przechylając go lekko.

Zakrztusiła się.

– Pozwól – mruknął. Ręką ujął ją za kark, schylił głowę i pocałował.

Zesztywniała. Czuła jego język w ustach, zlizujący krople wina. Kiedy próbowała się wyrwać, mocniej zacisnął uda. Jeszcze usiłowała go odepchnąć. Dłonie zsunęły się w otwór koszuli; dotykała nagiej piersi, czuła mięśnie drgające pod jej palcami. Odepchnęła go mocniej.

Puścił ją tak gwałtownie, że upadła. Odsunęła się czym prędzej i podniosła na kolana. Obydwoje dyszeli, z trudem chwytając powietrze.

Wstał z gniewną miną, podszedł do niej.

– W jakie to gry grasz?

– Żadne gry. – Czym prędzej pozbierała się z podłogi i zaczęła się cofać. – Jeszcześmy nie umówili... mojego wynagrodzenia.

Wynagrodzenia? – Zaśmiał się cicho. – Juzem postanowił, kochaneczko, że twoje niezaprzeczone talenty są warte każdego pieniądza.

Nie takich słów oczekiwała ani w nie uwierzyła. Mężczyźni nie lubią zachłannych niewiast. Chociaż nie powinna nic o tym wiedzieć, jej brat jeszcze za kawalerskich czasów odprawił kochankę, kiedy okazała się zbyt chciwa.

Czego mogła żądać?

– Ja... chciałabym mieć dom – powiedziała zwiłżając wargi.

Przechylił lekko głowę i odparł, jakby głośno myślał:

– Nigdy nie miałem kobiety na utrzymaniu, a teraz zaczynam się w tym dopatrywać sensu. Dobrze, będziesz miała swój dom.

Postąpił krok do przodu. Serena przywarła płasko do drzwi.

– I... własny powóz do tego? – zapytała niemal bez tchu, speszona jego bliskością.

– Niech i tak będzie.

Kiedy się nachylił ku niej, z krzykiem umknęła do sypialni. Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami, usiłując namacać klucz w zamku.

Otworzył je jednym kopnięciem. Poleciała do przodu. Stał w progu, ciemna sylwetka rysująca się w padającym zza pleców świetle. Serenie strach mącił myśli. Groźny. Nieobliczalny. Zuchwały. Nie wygra z nim.

Kiedy zrobił zwód w lewo, rzuciła się do przejścia, umykając mu spod rąk. Zdołał pochwycić palcami kraj jej sukni, usłyszał trzask pękającego materiału, drugą rękę wczepił w jej ramię i pchnął ją na łóżko.

W półmroku sypialni, rozpraszonym tylko światłem z podwórza, widziała, jak zrzuca resztki odzienia. Chociaż wszystko się w niej buntowało, nadszedł najwyższy czas ujawnić, kim jest.

Przywołując resztki godności oznajmiła:

– Wiedźcie, że nie jestem zwykłą ulicznicą, jeno wysoko urodzoną damą.

Zaśmiał się. Ten śmiech, który zaczynał już z wolna budzić w niej obrzydzenie.

– Wiem – powiedział. – A ja mam być zdobywcą. Znane to zabawy, kochaneczko, ale dość żartów. Chcę trzymać dzisiaj w ramionach prawdziwą niewiastę, a nie zmyśloną postać.

Obracała jego słowa w myślach, nie mogąc doszukać się w nich sensu.

– Dotknijcie mnie jeno, a będziecie żałować do sądneho dnia. Nic nie pojmujecie? Jestem damą. Ja...! – wykrzyknęła zwątpiwszy, iżby był przy zdrowych zmysłach.

Ale on za całą odpowiedź zaczął się z nią szamotać na łóżku. Bez trudu ją obezwładnił, uniósł głowę.

– Dość żartów, powiadam. Ja jestem Julian, ty Victoria. Ja jestem twoim opiekunem, ty moja kochanką i poniechaj oporu, kochaneczko.

Zapłacić, kupić, o tym myślał, ale ona odgadywała coś innego. Nie chciał jej uchybić ani poniżyć, jeno dopiąć swego, i uważał, że ma po temu rację.

Nie ruszał się, karesów swoich nie narzucał, tylko trzymał w objęciach i wpatrywał się w nią z nieprzeniknioną twarzą.

– Julianie... – Nazwała go imieniem, chcąc go lepiej do siebie usposobić. – Nie nazywam się Victoria Noble.

– Takem też od razu pomyślał – powiedział i pocałował ją.

Język delikatny, pieszczotliwy zdawał się zapraszać do oddania pocałunku. Przez chwilę ciekawość wzięła w niej górę i obezwładniła. Nigdy nikt nie całował jej takim sposobem. Jakby zanurzyła się w kąpieli z wina korzennego, słodkiej a upojnej.

Drżąca wywineła się z jego objęć, bacznie się w niego wpatrując. Odpowiedział pytającym uniesieniem brwi. Teraz dość, wypowie swoje nazwisko, a on pozwoli jej odejść.

Zawahała się, inna myśl ją naszła. Miała dwadzieścia trzy lata i nikt jeszcze nie trzymał jej w ramionach, nie całował, nie patrzył tak, jak on na nią spoglądał. Miłość i małżeństwo nie były jej udziałem. Choć miała wielu zalotników, znikali na wieść, że jest bez posagu. Nigdy nie zazna miłosnego uścisku, pocałunków kochanka, zostanie starą panną, ciotką rezydentką, żadnej nadziei. Co złego w kilku skradzionych całusach, kiedy on taki przystojny i męski? Niejedna byłaby dumna, gdyby z nim zległa w łóżu. Nie, nie chciała kochanka. Ot, ledwie kilku całusów.

– Pocałuj mnie, Victorio.

„Victoria?”. Ba, gdyby była Victorią. Victoria mogła robić, na co miała ochotę, być, kim chciała. Victorii nic nie powstrzymywało, Gdyby... ba, gdyby.

W głowie szumiało wypite wino. Zamknęła oczy, próbując wziąć się w garść.

Poczuła jego usta na wargach, położyła dłonie na jego ramionach, chciała go odepchnąć. Na jedną krótką, bardzo krótką chwilę poddała się pokusie, by pogłodzić gładką skórę. Powiodła palcami po szerokich ramionach, mocnym karku, gęstych włosach, przeniknięta do głębi słodkim a rozpustnym porywem.

Z uśmiechem przyjmowała pocałunki błędzące po jej twarzy. Nie miała pojęcia, że całowanie tak właśnie wygląda. Igrał z nią.

Nie chcąc pozostać mu dłużną, dotknęła wargami jego skóry, jakby sprawdzała smak, zapach, przywodzące na myśl świeżość nocnego powietrza i czegoś mrocznego, zakazanego.

Zamknęła oczy, czuła jego usta na szyi, na piersiach. Kiedy wargi zamknęły się na sutce, jęknęła cicho. Podniósł głowę i zaczął całować ją zapalczywie, zaborczo, jakby chciał, by poddała mu się bez reszty.

Obezwładniona rozkoszą, tyle co zbita z tropu, zaciskała i rozwierała dłonie na jego ramionach. Brakło jej tchu, w głowie wirowało, jakaś myśl ostatnia kołatała do świadomości,

ale nie mogła jej pochwycić albo wołała nie dawać przypustu. Za chwilę zemdleje.

Na nic już nie zważała, kiedy jego dłonie zdziewały z niej szatkę po szatce. Wiła się niespokojnie, szukając jego bliskości. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła obsypywać pocałunkami.

Kiedy jego palce zagłębiły się pomiędzy uda, krzyknęła i odrzuciła głowę na poduszki.

– A to cóż, Victorio?

Poczuła ciepły powiew oddechu na skórze i twardy ucisk członka na udzie. Rozejrzała się zdumiona, niczym wybudzona ze snu.

– A to cóż, Victorio? – powtórzył, muskając wargami jej powieki, potem usta.

– Ja... – Nie jest przecież Victorią, tylko Sereną. Serena! Patrzyła na niego zdjęta zimnym dreszczem.

– Chodź do mnie – mruknął owijając sobie jej włosy wokół dłoni.

– Nie jestem Victoria – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

Ciągle jeszcze drżała. Spod przymkniętych powiek popłynęły łzy. Targał nią wstyd i wyrzuty sumienia. Jak ona, Serena Ward, mogła dopuścić, żeby sprawy zaszły tak daleko? Jak kilka całusów mogło ją przywieść do tego? Leży naga, w obcym łóżu, z obcym mężczyzną. Znowu jej dotknął. W nagłym popłochu chciała go powstrzymać.

– Julianie, proszę.

– Tak szybko, kochaneczko? – W jego głosie zdawał się przebijać uśmiech.

– Nie mogę... – Potrząsnęła głową.

Przez chwilę już myślała, że dał posłuch jej słowom. Uniósł się na moment, zaczerpnął głęboko powietrza i przygniótł ją całym ciężarem ciała.

Ochrypli krzyk bólu stłumił pocałunkiem. Szarpała się i drapała, chcąc się spod niego uwolnić. Żalostne i próżne były to wysiłki. Zamknął ją mocniej w objęciach, zaczął się szybciej poruszać, wchodził głębiej, pociągał w obcy świat, którym rządziły zmysły. Pozostała obojętna, ale wiedziała, że nakazuje to sobie siłą woli.

Dopiero po długiej chwili Julian ją uwolnił.

– Nigdy jeszcze nie miał tobie podobnej. Żadna jeszcze nie sprawiła, żebym chciał nią zawładnąć.

Drżąca, obolała zamknęła oczy, wołając go nie widzieć. Jaką głupotą było myśleć, że może użyć go dla własnych celów, jakim głupstwem sądzić, że jest Victorią i może robić, co zechce. Nie była ani w calu Victorią, inaczej ją chowano. Jest z Wardów, z Wardów. Jej biedna matka przewróciłaby się w grobie, gdyby mogła ją teraz zobaczyć.

To niesprawiedliwe. Nie chciała, by sprawy zaszły tak daleko. Próbowwała mu powiedzieć, ale jej nie słuchał. Równie dobrze mogłaby próbować zawracać kijem rzekę, co powstrzymać przyływ namiętności Juliana Raynora. W tym cały kłopot, ma się rozumieć, jako iż pojęcia

żadnego nie miała o męskich namiętnościach i stąd nie mogła wiedzieć, że kilka skradzionych całusów może wieść prostą drogą do uchylającej wszelką myśl rozkoszy. Za późno chciała umknąć, no i zapłaciła za swoją nieroztropność.

Pocałował ją delikatnie.

– Nie żałujesz przecież?

Uderzyłaby go, ale nie stało jej już woli ni energii. Co by jej z tego przyszło? Najgorsze już się stało. Teraz chciała tylko zaszyć się w ciemnym kącie, gdzie mogłaby spokojnie przemyśleć katastrofę, jaka się jej przydarzyła.

– Nie – powiedziała bezbarwnie.

– Spij – poradził całując ją w ramię. – Potem pomówimy.

W milczeniu obróciła się na bok, nasłuchując, kiedy sen go zmorzy i kiedy będzie mogła się wymknąć. Poruszyła się niespokojnie, próbując odsunąć dłoń spod piersi. Dłoń nie ustępowała. Serena otworzyła oczy i poderwała się z okrzykiem zgrozy. Leżał wsparty na poduszkach; leniwy, chytry uśmiech błąkał się na wargach. Przez okno wpadało wątle światło pierwszego brzasku.

Zgrzytając zębami wyskoczyła z łóżka i zaczęła poszukiwać porzucanego odzienia. Nie zważając na szkody wyrządzone szatom przez nieczułe męskie dłonie, zaczęła szybko się ubierać, nie spuszczając przy tym czujnego spojrzenia z mężczyzny w łóżku.

Julian ziewnął, przeciągnął się i założył ręce pod głowę. Nie znajdowała w nim już tego zagrożenia, które czuła, kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Z głupawym uśmiechem na twarzy, rozciągnięty wygodnie, przypominał dobrze odkarmionego kota.

– Byłaś dziewicą – stwierdził rozkoszując się każdą wypowiedaną sylabą.

Zajęta troczkami halki poderwała głowę.

– Jaka z tego przyjemność? – zapytała niedowierzająco. W jej świecie nawet najgorsi hultaje żywili niejakię względy dla dziewic.

– Wielka, bom oczekiwał dziewczki. Nie żebym się uskarżał, nie. Rad jestem, że mnie sobie upatrzyłaś na dobry początek.

– Upatrzyłam? Ani myślałam! Trafiłeś się niczym grom z jasnego nieba, kiedym najmniej mogła oczekiwać.

Aż zagryzła wargę z hamowanej wściekłości. Flynn zawsze powiadał, że miele językiem na własną zgubę. Teraz godzi się jedynie wyjść czym prędzej nie czyniąc hałasu, zanim gniew ją porwie i zacznie go lżyć.

– Zgaduję – zaczął Julian mierzając ją chytrym okiem. – Ranek nastał i zaczynasz sobie czynić wyrzuty, to ci powiem, nie trzeba. Za późno żałować, kiedyś już postanowiła. Nie masz żadnego powodu, by zawracać z obranej drogi, a wiele po temu, żeby iść nią dalej.

Nienawidziła go teraz tak bardzo, że nie znajdowała słów odpowiedzi. Wie, że posiadał



dziewicę, powinien na kolanach błagać wybaczenia, zaproponować małżeństwo. Rzuciłaby mu w twarz jego oświadczenia i wyszła ze śmiechem.

Fałszywie odczytawszy jej milczenie, Julian ciągnął łagodnie:

– Lepiej znam świat niż ty. Wiem, jaki los cię czeka, i ty też chyba wiesz. Cnotliwe dziewczyny twojego stanu kończą jako żony nauczycieli tańca albo sklepikarzy, by żyć w wiecznej biedzie. Są kobiety, które się z tym godzą, ale takie życie nie dla ciebie, inaczej nie byłabyś tu ze mną. Prędzej czy później musiał nadejść ten dzień. Ma to swoje dobre strony. Zostań moją utrzymanką, a będziesz pławiła się w zbytkach, kochaneczko. Sowiec zapłacę za honor, któryś mi uczyniła oddaniem wianka. Poza tym z natury skłaniasz się do tego, co ci oferuję. – Uniósł znacząco brew. – A teraz pójdz do łóżka, niech cię nauczę, jak to jest między mężczyzną i jego kochanką.

Łatwo dawała się ponieść złości; ułomność charakteru, którą temperowała tylko siłą woli, a gdy i ta nie pomagała, ucieczką w modlitwę. Wbrew pozorom Serena była głęboko religijna.

Kiedy wreszcie rozluźniły się jej szczęki, wzięła kilka głębokich oddechów dla uspokojenia, odwróciła się do niego plecami i zyskując na czasie poczęła starannie sznurować stanik. Zachichotał słysząc trzask pękającej tasiemki. Okręciła się niczym furia.

– Głupcze skończony! – krzyknęła. – Nie jestem dziewczką! Powiedziałam ci już, że jestem damą wysokiego rodu.

– To mi się właśnie w tobie podoba – odparł. – Zachowujesz się jak dama, a prowadzisz... Cóż, powiedzmy, że w łóżku nie jesteś damą, i tak być powinno.

– Prowadzę się jak ladacznica! – wykrzyczała. – Toś chciał powiedzieć!

– Nie zaperzaj się, kochaneczko. Chciałem ci powiedzieć komplement. Mnie bardzo się nadajesz.

– Jak mogę prowadzić się jak ladacznica, jeśli byłam dziewczką? Niemożliwe!

– Przez skłonność charakteru. To chciałem powiedzieć. Wierz mi, że nie znajduję w tym nic złego. Tacyśmy sami.

Niechby musiał ścierpieć, co ona musi ścierpieć. Niechby drżał ze strachu, a zadrżałby wiedząc, że ona ma dwóch braci gotowych pomścić jej honor. Niechby jęczał w upokorzeniu. Tak, najbardziej ze wszystkiego chciałaby go widzieć upokorzonym, a najgorsza była myśl, że nic nie może uczynić. Zwariuje przecież, jeśli nie da upustu gniewowi.

– Julian Raynor – prychnęła – karciarz i liberyn. Z takimi jak ty tyle mam wspólnego, co ze złodziejami i mordercami. Gdybyś poznał moje imię, zadrżałbyś ze strachu. Nie jestem biedną, pozbawioną opieki dziewczką, ale córką baroneta. Pławić się w zbytku przy tobie? – Zaśmiała się kpiąco. – Pierwej mój ojciec i bracia woleliby widzieć mnie martwą.

Wybuch gniewu wywarł pożądaný skutek. Uśmiech zniknął z twarzy Raynora. Major poblądł, ręce wyjął spod głowy.

– Córka baroneta? – powtórzył.

Satysfakcja płynąca z faktu, iż przestał się uśmiechać, była mniejsza niż narastająca pewność, że jeszcze chwila, a popełni horrendalny błąd. Odgoniwszy precz myśl o możliwych następstwach własnej porywczosci, zacisnęła wargi i zaczęła się rozglądać za peleryną. Kiedy wyskoczył z łóżka, potknęła się zaskoczona i oparła o komodę. Dopiero teraz zaświtało jej, że widać równą odznacza się porywczoscią, tyle że gdy ona miała naturę gorącą, on posiadał o wiele groźniejszy, lodowaty temperament.

Chwyciwszy ją za ramiona pociągnął do okna i zaczął nią potrząsać.

– Kim jesteś? – zapytał mierząc ją przenikliwym okiem.

Odrzuciła do tyłu głowę i spoglądała mu wyzywająco w twarz.

– Klnę się, że cię nie wypuszczę, póki nie dojdę, jak cię zwać.

Zrozumiała, że nie rzuca słów na wiatr. Zaczęła jej szukać i prawda wyjdzie na jaw.

– Serena Ward. – Wymknęła się z jego uchwytu. – Zwać mnie Serena Ward.

Na te słowa zapadła grobowa cisza.

– Córka sir Roberta Warda?

Skinęła i gorączkowo zaczęła szukać w głowie odpowiedzi na pytania, które musiały nastąpić. Co tutaj robi? Dlaczego pozwoliła mu wierzyć, że jest niewiastą lekkich obyczajów? Dlaczego wcześniej nie położyła kresu jego umizgom?

Ujrzała wściekłość w jego oczach. Zacerpnął gwałtownie powietrza, puścił ją i zaczął się odziewać pośpiesznie, w całkowitym milczeniu. Stała bez ruchu, niczym śmiertelnie przerażony królik, lękając się uczynić najmniejszy gest.

Już ubrany przeszedł do drugiej izby, wdział fraczek, przypasał szpadę. Serena bez słowa narzuciła pelerynę na ramiona.

Dalsze wypadki potoczyły się szybko. Nie zwłócząc chwili, wyprowadził ją z gospody. W porannym chłodzie poczuła gęsią skórkę na całym ciele. Wokół nie było drzew, skrzynek z kwiatami, nie dochodził tu śpiew ptaków, nic nie zapowiadało zbliżającego się lata. Mimo kwietniowego dnia czuła się niczym w środku mroźnej zimy.

Przywołał lektykę, otworzył drzwiczki i wepchnął ją do środka. Odwróciła jeszcze głowę, gotowa prowadzić spór, ale on tylko skłonił się nisko, z przesadną i obrazę czyniącą galanterią.

– Nikt nie powie, że Julian Raynor nie płaci należności – oznajmił. – Nieś panią, gdzie wskaże – rzucił jeszcze lektykarzowi, po czym okręcił się na pięcie i wrócił do gospody.

Serena otworzyła zamkniętą dłoń i spojrzała na to, co wcisnął jej Raynor. Bilet Banku Anglii wystawiony na okaziciela, wart pięćdziesiąt funtów. Podniosła głowę i pochwyciła uśmiezek jednego z lektykarzy. Zmierzyła go lodowatym wzrokiem i ponownie spojrzała na notę bankową. Oto ostateczne upokorzenie, pomyślała mrużąc z wściekłością oczy.

### 3

Inna myśl zaczęła zaprzętać jej głowę. Zapomniała na chwilę o gniewie, gdy lektyka skręciła ze Strandu w Buckingham Street. Gdyby ktoś zobaczył ją wracającą do domu w takim stanie i o tej godzinie, znalazłaby się w nadzwyczaj niezręcznym położeniu. Jej starszy brat, Jeremy, wiedział, że pod opieką Clive'a pojechała z przyjaciółmi do ogrodów Ranelagh.

Niechby teraz ją ujrzał, nie tylko ona miałaby z nim przepawę; także Clive i Flynn musieliby się gęsto tłumaczyć. Jeremy nie wiedział nic o ich konspiracyjnych wyprawach i nigdy nie powinien się dowiedzieć. Poczuliby się zdradzeni, zaczęłby ich oskarżać, że dla straconej sprawy wystawiają na niebezpieczeństwo całą rodzinę. Rzecz miała się wszelako inaczej. Próbowali tylko pomóc ludziom, którzy przegrali wszystko i których jedyną zbrodnią było to, że walczyli po złej stronie. Zasługiwali bodaj na tyle.

Wszystko zaczęło się, kiedy odkryła, że Clive ukrywa w swoim domu na Charles Street młodego jakobitę, przyjaciela z Oxfordu, którego ucieczka do Francji opóźniała się z powodu mgły. Brat, chcąc nie chcąc, dopuścił ją do tajemnicy, a przyjaciel dodał, że takich jak on jest więcej i gdyby tylko znaleźli się odważni ludzie, można by uratować wiele istnień. Podał im kontakt w Oxfordzie i to był początek.

Z czasem doszli do prawie niezawodnych sposobów. Ich łącznik w Oxfordzie, którego imię znał tylko Clive, przekazywał „pasażera”, oni zaś musieli zapewnić mu bezpieczne schronienie do czasu odjazdu z kraju. Zeszłej nocy, gdy ona i Flynn mieli odebrać uchodźcę w gospodzie „Pod Strzechą”, Clive czekał w umówionym miejscu blisko doków. Nabrzeża często patrolowano, ale gdy wokół było czysto, Clive przesyłał im sygnał, że mogą przeprowadzać zbiega. Gdy ten trafiał wreszcie na pokład okrętu, zwykle świętowali udaną eskapadę lampką wina, po czym pod osłoną ciemności wracali na Buckingham Street.

Ale teraz był jasny dzień.

Kiedy lektyka dotarła do narożnego domu w pobliżu rzeki, kazała nieść się pod boczną bramę, na którą nie wychodziły żadne okna.

Ledwie wysiadła, przyskoczył do niej Flynn. Wrócił już do swojego zwykłego stroju; mały szmaragd w uchu rzucał te same błyski co zielone oczy chłopca.

– Ja zapłacem – oznajmił, posyłając jej spojrzenie mówiące daleko więcej, niż pragnęła usłyszeć, po czym wyniosłym tonem zagadnął lektykarzy: – Natrę jej uszu, niech no tylko zaprowadzą jom do domu. Gdzieście jom znaleźli?

– Kto ona? – zapytał jeden z tragarzy.

– Dziewczyna, z którym myślałem się żenić – odparł Flynn, odprowadzając zadowolonym wzrokiem znikającą za bramą Serenę.

Lektykarze wymienili znaczące spojrzenia, jeden z nich zaniósł się gromkim śmiechem.

– Na twoim miejscu spytałbym ją, skąd wzięła pięćdziesiąt funtów – poradził i wesoło machając na pożegnanie, dał przyjacielowi sygnał do odwrotu.

– O czym mówiliście? – zapytała Serena, kiedy Flynn wszedł na dziedziniec.

Za całą odpowiedź chwycił ją za łokieć i pociągnął w stronę domu.

– W głowie ci się ze wszystkim pomieszało? Trza było posłać kogo po mnie. Co sobie świat pomyśli? Serena Ward wraca rano do domu bez opieki, jakby sie całom noc w sianie tarzała, a nie tańcowała po balach. Jedyna nadzieja, że jak cie kto widział, to wzioł cie za dziewczkę ze służby.

– Gdzie Jeremy... Catherine i Letty? – spróbowała mu przerwać. Poprzedniego wieczoru Jeremy, jego żona Catherine i najmłodsza siostra Letty byli zaproszeni na bal do lady Noyes. Takie zabawy zazwyczaj trwały do białego rana.

– A gdzie mieliby być? W łózkach, jak każde przyzwoite państwo.

– Nie... nie pytali o mnie?

– Nie żebym co słyszał. Kiedym wrócił, spali już jak dzieci. Wiesz, co ja przeszedłem, jakem odkrył, że ciebie jeszcze nie ma? Pół nocy za tobom szukałem. Juzem miał budzić pana Jeremy'ego i wszystko mu powiedzieć.

– Szczęściem nie zdążyłeś.

– Nie wiem. Może lepiej by sie stało. Nie pogłaskałby cie pan po głowie za tych jakobitów. Tak byś chodziła, jak by ci kazał, dziewczyno.

Serena nic nie odrzekła. Słowa Flynnna budziły wyrzuty sumienia; nie dość, że okłamywała rodzinę, to uczyniła zeń współnika wbrew jego woli. Pomagał im nie inaczej, jak tylko przez oddanie dla niej. Prawda, że współczuł serdecznie wszystkim zbiegom i ludziom wyjętym spod prawa, ale nigdy nie dopuściłby się występku, gdyby nie ona. Chociaż wiedziała, że przy swojej znajomości Londynu i jego podziemnych labiryntów Flynn był stokroć przydatniejszy uciekinierom niż ona, próbowała uwolnić go od tych zadań. Flynn nawet słyszeć o tym nie chciał ani myślał zostawić ją samej sobie. Nie wiedziała, czym zaskarbiła sobie to jego oddanie.

Upokarzało ją, przyczyniając zarazem wielkich wyrzutów sumienia.

To nie powinno już długo potrwać – pocieszała się w myślach. Strumień powoli wysychał. Od bitwy pod Culloden rok już minął, a trzy miesiące od czasu, jak wyprawili ostatniego „pasażera”. Zrobili, co do nich należało, i nie żałowała niczego, a jednak za nic nie chciałyby przeżyć nocy podobnej do minionej.

Zbliżyli się do małego ceglanego budynku, w którym mieściły się pralnie i skąd przechodziło się do piwnic. Flynn dał jej znak, by weszła do środka, po czym poszedł zobaczyć, co porabia reszta służby. Wrócił po kilku minutach. Przeszli ciemnym korytarzem ku schodom prowadzącym do pomieszczeń dla czeladzi.

– Rozumiem, że wszystko gładko poszło? – zapytała, kiedy dotarli już do jej sypialni.

– Dobrze rozumiesz, jeśli „gładkim” nazywasz wymknąć się o włos milicji, że już nie wspomnę, że od zmysłów odchodził, jakem za powrotem do domu zobaczył, żeś się zapodziała. Przecież myślał, żeś najęła lektykę albo powóz.

– Dlaczego tak sądziłeś?

– Bom się wrócił zabrać cie, ledwie sprowadził naszego przyjaciela do podziemi. Nie było cie już w gospodzie, to gdzie, u czarta, miałaś być?

– Wróciłeś do gospody, kiedy była tam jeszcze milicja?

– A czemu by nie? Nie za mnom patrzyli, za tobom też nie. Jakobitów szukali. A teraz opowiadaj wszystko, jeno bez zmyśleń i wykrentów. Gdzieś była? Co to za pięćdziesiąt funtów?

Dziwne łączyły relacje Serenę z jej sługą, najłagodniej rzekłszy. Chociaż Flynn miał lat dopiero dwadzieścia, nikt tak długo jak on nie służył u Wardów. Pobłażano mu i na wiele sobie pozwalał. Wierny opiekun Sereny, przylgnął do niej natychmiast, kiedy sześcioltnim pazikiem pojawił się w domu sir Roberta. Wyrósł na barczystego, przystojnego młodzieńca, o delikatnych rysach i kręconych włosach; w bystrych zielonych oczach zawsze czaił się błysk uśmiechu. Chociaż służący, w prostej zielonej liberii Wardów, ze szmaragdem w uchu i przypudrowanymi włosami nosił się jak dandys. Clive, o rok młodszy od Flynna, naśladował raczej jego wzięcie niż swojego otoczenia.

Flynn umościł się na łożu, Serena siadła na taborecie koło lustra. Nie było jej w smak to przesłuchanie, prędzej już wszczęłaby awanturę, ciskając się po domu na oślep, tłukąc co pod ręką, póki postać Juliana Raynora nie odpłynęłaby w niebyt.

Miała dwadzieścia trzy lata i od chwili, gdy weszła w świat, żaden jeszcze mężczyzna nie dostąpił jej łask, acz byli tacy, którzy próbowali. Dawać odprawę zalotnikom, to naprawdę umiała. Zeszłej nocy i dzisiejszego ranka nic nie udało się jej z Julianem Raynorem. Przeliczyła się strasznie, sądząc, że weźmie nad nim górę. To on nią zawładnął, a potem poniżył, zapewniając sobie jej dozgonną nienawiść.

– I cóż? – zagadnął wreszcie Flynn. – Zaczniemy od pięćdziesięciu funtów? Jakaś je dostała?

Nie śmiała wyznać mu całej prawdy. Tak bywa; gdy człowiek ma zbyt gorliwych opiekunów, nie może liczyć, że zachowają zimny umysł, i w tym cały z nimi kłopot. Niechby Flynn dowiedział się, ile wycierpiała od Raynora, strach pomyśleć, co gotów uczynić. Nie żeby lękała się o dolę pana Juliana, raczej nie miała ochoty, żeby Flynn zadyndał na szubienicy za morderstwo. Jeśli zaś idzie o jej braci, ci wyzwaliby amanta na pojedynek. Znając biegłość Raynora we władaniu bronią białą i palną, i tej możliwości wolała nie brać pod rozwagę.

– A więc było tak... – rzekła i zaczęła starannie ocenzurowaną opowieść o zdarzeniach

minionej nocy. Skończywszy, spojrzała na Flynna z nadzieją w oku.

Patrzył na nią, ręce wsparłszy pod boki.

– Chcesz powiedzieć – zapytał z beczelnym niedowierzaniem – że major zasnął, palcem cie pierwaj nie tknowszy?

– Wino. Mówiłam ci, że wypił za dużo, a ja go zachęcałam.

– I kiedyście się obudzili rano, tyś rzekła mu, jak cie zwom, a on bez gadania dał ci pięćdziesiąt funtów na lektykę?

– Myślę, że mnie rozpoznał. Dlatego powiedziałam mu, kim jestem.

– Sereno, policzki stanęły ci w ponsach. Obydwoje wiemy, co to znaczy.

Tu Serena uciekła się do wybiegu, którego nie powstydziałaby się królowa Anglii.

– Flynnie, jak możesz podawać w wątpliwość słowa własnej chlebobawczyni?

– A zatem wiencej się w tym kryje, niżbyś chciała przyznać.

Serena zacisnęła wargi.

W oczach Flynna pojawiła się żądza mordy.

– Nie powiesz, że Raynor cie zhańbił!

To stawało się nie do zniesienia. Nie mogła zebrać myśli, a co dopiero opowiadać o Julianie Raynorze i tym, co między nimi zaszło.

– Ma się rozumieć, że mnie nie zhańbił – parsknęła. – Powiedziałam ci, jak było.

– Sendziemu mów, mnie nie nabierzesz. Z Flynnem rozmawiasz, Sereno. – Rozłożył szeroko ramiona. – A ja ciebie znam. – Głowę lekko przechylił i snuł jakby do siebie: – Skoro cie nie zhańbił, znaczy się uwiódł. Mam racje?

Uśmiechała się sztywno i niezbyt zachęcająco. Flynn podrapał się po brodzie, popatrzył na sponiewieraną suknię, zmierzwione pióra przy pelerynie.

– Gdybyś dobrze rozegrała swoje karty, moja droga, tobyś miała majora w garści.

– Co?

– No, wiesz, wyszłabyś za niego.

Serenie szczęka opadła, dech jej zapařło. Poderwała się z zydła.

– Wyjść za niego? Za niego? Za tego... filistyna? Nigdy, póki życia!

– W czym ci major zawinił?

– W czym mi...? Własnym uszom nie wierzę.

– Zatem miał cie i żadnej w tym jego winy, skoro wzioł cie za zwykłym dziewczkę, a tyś trzymała go w blendzie.

Zgrzytając zębami zacisnęła powieki.

– Nie masz żadnego pojęcia, jak było. Co więcej... – spojrzała na Flynna. – Nie będę z tobą o tym dyskutować.

– Zawsze tak jest za pierwszym razem z niewiastom, póki sie nie wprawi.

Spojrzała na niego, zraniona do żywego i całkiem skołatana.

– Myślałam, że jesteś moim opiekunem, Flynnie, i że kiedy się dowiesz, to wiesz... zrobisz coś okropnego, będziesz chciał rozedrzeć Raynora na strzępy.

Nachylił się do przodu, z brodą wspartą na dłoniach.

– Tak też bym uczynił, gdybym wiedział, że major cie wykorzystał, ale widzę, że rzecz się miała odwrotnie. Tyś go zniewoliła i korzystaj, póki inna dama go nie chwyci. Jak znam majora, a już ci, że go znam, kiedy pomyśli, zachowa się jak człek honorowy.

Serena ponownie usiadła na zydłu.

– Tyś chyba rozstał się ze swoim rozumem, Flynnie – oznajmiła słabym głosem. – Julian Raynor to nie partia dla córki sir Roberta Warda.

Teraz Flynn spiorunował ją wzrokiem.

– Patrzajcie jeno! Od kiedy to masz takie wysokie mniemanie o sobie?

– Aleja...

Major, pozwól sobie powiedzieć, moja panno, jest jednym z najświetniejszych dżentelmenów, jakich znam. Ma w domu takom bibliotekę, że nasza przy niej niech się schowa, a jakże. Mogę korzystać z niej, kiedy mi się żywnie podoba, dał mi przyzwolenie, zapraszał. Wiesz, czym się różni prawdziwy pan od tych malowanych fircyków, którzy czepiają się twojej spódnicy? Tym, że prawdziwy pan wie, jak traktować niższych od siebie stanem. Zapytaj jego krupierów, zapytaj służoncych. Powiedzom ci, czy z niego prawdziwy dżentelmen, czy nie.

– Bardziej na miejscu byłoby zapytać, jak traktuje kobiety – odparowała Serena. – Nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą, Flynnie. Chciałam tylko powiedzieć, że major nie jest właściwą partią dla córki sir Roberta Warda, bo to antyjakobita. Ojciec nigdy na to nie pozwoli.

– Masz lat dwadzieścia trzy – zaczął Flynn, powoli wypowiadając słowa i akcentując teraz równie nienagannie jak Serena. – Nie potrzebujesz pozwolenia ojca, by wyjść za mąż. Sir Roberta nie ma w kraju. Chcesz mi wmówić, że taka z ciebie potulna córka? Już ja wiem swoje.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie, to ja wiem, że cię nie zwiodę, ale Jeremy ciągle wierzy, że ojciec otrzyma akt łaski. Mam go po powrocie przywitać w progu wiadomością, że poślubiłam wroga?

– Akt łaski? To już postanowione?

– Jeremy wierzy, że z końcem miesiąca. Obydwoje umilkli, zatopieni w myślach o sir Robercie. Tyle że Sereny były czułe, kiedy Flynną cyniczne.

Akt łaski dla sir Roberta był kosztownym przedsięwzięciem. Czyniono „prezenty” różnym osobistościom, płacono wysokie grzywny i Bóg wie co jeszcze. Wardowie szczęśliwie nie stracili całego majątku po upadku rebelii. Winni dziękować Jeremy’emu, ten miał dość rozsądku, by z wyższością spoglądać na ojcowskie politykowanie i wiernie stać przy Koronie. Rodzinę

omineły surowe konfiskaty, które posypały się na jakobitów po klęsce. Jak dotąd ominęły.

Będąc Jeremym – rozmyślał Flynn – powiedziałby sir Robertowi, żeby zabierał się do diabła. Wbrew pozorom Wardowie stali na progu ruiny, za co Flynn obwinał sir Roberta. On to opróżnił domowe szkatuły, kiedy związał swój los z Karolem Edwardem Stuartem, po czym bez skrupułów rozporządził spadkiem, jaki Serena dostała po matce. Letty i Clive’owi lepiej się powiodło: ich legaty jako niepełnoletnich zawarowane były powiernictwem, inaczej sir Robert rozporządziłby lekką ręką i tym majątkiem.

Należało też współczuć żonie Jeremy’ego. Catherine Ward wniosła w małżeństwo godziwy majątek, który od tej chwili stanowił własność męża. Flynn był przekonany, że i te pieniądze zostaną wkrótce utopione, jeśli już nie zostały.

„Szczodrość zaczyna się w domu” – takie Flynn miał motto. Jeśli ojciec nie potrafił zadbać przede wszystkim o dobro swoich dzieci, nie zasługiwał na miano ojca. A przez sir Roberta wszystkie włości puszczono w dzierżawę.

– Twój ojciec nie widzi wroga w Jeremym – odpowiedział ostrożnie – a przecie żaden z niego jakobita.

– Jeremy nie podniósł szabli przeciwko Sprawie – odpowiedziała Serena bez wahania, z czego Flynn wywnioskował, że nieraz już musiała się nad tym zastanawiać. – Można powiedzieć, że Jeremy zachował neutralność. Papa to rozumiał. Poza tym nie zapominaj, że człowiek, z którym byłam zaręczona, stracił życie pod Prestonpans. Jeśli wyjdę kiedyś za mąż, to tylko za kogoś, kto nie pohańbiłby pamięci Stephena. I jeszcze jedno. Julian Raynor nie więcej chce się ze mną żenić, niżli ja iść za niego, mówimy zatem po próżnicy.

– Ale...

– Dość będzie, Flynnie. Powiedz raczej, jak wam poszło zeszłej nocy.

Uczynił, jak prosiła. Poza przeszukaniem w gospodzie „Pod Strzechą” wszystko gładko przebiegło.

– Clive wie, że milicja tam była?

– Jużci, żem mu od razu powiedział. Myśli, żeby teraz przycupnoić cicho, i ja mówię to samo. Jedzie dziś do Oxfordu. Powie, żeby nikogo nam nie ślali, bodaj przez czas jakiś.

Nachmurzyła czoło.

– Podejrzewa, że ktoś na nas doniósł?

– Jest przezorny i tyle.

Skinęła głową i rozpogodziła się nieco.

– Gdyby nas podejrzewali, już bylibyśmy w areszcie.

– Świenta prawda. Wracajonc do Raynora... Wstała szeleszcząc spódnicami, posłała mu piorunujące spojrzenie.

– Przysięgam, że zacznę krzyczeć, jeśli jeszcze raz usłyszę imię tego człowieka.



– Ale...

Podeszła szybko do parawanu w kącie pokoju.

– Bądź tak dobry i przygotuj mi kąpiel. Chciałabym się umyć i przebrać. – Zniknęła za parawanem i zaczęła zdziwać suknie, sądząc, że to najskuteczniejszy sposób zakończenia rozmowy.

Nie myśląc dać się zbyć tak łatwo, Flynn przysunął się do jedwabnej ścianki.

– Jeno nie zapomnij zmyć sobie głowę – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Choć na to, co w środku, żadne zmywanie nie pomoże.

– Co mówisz? – Serena wychyliła nos zza parawanu.

– Włosy. Powiadam, żebyś umyła włosy. – I wymyślając sobie w duchu, że zamartwia się o pannicę, która sama potrafi zadbać o siebie, poszedł przygotować kąpiel.

Zawsze tak było – mówił sobie filozoficznie. Od pierwszego dnia, kiedy trafiwszy do Wardów, posikał się w spodnie, zbyt zawstydzony, by spytać, gdzie wygodka. Serena bez słowa, nie wstydząc się, znalazła mu wtedy ubranie na zmianę. Gdy natrafiał na jej ośli upór, jak dzisiaj, powiadał sobie, że musiał być głupcem, by sześciolatkiem sprzedać duszę za parę obsikanych pantalonów.

Oddawszy sprawiedliwość wiedział, że nie o to przecież chodziło. W następnych latach Serena stała się jego mentorką. Nauczyła go czytać i pisać. Gładka mowa, którą się posługiwał, jeśli taki naszedł go kaprys, była efektem jej cierpliwych starań. Jej zawdzięczał manieri i obycie, a jeśli łamał ich zasady, to z rozmysłu, a nie z ignorancji. Miał ambicje, z których tylko jej się zwierzał, pewny, że ona jedna go nie wyśmieje. Pewnego dnia wyjdzie na ludzi. Serena też w to wierzyła.

Ostatnio coraz częściej jednak dochodził do wniosku, że Serena staje się dla niego zbyt wielkim ciężarem i że czas najwyższy byłoby zrzucić go na bardziej doświadczone barki. Nastroje polityczne, bliski powrót sir Roberta, widmo bankructwa rodziny, wreszcie, choć nie na ostatku, jakobickie awantury Sereny – wszystko to zaczynało mu coraz bardziej ciążyć. Pora już była przeciąć pępowinę łączącą go z domem Wardów. Jeśli chce coś zrobić ze swoim życiem, musi stanąć na własnych nogach. Zwłóczył czekając, aż Serena ustatkuje się bezpiecznie w życiu.

Julian Raynor to partia, którą Flynn sam by dla niej wybrał, gdyby był jej dobrą wróżką, a nie samozwańczym opiekunem. Cały londyński ludek znał majora i jego wspaniały dom na St. Dunstan's Court nie opodal Fleet Street.

Raynor był panem co się zowie, dżentelmenem, który jednakowo traktował lokajów i lordów, to jest podług ich zasług. Opierając swą wiedzę na kuchennych gadkach, Flynn wnosił, że niemałą rolę odgrywała tu mglista pozycja majora w towarzystwie. Człowiek spotykający się ustawicznie z przesadami społecznymi skłonny jest oceniać innych bez

uprzedzeń. Doświadczając w swoim krótkim życiu prawie wyłącznie protekcyjnego tonu i afrontów, Flynn z całego serca popierał taką postawę u możnych tego świata. To, że major nigdy nie szczędził napiwku za dobrze wykonaną pracę, też nie przynosiło mu uszczerbku w oczach Flynna.

Były jeszcze inne cechy, które podobały mu się w majorze, a które podpatrzył wyczekując cierpliwie w sieni do białego świtu, aż Jeremy oderwie się od pokrytych zielonym suknem stolików. Julian Raynor wiedział, jak obchodzić się z kobietami, czy byłyby dziwkami, czy księżnymi krwi. Taki człowiek będzie wiedział, jak sobie poradzić z nieujarzmioną i samowolną niewiastą o ciętym języku.

Przesadzał, ma się rozumieć. Oprócz ciętego języka i nieugiętej woli Serena miała w sobie całe pokłady serdeczności, wielkoduszności i wierności. Jak na złość, te zalety tylko przyczyniały mu trosk, jako że potrafiła szafować nimi bez umiarkowania i rozważli. Zapatrzona w swego żalosego ojca, gotowa była ważyć się na wszystko dla garstki fanatyków, jakich Flynn nigdy wcześniej nie spotkał.

Marzył sobie, by miał trwonić dary charakteru, ulokowała je raczej w godnym siebie towarzyszku, takim, co umie docenić zalety i poskromić wady – krótko mówiąc, by znalazła człowieka, którego będzie szanowała. Tacy zaś nie rodzą się na kamieniu.

Tu zaprzątnęła mu głowę myśl o kapitanie Horatio Allardysie, chłystku kręcącym się koło Sereny, od chwili kiedy ledwie skończyła nauki. Hołysz nie o nią zabiegał, ale o jej posag. Dość było Flynnowi raz na niego spojrzeć, by wiedzieć, że Allardyce jest frant i nic dobrego, ale Serena nie słuchała przestrogi. Biedaczka obudziła się w zimnej kąpieli. Flama Allardyce'a i wielka dama, lady Amelia Lawrence, szybko przewąchała, co się dzieje za jej plecami. Po tej nauczce Serena omijała z daleka bawidamków pokroju Allardyce'a.

Do następnego konkurenta, Stephena Howarda, dżentelmena wielkich cnót, Flynn nie miał zastrzeżeń, poza tym że nie był stworzony dla Sereny. Zbyt uległy, zbyt łatwo dawał sobą powodować. Tu kolejna myśl wywołała marsa na Flynnowym czole. Serena nie mierzy chyba majora Raynora i Allardyce'a tą samą miarką. Gołym okiem widać, że tak się od siebie różnią jak jedwabna sakiewka od świńskiego ucha.

Zachodził w głowę, co też naprawdę stało się w gospodzie „Pod Strzechą”. Gwałt wykluczał. Flynn miał się za przenikliwego znawcę ludzkich charakterów i major, w przeciwieństwie do innych panów, nie czynił na nim wrażenia człowieka, który siłą posiadłby kobietę, choćby ta była dziewczką. Widział raz atak wścieklej furii Raynora, kiedy któryś z gości obcesem potraktował piękną Emeraldę, usługującą w jego domu gry. Szeroko rozprawiano o tym, jak stając w obronie znieważonej dziewczyny zestrzelił hultajowi z rozmysłem perukę z głowy i zostawił go na miejscu pojedynku na pośmiewisko z łysą czaszką, czym nie tylko przysporzył sobie popularności wśród wielkich panów, ale też dał im nauczkę. Od tamtego czasu

nikt nie śmiał tknąć żadnej z dziewczyn pracujących dla Raynora.

Taki człowiek nie mógł, zdaniem Flynna, postąpić wbrew własnym zasadom, a i Serena nie wyglądała na kobietę, z którą ktoś niecznie się obszedł, acz nie można powiedzieć, by sprawiała wrażenie uszczęśliwionej. Flynn dodał dwa i dwa. Nie gwałt zatem, jeno uwiedzenie. Jego nieustraszona pani zaczęła grę pewna, iż zwiedzie Raynora, nie przewidując w swojej niewinności, że przyjdzie do punktu, w którym natura musi wziąć górę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. To pewne, że nie będzie miała ochoty powtórzyć podobnego doświadczenia. W końcu wyszło na majora, a to ani ździebko nie mogło się jej podobać.

Doskonale wiedział, że bracia, jeśli coś do nich dojdzie, nie okażą podobnej pobłażliwości. O, nie, przypaszą rapiery, dopadną majora i będą żądać satysfakcji. Flynn zrobiłby to samo, gdyby Serena była młodsza i mniej znała świat. Ale miała dwadzieścia trzy lata i ani posagu, ani konkurenta. Co zaś w mniemaniu Flynna najtragiczniejsze, szybko zaczynała godzić się ze swoim stanem. Przypadkowe spotkanie z Raynorem było niczym wysłuchana modlitwa, gdyby jeszcze Serena zechciała to zrozumieć.

Ale nie tylko ją należało przekonać o szczęśliwym trafie. Jeremy nie był co prawda ograniczonym zadufkiem jak jego ojciec, jednak na pewno nie ucieszy go perspektywa małżeństwa siostry z właścicielem domu gry. Tak to bywa z tymi ze szlachty, że źle obstawiają. Jeśli ma coś do powiedzenia w tej materii, nie pozwoli, żeby major wymknął się Serenie z rąk.

Tego, że major mógłby postąpić wbrew nakazom honoru, w ogóle nie brał pod uwagę.

Córka sir Roberta Warda! Julian długo i soczyście przeklinał pod nosem. Każda inna, tylko nie ona. Ani chybi babsko liczy, że będzie się czołgał u jej stóp i prosił, by za niego wyszła. Niedoczekanie.

Nie tknąwszy prawie śniadania, odrzucił serwetkę i wyszedł z jadalni. Kiedy płacił rachunek, był tak ponury, że gospodarz wołał nie wspominać o swoich kłopotach, a te były poważne. Nie znalazłszy jakobity, milicja zagarnęła w zamian dwóch niewinnych gości, podejrzanych z racji pustych sakiewek. Takie postępowanie było mało angielskie, nadto odstręczało klientelę.

Zajęty swoimi myślami Julian obrócił się na pięcie i ruszył ku schodom. Powinien był coś zrobić, zanim pozbył się dziewczyny, coś, co uśmierzyłoby wyrzuty sumienia tłące się na dnie wściekłości. Nie mogła być przecież dziewicą, musiał się mylić, co bardzo być mogło, zważywszy, że nigdy nie miał do czynienia z nietkniętą panną. Jak miał to wiedzieć? Nie, nie dziewica – zapewniał sam siebie – raczej jedna z tych znudzonych dam, które wąż się na wszystko dla dreszczyku przygody. Znał ten typ kobiet. Nie on ją uwiódł, tylko ona jego. Padł jej ofiarą. Gdyby wiedział, kim jest, nawet by na nią nie spojrział.

Wrócił do pokoi, gdzie spędzili noc, przeszedł nie oglądając się na boki przez salonik, zbliżył się do rozbebeszonego łóżka i odrzucił kołdrę.

Niech to diabli! Na prześcieradle wyraźnie brązowiły się ślady zaschłej krwi. Prawdę powiedziała, że jest dziewicą, ale niekoniecznie niewinną. Wiedziała, co czyni, kiedy z nim tu przyszła. Ugodzili się przecież, do diaska: ona zostanie jego kochanką, on zadba, by na niczym jej nie zbywało. Córka sir Roberta Warda nie przystałaby na to, aby być czyjąkolwiek utrzymanką. O co jej szło, u czarta?

Jak jej powiedział, nie jest dzierlatką. Dwadzieścia kilka lat. Uważałaby się już za starą pannę, bez nadziei na zanieście? Postanowiła bodaj raz zasmakować, co znaczy być kobietą, a potem zdjęta skrupułami napadła na niego?

Opuścił gospodę w kwaśnym nastroju. Nie wiedział, co bardziej go złości: czy że okazała się Sereną Ward, czy że wybrała go na chybił trafił, żeby zrobić z niej kobietę. Szedł spiesznie w stronę Strandu miotając obelgi, wściekły, że padł ofiarą jej zamysłów, przeklinając samego siebie, iż nie spostrzegł się, zanim sprawy zabrnęły za daleko.

Chociaż nigdy nie był jej przedstawiony, znał ją z widzenia. Wysoka, o wdzięcznej sylwetce, dziewczyna, która wie, ile jest warta, dumna, dystygowana, zimna jak blok marmuru – takie odniósł wrażenie. I jasnowłosa. Zapamiętał to dokładnie, bo reszta jej rodziny miała kruczoczarne włosy.

Zeszłej nocy pokazała mu się z lokami o barwie inkaustu, bez wątpienia czernionymi, w kostiumie, który trudno by nazwać dystyngowanym. Zimna jak blok marmuru? Omal nie zaśmiał się w głos. Serena Ward, córka baroneta, okazała się gorąca jak kowalskie palenisko. Nie żeby się z tym obnosiła. Co to, to nie. Wołała raczej zrobić z niego łotra, samej zachowując czyste sumienie. Pięć minut, mniej niż pięć, a dowiedzie jej, że choć ma wzięcie i pozór damy, w jej piersi bije serce ładacznicy.

Przekleństwo! O czym on myśli? Toż już jej dowiódł. Nie jest przecież łotrem do szpiku kości. Wie, co wypada czynić dżentelmenowi, kiedy znajdzie się w podobnych okolicznościach. Rodzice zaszczepili mu zasady, którym pozostali wierni przez całe życie. Ale to wyjątkowy przypadek. Tu chodziło o Serenę Ward. Nigdy nie zwiąże się z córką człowieka, który rozmyślnie doprowadził jego rodzinę do całkowitej zguby.

Poza wszystkim Serena Ward tak dbała o jego awanse, jak on miał ochotę je czynić. „Z takimi jak ty tyle mam wspólnego, co ze złodziejami i mordercami”.

On, karciarz, wiedział, jaka dzieli ich przepaść. W jego świecie ludzie wysoko postawieni traktowali go jak równego sobie. Był tęgim kompanionem, gotowym udzielać kredytu, kiedy nie wiodło się przy zielonym stoliku. Gdy wynurzał się z własnego światka, traktowano go różnie. Byli tacy, głównie ci z wojskową przeszłością, którzy oceniali go podług zasług. Byli i inni, którzy może i przyjęliby go u siebie, wpuszczając wejściem dla służby i tylko na męskie spotkania, bez udziału córek.

Wszedł do swojego domu gry bocznymi drzwiami, skąd prowadziły schody wprost do jego mieszkania na piętrze. O tej porze dnia mógł się natknąć wyłącznie na służbę. Krupierzy i usługujące dziewczęta mieszkali w mieście, a progów jego prywatnych pokoi, całkowicie oddzielonych od reszty pomieszczeń, nikt nie miał prawa przestąpić, chyba że zaproszony.

Pojawił się Tibbets, lokaj i pokojowiec Juliana w jednej osobie. Nawykły do porannych powrotów chlebobawcy, wyczuwając już z dala zapach kobiecych perfum, nigdy nie komentował nocnych eskapad. Nieomylny nos nie zawiódł go i tego ranka.

– Mogę zaproponować, sir, śniadanko z kawusią? – zaoferował roztropnie, strojąc twarz w rzadki u niego uśmiech.

Nie możesz – burknął Julian, po czym odsunawszy zaskoczonego lokaja, przeszedł do sypialni i zamknął drzwi na klucz. Po chwili otworzył je na oścież i ryknął: – Kąpiel! Gorąca! Zaraz, Tibbets!

Brudny. Czuł się brudny jak nigdy dotąd. Wykorzystała go niczym klacz, która potrzebuje ogiera. Krążył niespokojnie po pokoju, czekając na kąpiel.

Kiedy była już gotowa, zdjął ubranie i rzucił je Tibbetsowi.

– Spal wszystko.

Tibbets otworzył usta, lecz zaraz je zamknął.

– Tak jest, sir – odparł, postanawiając zachować kosztowne odzienie i wydobyć z dna szafy dopiero, gdy pan będzie w lepszym usposobieniu.

Gdy za Tibbetsem zamknęły się drzwi, Julian zanurzył się w gorącej wodzie, usiłując za pomocą mydła i gąbki zmyć drażniący zapach. Nie były to perfumy Sereny, lecz coś znacznie mroczniejszego, jej tylko właściwego i trudniejszego do usunięcia. Po chwili energicznego szorowania zamyślił się, z dłońmi wspartymi na brzegach balii.

Teraz, kiedy miał czas na rozważenie całej historii, coś zaczęło mu się nie zgadzać. Znał damy, które w poszukiwaniu zakazanych podniet ważyły się na nocne eskapady, nigdy przecież bez eskorty, a dziewczyna wczoraj zdawała się zupełnie sama. I jeszcze jedno. Przypomniawszy sobie, co mówiono o jej głębokiej żalobie po ukochanym, ściśle mówiąc narzeczonym, który zginął pod Prestonpans. Od tego czasu wielu próbowało uderzać do niej w konkury, ale powiadano, że odrzuca wszystkich i jest nie do zdobycia.

Jego gniew zdawał się stygnąć razem z kąpielą. Zadowolony, że przypomniał sobie ten ostatni szczegół, wyskoczył z balii i począł się zawzięcie wycierać. Włożył brokatowy szlafrok, wyciągnął się na łóżku i zapatrzył w sztukaterię na suficie, jakby chciał zapamiętać każdy jej szczegół.

Co takiego było w jego rodzinie, co ściągnęło na nią uwagę gadziego pomiotu, za jaki miał Wardów? Jakiś fatalny stygmat, który czynił z nich ofiary? Ślepy traf czy też kaprys złośliwego losu, chcącego zgotować im zgubę? Będzie temu kiedyś kres?

Wszystko zaczęło się w roku 1715, na początku pierwszej rebelii, gdy sir Robert Ward, ujrzawszy lady Harriet Egremont, oświadczył się jej z punktu. Harrieta była matką Juliana. Jej ojciec, lord Kirkland, widząc w sir Robercie idealnego kandydata na zięcia, przyjął oświadczyzny wbrew woli córki. Obydwie rodziny opowiadały się za Stuartami. Dziedzic hrabiowskiego tytułu Kirklandów, lord Hugo, i sir Robert byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Jediną przeszkodę stanowił fakt, że panna zakochała się po uszy w zupełnie nieodpowiednim człowieku, ojcu Juliana. William Renney, bo tak się wtedy nazywał, był preceptorem młodszego brata lady Harriet, Jamesa. Kiedy Renneyowi wymówiono posadę, młodzi uciekli razem.

Julian rósł w Bristolu, o niczym nie wiedząc. Miał szczęśliwe, beztroskie dzieciństwo. Ojciec, wspomagany przez matkę, prowadził szkołę dla synów miejscowej szlachty, a Julian przepędzał czas nad książką albo na zabawach z chłopcami, w których odgrywali wszystkie potyczki i bitwy rebelii. Były to najpiękniejsze lata jego życia.

Nie pamiętał, kiedy przyszła odmiana. Zachowało mu się jedynie w pamięci to, że szkoła padła, oni zaś po roku czy dwóch i różnych perypetiach znaleźli się w Manchesterze, gdzie utrzymywali się z dawanych przez ojca korepetycji. Tymczasem rodzina się powiększyła, przybyły jeszcze dwie gęby do wykarmienia; bliźniaki przyszły na świat, kiedy Julian miał lat osiem.

Mark i Mary, dzieci delikatnego zdrowia, przyczyniały nieustannych trosk rodzicom. Pomimo strapień i ubóstwa stanowili kochającą się rodzinę. Kiedy bliźniaki skończyły trzeci rok życia, w domu zaczęło się wieść lepiej, albo przynajmniej tak się zdawało.

William Renney został guwernerem synów lorda Hornsby'ego, ten zaś okazał się na tyle szczodrym chlebobawcą, że Julian mógł podjąć naukę w szkole w Oxfordzie, do której chłopcem uczęszczał jego ojciec. Smutne w tym było tylko, że rodzina musiała się rozproszyć, jako że guwerner, pozbawiony prawa do własnego życia, musiał mieszkać ze swoimi uczniami. Renneyowie nigdy już nie mieli się połączyć.

Juliana martwiło i to, że zmienili nazwisko na Wright. Pamiętał, jak matka ścisnęła mocno jego dłoń, gdy ojciec wyłuszczał powody tej decyzji. Wtedy po raz pierwszy usłyszał historię ich ucieczki, uchodzącej za czyn tak naganny, że ojciec nigdy nie znalazłby pracy w szlacheckim domu pod własnym nazwiskiem.

Była to prawda, ale prawda zniekształcona: rodzice, acz w dobrej wierze, oszukali go przecież. Gdy cofał się pamięcią w przeszłość, wydawało mu się niepojęte, iż nigdy do końca nie potrafił zrozumieć powagi ich trosk. Ich sposób życia wydawał mu się ze wszech miar oczywisty, w przyszłość spoglądał z niewzruszoną ufnością. Kształcony przez ojca, był bystrym chłopcem. Zakładano, że pewnego dnia zasiądzie na ministerialnym urzędzie albo katedrze uniwersyteckiej. Wszak nie pod nazwiskiem Juliana Renneya.

Nienawistne były mu wspomnienia lat spędzonych w szkole w Oxfordzie; nie żeby czuł się tam nieszczęśliwy, ale dlatego, że oznaczały one dla rodziców ciągłe wyrzeczenia. Gorzej nawet, ojciec popadł w długi, chcąc zapewnić mu wykształcenie godne syna dżentelmena.

Jęknął cicho i zamknął oczy, jakby w nadziei, że odpędzi nachodzące go wspomnienia.

Przerwał naukę, kiedy ojciec stracił zajęcie i został wtrącony do więzienia za długi. Matka znalazła się w tarapatkach. Sam, trzynastolatek, nie potrafił podołać ciężarom, które niespodziewanie spadły na jego barki: bliźniaki, dom, strach o los ojca i lęk o matkę, która odchodziła od zmysłów, pewna, że ktoś ich tropi i że powinni się ukryć.

Pojawili się królewscy urzędnicy z nakazem. Pamiętał, jak się na nich rzucił, kiedy chcieli zabrać matkę. Otrzymał cios, który powalił go na kolana, a kiedy doszedł do siebie, byli już w parafialnym przytułku. Jak tam trafili, nie wiedział, ale to, co tam zobaczył, przypominało piekło. Dzieci o zapadniętych oczach, kobiety o posepnych, wymizerowanych twarzach i kilku mężczyzn niewartych wzmianki. W nędznych barakach żyło stłoczonych trzysta osób. W ciągu tylko dwóch miesięcy umarło dwadzieścioro siedmioro, wśród nich bliźniaki i matka.

Ponownie jęknął, zasłonił ręką oczy i zwinął się na łóżku, próbując uwolnić się od zmory wspomnień. Widział martwe twarzyczki siostry i brata, pamiętał własny zażarty sprzeciw, kiedy miano zabrać zwłoki. „Oni nie umarli, nie! – krzyczał bezradnie. – Śpią tylko. Czemu mi nie wierzycie?” – Później się dowiedział, że parafialni oficjaliści z założenia nie dbali, by

zachowywać przy życiu dzieci z przytułku. Ich utrzymanie za drogo kosztowało. Z dorosłymi skazanymi na przymusową pracę sprawa miała się trochę inaczej.

Uciekł. Próbował odszukać ojca. Tu czekał go kolejny cios. Kiedy on siedział zamknięty w domu pracy, ojciec umarł na gorączkę więzienną i został pochowany w zbiorowej mogile.

Bóg wie, co by się z nim stało, trzynastoletnim nedorostkiem, gdyby nie spotkał bajzelmamy. Zwała się Billie McGuire. Nie wiedzieć czemu, ulitowała się nad przybłądą, który znalazł sobie legowisko pod jej drzwiami. Ze strachu, że władza może go szukać, Julian raz jeszcze zmienił nazwisko. Od tego dnia zwał się Raynor.

Podniósł się z łóżka, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Krążyli po niej chłopcy z obnośnymi kramami na plecach; gosposie i służący z okolicznych domów kupowali gorące nadziewane bułeczki, świeże ryby i inne delikatesy na południowy posiłek.

Rok temu, kiedy otworzył ten klub w eleganckiej dzielnicy, wydawało się, że osiągnął szczyt swoich możliwości. Wcześniej już prowadził różne domy gry i chociaż interesy szły wybornie, nigdy nie próbował szczęścia w Londynie.

W stolicy hazard, choć nielegalny, kwitł jak nigdzie, a władze przymykały oko na to, co działo się pod ich nosem. Nie mogły inaczej, skoro klientelę domów gry stanowili panowie z dworu i rządu. Dopóki rzecz odbywała się po cichu, nikt nie zadawał pytań. Z tej racji jego dom funkcjonował oficjalnie jako klub dla dżentelmenów.

Odkąd opuścił szkołę, zawsze czuł się tak samo: obcy w obcym świecie, wszędzie przybłąda. Nie miał nic wspólnego z ludźmi, z którymi się zadawał. Kiedy jeden z graczy spłacił swój dług plantacjami w dalekiej Karolinie, w jego umyśle obudziło się marzenie o nowym życiu. Nie bezpieczeństwa i bogactw szukał, lecz czegoś, czemu mógłby poświęcić życie. Gdy już wyrówna rachunki z sir Robertem Wardem, opuści Anglię i ruszy do Nowego Świata.

Ciągle nie mogąc zaznać spokoju, podszedł do wielkiej dębowej szafy, wyjął strój do jazdy konnej i zaczął się ubierać.

Miał stałą trasę, jego Saladyn znał ją na pamięć. Dojechawszy do wzniesienia, z którego rozpościerał się widok na osadę Chelsea, Julian zsiadł z konia. Z jednej strony miał łądzie wyciągnięte na mulisty brzeg, z drugiej osmalone ruiny Kirkland Hall. Tutaj urodziła się jego matka, tu się poznali i pokochali jego rodzice.

Pogalopował w dół zboczem i zwolnił dopiero przy ruinach. Ogrody zdziczały, w okazałej niegdyś rezydencji, siedzibie pokoleń Kirklandów, teraz mieszkały kruki. Przepłoszone, porwały się całym stadem, po czym z głośnym wrzaskiem ulokowały się bezpiecznie na pobliskich dębach.

Tutaj wszystko wzięło swój początek owej nocy, kiedy lady Harriet Egremont uciekła z preceptorem brata. To, co opowiedzieli mu rodzice, było tylko niewielką częścią historii.



Zataili przed nim, że tej samej nocy lord Hugo i jego przyjaciel sir Robert Ward, jakobiccy zbiegowie ukrywający się w Kirkland Hall, zostali wydani i pojmani przez oddział królewski. Lord Hugo padł od kuli w czasie chaotycznej walki, starego hrabiego aresztowano i przewieziono do Tower. Jeden sir Robert uszedł cało. Dokonawszy dzieła, królewscy podłożyli ogień pod pałac i puścili go z dymem.

Dopiero w zeszłym roku Julian odtworzył z zasłyszanych fragmentów wypadki tamtej nocy, dopiero w zeszłym roku odkrył, że sir Robert, niczym pozbawiony twarzy, bezimienny potwór, ścigał jego ojca, poprzysiągłszy mu zemstę za to, co się stało. Zachował się list stanowiący dowód, że to William Renney był donosicielem. Gdy sir Robert powrócił do Anglii po ogłoszeniu pierwszej amnestii, wziął sobie za cel życia skompromitować Renneya i doprowadzić go do zguby.

Julian nigdy nie uwierzył, że ojciec mógł być donosicielem. Znał go zbyt dobrze. I matka, i ojciec żyli wedle zasad, którymi i on się kierował. Może nie zawsze do nich dorastał, ale znał je i starał się być im wierny. William Renney, człowiek surowych obyczajów, nie byłby zdolny popełnić tak podłego czynu.

Sir Robert Ward, uznawszy się za wyrocznię i sędziego, postanowił zniszczyć Renneya i dopiął swego. Jednak nie ze wszystkim. Renney pozostawił syna, który miał odpłacić za krzywdy.

Serena Ward stanowiła nieprzewidzianą komplikację.

## 5

James, hrabia Kirkland, pokręcił głową.

– N-niewielkie widoki n-na ułaskawienie sir Roberta.

Chociaż nie to chciał Julian usłyszeć, przyjął słowa lorda z należnym szacunkiem. Jako wiceminister wojny, hrabia wiedział, co mówi. Zyskał sobie sławę niestrudzonego zbieracza informacji, posiadał siatkę wywiadowczą w całej Anglii i Szkocji. Miał powody do przezorności. W razie kolejnego powstania jakobitów na niego spadała odpowiedzialność za niepokoje w państwie.

Siedzieli w bibliotece Juliana, surowym wnętrzu utrzymanym w beżowych i brązowych tonach, pozbawionym zbytekownych złocień i lusterek, zastawionym ciężkimi dębowymi stołami i prostymi krzesłami. Był to najcichszy zakątek w całym domu, gdzie goście mogli przeczytać ostatni „Daily Courant” i inne gazety albo, jak Julian i jego lordowska mość, porozmawiać w spokoju. W pokoju było kilku panów, ale żadnemu z nich nie przyszłoby na myśl narzucać swoje towarzystwo bez zaproszenia: tej samej kurtuazji oczekiwali dla siebie.

– Inni otrzymali akt łaski – mówił Julian. – Czemu nie miałby go otrzymać sir Robert?

Ponieważ – odparł hrabia – sir Robert d-dwukroć stanął za Stuartami, co czyni go po d-dwukroć zdrajcą. N-nie on jeden musi uczyć się n-na błędach. Nigdy już n-nie zaprzestanie. Zawsze będzie knuł intrygi. Julian zastanawiał się przez chwilę.

– Jeremy Ward nigdy chyba nie wspierał jakobitów?

– N-nie. Jeremy d-do mnie jest podobny. Cokolwiek myślimy o Hanowerczykach, Stuartowie doprowadziliby kraj d-do anarchii. Lepszy d-diabeł, którego znasz, jeśli rozumiesz, c-co chcę powiedzieć.

Julian zaśmiał się.

– Niezwykła to rzecz słyszeć podobne słowa z ust ministra Jego Królewskiej Mości.

Lord Kirkland zmieszał się nieco.

– Chciałem tylko p-powiedzieć, że się opowiadam za pokojem i spokojem.

– Tak. I jak większość Anglików słowa byście nie rzekli, choćby i małpa zasiadła na tronie.

– Dokładnie. – Lord Kirkland przywołał gestem jednego z kelnerów. – D-dajże nam butelkę madery, z łaski swojej.

Spośród wszystkich gości Juliana usługujący największym staraniem otaczali lorda Kirklanda, nie tylko dlatego, że dawał sowite napiwki, ale i po temu, że zawsze był ujmująco uprzejmy. Chwila nie minęła, a kelner stawiał na stole butelkę wina i dwa kieliszki.

Julian obserwując, jak stary Kirkland napełnia szklanice, zamyślił się nad ich przyjaźnią.

Poznali się krótko po otwarciu domu gry. Hrabia na swój nieśmiały sposób oznajmił mu, że jest prawie pewien łączącego ich pokrewieństwa. Może jest dalekim kuzynem ze strony Egremontów? To łudzące podobieństwo do lorda Hugona...

Z tej uwagi Julian wywnioskował, że hrabia i Hugo musieli tak różnić się od siebie jak kruk i mewa, acz między nim samym i hrabią o ascetycznej twarzy i purytańskiej wręcz obojętności na wszelkie *decorum*, która czyniła z niego niemal mnicha, też nie sposób było się dopatrzeć żadnych cech wspólnych.

Daleki kuzyn ze strony Egremontów? Julian odpowiedział pokrętnie, unikając wyjaśnień; hrabia upewnił się wszak, że musi on być nieślubnym dzieckiem jego brata, Hugona. Trwał w tym przeświadczeniu, chciał wierzyć, w Julianie odnajdywał Hugona. O lady Harriet nigdy nie wspominali. Julian nie mógł się zmusić, by wymówić jej imię – cóż dopiero rozmawiać o niej – w lęku, że rozplącze się jak dziecko.

Otrząsnął się ze wspomnień i ujął kielich, który podawał mu hrabia. Odkasznął.

– Byłem kilka dni temu w Chelsea przy ruinach Kirkland Hall. Nie macie chyba nic przeciwko temu? Nigdy nie myśleliście przywrócić go do dawnej świetności?

– Nie, n-nigdy. Zostawiam t-to mojemu synowi, Harry’emu. Gdyby posiadłość nie była objęta majoratem, d-dawno pewnie bym ją sprzedał. Zbyt wiele wiązę z nią t-tragicznych wspomnień. Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, mój chłopcze. Żal tylko, że płomienie strawiły portrety wszystkich p-przodków. Hugo nie jest jedynym, którego przypominasz, i nie tylko z wyglądu. Jak on jesteś żądny przygód, p-pewny swego i czasami, niestety, jak on szalony.

– Lordzie Kirkland, nie sędzę...

– Wiem, wiem. Zapomnij, c-com rzekł. To pociecha, znaczy... byłaby pociecha, żeśmy krewniakami, rozumiesz?

Julian skinął ze współczuciem głową i upił madery. Kiedy oddział królewski wdarł się do Kirkland Hall, hrabia był ledwie dwunastoletnim chłopcem. Jednej nocy stracił całą rodzinę. Siostra uciekła i już nigdy więcej nie miał jej ujrzeć, starszy brat zginął na jego oczach, a wkrótce potem stary hrabia zmarł umęczony w Tower. Jego i hrabiego losy w pewnym sensie ułożyły się podobnie. Obydwaj zostali sierotami mniej więcej w tym samym wieku. Rozumiał aż nadto dobrze jego uczucia. Sierota nigdy nie potrafi pozbyć się uczucia, że jest sam na świecie.

Dalsze ich losy jednak potoczyły się odmiennie. Julian szalał z rozpacz po śmierci ojca, nikt nie oplakiwał starego hrabiego, człowieka brutalnego i nieczułego. James odziedziczył tytuł mając dwanaście lat, niestety wraz z nim zyskał opiekuna równie bezwzględnego jak ojciec i miał ciężkie życie, dopóki nie objął majoratu.

Wtedy jego los się odmienił. Ożenił się z jedną z najbogatszych dziedziczek w całej

Anglii i jakby tego nie było dość, poślubił ją z wielkiej miłości. Posiadał dom na Hanover Square i wiejską rezydencję w Seven Oaks. Pomimo całego bogactwa i piastowanych godności, Kirkland uchodził za niezwykle skromnego człowieka. Powiadano, że lęka się własnych służących, co było oczywistą przesadą, wszakże kryło się w niej ziarno prawdy. Julian uważał, że to tragiczne przejścia pozbawiły jego lordowską mość ducha. Żał mu go było i lubił go z całego serca.

Nie zapominając o przyczynie spotkania, naprowadził rozmowę na Wardów.

– Trafiły do mnie ostatnio listy zastawne Jeremy’ego Warda.

Nie była to rzecz niezwykajna w świecie hazardu. Goście często spłacali swoje długi wierzytelnościami innych.

– Myślicie, że to możliwe, iż próbuje zbierać pieniądze na pozyskanie aktu łaski dla ojca?

Lord Kirkland posłał Julianowi przenikliwe spojrzenie.

– Pojmuję, że sprzyjasz zamiarowi?

Julian natychmiast pochwyił, co kryje się za pytaniem. Sir Robert i lord Hugo byli serdecznymi druhami. Syn lorda Hugona powinien odnosić się z sympatią do baroneta.

– Czemużby nie? To skończony człowiek. Co ma począć? Pojawi się lada kłopot, a trafi do Tower.

– Co ma począć? – parsknął lord Kirkland. – Co ma p-począć? Gdybyś go znał, n-nie pytałbyś.

– Jakim jest przeto człowiekiem? – zapytał Julian siadając wygodniej.

– Nigdyś go nie spotkał?

– Nie. Nie bywałem wiele w Londynie, póki po Pre-stonpans nie sprzedałem wszystkiego. Wtedy sir Robert był już w Szkocji z hrabią. Potem musiał, wiadomo, uchodzić do Francji.

– Zaciągnąłeś się do armii szesnastolatkiem i służyłeś w Indiach, tak mi opowiadałeś?

Lord Kirkland znowu zadawał te same pytania, drażył przeszłość, szukając w niej potwierdzenia związku Juliana z Hugonem. Wracali do tego po wielekroć.

– Spędziłem pięć lat w Indiach – potwierdził Julian i chcąc uniknąć dalszych indagacji pospieszył z wyjaśnieniami. – Kiedy wróciłem do Anglii, zabrałem się do jedyne go rzemiosła, którego wyuczyłem się w armii, do hazardu. Miałem dom gry w Manchesterze, mówiłem wam o tym? – Wiedział, że tak. – Zamknąłem go po uchwaleniu ustawy o hazardzie w czterdziestym piątym roku. Zostałem z niczym i znowu się zaciągnąłem. Po Prestonpans spróbowałem szczęścia w Londynie. Resztę znacie.

– Co się stało z panią McGuire?

Julian omal nie zakrzusił się winem. Pani McGuire, czyli Billie McGuire, ladacznic a, która go zaadoptowała, kiedy uciekł z przytułku. Przez trzy lata mieszkał w burdelu i choć zrazu było to niezwykle, ani w części tak straszne jak życie w przytułku. Polubił dziewczęta

i wkrótce przestał dziwić go sposób, w jaki zarabiała. Ich świat, jak jego, ograniczał się do walki o przetrwanie, moralność i skrupuły nie miały tu nic do rzeczy. Kiedy mógł, płacił za swoje utrzymanie z pieniędzy wygranych w karty.

– Pani McGuire? – zapytał zaskoczony. – Wdowa, która mnie adoptowała, kiedy uciekłem ze szkoły? Umarła, zostawiając mi spadek. – Tu nie kłamał. – To dzięki jej hojności mogłem kupić patent oficerski.

Lord Kirkland pokiwał głową.

– Miałeś wielkie szczęście, ż-żeś znalazł dom. Musiała być kobietą wielkiego serca.

Billie bez wątpienia taka właśnie była.

– Nigdy się nie dowiedział, kim byli twoi rodzice ani kto opłacał twe nauki?

– Nie, nigdy. Dobry Boże, jakim sposobem znowu zeszliśmy na ten temat? Mówiliśmy o sir Robercie. Mieliście mi powiedzieć, jakim był człowiekiem. – Kiedy mu na czymś zależało, potrafił być równie uparty jak lord Kirkland. Przemknęło mu przez myśl, czy to też cecha rodzinna.

– Twardy. Wstrętny. Ograniczony. N-nienawidzi wszelkiej słabości.

– A jednak był przyjacielem lorda Hugona, prawda?

– No cóż, mój b-brat się n-nie zacinał. – Zdawszy sobie sprawę, że się zdradził, lord Kirkland zaśmiał się zażenowany. – P-pomyślisz, że m-małostkowy, ale kiedy byłem chłopcem, wolałem milczeć, niżli miałbym się odezwać w obecności sir Roberta. Irytowało go, że się zacinał. Jakbym robił t-to umyślnie.

– Niezbyt miły dżentelmen, wnosząc z tego opisu.

– O, nie.

– A potem?

– Może z-zamieniłem z nim wszystkiego kilka słów. Dlaczego tak cię zajmuje sir Robert, Julianie?

– Mmmm? Och, to z racji tych listów zastawnych Jeremy’ego Warda. Zastanawiam się, czy zdoła je kiedykolwiek wykupić.

– Nie liczylibym na to, jeśli t-to prawda, że chce kupić akt łaski dla ojca. Taka rzecz słono kosztuje.

– Myślicie, że Korona ułaskawi go, kiedy zapłaci? – zapytał Julian pozornie obojętnym tonem.

– O, tak. Za pieniądze m-można wiele wybaczyć.

To właśnie Julian chciał usłyszeć.

Przybliżył się o krok do celu. Smakował tę myśl, gdy tego samego wieczoru przeglądał księgi rachunkowe. Zebrał pokaźną liczbę weksli Jeremy’ego Warda. Jeśli sir Robert otrzyma akt łaski i postawi stopę na angielskiej ziemi, on, Julian, będzie miał nad nim dość władzy, by

przywieść go do ruiny. Gdybyż to wiedzieli! To on płacił za ułaskawienie, chociaż nie spodziewał się ujrzeć z tego grosza. A jednak była to dobra lokata.

Usłyszawszy znajomy stuk za plecami, podszedł do windy łączącej mieszkanie z pokojem kredensowym piętro niżej, wyjął tacę z kawą i wrócił do biurka. W jego prywatnych apartamentach nie było kuchni. Kiedy jadł w domu, posiłki przysyłano mu z kuchni kasyna.

Nie na długo skupił myśli na sir Robercie. Wszystko, co łączyło się z nazwiskiem Wardów, natychmiast kojarzyło się z Sereną.

Gdybyż była dziewczyną, za którą się podawała, Victorią Noble, a nie Sereną Ward, nie dałby jej spokoju. Nigdy nie spotkał podobnej jej kobiety. Nie w tym rzecz, że działała mu na zmysły. Poruszała w nim jakąś nieznaną strunę, wywoływała coś, czego nie potrafił nazwać.

Próżne rozmyślenia. Nie była Victorią Noble. Victoria to postać, którą grała, a ona jest Sereną Ward i basta.

Dziewica. Człowiek honoru nie tyka niewinnej dziewczyny bez zadośćuczynienia. Mimowiednie, przecież pozbawił ją wianka, a teraz snuje plany, jak naprawić wyrządzone zło, rujnując jej ojca. Nie bardzo było mu to w smak.

Człowiek uczciwy nie odrzeka się odpowiedzialności. To jedna z zasad, w jakich został wychowany. Zapatrzył się ponuro w przestrzeń, popijając kawę.

Niech się dzieje, co chce, musi postąpić wobec niej po sprawiedliwości – dudniło mu w głowie niczym marsz pogrzebowy.

Wieczór już zapadł nad miastem, kiedy lord Kirkland wyszedł z domu gry Juliana. Przywołał lektykę i kazał się nieść do kawiarni w St. James. Zabawił tam tylko parę minut i wyczekawszy stosownej chwili, przemknął tylnym wyjściem do Świątyni Wenus na King's Place.

Rozmowa z Julianem wprawiła go w melancholię.

„Jakim jest przeto człowiekiem sir Robert Ward?” Bardziej stosownie byłoby zapytać, jakim człowiekiem jest on, James, hrabia Kirkland? Ma żonę, która go kocha, trójkę uwielbianych dzieci i dość pieniędzy, by zaspokoić każdy kaprys. A teraz jeszcze odnalazł Juliana, syna Hugona. Żadnego z tych darów nie był godzien. W Dzień Sądu trafi tam, gdzie zasłużył. Czyż nie powtarzał mu tego opiekun?

Nie oczekiwano jego wizyty, musiał odczekać, póki właścicielka domu nie ułożyła wszystkiego tak, by mógł zostać przyjęty. W końcu to czwartkowy wieczór, a on jest człkiem stałych nawyków. Nie spodziewano się go przed sobotą.

Nagi, przykuty łańcuchami do ściany grzesznik poddawał się w akcie skruchy razem potężnych amazonek, które z góry przestrzegł, by nie dawały posłuchu jego błaganiom o litość. Po tym upokarzającym zabiegu zostawiono go, by doszedł do siebie. Innych usług nie żądał od dziewic westalskich. Oczyszczony z grzechów, mógł iść do domu, do żony.

## 6

Serena po raz drugi spotkała Juliana Raynora, kiedy o drugiej po południu zaszła bez uprzedzenia do buduaru szwagierki, żeby oddać pożyczony poprzedniego wieczoru wachlarz. Rozchyliła adamaszkowe portiery, uczyniła krok i zamarła. Catherine siedziała przed lustrem w zwiewnym negliżu i unosiła właśnie twarz ku chyłacemu głowę galantowi.

Nie mogła nie poznać pięknie rzeźbionego profilu ani szerokich ramion pod czerwonym *habit*. W osłupieniu patrzyła, jak jego palce muskają policzek Catherine w czulej pieściocie. Kiedy bardziej nachylił głowę, Serena otrząsnęła się z paraliżu.

– Panie! – krzyknęła. Dała służbie dokładne polecenia dotyczące majora Raynora. Pod żadnym pozorem ten człowiek nie miał wstępu do ich domu. Jego obecność w buduarze Catherine była nie do pomyślenia.

Z morderczym błyskiem w oku postąpiła krok do przodu.

– Jak pan śmie! Jak śmie!

Jeszcze krok i zdała sobie sprawę, że zrobiła z siebie idiotkę. W pokoju było jeszcze kilka dam i panów, służący roznosili filiżanki z kawą i czekoladą, serwowano ciasteczka. Nie trafiła na scenę amatorów, lecz na towarzyskie *leuee*, kiedy to światowa a zameżna dama, dopiero co wstawszy z łoża, przyjmuje kółko przyjaciół obojga płci, podczas gdy pokojowe stroją ją na bardziej formalne spotkania.

Na burzliwe wtargnięcie Sereny panowie mężnie podnieśli się z sof i taboretów, nie byle przedsięwzięcie, gdy w jednej dłoni trzyma się filiżankę, w drugiej słodkości, a szpada zahacza o bogato haftowane poły *habit*. Julian Raynor wyprostował się powoli, wykonał półobrót i napotkał zmartwiały wzrok Sereny. Błysk rozbawienia w oku mówił, że w pełni jest świadom jej gafy, która szczęśliwie umknęła uwagi reszty małego dworu Catherine.

– Nie? Zatem gdzie, pani zdaniem, powinienem ją umieścić?

Serena popatrzyła na puzderko, które trzymał w dłoni, i wszystko stało się jasne. Raynor pomagał Catherine w toalecie i radził, gdzie powinna przykleić muszkę, by podkreślić urodę.

– Gdzie zatem, pani zdaniem, powinienem ją ulokować? – powtórzył.

Miała ochotę powiedzieć mu. Och, jak wielką miała ochotę powiedzieć mu gdzie. Zgrzytając zębami, dotknęła pożyczonym wachlarzem policzka.

– Tutaj – rzuciła obojętnie.

Z lekkim rozbawieniem uniósł do oka *lorgnon* i zmierzył ją beczelnym spojrzeniem od czubka głowy, gdzie tkwiła koronka przytrzymująca nie upudrowane blond loki, do stóp w domowych pantofelkach, oceniając po drodze błękitną zarzutkę i białą krynolinę z muślinem wokół szyi. Kiedy ponownie podniósł oczy, ujrzała w nich nie skrywane

rozbawienie.

Serena rzadko się płoniła. Nie leżało to w jej naturze. A jednak w tej chwili poczuła żar na policzkach. Ta drobiazgowa inspekcja miała jej powiedzieć, że zna ją inną od wytwornej damy, która właśnie przed nim stoi.

– Nie tutaj? – mruknął i dotknął kącika jej ust w miejscu, gdzie miała muszkę tego wieczoru, kiedy spotkała go w gospodzie „Pod Strzechą”.

Odchyliła głowę. Dostrzegła w jego wzroku błysk gniewu, który natychmiast zniknął.

– Catherine – odezwał się innym już tonem. – Przedstaw mnie, proszę, temu uroczemu dziecku.

Catherine, która obserwowała obydwój z żywym zainteresowaniem, natychmiast zastosowała się do prośby.

– Julianie, musisz przecież wiedzieć, że to córka sir Roberta, Serena. Sereno, mam przyjemność przedstawić ci majora Juliana Raynora.

Oddawszy Serenie sprawiedliwość trzeba powiedzieć, że zdobyła się na uprzejmy banał i nie dała po sobie poznać ulgi, kiedy Letty, pojawiając się nagle między nimi, w najnaturalniejszy sposób wybawiła ją od konieczności dalszej rozmowy z człowiekiem, którego miała wszelkie powody nienawidzić.

– Julianie – zaczęła jej siostra z czarownym uśmiechem – czy nie sądzisz, że muszka powinna kierować uwagę ku oczom damy? – Sama starała się zrobić to samo, trzepocąc zalotnie rzęsami.

Korzystając z okazji Serena usunęła się na bok i usiadła na sofie obok jakiegoś młodzieńca. Z uśmiechem skinęła głową kilku z obecnych, ale jej uwagę całkowicie pochłaniała scenka rozgrywająca się przy toalecie Catherine.

– Pod warunkiem, że dama ma tak uderzająco piękne oczy jak pani, panno Letty – odparł Julian. – Zechce pani łaskawie potrzymać puzderko?

Flirt i frywolna rozmowa to konwenans każdego *Jevee* – napominała się Serena – i nikt, a już w żadnym razie mąż damy, nie powinien się dziwić temu, co miało miejsce w buduarze Catherine. W tej chwili w całym Londynie działy się podobne sceny. Damy, damy zamężne, których szafy przepelnione były bogatymi toaletami, podejmują gości odziane ledwie w koszule. Taka moda, a jednak było w tym coś nieprzyzwoitego, co zapewne – jak sądziła – tłumaczyło, dlaczego panowie tak tłumnie wizytowali *levees*.

Obecność Juliana Raynora stanowiła dla niej zagadkę, choć wiedziała, że coś się za tym kryje. Próbuje ją upokorzyć? Przestraszyć? Czerpie jakąś przewrotną przyjemność z nachodzenia jej domu? Dlaczego nie zostawi jej w spokoju?

Przez cały tydzień prawie nie wychodziła z domu, wiedząc, że jeśli się nań natknie, nie potrafi powstrzymać nie utemperowanego języka. Pomimo wszystko Raynor był obecny, jako że



jego imię nie schodziło z ust Catherine i Letty. Za każdym razem, kiedy wracały z przejażdżki czy bankietu, w opowiadaniach, szczególnie Letty, nieustannie powracał major Raynor. Taki był przystojny, męski, niczym jakiś heros, że Serena z trudem powstrzymywała chęć natarcia siostrze uszu.

Do tej pory Raynor nigdy nie zabiegał o towarzystwo Catherine czy Letty. Nie były w jego stylu. W tydzień od uwiedzenia jednej z siostr omotał zupełnie dwie pozostałe.

Przeklęty człowiek! Do czego on zmierza?

Nie o Catherine się lękała, ale o zieloną jeszcze, łącno wpadającą w egzaltację Letty. Atencja człowieka takiego jak Raynor musiała zawrócić jej w głowie, już choćby dlatego, że wyróżniał się spośród innych. Szybki rzut oka po zebranych utwierdził ją w tym mniemaniu.

Większość panów to strojnisię, bardziej pochłonięci sobą niż flirtem z damami. Pudrowane peruki mieniące się wszystkimi kolorami tęczy, morze drogich koronek zużytych na przesadnie zdobne żaboty i mankiety. Malowane twarze i róż na ustach, który upodabniał ich w oczach Sereny do chińskich lalek. Ale największą dla niej obrazą było afektowane seplenienie i teatralne gesty. Znała większość z tych fircyków od dziecka, jeszcze rozbrykanymi diablętami. Wiedziała, że w rzeczywistości żaden z nich nie sepleni. W gruncie rzeczy byli nieszkodliwymi trzpiotami i kiedy się zapominali, co zdarzało się często, stawali się całkiem mili.

Julian Raynor nie był pustogłowym wietrznikiem, nie był też fircykiem. Z prawdziwą niechęcią musiała przyznać, że pośród obecnych przedstawiał się świetnie. Nie żeby coś to dla niej ważyło. Dla niej pozostanie zawsze człowiekiem, który odesłał ją do domu z pięćdziesięciofuntowym banknotem w dłoni.

Patrząc teraz, jak zręcznie gra galanta wobec dwóch kobiet naraz, Serena nabierała przekonania, że jego zła sława była w pełni uzasadniona. Gracz, hultaj, libertyn – nie dopuści, by ktoś taki igrał z jej niewinną siostrą.

Przy wtórze męskich westchnień i okrzyków Julian zgrabnym ruchem umieścił muszkę wysoko na lewym policzku Catherine. Serena w zamyśleniu obserwowała, jak odwrócił się i zaczął myszkować pośród słoiczków i buteleczek zapełniających toaletkę.

Odkorkował jeden z pojemniczków.

– Lawenda! – oznajmił z lekceważącym grymasem. Powąchał następną, potem jeszcze jedną i jeszcze, aż wreszcie znalazł coś, co przypadło mu do smaku. – Tuberoza! – Uśmiechnął się przebiegle. – Zapach bogaty i nęcący, dla wyrafinowanej damy, która pragnie wydobyć swe niewieście powaby.

Catherine posłała beczelnie zalotne spojrzenie lustrzanemu odbiciu Juliana. Serena nie widziała jego twarzy, skupiła się przeto na tym, co robił. W buduarze czuł się jak u siebie, to pewne.

Kiedy zaczął opuszkami palców wcierać perfumy w nagie ramiona Cathenne, Serena poczuła dziwny ucisk w żołądku, wstrzymała oddech. Idąc za radą asysty namaścił olejkami brwi modnisi, nadgarstki, skórę za uszami, dołek między obojczykami. Za każdym zmysłowym dotknięciem miała wrażenie, że pali ją skóra. W powietrzu rozszedł się ciężki zapach róż, uderzający do głowy niczym najsilniejszy z afrodyzjaków. Z całych sił walczyła ze sobą.

Powoli, ceremonialnie odchylił dekolt negligu Catherine, odsłaniając krągłość piersi. Po pokoju przeszedł szmer, ktoś parsknął. Letty zachichotała. Serena zaczęła oddychać płycej, głośniej. Gdyby teraz ktoś krzyknął, że dom się pali, nie zdołałaby się poruszyć.

– A tutaj – ni to wyszeptał, ni wychrypiął – dla kochanka, tylko dla kochanka – i dotknął palcem umoczonym w olejku różanym zagłębienia między piersiami.

Serena odczuła tę pieśczętę na własnym ciele. Jęknęła mimo woli.

– Rozpustnik przebrzydły! – Catherine żartobliwie uderzyła go po dłoni. – Żadna kobieta nie jest z tobą bezpieczna?

– Nie – odrzekł po prostu.

Rozległy się oklaski i okrzyki zachwytu, niczym po skończonym przedstawieniu. Serena wspominała. Silne męskie dłonie przyciskają ją mocno do bioder, wnika w nią twarde, nabrzmiałe zaproszenie. Gdyby miała odwagę odpowiedzieć na nie...

Podniósł nagle głowę, ich spojrzenia spotkały się, złączone wspólną, o lęk przyprawiającą tajemnicą. I on – była teraz pewna – wspomniawszy tamtą noc.

Jedynie siłą woli oderwała od niego oczy. Chwilę trwało, zanim ocknęła się i zaczęła śledzić, co się dzieje wokół. Pokojówki wyjmowały kolejne suknie, czekając na decyzję pani.

– Bez „koszy”? – zapytała z żalem Catherine. Oglądała swój najnowszy nabytek: kwiecistą muślinową toaletę ze spodnią spódnicą z jasnozielonego atłasu.

– Paniery przecież teraz w wielkiej modzie – orzekła z rezygnacją, myśląc o płaskich, rozkładających się na boki krynolinach, które brały nazwę od koszy *panieres*, jako że modnisi tak ubrana przypominała osiołka dźwigającego po bokach wielkie juki.

Serena postanowiła włączyć się do rozmowy.

– Nie, kiedy kto idzie na koncert pana Handla. Nawet panów się uprasza, by nie przypasowali dekoracyjnej broni – oświadczyła z naciskiem, mając na myśli niewygodę, jakiej przysparzały w tłumnym zgromadzeniu suknie szerokie niczym sofy i wszędobylskie szpady.

Od niechcienia rzucona uwaga wywołała burzę protestów ze strony urażonych do żywego pięknościów. Lord Percy, sepleniąc, przemówił w imieniu wszystkich:

– Na hono! nikt nie będzie mi nakazywał, jak mam się snaleść. Spadę w domu zostawiać? Płosę mi zec tedy, cós pocnę w potsebie, gdy łabusiom albo sbiłom psyjdzie dać odpół, albo kiedy mi slachetny kawalel sniewagę ucyni? Diabła tam s panem Handlem, ot co.

Korzystając, że goście wdali się w ożywioną konwersację, Julian począł przesuwać się

powoli ku Serenie, aż wreszcie ulokował się obok sofy, na której siedziała. Stał tak blisko, z dłońmi wspartymi na oparciu kanapy, że poczuła jego oddech na karku. Siedziała napięta jak cięciwa łuku.

– Nie lękaj się, Victorio, nie zdradzę twojej małej tajemnicy – mruknął teatralnym szeptem.

– Z ulgą to słyszę – odparła pośpiesznie, nie zważając na ostrożność. – Na imię mam Serena, dla waszmosci panna Ward.

Wymienili chłodne spojrzenia, po czym Julian posłał jej kpiący uśmiech. Serena miała się na baczności. Hultaj wyglądał zupełnie niewinnie, jeszcze jedna z jego sztuczek. Innym miała sposobność go widzieć.

Wyjął z kieszeni *habit* tabakierkę, otworzył ją wytwornym gestem i wziął niuch tabaki.

– Wyglądasz na młodszą, niż zrazu sądziłem – powiedział. – Puder i róż postarzają kobietę.

– Nie myślę rozmawiać o tym z waści – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Po prawdzie, i ja nie. Lękam się wszak, że musimy. Pochwyciwszy zaciekawione spojrzenie Letty, Serena uśmiechnęła się i odparła cicho: – Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, majorze Raynor. Zechciej nie zwłócząc opuścić ten dom i nigdy więcej nie przekraczać jego progu, a będziesz się pan naprzykrzał, każę pacholkom, by siłą cię stąd wywiedli.

– Jesteś – zaczął powściągając ziewnięcie – najbardziej melodramatyczną damą, jaką spotkałem. Nie potom zdzierzył tu godzinę, żebyś mnie teraz miała odprawić. Daję ci do wyboru, Victorio, albo powiemy sobie, co jest do powiedzenia, tutaj w obecności wszystkich, albo będziesz ze mną mówić na osobności. Co wolisz?

– Gdzież tu nam mówić na osobności?

– Zatem zacznijmy od...

– Wstrzymaj się!

– Tak?

Świadoma, że goście zaczynają zwracać na nich uwagę, ustąpiła, acz z oporami.

– W bibliotece – parsknęła. – Kiedy brata nie ma w domu, powinniśmy być tam swobodni. Poproś kogo ze służby, niech wskaże ci drogę. Przyjdę za kilka minut.

Letty rzuciła jej niespokojne spojrzenie, po czym zaczęła czarować Raynora. Serena obserwowała ją bacznie. Urodziwa przy swoich siedemnastu latach, przyciągała kawalerów niczym płomień świecy ómy, nie pozostając sama obojętna na męskie wdzięki. Tylko to było jej w głowie. Serena patrzyła na tę przypadłość ukochanej siostry jak na chorobę, którą czas uleczy. Widząc teraz, jak Letty próbuje oczarować Raynora, szczerze żałowała, że nie traktowała dotąd jej słabości znacznie, ale to znacznie poważniej.

Wesołe dołeczki w policzkach początkującej Jezebel. Leniwe szczyrzenie się huncwota i hultaja. Poczuła, że coś dziwnego się z nią dzieje, coś, czego ani chciała, ani rada witała.

Przepraszyła i przeniosła się na krzesło obok Miriam Porter, uroczej żony starego sędziego Portera, i zaczęła przysłuchiwać się z udanym zainteresowaniem konwersacji na temat króla Leara, odgrywanego poprzedniego wieczoru przez Garricka w Drury Lane Theatre. Nie uszło wszak jej uwagi, kiedy Julian pożegnawszy Catherine wymknął się z pokoju.

W korytarzu natknął się na młodego sługę ze szmaragdem w uchu. Ten drgnął na widok Juliana, po chwili rozciągnął usta w niepewnym, głupawym uśmiešku.

– Mam widzieć się z panną Ward w bibliotece. Zechciej wskazać mi drogę.

– Z najwyższom radościom, panie – odparł Flynn z takim entuzjazmem, że Julian uniósł brew.

Inaczej go przyjęto, kiedy pierwszy raz próbował dostać się do tego domu i kiedy to stary kamerdyner z kamienną twarzą zatrzasnął mu drzwi przed nosem, dając wcześniej do zrozumienia, że panny Ward nie ma w domu i nigdy jej nie będzie dla pana Raynora. Żal doprawdy, że skrupuły nie pozwoliły mu zadowolić się tamtą odpowiedzią.

– Flynn, czyż nie tak? – zapytał chcąc podtrzymać rozmowę.

– Dziw prawdziwy, że mnie pamientacie, panie. Nietrudno zapamiętać – pomyślał Julian – skoro Flynn był jednym z najbarwniejszych służących w całym Londynie, a to już coś. Dość szczególne maniere, nie wspomniawszy o miłosnych przygodach z damami wielkich rodów, przyczyniały mu prawdziwego rozgłosu. Julian nie potrafił tylko pojąć jego przywiązania do Wardów. Powiadano, że miał wiele znacznie lepszych ofert, ale wszystkie uparcie odrzucał.

Na progu biblioteki zatrzymał się odruchowo i zapatrzył w portret wiszący nad kominkiem, jedyny obraz we wnętrzu, którego ściany świeciły pustymi miejscami po usuniętych malowidłach. Najwidoczniej Jeremy, usiłując zebrać pieniądze, stanął wobec konieczności sprzedania całej kolekcji.

Na ustach Juliana pojawił się pogardliwy uśmiezek. Dom nadal był pełen służby, a i damy nie sprawiały wrażenia przejętych oszczędzaniem. Rozprowiały o nowych strojach i towarzyskich okazjach, gdzie mogłyby się nimi pochwalić. Gardło mu się ścisnęło na wspomnienie przytułku i nędzy, jaką cierpiała jego rodzina.

Przez długą chwilę walczył z uczuciami. Powinien się cieszyć: im bardziej Wardowie żyli ponad stan, tym łatwiej mogli stać się jego łupem.

Podszedł do kominka. Oparł łokieć o gzyms i zaczął uważnie oglądać portret. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że kobieta, która spogląda na niego z płótna, nie jest Sereną Ward. Dama – jak sądził, matka Sereny – uosabiała wytworną łagodność. Imię Serena pasowałoby bardziej do niej niż do córki. Tę gotów by nazwać każdym imieniem, tylko nie tym, które nosiła.

Uśmiechnął się. Nie potrafił zapomnieć, że ona przecież dała mu najśłodsza rozkosz, jakiej

kiedykolwiek zaznał z kobietą. A jednak jątrzyła myśl, że pragnie jej nadal. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie tęskniłby za niewiastą, która go zwiodła i oszukała i która później okazała mu jedynie wzgardę, zabraniając wstępu do własnego domu. Pozostawał wreszcie niepodważalny fakt, iż była córką sir Roberta Warda.

Powinien, być może, zostawić rzecz swojemu biegowi, nie pojawiać się w buduarze Catherine. Nie o Catherine myślał, kiedy muskał palcami jej nagą skórę, ale o tym, jak rzucić wyniosłą Serenę Ward na kolana. Przy każdym dotknięciu czuł niemal, jak taje jej lodowate dostojeństwo: elektryzowała go ta myśl. Jedno spojrzenie zdradziło mu wszystko, co chciał wiedzieć. Osiągnął swój cel, wstrząsnął dziewczyną do szpiku kości, ale sam nie wyszedł z tego pojedynku bez szwanku.

Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się od portretu.

Serena weszła do pokoju szeleszcząc spódnicami. Zamknęła cicho drzwi i oparła się o nie. Miała przyspieszony oddech, zaróżowione policzki, oczy rzucały błyski. Kiedy przemówiła, w jej głosie usłyszał wyraźny gniew.

– Mogłam była wiedzieć, czego się po tobie spodziewać, panie.

– I ja tak myślę – odparł całkiem rozsądnie.

– Po co siłą wdzierasz się do mojego domu?

– Nie wdarłem się, jeno zostałem zaproszony. Postąpiła krok czy dwa do przodu, z porywczym gestem dłoni.

– Wykorzystałaś dobroć mojej szwagierki, żeby zmusić mnie do rozmowy.

W przeciwieństwie do niej był spokojny, nawet lekko rozbawiony.

– Prawda – rzekł – ale takeś się zawzięła, że inaczej nie miałbym do ciebie przystępu. Nie dość, żeś zamknęła drzwi przede mną, postanowiłaś wieść pustelnicze życie. Tylko fortelem mogłem dopiąć swego.

– Ostrzegam cię. Nie będziesz mnie napastował w moim własnym domu. Mam dwóch braci, a obaj doświadczeni w pojedynkach. Wyzwą cię, jeśli spróbujesz uczynić mi krzywdę.

Skrzyżował ręce na piersiach.

– Może zaprosimy twoich braci, niechby przyłączyli się do rozmowy? Zaciekawili ich, że siostra nie jest taka niewinna, za jaką chciałyby uchodzić.

Oczy jej zabłysły na tę pogrózkę.

– Byłam niewinna, nim spotkałam ciebie.

Wzruszył ramionami i odsunął krzesło.

– O tym chciałem mówić. Usiądź, Victorio, albo będę musiał posadzić cię siłą.

W milczeniu podeszła do krzesła i usiadła rzucając mu krótkie, lekceważące spojrzenie. Poniewczasie uznała, że najskuteczniejszą bronią będzie wyniosły spokój. Cisza przedłużała się. Wreszcie ponownie spojrzała na niego.

Uśmiechnął się widząc, że zaszczyciła go uwagą.

– Zachodziłem w głowę, co też córka baroneta, Serena Ward, mogła porabiać w gospodzie „Pod Strzechą” i czemu oddała cnotę pierwszemu napotkanemu przypadkiem mężczyźnie?

Struchlała na te słowa. Nie lękała się przecież tylko o własną reputację. Uspokoili ją dopiero po chwili namysłu. Był wścibski, ale nic nie mógł jej dowieść.

– Odpowiedz.

Zjeżyła się na to polecenie.

– Nie oddałam cnoty, ukradłeś ją.

Westchnął z przesadą.

– Domyślałem się takiej odpowiedzi, acz inaczej pamiętam tamten wieczór.

Trwała w niewzruszonej godności.

– Mogę tylko powtórzyć, że nie oddałam cnoty. Walczyłam, póki sił mi stało.

– Daj pokój, Victorio. Obydwoje wiemy, że to jawna nieprawda.

Posłała mu słodki uśmiech zaprawiony jadem.

– Obydwoje wiemy, żeś pozbawionym sumienia libertynem, co zagina parol na niewinne dziewczęta. Ostrzegam cię uczciwie, Julianie Raynor. Zostaw moją siostrę w spokoju albo będziesz miał ze mną do czynienia.

– Coś sobie znowu uroiła? Nie jestem libertynem ani zaginam parol na niewinne dziewczęta, a już najmniej zważam na twoją siostrę.

– Jak mam ci wierzyć, skoroś sam chciał mnie przywieść do występnego życia, a przecież byłam niewinna, czy nie tak?

– Jakiego występnego? Chciałem, żebyś została moją kochanką.

– Propozycja godna człowieka honoru, ani słowa – sarknęła.

– Nie wiedziałem, kim jesteś. Wziąłem cię za aktorkę.

– Ha! Twoje własne słowa cię zdradzają, panie. Przyznajesz, że wykorzystujesz słabe, bezbronne kobiety.

Oczy mu się rozświeciły.

– Tu błędzisz, Victorio. Przez chwilę nie powstało mi w głowie, że możesz być słabą, bezbronną kobietą. Ale nie odbiegajmy od tematu. Dlaczego ja? To chciałbym wiedzieć. Dlaczegoś była sama?

Zacisnęła dłonie. Jego obojętność, kpiny, nonszalancja i fałszywe przeświadczenia poruszyły ją do żywego. Spokój i godność – napomniała się w myślach.

– Do czego zmierzasz? Że straciłam głowę, ledwie na ciebie spojrzała? Żem nie potrafiła się oprzeć? Jeśli mam rzec prawdę, całkiem przeciwne wywarłeś na mnie wrażenie, panie.

– Jakież to?

Przez chwilę szukała właściwych słów.

– Ledwie zostaliśmy sami, ogarnęła mnie nieprzeparta ochota, by czym prędzej uwolnić się od twojego towarzystwa.

Rzuca mu w twarz obelgi, a on przyjmuje je ze śmiechem. W zapomnienie poszły spokój i godność. Zerwała się z krzesła płonąć oburzeniem. Już miała ochotę pójść sobie precz, kiedy poczuła na ramionach jego dłonie. Odwrócił ją ku sobie.

– Powściągnij te porywy, radzę, i odpowiedz na moje pytanie. Co cię sprowadziło do gospody „Pod Strzechą”? Gdzie podzielaś swoją eskortę i na co były te szarady?

Kiedy uczyła się jeździć konno, zdarzyło się, że jej wierzchowiec raptem poniósł. Rozmowa

z Julianem Raynorem przywodziła jej na myśl tamto niemiłe doświadczenie. Nie sposób było go powstrzymać, kiedy wbił sobie coś raz do głowy.

Uwolnwszy się z jego uchwytu, na wszelki wypadek cofnęła się o krok.

– Nic to niezwykłego dla dam wysokiego rodu odwiedzać podobne miejsca.

– Prawda, ale nigdy samotnie.

– Jeśli o to idzie, zostaliśmy rozdzieleni, ja i mój sługa. Och, nie żebym go za to winiła.

Nie uczynił tego z rozmysłem. Miałam na niego czekać.

– Twego sługę winno się wybatożyć za to, że zostawił cię bez opieki. Znam go?

Uśmiechnęła się na tę porywczosć.

– Nie, majorze Raynor, i nie powinno cię to zaprzętać. Nie wyjawię jego imienia.

– Może mnie zaprzętać, w razie jeśli zechce cię pomścić. Zagniewany *beau*...

– To nie był mój *beau*...

– Brat może?

Już otworzyła usta, lecz czym prędzej zmieniła tok rozmowy, kiedy zobaczyła, ku czemu zmierza.

– Nikt nie będzie brał na to pomsty, za to mogę ręczyć. Podniósł brew robiąc cyniczną minę.

– Pojmuję. Mów dalej.

Chwilę zbierała myśli, wreszcie przemówiła:

– Wpadłam w popłoch jedynie. Kiedy pojawiła się milicja, przeraziłam się, że odkryją, kim jestem, i zaprowadzą w sromocie do domu. Tak się rzeczy miały. Wtedy tyś się trafił, a z tobą sposób, jak wybrnąć z kłopotu. W głowie mi nie pozostało, że sprawy zajdą tak daleko.

Zatem pojawienie się milicji coś tu miało do rzeczy – powiedział, jakby głośno myślał. Wsparty biodrem o krawędź stołu zdawał się rozważać, co właśnie usłyszał z ust Sereny.

Niezbyt szło jej w smak, by nadto długo zastanawiał się nad obecnością milicji w gospodzie. Nie mrugnawszy okiem rzekła:

– Teraz, kiedy wyjaśniłam ci wszystkie okoliczności, pojmiesz łatwo, że każda wzmianka o tamtej nocy musi przejmować mnie wstrętem. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, majorze Raynor. Opuść ten dom, proszę, i w przyszłości, kiedy zdarzy nam się spotkać, zechciej z łaski swojej traktować naszą znajomość za niebyłą.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową, przedrzeźniając jej postawę.

– Chyba wolę Victorię niż Serenę. A więc za wszelką cenę chcesz widzieć we mnie łotra? Wstręt? Nie to pamiętam, ale cóż, słowo się rzekło. – Tu przerwał, zaczerpnął powietrza, jakby gotował się spełnić niemiłą powinność. – Jak każesz, pani. Jestem gotów zadośćuczynić za łotrostwa, jakich żem się przeciw tobie dopuścił. Powiedz tylko, co mam zrobić.

Pił do małżeństwa, a niechęć, z jaką wypowiadał ofertę, była jawną obrazą. Wrodzona duma nasuwała jej jedyną możliwą odpowiedź.



– Rzekłam ci już, czego oczekuję, majorze Raynor. Niech cię więcej moje oczy nie widzą, a już tym bardziej nie każ mi z tobą mówić.

Jego twarz nie wyrażała nic poza uprzejmym zainteresowaniem.

– Przyszło ci na myśl, że noc, którą wspólnie spędziliśmy, może mieć swoje następstwa?

Spąsowiała po same korzonki włosów, duma wszak, znowu duma, nie pozwoliła jej odwrócić oczu.

– Nie masz się czym, waść, turbować – powiedziała i natychmiast zaczęła przeliczać dni w myślach.

– Wielkie nieba! Toż musiałas o tym wcześniej pomyśleć. Kiedy ostatnio przypadła ci kobieca niemoc?

– Bodaj i byłabym brzemienna, nie zniżyłabym się wziąć cię za męża i opiekuna.

– Kobiece prawo zmieniać zapatrywania. Jeśli taki dzień przyjdzie, pamiętaj, zem gotów zapłacić za swój nierozważny postępek.

– Taki dzień nigdy nie przyjdzie – rzuciła zjadliwie. – Tak mi żyć w rozpuście, jak i zdać się na twój honor.

Oczy mu pociemniały. Cofnął się o krok i ukłonił sztywno.

– Jasność wyraziła, pani, swoje uczucia. Twój wierny sługa, madame.

Już trzymał rękę na klamce, kiedy zawołała:

– Myślałam ci to oddać. – Wyciągnęła w jego stronę pięćdziesięciofuntowy banknot takim gestem, jakby trzymała w dłoni zdechłego szczura.

Popatrzył na kawałek papieru, po czym podniósł oczy na jej zboląłą twarz.

– Aha. Widać zakłuło, czy tak?

Nie raczyła odpowiedzieć, uniosła tylko lekko dłoń, czekając, aż odbierze swoją własność.

– Dajże to Victorii – stwierdził tyle beztrósko, co złośliwie. – Warta każdego pensa z tej sumy. – Otworzył drzwi, po czym rzucił jeszcze na odchodnym: – A jeśli zdarzy ci się ją widzieć, powiedz jej, że podtrzymuję nadal propozycję, jaką jej uczyniłem.

Dopiero kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych, pozwoliła sobie dać upust uczuciom. Jednym gestem zmiotła książki i papiery zalegające biurko brata. Miała ochotę podrzeć banknot na drobne kawałeczki, ale zamiast tego upchnęła go w kieszeni, obiecując sobie, że pewnego dnia wtłoczy go Julianowi Raynorowi do gardła, żeby się udławił.

Po chwili pojawił się Flynn.

– I cóż?

– Cóż cóż? – odparła porywczo i minęła go w przejściu.

Poszedł za nią przez sień, po schodach.

– Major się oświadczył?

– By tak rzec – odparła zimno.

– Co to za mowa? Albo się oświadczył, albo nie.

– Z takim ociąganiem, że jeno despekt szedł z tego. Nie żebym wiele na to zważała. Nie wyjdę za tego człowieka, choćby...

– Wiem, wiem. Choćby i twoje życie od tego zawisło, choćby był i ostatnim mężczyzną na ziemi. A ociąganie niby co ma tu do roboty? Taż chyba nie czekałaś, by skakał z radości, że wpadł jak śliwka w kleszy kompot?

Aż przystanąła na stopniach.

– Flynnie – przemówiła słodko – major obiecał mi, czego życzę sobie nade wszystko.

– Mianowicie? – zapytał ostrożnie.

– Że zniknie mi raz na zawsze z oczu – odparła i ruszyła na górę.

Flynn obserwował ją w milczeniu. Nie po raz pierwszy przychodziło mu na myśl, że Serena w samej sobie ma najgorszego wroga. Chwilę wążąc myśli w głowie, odwrócił się na pięcie i wybiegł z domu, kierując się w stronę domu gry przy St. Dunstan's Court.

Kiedy Serena stanęła pod buduarzem Catherine, drzwi otworzyły się raptem.

– Sir Charles? Nie wiedziałam, żeś był na *levee*.

– Naprawdę? Byłem, a jakże, jeno trzymałem się na osobności. Żegnam, panno Ward. – Opuścił ją tak nagle, że graniczyło to z niegrzecznością.

Odprowadziła go wzrokiem. Nie lubiła lorda Charlesa Tremayne'a. Przypomniawszy jej o Julianie Raynorze, ale kiedy Julian przywodził na myśl gotową do skoku czarną panterę, ten mógłby być raczej wyleniałym, ospałym lwem. Powierzchnowa różnica. Obydwaj to drapieżnicy.

W buduarze nie zastała już ani Letty, ani żadnego z gości.

– Pomożesz mi, Sereno? – Catherine zrzuciła koszulę, jedna z pokojówek sznurowała jej gorset. Serena pospieszyła z pomocą. Rada, że może zdać obowiązki w zręczniejsze dłonie, dziewczyna zaczęła krzątać się po pokoju, sprzątając i poprawiając poduszki.

– Całkiem z niego zgrabny kawaler, nie sądzisz? – Catherine rzuciła pytające spojrzenie przez ramię, po czym popatrzyła w lustro.

– Kto?

Catherine zaśmiała się cicho i potrząsnęła głową.

Troczy gorsetu zacisnęły się mocniej, śmiech przeszedł w pisk. Uznawszy, że szwagierka jest w kapryśnym nastroju, Serena odprawiła pokojówki.

– Mów kiedy – powiedziała nie okazując współczucia i ściskając energicznie talię Catherine, aż stała się cienka, że można było objąć ją dłońmi. Kiedy jej ofiara zaprotestowała wreszcie ochryplym głosem, Serena zawiązała troczki.

Chwilę trwało, nim Catherine odzyskała oddech. Narzuciła na powrót neglig i gestem zaprosiła Serenę, by usiadła.

– Kto? – zapytała wykrzywiając usta w jawnej kpinie.

– Owszem, zgrabny kawaler – przyznała Serena niechętnie. – Ale i niebezpieczny. Dość na niego spojrzeć. – Nigdy chyba nie była bliższa prawdy.

Ciemne oczy Catherine rzucały chytre błyski.

– Ile pamiętam, to samo pomyślałam o twoim bracie, kiedym go pierwszy raz zobaczyła.

– Nie mierz Jeremy’ego tym samym stryculcem, co ludzi podobnych Raynorowi.

– Czemu by nie?

– Cóż... pomyśl o reputacji Raynora. To hultaj.

– A bracia nie bywają hultajami? Och, kochanie, chyba wyprowadziłam cię z równowagi.

Serena z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Żarty sobie ze mnie stroisz, Catherine. Jeremy jest ponad to. Nie mówię, że...

Słowa Sereny utonęły w śmiechu bratowej.

– Nigdyś nie słyszała, w jakie awantury wdawał się Jeremy, boś była jego małą siostrzyczką. Kto miałby ci o nich opowiadać? Alem ja wiedziała i powiem ci, kochanie, że dla nich to przez długi czas twój brat nie miał moich względów.

Serena podniosła brwi. Chociaż szczerze się lubiły, prawie równe sobie wiekiem, nigdy nie wchodziły w zbytne konfidencje. Słowa Catherine były czymś nowym.

Opędzając się od nieprzystojnego i ani chybi przesadzonego obrazu brata, powiedziała ostrożnie:

– Spotkałam w korytarzu lorda Charlesa. – Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ciągnęła śmielej: – Wyglądał, jakby go piorun strzelił.

Na te słowa Catherine zachichotała.

– Pewnie zazdrosny o to, że Julian mnie perfumował. Gdyby wzrok mógł zabijać... – Potrząsnęła głową ze śmiechem.

– Jakie to prawo ma lord Charles do zazdrości? – zapytała Serena jeżąc się z oburzenia. – Nie jest twoim mężem. Niechby... niechby nie wtykał nosa, gdzie go nie proszą ani czekają.

Na twarzy Catherine pojawiło się nieklamane zdumienie.

– Biedny Charles. Nie masz dla niego nic serca. Jest zwyczajem, Sereno, że młodzi, zacni panowie obierają sobie damę pośród zamężnych kobiet. Nic w tym złego. Znamy się z Charlesem od dziecka, twój brat wie o tym. Charles jest tak jemu przyjacielem, jak mnie. Nie wtyka nosa, gdzie go nie proszą.

Serena nie była wcale przekonana, że Charles tyleż jest przyjacielem Jermy’ego, co Catherine. Podejrzewała, że się w niej podkochuje, co napawało ją niepokojem. Lord Charles był znanym ladaco i nie wierzyła w jego dobre intencje.

Zatrzymała te wątpliwości dla siebie i odparła tylko:

– Ani on specjalnie młody, ani zacny. Jak nic idzie mu na trzeci krzyżyk, a jego reputacja,

jeśli chodzi o damy pewnej konduity, nie lepsza od tej, jakiej zażywa Raynor.

Catherine dostała ataku śmiechu.

– Kochana Sereno – odparła próbując powściągnąć rozbawienie – a cóż to ma znaczyć? Charles jest bogaty, dziedziczy tytuł i fortunę po ojcu markizie. Wierz mi, że nie ma lepszej niż on partii i kiedy wreszcie wybierze jaką godną pannę, i ty, i ja chętnie puścimy w niepamięć „damy pewnej konduity”. Powiedz mi raczej, co myślisz o Julianie, ale nim rzekniesz słowo, wiedz, że patrzyłam na was i że mnie wzrok nie myli.

Na moment zapadła cisza, wreszcie Serena się roześmiała.

– Prawdziwie puściłaś wodze fantazji! Zawodowy szuler, karciarz i córka sir Roberta Warda? Ojciec nigdy nie pogodziłby się z tą myślą.

– Nie będę się z tobą sprzeczać – odparła Catherine z dławionym chichotem. – Co ojcowie myślą i na co muszą przystać – to wszak dwie zupełnie różne sprawy podług mojego rozeznania.

– Jakże miewa się twój ojciec? – Serena podchwyciła okazję do zmiany tematu. – Zobaczymy go w Riverview?

Wybieg się powiódł i reszta rozmowy toczyła się wokół Riverview, posiadłości nad Tamizą, wniesionej w posagu przez Catherine i ukochanej przez jej dwóch synów, Roberta i Francisa. Pływano tam łodziami, wędkowano, odbywano długie spacerunki: jednym słowem, miejsce stwarzało nieskończone atrakcje dla chłopców. Jeśli Wardowie nie siedzieli w Londynie, tam właśnie bawili, tam też spędzali zawsze letnie miesiące. Robert i Francis już zostali wysłani na wieś pod opieką piastunki: reszta rodziny miała dołączyć do nich z końcem tygodnia.

Po powrocie do swojego pokoju Serena przestała się uśmiechać. Pochwały, których musiała wysłuchać na temat Raynora, sprawiały, że raczej gotowa by rwać sobie włosy z głowy. Miałby Flynn rację? Catherine miała rację? Żle by go oceniła? Próbując oddać mu sprawiedliwość, usiłowała zapomnieć o pogłoskach i o uprzedzeniach, w zamian badając własne wobec niego uczucia.

Jeśli miałyby być szczerą, musiała uznać, że w części ponosi odpowiedzialność za to, co zaszło w gospodzie „Pod Strzechą”, wszak i to o jotę nie umniejszało dysgustu, jaki wzięła wobec niego.

Uklękła przed wielką mahoniową komodą i otworzyła dolną szufladę. Pod stertą jedwabnych pończoch znalazła, czego szukała: miniaturę przedstawiającą młodego człowieka o jasnych włosach, związanych gładko do tyłu. Spoglądał na nią w sposób, który tak dobrze pamiętała. Gardło się jej ścisnęło.

Nie kochała Stephena i on jej nie kochał, ale była w ich związku serdeczność czystych pocałunków i obietnica słodkiej przyszłości. Życia bezpiecznego, pozbawionego niespodzianek.

Julian Raynor nie zapowiadał bezpieczeństwa ani losu wolnego od niespodzianek. Zwykła omijać takich mężczyzn z daleka i dobre miała ku temu powody. Kiedyś, dawno, dawno temu, zrobiła z siebie idiotkę i wystawiła na pośmiewisko, zawierzywszy łotrowi i hultajowi. Raz się sparzyła, dmuchała na zimne. Nieszczęściem tego wieczoru, kiedy natknęła się na Raynora, wypadki przysięgły się przeciw niej. Westchnęła. Hultaj czy nie, nie do końca był winny zajściom tamtej nocy.

Raz ostatni spojrzawszy na miniaturę, odłożyła ją na miejsce i zamknęła szufladę.

Z gniewną miną dobyte z kieszeni banknot Raynora z podpisem wystawcy, wielkim i zamaszystym jak on sam. Pewnego dnia będzie miała tę satysfakcję, że podetknie go Julianowi Raynorowi pod nos.

## 8

Rzecz została postanowiona. 21 maja 1747 roku sir Robert Ward otrzymał akt łaski.

Wardowie, zebrani w bibliotece, rozsiedli się wokół małego stolika nakrytego do herbaty. Służbę odesłano.

– Mieliliśmy wiele szczęścia – oznajmił Jeremy, spoglądając po kolei na wszystkich członków rodziny. – Nie dość, że zebraliśmy potrzebne pieniądze, to znaleźliśmy możnego protektora naszej sprawy.

Clive sięgnął po ptifurkę i wepchnął ją sobie do ust.

– O jednym nie wspomniałeś.

– Mianowicie?

– Nie zapominaj, że papa jest Anglikiem. Uchowaj Boże, niechby był Szkotem, ani mowy nie byłoby o łasce. Dość spojrzeć na wyjętych spod prawa szkockich jakobitów, ci nigdy nie doczekają przebaczenia, a to krzycząca niesprawiedliwość. Inne prawo dla nas, inne dla nich.

– Coś strasznie dużo wiesz w tej materii.

Clive wyprostował się na krześle. Jeremy zawsze tak na niego działał. Dziesięć lat czyniło zasadniczą różnicę między braćmi, do tego Jeremy był głową rodziny. Obowiązki, które wziął na siebie pod nieobecność ojca, sprawiły, iż dojrzał ponad wiek. Gładki jak wszyscy Wardowie, ich porywczosć, namiętność, wyniosłość i swawolny niekiedy wdzięk temperował ciężarem odpowiedzialności.

– Nie mówię nic, czego by powszechnie nie wiedziano – odburknął Clive. – Powiadam to z troski o nas wszystkich, ot co.

– Co przez to rozumiesz?

Sprzeczka wisiała w powietrzu. Chcąc przerwać spór, Catherine zaczęła napełniać puste filiżanki. Serena przyłączyła się do jej starań, obnosząc wokół tacę z chlebem.

Jeremy ścisnął skronie dłońmi.

– O nic cię nie oskarżam, Clive. Wszyscy zabiegaliśmy o łaskę, nie zniweczysz przecież lekkomyślnie naszych wysiłków. – Uśmiechnął się dla złagodzenia ostrego tonu. – Wybacz, jeśli zbyt się uniosłem. Za wiele rozmawiałem z lordem Kirklandem, to niewyczerpane źródło informacji o tajnych stowarzyszeniach, które rozpleniły się po całej Anglii – jakobickich, ma się rozumieć. Nic z tego nie będzie, tyle że kilku wartogłówów skończy na szubienicy.

– Kirkland ci to powiedział? – zapytał Clive niedowierzająco.

– Nie zdradzał tajemnic ministerium, jeśli to masz na myśli. I ty musiałeś słyszeć o tych stowarzyszeniach. Po kawiarniach i klubach nie mówi się o niczym innym.

Kiedy Clive zmilczał ostatnią uwagę, Jeremy obrzucił go baczny spojrzeniem.

– Wiem, jakie masz zapatrywania, ale wierzę w twój zdrowy rozsądek. Nie będziesz głupcem, żeby porywać się do insurekcji?

– Nie, ma się rozumieć, że nie – zapewnił Clive. – Masz moje słowo, Jeremy.

Wyraźnie uspokojony, Jeremy wziął filiżankę, którą Podsunęła mu Letty.

Tu do rozmowy włączyła się Serena.

– Wspomniałeś o możliwym protektorze. Kto zacz?

– Wiceminister, lord Kirkland.

– Czemu miałbyście chcieć pomagać ojcu? – zagadnęła Letty.

– Ojciec był niegdyś przyjacielem jego starszego brata – odparł sucho Jeremy. – Po rebelii roku piętnastego ojciec ukrywał się z ludźmi Kirklanda, zanim zbiegł z kraju. Hrabia pomógł przez pamięć związków, jakie łączyły ojca i lorda Hugona. Tak przynajmniej utrzymuje.

– Byłyby inne powody?

Jeremy uśmiechnął się.

– Pewnie wyrządzam staruszkowi krzywdę, ale widzi mi się, że woli mieć ojca tutaj, gdzie może mieć nań oko, niżli we Francji.

– Kim jest lord Hugo? – zapytała Letty.

– Letty – zaprotestował ostro Clive. – Mamy do omówienia ważniejsze rzeczy niż minione dzieje.

– Wy wiecie oczywiście wszystko o papie i lordzie Hugonie – nie dawała za wygraną Letty. – To niesprawiedliwe. Nikt mi o niczym nie mówi! Okropne jest być najmłodszą.

Jeremy i Catherine wymienili rozbawione spojrzenia, po czym brat w kilku słowach opowiedział Letty, jak zginął lord Hugo.

Serena słyszała już wcześniej tę opowieść, nie zwracała przeto uwagi na słowa Jeremy'ego. Patrzyła na Clive'a: rozpalona twarz, niespokojny, jakby targały nim wyrzuty sumienia. Zastanawiała się, o czym myśli. Ich misja zawieszona, nie kłamał też dając bratu słowo, że nie zamyśla powstania. Nie byli jakobitami, chcieli tylko pomóc zbiegom, a to co innego niż sekretne spiski. Subtelna różnica, ale Clive musiał to rozumieć.

– I lady Harriet uciekła z preceptorem?! – wykrzyknęła Letty. – Biedny papa! Jakie to romantyczne! Ciekawam, co się z nimi stało?

– Romantyczne! – Clive skrzywił się z naganą. – Nie słyszałaś, co powiedział Jeremy? Ten człowiek zdradził papę i lorda Hugona, dlatego Hugo zginął.

– Skąd możecie wiedzieć, że pan Renney na nich doniósł? Każdy mógł to zrobić.

– I to być mogło – oznajmił Jeremy głosem, który zawsze potrafił przywrócić porządek, kiedy rodzinne rozmowy przeradzały się w wulgarne przekrzykiwanie. – Teraz więcej powinno zajmować nas, co przed nami. Za kilka dni jadę do Francji na spotkanie ojca; powiem mu, jakie są warunki ułaskawienia. Będzie musiał zaprzysiąc wierność Jego Wysokości, królowi Jerzemu,

i jego następcom. Łaski nie kupuje się tanio. Dość powiedzieć, że przyjdzie nam teraz zaciskać pasa. Dom trzeba będzie wydzierzawić albo sprzedać. Nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie dwóch posiadłości, kiedy Riverview jest tak blisko Londynu.

Znacznie więcej kryło się za słowami Jeremy'ego. Kiedy skończył, wszyscy popadli w ponure milczenie.

Pierwsza ekskuzowała się Letty. Clive podniósł się w ślad za nią.

– Clive! – zawołał jeszcze za nim Jeremy. – Chciałbym, żebyś jechał ze mną do Francji.

Clive odparł dopiero po chwili:

– Ma się rozumieć. Co zechcesz. Kiedy ruszamy? – wydusił z trudem.

– Najpóźniej w sobotę.

Clive skinął głową i wyszedł z pokoju.

Widząc jego przygarbione plecy, Serena miała ochotę pójść za nim, ale wpierw, wiedziona odruchem, podeszła do Jeremy'ego. Położyła dłonie na jego ramionach i pocałowała go w policzek.

– A to co, moja panno? – zaśmiał się Jeremy.

– A to – odpowiedziała przez łzy – żem nie zawsze cię doceniała, jakem powinna.

– Jest aż tak źle? – zapytała cicho Catherine, kiedy Serena wyszła już z salonu.

– Gorzej być nie może. – Tyle było goryczy w jego głosie, że przyskoczyła do męża i uklękła przy nim.

– Powiedz mi wszystko – poprosiła ujmując jego dłoń i przyciskając do łona.

– Co ci mam powiedzieć? Wierzyciele, zastawy, majątności obciążone. – Próbował otrząsnąć się z ponurego nastroju. – Musiałem. Jakoś przetrwamy.

– Ciężko będzie dziewczynkom, szczególnie Letty – powiedziała cicho.

– I to się kiedyś odmieni – odparł ściskając jej dłoń pocieszającym gestem. – Rok, dwa i odbudujemy fortunę.

Uśmiechnęła się, a po chwili spytała:

– Jeremy, o co idzie z Clive'em? Dlaczego zabierasz go do Francji?

– Wszystko widzisz. Nie chcę, żeby nabroił pod moją nieobecność. Prawiem pewien, że należy do jednego z tych tajnych stowarzyszeń.

– Ale! Powiadają, że wszyscy młodzi do nich należą. To bagatela, moda jeno. J-jak każda, szybko przeminie.

– Tak moja duszko, ale on zwie się Ward, prawda? Cięży na nas zła sława, a teraz, kiedy ojciec ułaskawiony...

– Rozumiem. Biedny Jeremy, tylu trosk ci przysparzamy. – Zaśmiała się cicho. – Powiedz mi, chciałbyś Juliana Raynora za szwagra?

– Raynora? Nie powiesz, że smali cholewki do Letty?



– Dlaczego akurat do Letty? Mówię o Serenie. Chciała go wybadać, a przy tym rozbawić. Dał się wciągnąć w nowy tok rozmowy.

– Karciarz i Serena. Jakże to?

– Odpowiedz mi na pytanie. Miałbyś coś przeciwko temu, żeby Raynor został twoim szwagrem?

– Co? Mieć coś przeciwko wejściu krewnego do rodziny? Odpowiem: nie! Ale co ja myślę, niewiele waży. Ojciec nigdy się nie zgodzi.

Obydwoje wiemy, jak się urabia ojców. Nie zapominaj, że Serena jest panią samej siebie i rządzi się własną wolą.

Zasepił się, zmarszczył czoło.

– Nie mówisz poważnie, Catherine?

– Ależ tak, mój mężu. Musiałaś zauważyć, że ostatnimi czasy major Raynor jest wszędzie tam, gdzie Serena.

– Jak i połowa Londynu – obruszył się. – To jeszcze nic nie znaczy.

Catherine posłała mu pełen wyższości uśmiech.

– Nie możemy się ruszyć na przejażdżkę albo na zakupy, żeby nie natknąć się jakoby przypadkiem na majora.

Rozwahał przez chwilę jej słowa.

– Serena zachęca go do tych karesów?

– Ani trochę. To nie w jej naturze. Ale każdy, kto umie patrzeć, widzi, że mają się ku sobie.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Na twoim miejscu, Jeremy, zaczęłabym się oswajać z tą myślą – stwierdziła Catherine kiwając głową.

Serena poszła za Clive'em. Nie musiała daleko szukać. Znalazła go w sieni. Zbierał się właśnie do wyjścia.

– Chciałam zamienić z tobą słowo.

– Później. Mam spotkanie...

– Teraz – oznajmiła otwierając drzwi pokoju śniadaniowego.

Ledwie przestąpił próg, zamknęła drzwi i przeszła wprost do rzeczy.

– Co się dzieje, Clive?

– Nic! Wszystko! Słyszałaś, co powiedział Jeremy. Nie wiedziałem, że sprawy mają się tak kiepsko.

Patrzyła na niego uważnie.

– To co innego. Coś cię trapiło, zanim jeszcze Jeremy powiedział o kłopotach z pieniędzmi. O co chodzi?

Unikał jej wzroku, przestępując z nogi na nogę, wreszcie wybuchnął:

– Nie chciałem cię w to mieszać. Prawdę rzekłszy, wolałbym, żebyś się trzymała z daleka.

To niebezpieczne zajęcie i nic do niego kobietom.

Położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała z wyrzutem.

– Pozwól, że sama osądzę, a teraz mów, w jakieś wpadł opały.

Chwilę się wahał, zanim zaczął mówić.

– Rzecz w tym, że się zgodziłem przerzucić następnego „pasażera”. Nie mogę zawieść, nie wiem, do kogo się zwrócić, komu zaufać. Muszę jechać z Jeremym do Francji. Co począć, Sereno?

Kiedy w Ward House pojawił się konstabl, Serena była w domu jedynie ze służbą. Wywołana z małego saloniku przeznaczonego dla pań, ogarnęła się i zeszła do niebieskiego salonu, gdzie czekał gość.

Takie wizyty nie były niczym niezwykłym. Najczęściej dotyczyły bójek, w które wdawała się służba, kiedy na ulicy lektyki weszły sobie w drogę. Londyńscy lektykarze znani byli z krewkiej natury. Serena modliła się, by i tym razem chodziło o podobną błaźnię.

Powitała pana Loukasa z całkowitym spokojem, prosiła siadać i wyjaśniła, czemu to ona go podejmuje.

– Jak wam może wiadomo, moi bracia bawią we Francji, gdzie czynią konieczne przygotowania na powrót ojca.

– A jakże, słyszałem, że sir Robert otrzymał ułaskawienie. Kiedy wyjechali?

– Będzie dwa dni.

– A kiedy czekacie ich powrotu?

Obserwowała konstabla spod oka. Z wesołymi, niebieskimi oczami i pulchną twarzą zdawał się uosobieniem poczciwości. Lekko przekrzywiona peruka czyniła go jeszcze sympatyczniejszym.

– Nie umiem powiedzieć – odparła nabrawszy otuchy. – Przed wyjazdem doszła nas wiadomość, że ojciec niedomaga. Och, nic poważnego, podagra. Kiedy tylko będzie gotów ruszyć w drogę, wrócą do domu.

– Pani Ward, czy pojechała z nimi?

– Nie, Catherine, to jest pani Ward, i moja młodsza siostra pojechały do dzieci do Riverview. I ja bym pojechała, ale moja klaczka dostała gorączki. Goldie jest taka rozpieszczona – zwierzyła się Serena – że prędzej by padła, niżli dopuściła do siebie kogo poza mną.

Nie znosiła zmyślać i wodzić ludzi za nos, ale nie było innego sposobu. Przynęła Clive’owi, że bezpiecznie wyprawi „pasażera”, a to oznaczało, że musi pozostać w Londynie,

dopóki nie wywiąże się z obietnicy. Co czyniło całą rzecz jeszcze mniej miłą, to fakt, iż wszyscy przyjmowali jej tłumaczenia za dobrą monetę. Przykro tak nadużywać zaufania. Gdyby tylko Catherine zaprotestowała, mniej czułaby się winna, ale ta rzekła tylko, że choć dzieci będą zawiedzione, muszą zrozumieć, iż klaczka jest ważniejsza.

– Ufam, że wasza opieka skutkuje? – zapytał konstabl uprzejmie.

Kiedy Serena ostatni raz widziała Goldie, ta opychała się jak szalona owsem w swoim boksie w stajni.

– Za wcześnie mówić – odparła z udanym niepokojem. – Bardzo jest delikatnej konstytucji. Rasowe konie pełnej krwi takie już są.

Wyczerpawszy grzecznościowe formułki, Serena nie wiedziała, co rzec, pan Loukas zaś nie spieszył się z wyjawieniem powodu swej wizyty.

– Rozumiem, że Flynn wdał się znowu w jakąś awanturę? – zagadnęła wspominając ostatnie odwiedziny konstabla. – Natrę mu uszu. Zechciejcie rzec, co nabroił, a natychmiast pokryję straty.

Okazało się, że wizyta konstabla nie ma nic wspólnego z Flynnem. Loukas chciał się widzieć z Clive'em. Tego najbardziej się obawiała.

– Z Clive'em? Czemu to chcecie się widzieć z moim bratem?

– Nie niepokójcie się, pani. Chodzi o jego znajomego. Możecie kiedy o nim słyszeli? Lord Alistair Cumming.

Serena nie tylko o nim słyszała, ale też wiedziała doskonale, kto zacz – „pasażer”, którym przyrzekła się zająć. Akurat tego dnia o pierwszym brzasku trafił pod jej skrzydła. Teraz czekał w domu na Whitefriars Street, by pod osłoną nocy przedostać się na statek.

– Znajomy mojego brata, powiadacie? Nazwisko jakbym słyszała, ale... – Potrząsnęła głową. – Przykro mi, nie mogę wam pomóc, panie Loukas.

Zamienili jeszcze kilka słów, po czym konstabl pożegnał się z należyтым szacunkiem.

Rozmyślała jeszcze o rozmowie, kiedy do salonu wszedł Flynn.

– Czego chciał? – zapytał bez wstępów.

W kilku słowach wyjaśniła mu powód wizyty.

– Nie podoba mi się to – orzekł Flynn.

Serenie też się nie podobało.

– Ech! – prychnęła. – A cóż może nam zrobić? Nie będzie przecież podejrzewał niewiasty. Nie możemy opuścić biednego lorda Alistaira w potrzebie.

– A to czemu? Podług mnie niechby sobie radził.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Poza tym to jeszcze chłopiec.

– Żołnierz. Tyle ma lat co ja, na litość Boga. Ma się chować pod babskimi spódnicami?

Nie słuchała, co mówi.

– Daj mi pięć minut. Pozbędę się tych krynolin i ruszamy w drogę.

– Nie! Nie tym razem. Nie bende kładł głowy pod topór, choćby i dla przyjaciela twojego brata.

Pokazała mu olśniewająco białe zęby.

– Bez obawy, Flynnie, nie grozi ci topór. Prostaków wieszają.

Patrzył za nią z uśmiechem, który musiałby wzbudzić jej podejrzenia, gdyby go widziała.

W powozie wiozącym ich na Fleet Street Flynn ciągnął poprzedni temat. Nie przerywała mu, zajęta dopasowywaniem białej maseczki pożyczonej z bogatej garderoby Catherine. Modne damy, chcąc zachować incognito w czasie wieczornych eskapad, często pojawiały się w maskach.

– Dość mam, powiadam – burknął ponuro. – Siłów mi do ciebie nie staje.

Serena posłała mu kosę spojrzenie.

– Wierz mi, Flynnie, że mogłabym powiedzieć to samo. Rób tak dalej, a marny twój koniec.

Wyszczerzył zęby wiedząc, że pije do jego rozlicznych amatorów z damami jej stanu.

– A co robie? – zainteresował się Flynn.

– Mówić nie umiesz jak człowiek – odparła zgryźliwie.

– Potrafię, kiej trza. Widzieliście jom, szlifowany jenzyczek! – odgryzł się Flynn, a kiedy zobaczył, że zacisnęła usta i przybrała zasadniczą minę, wyszczerzył się jeszcze bardziej. Poderwał się ze śmiechem i zapukał w dach, dając woźnicy znak, by stanął.

– Jeszcze nie Whitefriars Street – zaprotestowała Serena. – Dlaczego stajemy?

– Rusz głowom. – Dobył z kieszeni kapoty wypchaną sakiewkę. – Nie widzi mi się ten konstabl. Szczwana sztuka.

– Myślisz, że nas śledzi?

– Powiedzmy, że dożyłem sendziwego wieku dwudziestu lat, bom nie zapominał o przezorności – oznajmił Flynn.

Ledwie znalazł się na trotuarze, przeistoczył się natychmiast w ideał lokaja, pełnego uwagi wobec swojej pani i znającego własne miejsce: grał, ma się rozumieć, ale przynajmniej nie uwłaczał obyczajności.

Wysiedli na końcu Bouverie Street przy wąskim, śmierdzącym zaułku, gdzie na rozciągniętych między oknami sznurach suszyło się mnóstwo bielizny. Serena natychmiast przytknęła do nosa perfumowaną chusteczkę. Uliczka pełna była skulonych po kątach, bezformnych postaci w różnych stadiach opilstwa. W oświetlonych oknach bezwstydnie wystawiały swoje wdzięki obnażone dziewczęta, rajfurzy zaczepiali przechodniów. Interes kwitł.

Widywała podobne sceny w okolicach Covent Garden i Drury Lane, kiedy wieczorami wybierała się do teatru. Bliżej domu, na Strandzie, już przed stu laty zaczęły wyrastać jeden po drugim bogate pałace, z nastaniem zmierzchu na ulicy też pojawiały się prostytutki i ich

opiekunowie, ale tam miało to pozór elegancji, tutaj nieobecny. Tak plugawego miejsca jeszcze nie widziała.

Chwilę zwłóczyli, póki Flynn się nie upewnił, że droga czysta. Dopiero wtedy ruszyli przez labirynt zaułków na Whitefriars Street.

– Musisz być bywalcem tej okolicy – powiedziała Serena, odejmując wreszcie chusteczkę od nosa i unosząc znacząco brwi.

Za całą odpowiedź Flynn wyszczerzył tylko zęby.

Dom, w którym umieścili lorda Alistaira, prezentował się całkiem przyzwoicie jak na tę dzielnicę. Ulica pełna była powozów i lektyk, a goście w narożnej kawiarni przypominali ludzi, wśród których się obracała.

Flynn zaczął rytmicznie bębnić w drzwi, wystukując umówiony sygnał.

– Kto tam?

– Twoja biała różyczka – Serena podała hasło, które sama wymyśliła.

Flynn wzniosł oczy do nieba.

– Prawdziwy teatr. Zajmij się swoim Romeo, ja sprawdzę na dole.

W drzwiach pojawił się młody chwat wystrojony wedle najnowszej mody w fatałaszki, które Serena pożyczyła z garderoby Clive'a.

– Panna Ward – powitał ją z uśmiechem i wprowadził do środka.

Wzięcie lorda Alistaira, jego niezłomna wierność straconej sprawie, nawet lekki szkocki zaśpiew – wszystko to znajdowało uznanie w oczach Sereny.

Wysunął krzesło i strzepnął z niego kurz chusteczką.

– Napijecie się ze mną wina, milady?

Wino także dostarczyła Serena, korzystając z zasobnej piwniczki sir Roberta.

– Z radością, panie.

Jako że był tylko jeden kieliszek, upiła łyk i oddała resztę lordowi Alistairowi. Zaczerwienił się na tę poufałość, co naturalnym biegiem rzeczy nakierowało jej myśli na wieczór, kiedy to po raz ostatni piła wino w towarzystwie dżentelmena.

Dżentelmena. Przypomniała sobie, jak się na nią rzucił niczym wygłodniałe zwierzę, i spąsowała. Gotowa by zjeść pięćdziesięciofuntowy banknot, jeśli Julian Raynor kiedykolwiek w życiu się spłonił.

– Nie zapomnę was póki życia – oznajmił lord Alistair. – Nigdy nie oczekiwał, że zaznam tyle dobroci pośród Anglików. Jesteś, pani, najdzielniejszą damą, jaką kiedykolwiek miał zaszczyt spotkać.

„Masz maniery damy i naturę ladacznicy”. Takie były komplementy Juliana Raynora i niewiele się zmieniły od dnia spotkania w gospodzie „Pod Strzechą”. Myślała, że doszli do porozumienia, iż w przyszłości będą się wzajem unikać. Tymczasem, kpiąc sobie z jej życzeń,

pojawił się wszędzie tam, gdzie najmniej mogła go oczekiwać. Zaczęło się od *levee* Catherine. Teraz, czy jechała do parku, na zakupy, szła na wieczór z muzykowaniem, był wszędzie, ścigał ją wzrokiem, szeptał: „Victorio”, kiedy nikt nie słyszał. Nie sposób było uwolnić się od niego, pozbyć się nie wzbudzając powszechnych podejrzeń. Musiała się uśmiechać, potakiwać, prowadzić konwersację, gdy najchętniej plunęłaby mu w twarz. Victoria, doprawdy! Victoria Noble była wytworem jej imaginacji: im prędzej to pojmie, tym szybciej zniknie jego zainteresowanie.

Zdecydowana uwolnić się od myśli o Julianie Raynorze, wdała się w pogawędkę na temat Uniwersytetu Świętego Andrzeja, gdzie Clive studiował przez rok i gdzie poznał lorda Alistaira. Obydwoje zamilkli słysząc kroki na schodach. Utkwili wzrok w drzwiach. Po chwili do pokoju wpadł Flynn.

– Milicja – syknął. – A z nimi konstabl. Bierzemy nogi za pas, jeno żwawo.

Zgasili jedyną świecę i ruszyli za Flynnem, który wcześniej się upewnił, że w domu jest drugie wyjście. Zaczęli wspinać się na strych.

– Nie pozwolę, żeby mojej panience przytrafiło się co złego – szeptał popychając Serenę za łokieć. – Nie ma strachu, wydostaniemy się stond.

Zatrzymali się przy okienku wychodzącym na tyły domu. Z dołu dochodziły odgłosy trzaskania drzwiami, tupot nóg, jakby cała armia ruszała do ataku. Serenie oczy rozszerzyły się z przerażenia, kiedy widząc, jak Flynn wyciąga drabinę z komórki, pojęła, do czego zmierza. Z pomocą lorda Alistaira wysunął ją przez okno. Usłyszeli łoskot, gdy opadła po drugiej stronie.

– Przejdę pierwszy – oznajmił Flynn i skoczył do drabiny.

– Czekaj – powstrzymał go lord Alistair. – Jeśli złapią nas razem, przepadliście. Tutaj się rozstaniemy.

Flynn zaśmiał się, a Serenie jego śmiech zabrzmiał tak, jakby chłopak bawił się w najlepsze całą przygodą.

– Nie złapiom nas. Zaraz się wydostaniemy. Pokaże wam mój Londyn. Zejdziemy do podziemi, co je zostawili Rzymianie.

– Człowieku, jesteśmy całe mile od doków.

– Prawda, ale za to blisko domu Raynora. Ukryje nas, bo winien te przysługę panience Serenie, pojmujecie?

Serenie dech odjęło.

– Ani myślę zbliżać się do Raynora, ostrzegam cię, Flynn. Zdania nie zmienię.

– Pysznie – odparował Flynn. – Tedy mów, co robić.

– Są tam! – usłyszeli krzyk z dołu. Serena przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Cóż?

– Wygrałeś – powiedziała i ujęła jego wyciągniętą dłoń.

Julian siedział za wielkim biurkiem w swoim gabinecie i przebiegał wzrokiem list, który właśnie nadszedł. Perfumowana papeteria odstręczała, ale treść budziła zainteresowanie. Wyglądało, że lady Amelia Lawrence odprawiła swojego ostatniego kochanka: na dowód posyłała klucz do bocznych drzwi swojego domu przy Whitehall. Julian z prawdziwym żalem musiał odrzucić zaproszenie.

Pogwizdując refren jakiejś sprośnej żołnierskiej śpiewki, zamyślił się przez chwilę nad autorką listu. Bujna, krągła, o gorącym sercu, lady Amelia miała wszystko, czego szukał w kobiecie. Niewiasty jej nie lubiły, czego można było oczekiwać, skoro mężczyźni lgnęli do niej jak muchy do miodu na własną zgubę i zatracenie, ale o to akurat dbał najmniej. Ich romans był bezwstydnie cielesny, co bardzo mu odpowiadało. Były romans – napomniął się w myślach. Rzecz należała do przeszłości i im szybciej pani to zrozumie, tym lepiej dla wszystkich.

Obraz innej kobiety zajął mu myśli, a z nim napłynęło wrażenie czegoś zimnego, odległego i niezdolnie nieosiągalnego. Serena Ward. Niedostępna, zimna jak miętowy ulepek cyrulika. Wrażenie zniknęło, w jego miejsce pojawił się obraz wielkich oczu ciskających spod gęstych rzęs niebieskie błyski, ust dopraszających się pocałunków, które uciszyłyby potok słów; Julian oczami duszy widział fajerwerki, petardy, race eksplodujące nad głową z gwałtownością nagłej letniej burzy.

Szaleństwem było trwać w obecnym postępowaniu. Zrobił swoje. Stuliwszy uszy poszedł naprawiać biedę, której sama sobie napytała swoim o pomstę wołającym zachowaniem. I jak mu odpłaciła za jego wysiłki? Dokładnie tak, jak przewidział. Powiedziała, co o nim myśli, zelżyła i odprawiła jak niepysznego. Wbrew wszystkiemu, wspierany namowami Flynna, by się nie zrażał, próbował z nią po dobroci, ona zaś zbywała go na każdym kroku. Człowiek przy zdrowych zmysłach dawno dałby sobie spokój. Uczynił, co w jego mocy, miał czyste sumienie. Powinien o niej zapomnieć.

Flynn mu nie pozwolił, a bardziej był czepny niż jego własne sumienie. Ale Flynna nie było przy tym, kiedy bez osłonek powiedziała jemu, Raynorowi, co myśli o jego propozycji małżeństwa.

„Libertyn”. Zjeżył się na wspomnienie, z jaką hardą miną rzuciła mu to w twarz. Właściwie nie rzuciła, obelga spłynęła z pięknych usteczek niczym trucizna. Libertyn! Nie był niepomiarkowanym libertynem. Wiadomo, nie był też świętym, jeno mężczyzną, a nie jednym z tych wypomadowanych, sepleniących niezgułów, którzy jej nadskakowali, ale nie wiedzieliby, co czynić z kobietą, gdyby ich życie od tego zawisło. On wiedział i tego nie mogła mu



wybaczyć.

Zachmurzył się. „Czysty obłąd” – powiedział sobie z westchnieniem i próbując bodaj na chwilę uwolnić się od prowokującego obrazu Sereny Ward, wrócił do papierów, które przeglądał, zanim sięgnął po liścik lady Amelii. Miał tu wszystkie skrypty dłużne, które skrzętnie gromadził ostatnimi czasy. Całe dobra doczesne rodziny Wardów. O ile wiedział, nie zostało im już nic, co mogliby zastawić bądź sprzedać. Teraz wystarczyło odczekać kilka miesięcy do terminów płatności, a będzie miał sir Roberta w garści.

Nieszczęściem doprowadzenie sir Roberta do zguby musiało dotknąć pozostałych członków rodziny. Przykrość, której nie dało się uniknąć, ale to sir Robert zapoczątkował łańcuch nieszczęsnych wypadków i Julian nie czuł dlań litości. Wardowie są dorośli i będą musieli zadbać o swój los. Przeżyją, podczas gdy jego rodzina...

Wróciły wspomnienia, z nimi ból, który, bywało, tylko butelka brandy mogła uśmierzyć.

Długo tkwił bez ruchu, zapatrzony w przestrzeń. Wreszcie się ocknął, zebrał z biurka weksle i podszedł do windy, pociągnął za dźwignię, drzwiczki otworzyły się z trzaskiem. Włożył dokumenty i zamknął szyb gwałtownym ruchem.

Przez kilka minut siedział nad księgami rachunkowymi, studiując kolumny cyfr i wpisując do nich pozycje ze skryptów dłużnych. Hazard – czego dowodziły księgi – przynosił wcale godziwe zyski. To wszystko. Nie był nałogowym graczem. Miał smykałkę, potrafił w mgnieniu oka ocenić szansę. Nigdy nie obstawiał na przekór fortunie, nigdy nie dał się ponieść namiętności. Dar przewidywania i cierpliwość przyniosły mu więcej, niż mógł wydać, może nawet zbyt dużo.

Na ogół panowie spłacali długi gotówką. Bywało wszak, że kiedy nie stało pieniędzy, Julian przyjmował różnego rodzaju zabezpieczenia. Tak wszedł w posiadanie ziem w Karolinie Południowej, pięknej posiadłości pod Londynem, dworku myśliwskiego w Szkocji. Miał kosztowne srebra, klejnoty, konie pełnej krwi, udziały w intratnych przedsiębiorstwach. Wszystko to gromadził bez uszczerbku dla sumienia, zakładając, że jeśli nie on, dostałby to wszystko ktoś inny. Hazard tak się pienił pośród majątnych Anglików, że dla większości stał się drugą naturą, a ptaszki, które obskubywał, obficie były porośnięte w piórka. Ci ludzie nie odczuwali straty. Wiedział o tym, jako że rada klubu przeprowadzała dokładne rozpoznanie stanu majątkowego potencjalnych członków.

Rozmyślenia przerwało mu pukanie do drzwi.

W progu stał dżentelmen ubrany podobnie jak on sam, wytwornie, acz bez krzyczącej przesady. Podobnie jak on, nie nosił szpady, co oznaczało, że jest domownikiem. Inaczej wszak niż Julian ze swoją powściągliwą elegancją, czynił wrażenie żołnierza, który zdjął dopiero co mundur. Bo też był żołnierzem. Szeroką, poorlyaną bruzdami twarz rozjaśniał uśmiech. David Black, zwany Blackie, wszedł do pokoju.

– Proboszcz już przyszedł? – zagadnął Julian wracając na swoje miejsce za biurkiem.

– A jakże. Zadbaliśmy o niego, jak przykazałeś. Siedzi teraz przy twoim stole i pałaszuje obiad, jakiego w życiu nie jadł. Co knujesz, Julianie?

– Jeden z gości chce ślubu. Znasz zasady domu: nasz klient, nasz pan.

– Odnoszą się tylko do jadalni. Pomidory poza sezonem, świeże truskawki i takie tam. Co za głupiec brałby potajemny ślub. Toż to żaden ślub.

Szeroko uśmiechnięty, Julian odchylił się na krześle.

– Tu się mylisz, Blackie. Nie powiadam, że to respektowane śluby, nie powiadam też, że nie respektowane. Zależy, jak je małżonkowie potraktują.

Blackie pokiwał głową. Julian nie był w nastroju do zwierzeń.

– Nie z tym przychodzę. Na dole czeka ktoś, kto chce z tobą mówić.

– Tak? – zapytał Julian obojętnie. Przekładał papiery na biurku, szukając karneciku od lady Amelii.

– Młoda dama. Żeby być szczerym, zrazu chciałem pokazać jej drzwi. Suknia, włosy... – Pokręcił znowu głową. – Wziąłem ją za ulicznicę, ale ledwie otworzyła usta, połapałem się w omyłce. Dumna – oznajmił Blackie z przekonaniem.

Julian podniósł głowę.

– Mów dalej.

– Co? A, tak. Z wyglądu nie powiesz, ale albo to jaka diuszesa, albo blisko tego. Nie rozpoznałem jej, bo nosi maseczkę. To jeszcze nie wszystko. Weszła sekretnym przejściem, z nią dwóch mężczyzn.

– Serena – mruknął Julian tak cicho, że Blackie nie dosłyszał imienia. – Gdzie są teraz?

– W purpurowym salonie. Mam rozumieć, że znasz damę?

W oczach Juliana zamigotał diabelski chochlik.

– Znam, a jakże. Serena albo Victoria. Zapewne jedna z nich. – I z tymi zagadkowymi słowami wyszedł z pokoju.

Nigdy w życiu nie czuła się bardziej upokorzona i bardziej przerażona, podstępnie zwiedziona, wściekła. Miała ochotę walić głową w ścianę, nie, miała ochotę chwycić Flynnę i jemu rozbić głowę. Odgrywa Kupidyna zdrajca! Nic jej nie odwiedzie od tego przekonania.

Mogli jeszcze uciec, teraz było za późno, przynajmniej Flynn tak twierdził. Nie dowierzała mu. Rozmyślnie się ociągał, czekał, aż milicja zacznie im deptać po piętach. Wzdrygnęła się na wspomnienie pościgu kanałami. Czy aby na pewno musieli szukać schronienia w domu Raynora? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć. Gubiła się w podziemnym labiryncie, a Flynn milczał, dopóki tutaj nie dotarli.

Twierdził, że nie ma innego wyjścia, jak zdać się na łaskę majora i prosić, by potwierdził ich opowieść o ucieczce młodej pary i o tym, jak to on sam stracił głowę na widok pogoni.

Chciała wiedzieć, z kim to miałyby uciekać. – Z Raynorem – odparł Flynn bezczelnie, sprawiając, że zaniemówiła na dobrych kilka minut.

Z Raynorem? Z każdym, byle nie z nim. Tylko z lęku o lorda Alistaira dała się tak omotać. Biedny chłopiec był zupełnie wykończony. Bał się ciemnych, zamkniętych pomieszczeń. Szedł przez podziemia ledwie żywy z przerażenia. Prawda, że dłużej nie mogli zostać w kanałach.

Posłała mu serdeczny uśmiech, po czym, zmieniając wyraz twarzy, spojrzała na Flynną.

– Ładny dom ma major, prawda? – zagadnął ten przerywając przeciągające się milczenie.

– Ładny? – Jej język ociekał jadem. – Powinieneś się wstydzić, żeś mnie sprowadził do tej jaskini występku.

Lord Alistair schował chusteczkę, którą ocierał czoło, i rozejrzał się ciekawie.

– Jaskinia występku? – obruszył się Flynn. – Juźci! To szacowne miejsce. Pokazałbym ci spelunki.

– To nazywasz szacownym miejscem? – Zatoczyła dłonią wokół, ogarniając jednym gestem kosztownie urządzone wnętrza, utrzymane w tonacji, która przywodziła jej na myśl przejrzałe śliwki. Co innego miała teraz w głowie niż zastanawiać się nad dekadentkim wystrojem. Przypomniała sobie, jak wydostali się z kanałów przez piwnice do holu wejściowego. Oślepiąca światłem niezliczonych świec zmrużyła oczy. Kiedy zaczęła rozróżniać kształty, dojrzała białe marmury, złożone głowice jońskich kolumn i freski wypełniające każdy wolny skrawek ścian, a przedstawiające nimfy i satyrów w nieprzystojnych pozach.

Nie mniej dekadentcko prezentował się hałaśliwy tłum dżentelmenów w pudrowanych perukach i bogato haftowanych *habits* mieniących się wszystkimi kolorami tęczy, oraz „dam” – ha! – w szerokich krynolinach, z ledwie przesłoniętymi dekoltami. Szampan, naturalnie, lał się strumieniami.

To wszystko mogła jeszcze znieść, w końcu przychodziła z supliką, kiedy natknęła się na kobietę, którą szczerze i gorąco gardziła. Lady Amelia Lawrence, ciemnowłosa, krucha jak porcelanowa figurynka, polująca na względy, jeśli nie kiesy panów, ominęła Serenę z furkotem spódnic, jakby ta była śmierdzącą żebraczką. Wszystkie damy nosiły maski, ale Serena rozpoznałaby lady Amelię nawet na Polach Elizejskich, po wypiciu wody z Lety, rzeki zapomnienia. Używała zawsze tych samych perfum o mieszanym zapachu róż i goździków. Nie zmieniała ich od lat.

Serena nie posiadała się z oburzenia. I tutaj bywają jej bracia?! Nic dziwnego, że Jeremy nigdy nie chciał przyprowadzić do klubu jej ani Catherine.

– Niewiele się to różni od lupanaru – oznajmiła głośno.

– Chyba ich zgubiliśmy. – Lord Alistair nieudolnie próbował skierować rozmowę na inne tory.

Flynn zapatrzył się w sufit, jakby tam szukał natchnienia, po czym odważnie spojrzął na wściekłą Serenę.

– Masz robaczywe myśli, dziewczyno, ot co. Nie wiesz, że to dom gry? Czegoś się spodziewała? Saloniku, gdzie dziewczice popijajom herbatkę? Niewielu miałyby Raynor gości.

– Mogłam wiedzieć, że weźmiesz jego stronę – odparła krótko Serena i dalej przemierzała pokój.

Nie zważając, że na niego nie zważa, Flynn ciągnął dalej:

– Lepiej strzymaj język za zębami, kiedy chcesz, żeby nam major pomógł. Milicji jeno patrzeć – powiedział zerkając przez okno. – Nie mamy odwrotu.

Na wspomnienie milicji lord Alistair poderwał się z krzesła, dobył szpady i stanął w pogotowiu, nieco się trzęsąc. Ciągle jeszcze nie doszedł do siebie po przygodach w podziemiach.

– Poniechaj broni, człowieku, zanim uczynisz sobie jakom krzywdę – krzyknął zniecierpliwiony Flynn.

Odpowiedź lorda Alistaira ubiegło wejście Raynora, dopełniając upokorzeń Sereny. Odziany w nieskazitelny *habit* z szarego aksamitu i białe atlasowe pludry, w koszuli ze śnieżnobiałymi mankietami i takimże żabotem, sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze się wypawszy zażył długiej kąpieli, po czym starannie przebierał w świeżo upranych strojach. Irytował ją nawet roztaczany przezeń zapach, miła woń krochmalonej bielizny i wody kolońskiej, klóćący się z zatechłym smrodem błota na jej potarganej sukni. Świadomość, że cuchnie kanałami, przyprawiała ją o wstyd i doprowadzała wściekłość do punktu wrzenia. – Victoria – zaśmiał się. – Czyżbyś zmieniła zdanie? Obraziła się na ten jawny przytyk do propozycji, jaką jej poczynił pierwszego wieczoru. Wiedziała przecież, że jeśli im nie pomoże, będą zgubieni.

– Na imię mi Serena – bąknęła dość potulnie.

Udał zasmucenie.

– Moje pytanie nadal jest w mocy. Czyżbyś zmieniła zamiary?

Tym razem czynił naturalnie aluzję do swojej oferty małżeństwa i jej obraźliwej rekuzy. Kątem oka widziała, jak Flynn zapalczywie potakuje głową. Zwilżyła usta i spróbowała zrobić błagalną minę.

– Rzecz w tym, Julianie...

– Dobry Boże, co za woń. Co z twoją suknią? – Nie czekając na odpowiedź spojrzął na Flynną, potem na młodzieńca z dobytą szpadą w dłoni. – Powitać, panowie. Serena znowu zapomniała o dobrym wychowaniu. Jestem Julian Raynor, a wy, panie...?

– Lord Alistair Cumming – odparł młody Szkot z wyraźnym zaśpiewem Wyżyn.

Skłonił się.

Julian popatrzył na obnażoną broń, po czym ponownie spojrzął na ubłoconą Serenę i równie umorusanego Flynna.

– Nie powiecie mi... Przerwał i wbił wzrok w Serenę. – Gospoda „Pod Strzechą”? Milicja? Zbieg jakobicki? To dlatego...? – W jednej chwili pojął znaczenie tamtego i obecnego zajścia. – Czemu mnie w to mieszacie?! – ryknął.

– Mówiłam ci, że tak będzie – oznajmiła Serena wykręcając dłonie i zwracając się do Flynna. – Ty nas w to wplątałeś. Co teraz radzisz?

Flynn przemówił wpatrując się w Juliana:

– Milicja depcze nam po pientach. Wiedzom pewnikiem, żeśmy tutaj, albo zaraz zwenszom. Gonili za nami po kanałach. Pienć, dziesięć minut, jak tu przyjdę. Gdzie mamy się podziać, do kogo zwrócić? Wiedziałem, że nie odmówicie, majorze, boście winni panie Serenie opiekę. Prawda?

– Nie chce mojej opieki. Powiedziała mi to wyraźnie.

– To było kiedyś. Teraz jest teraz. Nie pomożecie, majorze, czeka nas strydzek.

Patrzyli na siebie przez długą, długą chwilę w milczeniu, po czym obydwaj wyszczerzyli się w uśmiechu.

Serena nie mogła uwierzyć, że żarty im głowie, kiedy lada chwila mogli zostać odkryci i trafić na szubienicę.

– Nie ma się z czego śmiać, Julianie – powiedziała zdesperowana. – Ściga nas straszny konstabl. Tylko czekać, jak do drzwi zaczną się dobijać milicja z żądaniem, byś nas wydał.

Julian popatrzył na Flynna.

– Flynnie? – zagadnął zachęcająco.

Flynn wziął głęboki oddech.

– Z lordem Alistairem najmniejszy kłopot. Byle trzymał jenzyk za zembami i szpadę w pochwie, ujdzie za jednego z waszych gości. Pamientajcie, że trzeba go wsadzić na okrent, ale i to się uda.

– Jakże ma ujść za jednego z gości, kiedy śmierdzi jak kanalarz? – zaprotestował Julian.

Musi się wykompać i przebrać. – Flynn z uśmiechem powąchał rękaw swojej kapoty i ciągnął dalej. – W najwienkszym niebezpieczeństwie jest panna Serena. Ten konstabl z żołnierzami, rozumiecie, jo ścigał, gonili za nami po kanałach. Wiedzom, że coś zamierzamy. – Spojrzął na Juliana jak mężczyzna na mężczyznę. – Nie będzie łatwo przetłumaczyć im, że jest niewinna.

– Niewinna czego? Chciałbym wiedzieć – oświadczył Julian wpatrując się przenikliwie w Serenę.

Zacisnęła zęby, hamując porywczosć.

– Jeśli jest zdradą pomagać jakobitom, to mnie wydaj, ale nie wmówisz mi, że jestem

zdrajczynią!

Twarz Juliana złagodniała. Podszedł do drzwi, uchylił je i zawołał:

– Tibbets!

Niemal natychmiast pojawił się godnie wyglądający służący.

– Ten młody dżentelmen, lord Alistair... musi się zaraz przebrać. Zajmij się tym. Poprowadź go bocznymi schodami i jeśli łaska, przyślij mi tu pana Blackiego. Spiesz się, spiesz, Tibbets. – Tu zwrócił się do Flynnna: – Idź z nimi.

– Nie! – zawołała Serena. – To jest... oni wiedzą tylko o nas. Nie widzieli lorda Alistaira. Flynn musi zostać ze mną. – Spojrzała prosząco na Flynnna, ale ten patrzył na Juliana.

– Rozumiem, ale muszę pomówić z tobą na osobności. Flynn wróci za chwilę.

Zdumiona Serena ujrzała, że lord Alistair pada przed nią na kolana. Przez chwilę myślała, że mdleje, i zaraz pożałowała, że nie zemdłał naprawdę. Uniósł kraj jej sukni i przycisnął do ust.

– Jesteś pani najdzielniejszą, najwspanialszą niewiastą, jaką w życiu spotkałem – oświadczył, po czym posłał jej jeszcze pełne zachwyty spojrzenie i zniknął. Została sam na sam z Julianem.

– Nie rób takiej miny. To tylko objaw szacunku. Chłopiec nie miał nic na myśli.

– Ależ wiem, że chłopiec nie miał nic na myśli. – Najeżyła się. – Domyślam się, że ty nigdy nie wyświadczyłyś damie podobnego honoru?

– Moja droga Sereno, w dniu, w którym spotkam damę godną podobnego hołdu, każę się zamknąć w domu dla obłąkanych. Inaczej mówiąc, taka kobieta nie istnieje – oznajmił ze sztucznym uśmiechem.

Już zaczynała spoglądać na niego przychylniej, ale na te obraźliwe słowa zeszytniała.

– Sereno, ja...

– Nie dziw się, że szukamy u ciebie pomocy. Julian Raynor zawsze spłaca należności. Takeś przynajmniej twierdził. Przychodzę odebrać należność.

– Prosząc o ochronę, jak to wyraził Flynn? – zapytał lodowato. – Czym mogę służyć?

Odwróciła wzrok.

– Dość, żebyś potwierdził – zaczęła zdławionym głosem – że... że Flynn przyprowadził mnie tutaj, żebyśmy mogli... razem uciec.

Skrzyżował ręce na piersiach i obserwował ją uważnie.

– Pojmujesz, że pomagając wam, sam mogę położyć głowę pod topór?

– Pojmuję – odparła patrząc mu prosto w oczy.

– Victorio – powiedział łagodnie – tym razem żądasz niebotycznej ceny.

– Zatem nie pomożesz?

Tegom nie rzekł. Powiadam tylko, że to nierówny targ. Spodziewam się, że dopłacisz różnicę.

– Jakim sposobem?

Uniósł brew.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła jedna z dziewcząt zatrudnionych w domu.

– Julianie – zaczęła bez tchu – konstabl chce się z tobą widzieć... powiada, że dom otoczyła milicja. Musisz iść zaraz.

Serena patrzyła na niego wielkimi z przerażenia oczami.

– A zatem tak czy nie, Yictorio? – Sprawiał wrażenie nieugiętego, ona zaś poczuła się tak, jakby stanęła na krawędzi bezdennej przepaści.

– Tak – szepnęła.

– Chcę mieć twoje słowo.

– Masz je! Czego żądasz? Popatrzyl na nią kpiąco.

– Ślubu, moja droga Yictorio. Chcę się z tobą ożenić.

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie Serena swój ślub. Ani przypominał prawdziwą ceremonię, ani ona prawdziwą pannę młodą. Zamiast kościoła, muzyki organów, kwiatów, za całą oprawę mieli gabinet Juliana pełen książek i ksiąg buchalteryjnych. Suknia, użyczona przez jedną z dziewczyn z kasyna, na pierwszy rzut oka zdradzała swe pochodzenie. Metalowe kółko z karnisza zostało naprędce przerobione na obrączkę. Kółko z karnisza, jakby nie można było znaleźć już nic innego! Rodzinę i przyjaciół przy weselnym toaście zastąpili pacholek z przyklepionym do twarzy uśmiechem kota z Cheshire oraz przedstawiciel prawa, pod bronią i z kajdankami w kieszeni. Najgorszy wszak był celebrans, pan Hargraves, odsiadujący długi w więzieniu Fleet, wypuszczony na kilka godzin i mający powrócić do tego przybytku sromoty przed nastaniem świtu. Ale też właśnie obecność pana Hargravesa (Serena zachodziła w głowę, jak też Julian zdołał go sprowadzić) ostatecznie kazała konstablowi uwierzyć w prawdziwość ich opowieści.

Pokątny ślub, pastor ladaco – mogła się tego spodziewać po Julianie Raynorze.

Konstabl Loukas, pochwyciwszy jej wzrok, uniósł kieliszek szampana w milczącym toaście. W dobrodusznym staruszkę w peruce z trudem rozpoznawała srogiego przedstawiciela prawa, który jeszcze godzinę temu w tym samym pokoju brał ich w krzyżowy ogień pytań niczym najgroźniejszy przeciwnik. Nie bardziej niż lordowi Alistairowi poszedł mu w smak pościg kanałami.

Julian bawił gościa rozmową, nakazawszy wcześniej Serenie trzymać język za zębami, spuszczać skromnie oczy i odgrywać spłonioną pannę młodą. Nie musiał jej przestrzegać, jako że złożona przezeń relacja sprawiłaby w zakłopotanie ostatnią bezwstydnicę. Nie tylko potwierdził wymyśloną opowieść, zapewniając, że ucieczka kanałami nie kryła w sobie nic zdrożnego ponad to, iż była wynikiem popłochu sługi prowadzącego panią na miejsce schadzki, to jeszcze ubarwił całą historię, kiedy dał jasno do zrozumienia, iż potajemnych zaślubin nie mogli odwlekać, jako że oblubienica najpewniej znajdowała się, mówiąc delikatnie, w „błogosławnym stanie”.

Wysłuchawszy tego wszystkiego konstabl zaczął się rozplęwać w uprzejmościach. Pragnie – oznajmił, aby zaznała szczęścia u boku majora, a jego podpis na akcie małżeństwa niech będzie rękojmią ich związku. Niechby Raynor chciał się wykręcić sianem z pokątnych ślubów, dość, by dała mu znać, a on już za nią zaręczy. Drogi, kochany staruszek.

Ma się rozumieć, że nigdy się u niego nie pojawi. Przy pierwszej sposobności spali certyfikat: nie będzie żadnego małżeństwa. Dlatego Julian tak łatwo przystał na komedię, dlatego też pokątne śluby, zwane *Fleet marriages* od nazwy więzienia dla różnej maści szachrajów, były



tak częste. Łatwo przychodziło je unieważnić. Nie brakowało naiwnych kobiet, które, sądząc, że są prawowitymi żonami, oddawały cnotę nicponiom bez sumienia. Potem taki, wzięwszy wianek, brał nogi za pas i znikał z certyfikatem w kieszeni; bez aktu ślubu i pewnych świadków niczego nie można było dowieść.

Spojrzała na swojego „męża”, który na stronie rozmawiał teraz z Flynnem. Był na nią zły i miał po temu powody. Wplątując go w swoje sprawy wystawiła go na śmiertelne niebezpieczeństwo. Bez jego interwencji, jakkolwiek wymuszonej, szkoda mówić, jaki los ich czekał. Nie miała pewności, czy zdobyłaby się na podobną szlachetność, gdyby tak zamienić role. Wiedział, na co się naraża, a jednak jej pomógł. Podeszła do niego uśmiechnięta, gotowa zawrzeć pokój.

Julianowi nie spodobał się ten uśmiech. Postawiła na swoim. Nie miał wątpliwości, że gdyby odmówił jej życzeniu, obrzucałaby go teraz wściekłymi obelgami z zupełnie inną miną.

Kłopot z Sereną – rozmyślał Raynor – na tym polega, że przywykła, iż wszystko toczy się podług jej woli. Zbyt łatwe miała życie, zbyt wielu ludzi o nią dbało i rozpieszczało: bracia, Flynn, młodzieniec, z którym była zaręczona, nawet chłopiec, którego dzisiaj pierwszy raz zobaczyła na oczy.

Jak mogła pozwolić, aby tak się poniżył, całując kraj jej sukni? A płoniła się przy tym niczym płocha panienka. Mógł sobie wyobrazić, jaką zrobiłaby awanturę, gdyby on się ważył na podobny gest. Poczulby jej pantofel na głowie i może by się opamiętał.

Ma się rozumieć, że nigdy nie będzie całował krają jej spódnic. Raz, że nie zwykł się przed nikim płaszczyć, dwa, że kobieta pokroju Sereny byłaby ostatnią, przed którą gotów by się korzyć. Dumna. Wzgardliwa. Przewrotna. Pierwszy przejaw słabości wykorzystałaby przeciw niemu i choć oczywiście nie wygrałaby z nim, nie ustawałaby w próbach. Powinien to sobie zapamiętać.

Uniósł jej dłoń i ucałował.

– Szczęśliwa, moja duszko?

Zignorowała sarkazm zawarty w pytaniu.

– Bardziej niżli miałabym po temu prawo – odparła z takim przekonaniem, jakby wierzyła własnym słowom.

Flynn popatrywał to na niego, to na nią.

– Pewnikiem gołombeczki chcecie zostać sami. – Bardziej stwierdził, niż zapytał, odstawiając kieliszek.

Uśmiech zniknął z twarzy Sereny. Spojrzała kątem oka na konstabla Loukasa, który wdał się w pogwarkę z wikarym.

– Nie możesz jeszcze wyjść, Flynnie – powiedziała posyłając mu spojrzenie, mówiące w jej mniemaniu tyle co opasła księga.

Flynn odpowiedział szerokim ziewnięciem.

– Oswoicie się już z nowym stanem, poślijcie po mnie. Mam teraz co innego do roboty.

Przypomniawszy sobie o lordzie Alistairze, skinęła głową i szepnęła, by miał się na baczności.

Flynn nie bardzo rozumiał, co chciała rzec, wiedział wszak, że nie potrafi myśleć dalej niż godzinę naprzód. Cóż, pragnął, nie, modlił się, żeby bardziej doświadczone ręce pokierowały Sereną, i teraz ani myślał troskać się o nią. Raynor ją poślubił i przyszłość zależy od nich dwojga. Nie przewidział tylko, jak ciężko będzie mu się z nią rozstać, a rozstać się musiał, choćby już przez wzgląd na jej dobro.

Wiedział, że łączącą ich więź trzeba przerwać raz na zawsze, żadnych półśrodków, inaczej Sereną zrobi sobie z niego tarczę. Teraz należała do Raynora, a on nie miał zamiaru wchodzić między żonę i męża. Oczywiście piekły, kiedy wymykał się z pokoju.

– Julianie. – Sereną chwyciła Raynora za rękaw, kiedy chciał odejść. – Proszę.

Wbrew jego niechętej minie postanowiła się przemóc. Obróciła się, tak by dwaj starsi panowie siedzący na sofie przy kominku nie słyszeli jej słów, zwilżyła usta.

– Jest coś, co chciałam ci powiedzieć, jeno nie miałam dotąd sposobności.

Nie myślał jej ułatwiać zadania. Spoglądając mu głęboko w oczy i chcąc wyrazić jednym spojrzeniem wszystko, przeprosiny, wdzięczność, skruchę, zaczęła cicho:

– Chciałam ci podziękować za to, coś dzisiaj zrobił. „Dziękuję” blade słowo, ale inaczej nie umiem tego wyrazić. Z głębi serca dziękuję, Julianie. Szczerze.

Uśmiechnął się chłodno.

– Że też się nie udławiłaś tym podziękowaniem. Już miała ochotę dać mu cięty respons. Zawsze tak na nią działał. Powstrzymało ją tylko to, że właśnie podeszli wikary z konstabłem.

– Małżeństwo to nie tylko strojne fatałaszki i piękny dom. Pamiętaj o ślubach, które złożyłaś, moje dziecko – rzekł wikary na pożegnanie.

Konstabl nie bawił się w ceremonie.

– Jestem twoim świadkiem, serdeńko. Pamiętaj, że możesz na mnie polegać.

– Odprowadzę jejmościów – zaofiarował się Julian. – Sereno, muszę dopatrzeć kilku spraw. Spróbuj delicji, które przygotował nam kucharz. Nie zabawię długo.

Serena przechadzała się po małym gabinecie, rozmyślając nad pożegnalnymi słowami wikarego i konstabla. Chociaż musiała jeszcze naradzić się z Julianem, co im wypada dalej czynić, zrozumiała, że nie będzie chciał małżeństwa. Jeśli zaś idzie o świadków i złożone śluby, nie skonsumowany związek traci ważność nawet w oczach Kościoła.

Czuła narastający ucisk w gardle. To reakcja po przejściach minionego dnia – powiedziała sobie w myślach. Nie jadła od wielu godzin. Wspomniawszy na słowa Juliana, podeszła do małego stolika z opuszczanym dwustronnie blatem, wymysłu angielskich ebenistów, zwanego

*gateleg*, który suto zastawiono frykasami. Zrozumiała, dlaczego francuski kucharz Raynora był chlubą jego klubu.

Mlecz makreli duszony na maśle, trufle nadziewane ziołami, paszteciki z ostrygami, zapiekane w cieście szyjki homarów i cała masa innych smakołyków, których nie potrafiła nawet nazwać. Nęcące aromaty kręciły w nosie, jeśli ktoś miałby apetyt. Nie mogła nic przełknąć. Wzięła sucharek i zaczęła go skubać. Podchodząc do kominka, by ogrzać lodowate dłonie, zauważyła pod biurkiem jakąś kartkę. Podniosła ją i miała już odłożyć, kiedy poczuła charakterystyczny zapach goździków i róż, zapach lady Amelii Lawrence.

Nie mogła oderwać oczu od karneciku, który sam zdawał się kleić do palców. Pobieźnie przeczytała kilka linijek i poczuła, że pała ją policzki. Niegdyś sama posyłała Stephenowi *bittets-doux*, ale ten sprośnością przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Nie powinna czuć się zaskoczona. Czyż nie znała lady Amelii? Od pięciu, sześciu lat unikały się skwapliwie, a kiedy los je ze sobą stykał, udawały, że się nie zauważają. Przyczyną tego chłodu był kapitan Horatio Allardyce. Teraz nie już dla niej nie znaczył, ale wspomnienie własnej naiwności nadal sprawiało ból. Był jej pierwszą miłością, pokochała go z desperacją i oddaniem, z jakim może pokochać tylko dorastająca panna. Zapewniał, że i on kocha. Chciał się żenić, a że ojciec nie dawał zgody, postanowili uciec i potajemnie wziąć ślub.

Lady Amelia zakrzętnęła się wokół Allardyce'a. Wyszło na jaw, że choć uderzał w konkury do Sereny, łoże dzielił z rozkoszną i doświadczoną Amelią. Horatio polował na posag Sereny – twierdziła Amelia – a w tamtych dniach, zanim Sprawa pochłoneła ostatni grosz z ich majątku, była to niebagatelna suma.

Nic dziwnego, że Julian cały wieczór zachowywał się jak lew z cierniem w łapie, skoro miał naznaczoną schadzkę z Amelią. Czym prędzej chciał się jej pozbyć, żeby zażywać uciech, które dama tak obrazowo opisała w lubieżnym liściku.

Cóż, nie myśli stawać mu na drodze. Upuściła bilecik na biurko, jakby parzył palce, i ze łzami w oczach wyszła z pokoju.

Ta część domu była niedostępna dla gości. Dotarła do schodów nie napotykając nikogo po drodze. Chciała zabrać tylko swoje suknie z izby, w której się przebierała. Potem poprosi Tibbetsa, żeby przywołał powóz, i wróci do domu. Może nawet z całą godnością, na jaką ją stać, pożegna się grzecznie ze swoim „mężem”, życząc mu szczęścia i zdrowia.

Z ciemnych, wąskich schodów zobaczyła na dole Tibbetsa niosącego na srebrnej tacy dwa cynowe kielichy. Chciała go zawołać, ale zniknął już zostawiając za sobą otwarte drzwi, zza których doszedł ją głos Flynna.

– Wścieknie się jak szerszeń, jeśli kiedy odkryje, że maczał w tym palce.

– Czemu miałyby odkryć? – zapytał Julian. – Jest przekonana, że urządziła wszystko podług własnej woli.

Tu rozległ się stłumiony męski śmiech.

– Ach, Tibbets. To dla moich tutaj przyjaciół – powiedział Julian.

Serena nie pojmowała jeszcze dobrze, o co idzie, ale zaczęła nabierać podejrzeń. Kiedy Tibbets znowu się pojawił, przywarła do ściany. Skaranie boskie! Zamknął drzwi. Co teraz robić? Przede wszystkim zgasiła świecę osadzoną w kinkiecie, po czym ostrożnie zaczęła schodzić po schodach. Zamarła, kiedy drzwi się raptem otworzyły i stanęli w nich Flynn z konstabłem Loukasem.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, co się stało z prawdziwym lordem Alistairem? – zapytał Loukas.

– Tyle ci powiem, mój przyjacielu, że bendzie dwa dni, jakeśmy go wysłali precz.

I śmiejąc się zeszli obydwaj piętro niżej. Drzwi zostawili lekko uchylone.

W głowie Sereny zaczęło kielkować straszliwe, nie dające się wyrazić podejrzenie. Podeszła do drzwi i przymknęła je odrobinę. Przez szparę widziała, jak Julian i lord Alistair, dopiwszy wino, podnoszą się z krzesel.

– Przesadziłeś – powiedział Julian.

Żem pocałował kraj jej sukni? – W rozbawionym głosie nie było śladu szkockiego zaśpiewu. – Ja akurat uważam, że to miły gest, poza tym twoja żona jest naprawdę najwspanialszą i najdzielniejszą damą, jaką w życiu spotkałem. Nie wiedziała, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Julian rzucił jakieś gwałtowne słowo, którego nie dosłyszała.

Jego towarzysz roześmiał się.

– Skoro już tu jestem, spróbuję szczęścia przy stoliku.

– Nie – zaprotestował Julian. – Nie ryzykujemy, póki Serena jest tutaj. Zobaczysz cię, domyśli się, że rzeczy mają się nie tak, jak się jej wydaje.

Otworzyła drzwi uderzeniem pięści. Obydwaj dżentelmeni odwrócili się gwałtownie w jej stronę.

– Za późno – oznajmiła wpadając do pokoju. Pierwszy padł jej pastwą ten, który podawał się za „lorda Alistaira”.

– I czemuś to zrobił? – Oburzenie i rozpacz wyciskały jej łzy z oczu. – Życie narażałam, żeby ci pomóc. Tak mi się wydawało. A tyś był tylko płatnym lokajem na usługach tego łotra. I pomyśleć, że polubiłam cię i zaufałam.

– Zostaw nas, Harry – poprosił Julian.

– Nie! – krzyknęła nie spuszczając wzroku z twarzy chłopca. – Kim jesteś? Tyłeś mi przynajmniej winien.

– Harry Loukas. – Spojrzał na Juliana, a widząc groźny błysk w jego oku, zamilkł, ukłonił się i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Wzięła głęboki oddech i napadła na Juliana.

– Krewni, jak rozumiem?

– Konstabl Loukas jest dziadkiem Harry’ego – odparł cicho. – Znam ich od lat.

– Wszystko było udane, tak? Konstabl Loukas? Milicja? Pościg kanałami? Niech cię diabli, przeklęty! Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Odwrócił się na chwilę, żeby nalać brandy, i podał jej kieliszek, zaciskając na nim jej palce.

– Wypij.

Stała bez ruchu, ignorując jego polecenie, wpatrzona weń rozszerzonymi oczami.

– Jakaś sprowadził milicję? To niemożliwe.

Miał nieprzeniknioną minę.

– Nie było żadnej milicji.

– Widziałam ich. Słyszałam.

– Nie. To tylko twoja imaginacja. A może Loukas coś sam wymyślił. Nie wiem.

– Loukas? – warknęła. – Nie jest konstabłem, prawda? Jeszcze jeden z twoich płatnych sługusów?

– Jest, właściwie był konstabłem. Odsłużył już swoje lata – odparł beznamiętnie.

Podsunał jej kieliszek do ust, zmuszając, by przełknęła łyk alkoholu. Odepchnęła jego dłoń. Stała wpatrując się w niego czy też raczej patrząc na wskroś, jakby nie istniał.

– Sereno...

– A Flynn? Jak udało ci się namówić Flynna, żeby mnie zwiódł? Jakaś go zmusił?

Odpowiedział łagodnie, jakby zwracał się do skrzywdzonego dziecka:

– Nie namawiałem go. Sam do mnie przyszedł, przypominając, co ci jestem winien.

– Co winien?

– Dać ci swoje nazwisko, naprawić grzechy. Zaczęła się śmiać, ale zaraz się opanowała słysząc nutę hysterii we własnym głosie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, żeś ukartował wszystko po to tylko, żebym została twoją żoną?

– To właśnie chcę powiedzieć.

– Nie wierzę ci!

– A jednak to prawda.

– Myślisz, że brak mi piątej kleпки? Coś się za tym kryje. Coś, o czym nie mówisz.

– Na przykład?

– Nie wiem, ale potrafię odróżnić łgarstwo od prawdy. – Zaśmiała się. – Głupstwa mówię. Wszyscyście mnie zwodzili, a ja nic nie widziałam. – Głos się jej załamał.

– Teraz cię nie zwodzę. Nie obwiniaj Flynna. Chciał jak najlepiej. Jest ci oddany.

– Pięknie to okazuje!

Przyciskając pięść do ust, jakby chciała powstrzymać łkanie, targana sprzecznymi uczuciami, zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju.

– Flynn wcale nie myślał pomóc lordowi Alistairowi. Po wizycie Loukasa próbował mnie przekonać, że to zbyt niebezpieczne. A ty... – spojrzała na Juliana z odrazą – nie miałaś pojęcia, co robimy. Boże, musiałam ci przypominać, coś mi winien, zanim zgodziłeś się potwierdzić zmyśloną historię.

Nie próbował nawet odpowiadać na jej oskarżenia.

– Ja wszystko ułożyłam. Wiem, że tak było.

– Nie, Sereno, tylko tak ci się zdaje.

– Nie może być, żebyś uknuł tak zagmatwany spisek. Robiliśmy to dla mojego brata, Clive’a. Nie powiesz, że i on był wmieszany.

– Skorzystaliśmy tylko ze sposobności, którą podsunął.

Zamknęła oczy powstrzymując łzy, dłonie zacisnęła na oparciu krzesła. Nie mogła rozeznaczyć się w tej gmatwaninie. Dwa dni wcześniej, kiedy ona i Flynn gotowali się odebrać lorda Alistaira, doszła ich wiadomość, że „pasażer” się spóźni. Nic wtedy nie podejrzewała.

– Co się stało z lordem Alistairem, z prawdziwym lordem Alistairem?

– Wypij brandy, a powiem ci.

Spojrzała na niego z nie ukrywanym wstrętem, ale podniosła kieliszek do ust i posłusznie upiła łyk.

– Słucham.

– Postanowiłem nie mieszać cię w ucieczkę lorda Alistaira. Prawdę mówiąc, nie byłaś potrzebna. Flynn i ja zajęliśmy się wszystkim. Możesz być spokojna. Lord Alistair dawno już bezpiecznie dotarł do brzegów Francji.

– Postanowiłem! Postanowiłem! Kto ci pozwolił mieszać się w moje sprawy?

– Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. Sama chciałaś.

Z trudem łapała oddech. Zaufała im, a oni wszyscy ją zwiedli. Nie mogła uwierzyć, że i Flynn. On też. Bez jego udziału do niczego by nie przyszło. Przypomniała sobie coś jeszcze – jego przekonanie, że obowiązkiem Raynora jest ją poślubić.

Obraz Flynn’a wstawiającego się za nią u Raynora przyprawiał ją o mdłości. I co wskórał?

– Pokątny ślub to ślub nieważny – powiedziała na głos.

– Dajże pokój, Sereno. Nie przystałabyś nigdy na ślub w kościele. Myślisz, że nie wiedzieliśmy o tym? Nie słuchałaś chyba, kiedy ci tłumaczyłem, na czym polega *Fleet marriage*. Wszystko zależy od tego, jak małżonkowie potraktują takie zaślubiny. Jesteś moją żoną. Mam certyfikat, mam świadków, którzy zareczą. Żadne z nas nie chciało zapewne takiej ceremonii, ale o to mniejsza. Jesteś teraz pod moją opieką. Możesz rozporządzać moim majątkiem. Będziesz bezpieczna. Tyle bodaj jestem ci winien.

Stała jak sparaliżowana. Słyszała słowa, ale umysł odrzucał ich logikę. Musiało kryć się za tym jakieś łajdactwo, gdyby tylko potrafiła odgadnąć jakie. Żaden mężczyzna nie zadałby sobie tyle zachodu dla kobiety, która ani tego chciała, ani o to prosiła. Wiedząc, że nie wydobędzie z niego jasnej odpowiedzi, ruszyła ku drzwiom. Już kładła dłoń na klamce, gdy usłyszała ostry, władczy głos.

– A ty dokąd się wybierasz?

Odpowiedziała z całą wzdarcą, na jaką było ją stać:

– Nając biegłego w swoim fachu kauzyperdę. I o tym napomknąłeś, kiedyś mi wyjaśniał naturę *Fleet marriages*.

Kiedy podszedł do niej rozbawiony, niewiele myśląc chlusnęła mu w twarz resztką brandy.

Kropłe alkoholu spływały po brodzie na delikatne koronki żabotu. Odrzuciła hardo głowę oczekując reakcji. Wyjął chusteczkę i otarł twarz.

– Sereno. – Westchnął z rezygnacją. – Rozumiem, że możesz być wzburzona, ale co za dużo, to niezdrowo. – Schował chusteczkę. – Przebrałaś chyba miarkę. Połóż się, wyśpij, jutro spojrzysz na wszystko inaczej.

Pobłażliwe rozbawienie, słyszalne w jego głosie, jeszcze bardziej rozjątrzyło Serenę.

– Nie daruję ci. Zapytaj Flynna, zapytaj, kogo chcesz. Wardowie nie zapominają, nie wybaczą zniewagi.

Mówiła w zaciętrzewieniu, nie licząc się ze słowami, a jednak sprawiło jej radość, że na moment zmartwił. Po chwili w jego oczach znowu pojawiło się rozbawienie.

– Będę wyglądał naszych przyszłych potyczek.

– Jesteś... – Zabrakło jej słów.

– Tak, wiem. Mam nadzieję, że spodoba ci się mój dom w Twickenham nad Tamizą. Znasz te okolice? Masz... – spojrzął na zegar na kominku – dziesięć minut, żeby się przygotować do drogi. O stroje się nie kłopotz. Pozwoliłem sobie prosić Flynna, żeby spakował trochę twojej garderoby. Nie próbuj się sprzeczać, Sereno. Przynajmniej raz w życiu skapituluj z wdziękiem. Albo będę musiał uciec się do przemocy.

Ziemia zdawała się rozstępować pod nogami. Wymówił jej imię, ale tyleż dbała o jego troskliwość, co zważała na władcze polecenia.

– Nie dotykaj mnie! – rzuciła porywczo, kiedy wyciągnął dłoń w jej stronę. Przez chwilę stała oparta o drzwi, walcząc z gniewem i wzburzeniem, po czym wypadła z salonu i pobięła do małej izby, gdzie złożyła swoje rzeczy.

Nigdy dotąd nie została tak zraniona. Drżała na całym ciele. Zacisnęła zęby powstrzymując szcęknięcie. Świadomość, że zdradzili ją ci, których lubiła i którym ufała, zbijała ją z nóg. Urządzili sobie widowisko! Tak łatwo dała się wywieść w pole. Grali! Flynn, konstabl, lord Alistair, nawet Julian. Musiał zaśmiewać się w duchu, kiedy zapominając o dumie dziękowała

mu za to, co dla niej uczynił. Dziękować? Powinna była go zamordować.

Złorzecząc sobie najgorszymi słowy, chwyciła maseczkę Catherine i zasłoniła twarz. Nie podda się tak łatwo. Niczym błyskawica, niewiele myśląc, co czyni, dopadła drzwi łączących prywatną część domu z salami klubowymi. Przekroczywszy je poczuła się bezpieczniej pośród tłumu ludzi. Potykając się zbiegła szerokimi schodami do głównego holu i tutaj dopiero, widząc, że nikt jej nie ściga, zwolniła kroku. Wyszła przyłączywszy się do jakiegoś towarzystwa, które właśnie opuszczało klub.

Ulica zatłoczona była powozami i lektykami. Chłopcy z pochodniami krzykliwie zachwalali swoje usługi tym, którzy zamierzali pieszo wracać do domu. Kazała przywołać sobie lektykę, chociaż nie miała pojęcia, jak za nią zapłaci. Usadowiła się pospiesznie w jej wnętrzu, rzuciła adres i osunęła się na ławeczce tak, by przez okno widać było tylko czubek jej głowy.

Ledwie skręcili za róg, wiedziała, że zmierzają w złym kierunku. Nie zdążyła osądzić, czy to nie zamierzona pomyłka, czy kolejny podstęp, gdy lektyka stanęła. Ktoś otworzył drzwiczki.

– Nasz powóz czeka – oznajmił Julian chwytając ją za nadgarstek. – Radzę ci po dobroci, nie wszczynaj hałasu, bo stracę cierpliwość.

Kompletnie zaskoczona, bez oporów pozwoliła wyciągnąć się z lektyki.

– Sereno – przemówił łagodnie. – Tegom się właśnie spodziewałem. Myślałaś, że spuszczę cię z oka? Przy wszystkich drzwiach postawiłem pachołków, nakazawszy, żeby mieli na ciebie baczenie.

Stali na rogu Fleet Street. Przy krawężniku czekał już zaprzężony powóz. Na znak Juliana stangret zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki. Serena szarpnęła się do tyłu.

– Nie! To gwałt!

– Wsiadaj! – rzucił krótko i pchnął ją lekko do przodu.

Potoczyła wokół wściekłym wzrokiem. Stangreci mimo współczujących min nie kiwną palcem, żeby jej pomóc, to wiedziała. Ale byli jeszcze inni przyzwoici ludzie. Przy drzwiach pobliskiej kawiarni roili się wchodzący i wychodzący goście. Gdzieś obok strażnik miejski okrzykiwał godzinę. Musi działać szybko, zanim będzie za późno.

Zaczerpnęła powietrza, otworzyła szeroko usta i zaniosła się ile sił w płucach. Dłoń Juliana stłumiła następny krzyk. Serena zdzieliła go w policzek. Pomimo zawziętego oporu popychał ją w stronę otwartego powozu.

– Pomóż mi – syknął przez zaciśnięte zęby do stangreta.

Pochwyciły ją dwie pary rąk. Może poniechałaby szamotaniny, ale usłyszała rwetes, krzyki, tupot kroków. Wyrwała się Julianowi przy samym powozie, straciła równowagę i upadła, uderzając głową o drzwiczki. Słyszała jeszcze, jak Julian woła jej imię, po czym ciało przeszło dotkliwy ból. Kiedy próbowała się podnieść, otuliła ją zbawcza ciemność.

Zdażyła pomyśleć, że to Julian jej nienawidzi, a nie ona jego, i straciła świadomość.



## 11

W głowie wirowało, ból przenikał całe ciało. Pragnęła tylko, żeby przestali wreszcie zadawać jej pytania i żeby mogła na powrót zapaść w sen.

– Jak cię zwa, moja droga?

Czemu z takim uporem powtarza ciągle to samo pytanie?

– Victoria – odpowiedziała. – Victoria Noble. Kim jesteście?

Ten, który pytał, odsunął się czyniąc miejsce jakiejś innej osobie.

– Wypij to – odezwał się znajomy głos. Czowała, że otacza ją czyjeś ramię, unosi jej głowę z poduszek.

Z wysiłkiem uniosła powieki.

– Julian? – Zatrokana twarz, podkrążone oczy. Kiedy podsunął jej kubek do ust, spróbowała ostrożnie przełknąć trochę płynu, ale natychmiast poczuła tak nieznośny ból, jakby miała złamaną szczękę. Jęknęła, Julian delikatnie złożył jej głowę na poduszkach.

Idąc za dźwiękiem stłumionych głosów, spojrzała w stronę dwóch sylwetek stojących przy oknie. Mężczyzna i kobieta, których nie rozpoznawała. Pokój też był obcy.

– Gdzie jesteśmy, Julianie?

– Szaa. Odpoczywaj. W moim domu w Twickenham.

Uspokojona jego odpowiedzią, opuściła powieki. Pamięć się jej maciła, ale on był przy niej i tylko to się liczyło.

– Nie zostawiaj mnie – mruknęła i poszukała jego dłoni. Poczuła uspokajający uścisk. Z westchnieniem zapadła na powrót w słodki sen.

Kiedy nabrał pewności, że śpi spokojnie, cofnął dłoń. Dając znak medykowi wyszedł z pokoju. Obydwaj cicho zeszli po schodach i skierowali się do biblioteki.

– Wstrząśnienie mózgu – ledwie przekroczyli próg pokoju, oznajmił doktor Ames, przysadzisty dzentelmen około pięćdziesiątki. Odnosił się do Juliana z szacunkiem, acz bez uniżoności, bo dawno już odkrył, że to najwłaściwszy sposób postępowania z takimi.

– Żona waszmości solidnie się uderzyła.

Julian podał doktorowi kieliszek sherry, drugi nalał sobie. Usiedli.

– Istotnie – przytaknął – zdawało się przecież, że szybko wróciła do zmysłów, inaczej nie wiozłbym jej aż tutaj. W powozie była jeszcze trochę oszołomiona, alem ani się domyślał, że straciła pamięć. Zaniepokoiłem się dopiero dzisiaj rano. Czy to coś bardzo poważnego?

– Nie bardzo, jak myślę. Widziałem już przypadki jak ten. Dzięki Bogu, poznaje pana, pamięta swoje imię, nazwisko panieńskie. Odpocznie kilka dni otoczona troskliwą opieką, a pamięć wróci całkowicie. Nic na siłę, pozwólmy naturze dokonać swego.

Jako że Julian słuchał tych słów z ponurą miną, doktor próbował go pokrzepić.

– Majorze, musisz pewnie, waść, wiedzieć co nieco o wstrząśnieniach mózgu. Czyż nie zdarza się, że po bitwie żołnierz nie pamięta, kim jest ani skąd się wziął, w jakim miejscu albo po czyjej stronie walczy?

– I bywa, że taki nigdy już nie dochodzi do zmysłów.

– O tym właśnie mówię. Pani Raynor jak najbardziej odzyskuje władze umysłu. Wie najważniejsze.

– To znaczy?

– Jakem już powiedział, rozpoznaje waści. To ją uspokaja. Będę zachodził codziennie, doglądał naszej chorej.

– Wielcem zobowiązany.

Na tym rozmowa dobiegła końca i doktor zaczął się żegnać. Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

– Victoria Noble. Czy żona waści wiecie się z Noble'ów z Arden Park?

– Nie – odpowiedział Julian z miną, która nie zachęcała do dalszych indagacji.

Jak tylko drzwi zamknęły się za doktorem, wrócił do łóża żony.

– Teraz ja przy niej poczuwam, pani Forrest – odprawił gospodynię. – A pani niech mi pościele w garderobie. Chcę być blisko, gdyby potrzebowała czego w nocy.

Gospodyni odeszła spełnić polecenie. Julian przysunął krzesło bliżej łóżka. Poderwał się, gdy jęknęła, nachylił nad nią. Szeptał coś, odgarniając jej włosy z czoła. Twarz miała posiniaczoną, na lewej skroni wyskoczył guz wielkości gęsiego jaja. Były też inne siniaki i zadrapania na całym ciele, ale zdaniem medyka niegroźne.

Pomimo wszystko wierzył w orzeczenie doktora. Iluż widział żołnierzy, którzy otrzymawszy ciosy znacznie potężniejsze, wychodzili bez szwanku. Była oszołomiona, ale zachowała niezmacony umysł. Rozpoznała go, to już coś. Zastanawiało go co prawda, iż podawała się za Victorię Noble, ale w największe zadziwienie wprawiła go całkowita zmiana w nastawieniu do niego. Szkoda, że i to minie.

Zdjęty wyrzutami sumienia usiadł ciężko na krześle. On był przyczyną wszystkiego. Gdyby mu kto kiedy powiedział, że jest zdolny do takich postępów, wyzwałby oszczercę na pojedynek. W głowie mu się nie mieściło, do czego potrafiła przywieść go ta panna. Popatrzył na nią i poczuł ucisk w gardle. W niczym nie przypominała teraz skaczącej mu do oczu sekutnicy, wyglądała jak bezbronne dziecko pobite przez jakiegoś pozbawionego sumienia potwora.

Miał najlepsze intencje. Nie chciał jej skrzywdzić, pragnął ją chronić. Człowiek honoru nie odwraca się plecami od uczciwej dziewczyny, której odebrał cześć. Musiał naprawić wyrządzone zło, inaczej nie zaznałby spokoju, targany wyrzutami sumienia. Tak czy inaczej,

czuł się za nią odpowiedzialny.

Coś jeszcze pchało go do małżeństwa. Serenie pisany był taki sam los jak jej ojcu i tego właśnie chciał jej wszelką miarą oszczędzić. Bodaj tyle. Biorąc ją za żonę, mógł wprowadzić ład w jej życie, zapewnić godziwy byt, pilnie przy tym bacząc, by złamany grosz nie dostał się teściowi. Jedyne szkopuł w tym, że Serena z własnej woli nigdy nie oddałaby mu ręki.

Kiedy pojawił się u niego Flynn, jakby odgadując jego rozterki, choć nie znał wszystkich ich przyczyn, Julian powitał go z radością. Sam wtedy roił, czyby nie uprowadzić jej siłą i nie zamknąć w dworku myśliwskim w Szkocji, bodaj i bez ślubu. Za poduszczeniem Flynnna zaczął ją adorować, a kiedy go rekurowała, uknuli wspólnie spisek. Jedną jest siła na ziemi – naszeptował mu Flynn – zdolna poruszyć Serenę zawsze, wszędzie i o każdej porze. Po wszystkim, co się stało, z trudem mógł uwierzyć, że tak łatwo, w nieczym porywie, przystał na te podszepty. Wystrychnąć Serenę na dudka – temu nie mógł się oprzeć.

Dopiero oniemiał, kiedy Flynn mu wyjawiał, kto wspomaga salwujących się z kraju jakobitów. Teraz nic już nie mogło go powstrzymać. Jeśli kiedy jakaś kobieta prawdziwie potrzebowała mocnej męzowskiej ręki, była nią Serena. Wystawiać się na takie niebezpieczeństwa! Włóczyć się po kanałach i lochach, podziemnym królestwie londyńskich rzeźmieszków, gdzie Bóg wie co mogło ją spotkać!

I spotkało. Natknęła się na niego, a on to wykorzystał.

Tym bardziej nabrał przekonania, że musi ją chronić. Tak to z pomocą Loukasa i Harry'ego uknuli swój plan.

Wszystko układało się po ich myśli: wyjazd Catherine na wieś, pojawienie się lorda Alistaira, gotowość Sereny pójścia mu z pomocą, nieobecność Jeremy'ego i Clive'a. Nie przewidywał żadnych przeszkód, których nie dałoby się pokonać, gdy już ogłosił wszem i wobec zaślubiny.

Tylko czekać, kiedy stanie wreszcie twarzą w twarz z człowiekiem, który był nemezis jego rodziny. Flynn miał go zawiadomić o przybyciu sir Roberta, nic tamtemu nie wspominając o małżeństwie córki, wokół zaś rozpowiadając tymczasem, że jego pani bawi w Riverview z Catherine i bratankami. Julian widział już oczyma duszy, jak mówi sir Robertowi o ślubie. Serena była teraz mężatką i sir Robert, rad nierad, musi przyjąć to z godnością albo rozpęta skandal i straci twarz, a na to się nie poważy.

Raynor wyrobił już sobie obraz tego człowieka – dumny, wyniosły, wysoko siebie ceniący, zapiekły jednakowoż w oddaniu i nienawiści. Niewielu wyglądało z utęsknieniem jego powrotu. Choć otrzymał akt łaski, nie zdało się, żeby poniechał swych przekonań. Za to Julian gotów był ręczyć.

Przez myśl przepływały oderwane wspomnienia. Szare baraki, wymizerowane twarze kobiet, wygłodniałe dzieci o zapadniętych oczach, trupy przykryte całunem, nade wszystko zaś rozpacz

tak głęboka, dławiąca, że śmierć zdawała się od niej lepsza.

Przesunął dłonią po czole, jakby chciał odegnać ponure majaki, a że ciągle go osaczały, wstał i podszedł do okna, z którego rozpościerał się rozległy widok aż po Tamizę. Nie wiedział, jak długo tak stał, dopiero jakiś dźwięk dochodzący z łóżka wrócił go do rzeczywistości.

W dwóch susach był przy Serenie, nachylił się, dotknął dłonią jej policzka. Uspokojony, że nie gorączkuje, okrył ją starannie. Westchnęła i szepnęła jego imię.

Zamarł z napiętą uwagą. Po chwili pokręcił głową i usiadł, by dalej czuć.

– Co mam teraz z tobą zrobić, Sereno? – powiedział cicho.

Drogo zapłacił za swoją lekkomyślność, obydwójce drogo zapłacili. Gdyby nie odkryła jego podstępu, zatrzymałby ją pod swoim dachem, przekonując chociażby, że to dla zmylenia konstabla Loukasa. Po kilku dniach, przy dobrej woli Sereny, sprawy między nimi jakoś by się ułożyły. Już widziała w nim swojego wybawcę, pięknie mu podziękowała za wszystko, co dla niej uczynił. Nie wahałby się wykorzystać owej słabości dla własnych celów. Kiedy szło o kobietę, nie był żółtodziobem i mało która dama potrafiła się oprzeć jego urokowi, a co dopiero niedoświadczona panna. Nadto związek małżeński zdawał się wszystko upraszczać.

Czy to, że wypił wcześniej szklaneczkę brandy, czy że umysł miał otepiały długim czuwaniem, inne myśli znalazły doń przystęp. Sumienie? Czy naprawdę ono nim powodowało, kiedy snuł swoją intrygę? Były może inne przyczyny, z którymi nie zdradzał się nawet przed samym sobą?

Oparł głowę o zapiecek krzesła, zamknął oczy i zaśmiał się cicho, smutno jakoś. Nie mógł się do niej zbliżyć, pomyśleć o niej, żeby nie kłać mody na obcisle pluderki. O tak – przedrzeźniał się w duchu – związek małżeński zdawał się wszystko upraszczać. Miałby czyste sumienie i piękną, powolną mu kobietę w łóżu. Bez reszty zafrapował go ten obraz.

A kiedy dałby jej już wytchnąć, znowu ziałyby ogniem niczym siedmiogłowy smok. Na nic wtedy zdałby się jego nieodparty urok; na powrót przedzierzgałby się w tyrana. Było już w naturze Sereny, że poty wojowała, póki nie ujarzmiła całkiem mężczyzny, chyba że nieszczęśnik (słowa Flynna) podkuliwszy ogon czmychał jak niepyszny.

Z uśmiechem zamknął powieki. Kiedy je otworzył, kotary w oknach były zaciągnięte, w pokoju płonęły świece. Serena wierciła się niespokojnie, jęcząc przez sen. Wstał rozprostowując zastane mięśnie i zbliżył się do niej. Obudziła się na muśnięcie jego palców.

Spoglądała nań rozszerzonymi ze strachu oczami. Nigdy jeszcze nie widział jej twarzy taką: pełna pomieszania, bezbronna, blada, wstrząśnięta. Objął Serenę i przygarnął do siebie.

– Julian? – szepnęła płaczliwie i przylgnęła doń mocniej, wtulając mu głowę pod brodę. – Myślałam... – Drżący głos zamarł.

– Co myślałaś?

– Myślałam, że mnie nienawidzisz. Śniło mi się, że mnie nienawidzisz.

Uniół jej brodę odchylając głowę. Zobaczył, że wargi drżą w powstrzymywanym łkaniu. Czuł, jak z wolna uspokaja się rozkołatane serce. Pocałował ją delikatnie. Jeszcze raz. I jeszcze.

– Nie mógłbym cię nienawidzić.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła. – Połóż się tu ze mną. Połóż się, Julianie.

Kiedy wyciągnął się obok niej, wtuliła się w niego niczym pełne ufności dziecko. Po chwili usłyszał jej równy oddech. Usnęła.

Obudził ją szelest kotar i oślepiający blask popołudniowego słońca. Leżała na wznak rozbudzona, próbując zebrać myśli. Żadnego punktu zaczepienia, w głowie tylko zamęt i mgła. Zdjęta paniką przypomniała sobie jedno tylko słowo – Julian.

– Pani Raynor? Przyniesłam śniadanie.

Miękki zachodni akcent wprawił ją w jeszcze większy popłoch. Zaciskając zęby z bólu, uniosła się na poduszkach. Niczym kwoka nad nowo wyklutym pisklęciem stała nad nią uśmiechnięta niewiasta w nakrapianych perkalach, z wysoko zachodzącym pod szyję koronkowym kołnierzem.

– Jestem pani Forrest, kochaneczko, gospodyni – oznajmiła.

Jedyne, co przyszło Serenie do głowy, to że nie ma przy niej Juliana.

– Julian! – Spróbowała nieporadnie odrzucić kołdrę i wstać.

Pani Forrest odstawiła tacę.

– Cichaj, kochaneczko, pan major mówi z doktorem. Tylko patrzeć, jak oba tu będą. Trza, byś się troszku ogarnęła, nimej przyjdą.

Kiedy Serena podniosła się z łóżka, ściany pokoju zawirowały, podłoga zaczęła się usuwać spod stóp.

– Niedobrze ze mną – wyrzuciła bez tchu.

– To przez wstrząśnienie od wypadku. Doktor Ames tak mówił do naszego pana. Nie ma strachu, kochaneczko. Upadłaś i żeś się paskudnie potłukła.

Wstrząśnienie. Wypadek. Uspokajające słowa. Uderzyła się w głowę. To tłumaczyłoby zamroczenie, zamęt pod czaszką i mdłości. Potarła czoło.

– Chcę tu mojego męża – pisnęła niczym kapryszące dziecko, wywołując uśmiech gospodyni.

– A będziesz go miała, jeno się ździebko ochędożysz. Przekupiona tą obietnicą, pozwoliła gospodyni pomóc sobie przy toalecie.

Kiedy wszedł Julian z doktorem, siedziała na łóżku pijąc czekoladę. Na jego widok poczuła się trochę mniej samotna i zagubiona. Odstawiła filiżankę i wyciągnęła ku niemu dłoń.

Podszedł, usiadł obok łóżka.

– Julianie – uśmiechnęła się słabo. – Nic sobie nie mogę przypomnieć.

– Nie martw się, skarbie. Doktor Ames powiada, że to chwilowa utrata pamięci.

Popatrzyła na medyka i mocniej ścisnęła rękę Juliana, jakby się bała, że odejdzie.

– To bywa w podobnych razach – powiedział lekarz z ciepłym uśmiechem.

– W jakich? Nic nie pamiętam.

Medyk rzucił Julianowi pytające spojrzenie. Julian odchrząknął i zaczął ostrożnie:

– Wypadek przy powozie. Zostałaś popchnięta i uderzyłaś głową o kant drzwiczek.

– Co za okropny początek miesiąca miodowego – powiedziała żałośnie, dotykając ręką głowy.

Doktor Ames natychmiast podchwycił jej słowa.

– Widzisz, pani? Już pamięć wraca. Wiesz, że mieliście zacząć miodowy miesiąc. Nie forsując się aby, spróbuj nam rzec, co pamiętasz. Jak cię zwa, na ten przykład?

– Pamiętam tyle, żeście mnie o to ciągle pytali, aż miałam ochotę krzyknąć – odparła z uśmiechem.

Doktor się rozpromienił.

– Odpowiedz, kochana – poprosił cicho Julian.

– Zwa mnie Victoria. – Była tego pewna, słyszała, jak Julian po wielokroć wymawiał jej imię. – Victoria – powtórzyła i posłała Julianowi zawstydzony uśmiech. – Teraz Victoria Raynor.

Doktor aż zatarł ręce z zadowolenia.

– A rodzina?

– Jestem sierotą. – Słowa same spłynęły na usta. – Jestem sierotą. – Kiedyś tak przecież mówiła. – Jestem albo byłam aktorką. – Spojrzała na Juliana szukając u niego potwierdzenia, ale ten nie odrywał oczu od ich splecionych dłoni.

– Aktorką? – zapytał doktor jakby trochę niepewnie, ale szybkie spojrzenie na Juliana natychmiast wróciło mu rezon. – Co jeszcze pamiętasz, pani?

– Nic więcej.

– Ależ tak. Wiesz, żeście mieli jechać do domu twego męża. Nie, nie. Nie szukaj u niego pomocy. Patrz na mnie i mów, co pamiętasz.

Ściągnęła w zamyśleniu brwi. W oczach pojawił się lęk. Głos jej drżał.

– To na nic. Nie pamiętam.

Julian spojrzał groźnie na medyka, po czym objął drżącą żonę.

– Przypomnisz sobie wszystko. Nie myśl teraz o tym.

– Twój mąż ma rację, pani. – Doktor Ames uśmiechnął się na swój zawodowy, pokrzepiający sposób. – Jestem pewien, że na dniach, jeśli nie w parę godzin, odzyskasz pełne

władze umysłu. A teraz nie trap się ani przeszłością, ani przyszłością, jeno myśl o chwili terażniejszej. Raduj się tym ślicznym domem i spokojem wokół. Wyjdź do ogrodu, spaceruj, a pamięć wróci z czasem.

I pamięć wracała w okrucinach i fragmentach. Pierwsze przypomnienie pojawiło się następnego ranka, kiedy pozwolono jej wstać z łóżka. Julian oprowadził ją po palladiańskiej willi, pełnej marmurów i wyszukanych sztukaterii, z jońskimi kolumnami w wielkim holu wejściowym. Na widok kolumn zwolniła kroku.

– Jak w twoim domu gry – oznajmiła. – Jesteś hazardzistą, bardzo dobrym hazardzistą.

– A więc pamiętasz? – Julian kuł żelazo póki gorące.

Zachwycona powracającą pamięcią, nie zważała, że to tylko drobny okruc. Szeroko otwartymi oczami chłoneła sielankowe obrazy zdobiące ściany.

– Byłam tam, prawda? W twoim domu gry. Pamiętam freski z nimfami i satyrami. Bardzo nieprzyzwoite – dodała z figlarnym błyskiem w oku.

– Wszystkie bez wyjątku przedstawiają sceny wzięte z mitologii – pospieszył natychmiast z wyjaśnieniem Julian.

Wykrzywiła się.

– Na pewno mi powiesz, że twoi goście przychodzą do ciebie dla uszlachetnienia umysłów?

Uwaga godna Sereny. Już się nasrożył, lecz widząc iskierki rozbawienia w jej oczach, sam się rozpogodził. Coś w nim tajało. Wróci do zdrowia. W jej wzroku nie było już lęku ani niepewności. Siniak na policzku powoli zniknął, guz na skroni też, pamięć wracała i choć nie wróżyło to dlań dobrze, to przez wzgląd na nią rad był, że staje się na powrót Sereną.

Przerywając jego rozmyślenia, powiedziała ze swadą:

– Och, nie martw się, Julianie, wiem, że dom gry to nie salonik, gdzie dziewice popijają herbatkę. Niewielu miałbyś wtedy gości. – Zmarszczyła brwi. – Gdzie ja to już słyszałam?

– Nie wyteżaj myśli – powiedział łagodnie. – Pamiętaj, co mówił doktor. Wszystko wróci w swoim czasie.

Jeszcze wiele razy w ciągu dnia musiał powtarzać te słowa. Podziwiał jej pogodę ducha. Gdyby to jemu zdarzyło się stracić pamięć, nie posiadałby się z rozpacz, podobnie Serena, którą znał. Ale miał przed sobą Victorię, uroczą, pełną życia istotę, która chciała za wszelką cenę cieszyć się swoim ledwie poślubionym mężem i wszystkim, co się z nim łączyło: domem, służbą, sposobem, w jaki zarabiał na życie, i która ani myślała dopuścić, by taki drobiazg jak chwilowa utrata pamięci miał im popsuć wspólną radość.

Dało mu to do myślenia. Nieufność i wrogość zatruwała ich znajomość od pierwszej chwili. Czy byłoby tak, gdyby spotkali się w innych okolicznościach? Czy Victoria była tą częścią Sereny, której nigdy nie miał zaszczytu poznać? Pytania te w naturalny sposób zrodziły kolejne: gdyby musiał wybierać między Sereną a Victorią, którą by wolał?

Wieczorem w żartobliwym usposobieniu ciągle jeszcze rozważał ten problem. Siedzieli w bibliotece popijając kawę po smacznym obiedzie, przygotowanym przez gospodynię i jej męża. Forrestowie byli właściwie stróżami podmiejskiej rezydencji, ale spełniali w niej wszystkie posługi. W całej posiadłości, która przeszła w jego ręce jako splata długów karcianych, było sporo służby: niby to ogrodnicy i łowczy za główne zajęcie mieli pilnować, by nikt niepożądany nie zapuszczał się do jego majątku. Przedsięwziął te środki ostrożności przez wzgląd na Serenę. Victoria ich nie potrzebowała.

– Powiedz mi, jak się poznaliśmy – poprosiła dolewając mu kawy.

– Słyszałaś, co powiedział doktor Ames – ukrócił jej ciekawość. – Lepiej nie forsować umysłu. Wszystko w swoim czasie, Victorio.

Błysk w jej oku przypomniał mu dawną Serenę. Nagle zdjęła go chęć, by podjąć wyzwanie, ale znowu stała się słodka i kochana. Uczuł dziwny zawód.

– Och, dobrze – rzekła. – Zatem powiedz mi o sobie. Jak stałeś się hazardzistą? To chyba możesz mi wyznać?

Jeśli mógł, unikał opowieści o swoim życiu. Już miał zmienić temat, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Przyjdzie czas, kiedy będzie musiał wytłumaczyć, co go popychało przeciwko jej ojcu. Może nie pochwali jego czynów, ale niechby zrozumiała bodaj, że słuszność była po jego stronie. Kłopot w tym, że Serena nigdy nie przychyli ucha. Teraz nadarzała się sposobność, jaka więcej mogła się nie trafić.

– Miałem do wyboru albo hazard, albo prostytutkę – rzekł wprost. – Tak, Victorio, prostytutkę. Nie słyszałaś, że młodzi chłopcy są bardzo w cenie?

Nie słyszała. Widział to po jej przerażonej minie. Kiedy pierwszy szok minął, podjął już łagodniej:

– Niemiała to dla ucha opowieść. Jesteś pewna, że chcesz jej wysłuchać?

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

– Nawet jeśli stanę ci się potem wstrętny?

– Nigdy nie staniesz mi się wstrętny – odparła z uśmiechem.

Gdybyż była Sereną, a nie Victorią, te słowa miałyby swoje znaczenie. Z cynicznym uśmiechem zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie.

– A kiedy miałem trzynaście lat, trafiłem do przytułku parafialnego.

Nie rzekł dotąd nic, co mogłoby wskazać na jakiegokolwiek związek z jej ojcem, nic o zemście, która przywiodła jego rodzinę do zguby. Zostawił to na później, kiedy ich małżeństwo okrzepnie, kiedy już wyrówna ostatecznie rachunki z sir Robertem. Czas pracował dla niego.

W miarę opowiadania jego głos tracił na pewności. Wahał się, chwilami przerywał szukając słów. Wreszcie dobrnął do końca. Zamilkł i spojrzął na nią jakby z lekka kpiąco.



Podniosła głowę zamyślona. Mówił z goryczą, jakiej nigdy dotąd u niego nie słyszała. Gdzieś ze strzępów oderwanych wspomnień szło przeświadczenie, że chyba nigdy przedtem nie zwierzał się jej ze swego życia. Słusznie wnosząc, że choć zawierzył jej swoją historię, wzgardziłby współczuciem, rzekła po prostu:

– Powiedziałam ci, że nigdy nie staniesz mi się wstrętny.

Czająca się w jego oczach kpina zniknęła. Zapatrzył się w nią. Nagle coś sobie przypomniła. Przygarniające ją silne męskie dłonie. Rozkosz. Uścisk, z którego trudno się wyzwolić. On też pamiętał. Widziała to w jego wzroku. Obraca się, sięga po filiżankę i obojętnym głosem prosi, by mu dołała kawy. Drżącymi dłońmi spełniła prośbę.

Julian mówił coraz niechętniej. Uchylił drzwi, które lepiej było zostawić zamknięte; nie żeby żałował, iż dowiedziała się, jakie wiódł życie, ale dlatego, że jego opowieść oplotła ich ciepłym kokonem intymności, otwierając wzajem na siebie, ale ona była Victorią, nie Sereną, nie tą kobietą.

Jego ciało nie odczytywało różnicy, pamiętało i nie pozwalało zapomnieć. Czuł przyspieszony oddech, zmysłowy niepokój, pulsowanie krwi, bicie serca. Pragnął jej i nic na to nie mógł poradzić, tym bardziej kiedy widział, że ona czuje to samo.

Błękitne oczy, które potrafiły ciskać wściekłe błyski, zasnuły się mgiełką. Lekko rozsunęła wargi, pod stanikiem rysowały się wyraźnie sutki. Siedziała przed nim Victoria. Niechby ją tknął palcem, Serena już się z nim porachuje, że ją niecznie wykorzystał.

Ale Sereny przy nich nie było.

Nie mając już do siebie ciepłości, odstawił filiżankę i wstał.

– Kładź się – powiedział ostro. – Ja muszę jeszcze popracować. Nie czekaj na mnie. Zamarudzę pewnie kilka godzin.

Porwał pelerynę z holu i wyszedł w ciemną, wietrzną noc.

Zbudził go szcęk porcelany i kroki w sąsiednim pokoju, w pokoju Sereny. Czuł każdy mięsień. Składane łóżko w garderobie było dla niego zdecydowanie za krótkie i za wąskie. Uniósł się na łokciu. Wokół panowały kompletne ciemności, tylko przez szparę w drzwiach wpadała smuga światła. Sięgnął po szlafrok, by okryć nagość, i wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Siedziała na krawędzi łóżka, z filiżanką mleka w dłoni. Przez cienki materiał koszuli nocnej widział wyraźnie jej pełne piersi. Pożądanie chwyciło go za gardło.

– Źle się czujesz?

Popatrzyła na niego uważnie, po czym gestem dłoni zaprosiła, by usiadł obok niej na łóżku.

– Obudziłam się i nie mogłam zasnąć. Zeszłam do kuchni po mleko.

Usiadł tak, by jej broń Boże nie dotknąć. W milczeniu wsłuchiwał się w ledwie słyszalne odgłosy domu i szum deszczu za oknem. Nigdy jeszcze nie czuł się przy kobiecie tak niezdarny czy też, przeciwnie, tak groźnie bliski niechlubnej kompromitacji. Kiedy odstawiła filiżankę, serce zaczęło tłuc mu się w piersi jak oszalałe.

Przez chwilę sprawiała wrażenie zakłopotanej. Odwróciła wzrok, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

– Coś sobie przypomniałam – powiedziała spokojnie.

– Co? – wychrypiął. Czuł teraz dotknięcie jej kolana na udzie.

– Byliśmy kochankami, zanim tu przyjechaliśmy. – Wpatrywała się w niego badawczo. – Myślałam o tym, kiedy się obudziłam. Dlatego nie mogłam usnąć. Było nam ze sobą dobrze. Wiem, że tak, ale teraz chyba mnie już nie chcesz. – Powiedz, co cię ode mnie odpycha? Co mam uczynić?

Zapadła pełna napięcia cisza. Czuł jej podniecenie. Otaczało go niczym gorąca letnia mgła, wypełniało usta, nozdrza, wnikało w skórę, przenikało do krwi. Osaczało.

– Nie wiesz, co mówisz – wymamrotał ze ściśniętym gardłem. Nie mógł myśleć, bił się z myślami. Chciała go. On jej pragnął. Co go powstrzymywało?

To nieuczciwe. Pogardzałaby nim. Gdyby była Sereną.

Dotknęła bruzdy na jego czole gestem, który zapamiętał u Sereny.

– Jestem pewna. Nie fantazjuję. Takie mi się to zdało realne.

– Co pamiętasz?

Kolejne długie, badawcze spojrzenie. Cokolwiek ujrzała w jego twarzy, dodało jej odwagi. Położyła dłoń na łonie.

– Pożądanie tak wielkie, że zda się, jakbym miała za chwilę umrzeć. Bolesne i tęskne. Ty, ja i... – Przerwała zdjęta raptownym przerażeniem. – A może to nie byłeś ty?!

A... niech to piekło pochłonie. Nachylił się i pocałował ją.

– Ma się rozumieć, że ja.

Całował ją z namiętnością człowieka, który zbyt długiego zaznał celibatu. To było coś więcej niż pocałunek. Kochał się z nią ustami, wchodził w nią językiem, jakby wnikał całym ciałem. Jęknął, kiedy przywarła do niego.

Tylko jeden pocałunek – obiecał sobie. Jeden pocałunek, a potem znów przywołała na myśl wszystkie najbardziej przekonujące powody, dla których nie powinien posunąć się dalej. Ale z każdą chwilą rozum bardziej go zdradzał. Tak bardzo chciał poczuć jej ciało pod swoimi dłońmi. Nie kontrolowane pragnienie, to samo, które wyczuwał i u niej.

Raptem zdał sobie sprawę, że leżą jedno przy drugim na poduszkach. Kiedy oderwali się od siebie, z trudem chwycił powietrze.

Tym razem nie weźmie jej jak kozioł na rykowisku. Będzie delikatny i dbały. Tym razem pomyśli, by doprowadzić ją do szczytu.

Zsunął dłoń pod kraj koszuli nocnej i podciągnął w górę. By łatwiej mógł ją zdjąć, Serena uniosła się trochę. Kiedy wyciągnęła ku niemu ramiona, powstrzymał ją w pół ruchu. Znał jej ciało, ale zapamiętał je dotykiem. Tym razem nie pozwoli, by umknął mu choćby szczegół.

Światło świecy przydawało jej skórze atlasowego połysku, kładąc na ciele miękkie światłocienie, jakby chciało osłonić jego tajemnice przed bezwstydnym spojrzeniem mężczyzny. Uznał, że nie ma miejsca na wstydlivość. Nie odrywając od niej oczu, ułożył ją tak, by objawiła mu się cała.

Pełne, wysoko sklepione piersi o brodawkach jak rozgniecione dojrzałe jagody, niewiarygodnie szczupła kibić, którą mógłby zamknąć w dłoniach. Złota kępka włosów między udami. Kobiecość. Tylko pojedyncze zadrapania, ślady upadku, mąciły doskonały obraz.

Przesunął lekko po ciepłej od snu skórze. Idący od niej żar zdawał się wnikać przez opuszki palców w jego ciało, spływając do lędźwi. Zaczął pieścić wargami zadrapania i siniaki, wchłaniał jej smak i zapach. Wydała cichy, króciutki jęk rozkoszy, gdy poczuła jego dłoń zamykającą się na piersi. Czuł twardniejące pod palcami sutki. Uniosła się ku niemu w pieszczocie. Całował je teraz, pieścił językiem, ssał zrazu delikatnie, potem coraz gwałtowniej. Poruszała się rytmicznie, rozsuwając nogi w nieświadomym zaproszeniu. Zsunął dłoń w gęstą kępkę włosów, ale nie wchodził w nią, masował łagodnie, dopiero po chwili, kiedy jej ciało wygięło się w łuk, zatopił palce w wilgotnym wnętrzu.

Serena miauknęła jak kot, czując między płatkami skóry jego dotknięcia. Przestał. Tak jak ostatnim razem, zdawało się jej, że jeszcze chwila nie zaspokojonego pragnienia, a gotowa umrzeć.

– Proszę, Julianie.

Zaśmiał się cicho i zaczął ją znowu pieścić. Diabelska... niebiańska rozkosz. Wiedziała, że

dyszy, ale nie mogła się powstrzymać. Cały świat skurczył się do jego wszystkowiedzących palców, wykonujących rytmiczne, posuwiste ruchy, wyginających się, umykających wreszcie, jakby z niej drwiły. Wskazywały jej punkt rozkoszy, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Palce zatopiły się głębiej, poruszały się szybszym, coraz mocniejszym rytmem. Zaciśnęła uda na jego dłoni, pewna, że więcej nie zniesie. To zbyt wiele, zbyt..

Odrzuciła głowę na poduszkę, wyginając się konwulsyjnie.

Po długiej chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego prawie zatrwożona.

Wyczytał w jej oczach zaspokojenie. Zrzucił szlafrok i przysiadł na piętach.

– Teraz ty. Niech poczuje twoje dłonie. Wstrząsnęła się. Szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami spoglądała na jego łądzwie, jakby nie dowierzała, co widzi. Sztywny, napięty oczekiwał spodziewanej rozkoszy. Zwilżyła językiem usta.

– Julianie? – Głos jej zadrżał.

– Tak, to też – odparł ze śmiechem. – Możesz najpierw położyć mi dłonie na plecach.

Przy pierwszym nieśmiałym dotknięciu zdławił jęk w gardle. W miarę jak palce zsuwały się niżej między gęste włosy na piersiach, rozkosz stawała się coraz boleśniejsza. Syknął.

– Co to za...?

Zahaczyła obrączką o kłaczek włosów. Obróciła pierścionek, chcąc go wypłatać, a kiedy już to zrobiła, popatrzyła nań badawczo.

– Julianie, nie jestem twoją żoną, tylko kochanką? Powiedz, nie bój się.

– Co? – szarpnął się na te słowa.

– Ta obrączka. To nie jest prawdziwa obrączka ślubna. Myślałeś, że się nie domyśle?

– Ale... – Nie miał ochoty mówić. Spieszno mu było do spełnienia. Należało mu się to przecież od niej.

– I coś jeszcze. Pamiętam wyraźnie, żeś ofiarowywał mi dom i powóz, jeśli zostanę twoją kochanką. Nie rób zdumionej miny. Zawsze chyba wiedziałam, że nigdy się ze mną nie ożenisz. Człowiek taki jak ty wyżej mierzy. Nie wzięłybyś biednej aktorki, co ja mówię, ledwie debiutantki, za żonę. Ale nie mam ci za złe, naprawdę nie.

Jak najbardziej w porę, choć wcale nie pożądane, przemknęły mu przez myśl wszystkie przekonujące powody, dla których powinien trzymać się od niej z dala. Nie miał ochoty ich rozważać, ile grzmieć, raczej grzmieć na krzyczącą niesprawiedliwość nie zaspokojonych pożądań. Wszak do łoża przywiodło go postanowienie dania jej pierwszeństwa w rozkoszy. Gdyby posiadał ją, jak tego chciał – nie, jak ona chciała – szybko i po krótkim wstępie, teraz spaliby szczęśliwi, wtuleni w siebie.

Kipiał oburzeniem i na nic zdała się świadomość, że w tym mniemaniu, jakoby został wykorzystany, nie ma za grosz rozsądku. Zaciśnawszy zęby przesunął się na brzeg łożka i wstał. Zwrócony do niej plecami nałożył szlafrok i odczekał chwilę, póki podniecenie trochę

nie opadło.

Gdy zobaczył jej minę, zapomniał o swym oburzeniu. Skąd mogła wiedzieć, że samiec naszego gatunku, jeśli dozna zawodu w łóżku, robi z siebie osła? Ona tymczasem, źle zrozumiawszy jego milczenie, obwiniła siebie, że go zgniewała, a że był przed chwilą wściekły, każdy głupiec by dostrzegł. Będą jeszcze inne noce – obiecywał sobie – kiedy nic jej przed nim nie uchroni, nawet Serena.

Nachylił się i pocałował ją leciutko.

– Zdawałaś się pamiętać, że jesteśmy małżeństwem i przyjechaliśmy do mojego domu na miesiąc miodowy.

Pokręciła głową.

– Pamiętam, że mówiłeś coś takiego w powozie, który nas tutaj przywiózł. Teraz, kiedy zaczęłam sobie przypominać inne rzeczy, pomyślałam, że może się myłę.

– Jesteś moją żoną – oznajmił jasno i dobitnie. – Wierz mi.

– A ta obrączka?

Nie mógł powiedzieć prawdy, iż Serena miała trwać w fałszywym przekonaniu, że ich małżeństwo jest improwizacją. Niemniej jednak nie skłamał mówiąc:

– Zawarliśmy ślub niespodzianie. To tylko tymczasowa obrączka. Chciałem ofiarować ci inną, ale przez ten wypadek zapomniałem o wszystkim. Miałaś wstrząśnienie mózgu i stąd zamęt w głowie. Nigdy nie byłaś moją kochanką, chociaż prawdą jest żeśmy się kochali. – Uśmiechnął się żałośnie. – Powinni mnie wybatożyć, żem się zapomniał. Doktor Ames napominał, że masz odpoczywać, a jam obiecywał, że tego dopilnuję.

Mówiąc to, podniósł z podłogi koszulę i pomógł jej włożyć.

– Zamknij oczy i spróbuj zasnąć. – Okrył ją kołdrą. – Obiecuję trzymać się zaleceń medyka, dopóki całkiem nie wrócisz do zdrowia.

Już miał się odwrócić, kiedy chwyciła jego dłoń.

– To prawda, Julianie? – zapytała ze łzami w oczach. – Naprawdę jestem twoją żoną?

– Ależ tak. Mam akt ślubu na dowód. Ucałowała go porywczo w rękę.

– Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Uczuł aż w lędźwiach potęgę tego pocałunku. Czym prędzej zdmuchnął świecę i wyszedł z pokoju.

W godzinę później ciągle jeszcze nie spał. Kręcił się niespokojnie na wąskim łóżku. To żałował, że zostawił – Victorię? Serenę? – w nieskalanym łóżu, to znów zdejmował go zachwyty na wspomnienie jej słów.

Serena będzie ciskała gromy, kiedy przyjdzie do siebie i odkryje, że Victoria zdradziła wszystkie jej sekrety. Wstręt i odraza? Tak to zapamiętała Victoria. Chociaż miała zamęt w głowie, wiedziała, że byli kochankami. „Pożądanie bolesne i tęskne”. Skromna i poważna

Serena jak i on płonęła namiętnością. Przeczuiwał to od chwili, gdy pewnego razu usłyszał jej niezbyt pewne zaprzeczenie. „Kłamczucha” – powiedział wtedy z wielkim ukontentowaniem.

W zachwytyt wprawiała go ta namiętność, tym więcej że zrodziła się w szelmie, po której nie wiedzieć czego można się było spodziewać. Z wielu namiętnych kobiet, które poznał bliżej, żadnej nie zachował w pamięci, za żadną nie tęsknił. Wyjąwszy kilka, ich twarze i ciała zlewały się w myślach w jedno. Związki łatwe i przyjemne: tak wołał. Z Sereną nic nie będzie łatwe ani przyjemne. Usnął świadom, że być może trafiła wreszcie kosa na kamień.

Kiedy zasiadła z nim następnego ranka do śniadania, nie mogła uwierzyć, że taki ją wstyd może zdjąć przed mężem. Była przecież aktorką, a aktorki, jak wiadomo, to istoty śmiałe, bezwstydne. Zwykła rzecz dla nich flirty i umizgi. Powinna umieć w żart obrócić, co zaszło między nimi ostatniej nocy, tymczasem to Julian sobie pokpiwał, ona zaś bąkała coś o pogodzie. Ciepło nadzwyczajne jak na tę porę roku. Ani chybi zbiera się na burzę, albo i nie, kto wie. Iskierka w jego oku dopiekła jej do żywego. Aktorka powinna mieć więcej konceptu. Widać wstrząśnienie temu winne, że słów jej brakuje. Chwilami czuła się, jakby dwie ich było, Victoria Noble i... ktoś jeszcze. Nawet suknie w szafie, zbyt mało wystawne jak dla aktorki, wprawiały ją w pomieszenie.

Następnego ranka zwierzyła się z tych imaginacji doktorowi Amesowi, ale ten czym prędzej zaręczył:

– Wstrząśnienie to dziwna przypadłość. Jeszcze przez pewien czas twoja pamięć, pani, może płatać figle, ale widzę, że z dnia na dzień ci lepiej. Przed chwilą mówiłaś o aktorkach. Widzisz, że wszystko powoli wraca? Jakże inaczej wiedziałabyś, czym się odznaczają osoby twej profesji?

Składał zapewnienia na wyrost. Mijał trzeci dzień od wypadku i choć pod każdym innym względem widział u pacjentki poprawę, nie mógł sobie wytłumaczyć utraty pamięci. Podejrzewał uszkodzenie mózgu lubo też jakąś chorobę nerwową. Nie zdradził się ze swoimi niepokojami przed Sereną, doradzał tylko serdecznie, by zapomniiała o przeszłości i zażywała jak najwięcej świeżego powietrza, Julianowi zaś na boku nakazał uzbroić się w cierpliwość.

Julian zachmurzył się słysząc te słowa.

– Powiadałeś pan, że to lekkie wstrząśnienie i żonie na dniach wróci pamięć.

– Takem myślał i myślę dalej. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Jakby nie chciała pamiętać.

– Insynuujesz, że to udawanie?

Doktor Ames był zdumiony.

– Dobry Boże, nie! A po cóż miałyby to robić? Powiadam tylko, że za wcześniej wyrokować.

Nie wspomniął, że postanowił skonsultować się ze swoim sławnym londyńskim kolegą, jeśli

za dzień, dwa nic się nie zmieni.

– Chciałbym pojechać do miasta w interesach – powiedział Julian – co oznacza, że nie wrócę na noc.

Ależ jedź – natychmiast odparł doktor Ames. – Pani Raynor jest pod dobrą opieką, a ja jestem w pobliżu. Nie żebym przewidywał coś złego. Jakem już mówił, pani Raynor tryska zdrowiem. Tylko spokój i odpoczynek, a wszystko będzie dobrze.

Pożegnawszy doktora, Julian zaczął rozmyślać. Wróciło podejrzenie, które zaświtało mu w głowie, kiedy usłyszał, że Serena nie chce pamiętać. Uśmiechnął się ponuro. Coś knuje – pomyślał wtedy. Odrzucił natychmiast ten absurdalny pomysł. Ames twierdził przecież, że żona nie ma powodów go zwodzić. Prawda, Serena, jaką znał, nie zdzierżyłaby długo takiego oszustwa. Pękłaby nie mogąc wprost i dokładnie rzec Raynorowi, co o nim sądzi.

Śmiejąc się do siebie, wszedł do biblioteki. Wkrótce będzie mogła wziąć na nim odwet. Uznał, że czas najwyższy odkryć przed nią wszystko. Być może błędem było nie wyjawiać jej dotąd, kim jest naprawdę, ale doktor zapewniał, że skutki wstrząśnienia szybko ustąpią, i przestrzegał, żeby nie pospieszać nic na siłę. Powstrzyma się jeszcze. Powie jej po powrocie z miasta, inaczej gotowa Bóg wie co wymyślić pod jego nieobecność.

Zachmurzył się na myśl o sprawach czekających go w mieście. Nie było żadnych wiadomości od Flynna, ani słyhu o tym, co się dzieje z sir Robertem Wardem. Coś musiało zatrzymać go w drodze, tyle się domyślał. Zajrzy do Ward House, zamieni słowo z Flynnem i załatwi interesy, które odkładał z powodu ich spisku.

O dom gry się nie martwił. Blackie czuwał nad wszystkim. Codziennie miał przez kuriera nowe doniesienia o zyskach z poprzedniej nocy, ale krótka wizyta w domu nie zawadzi. Może tam co usłyszy o sir Robercie.

Raptem myśl poczęła wędrować po różanych wzniesieniach, cienistych dolinach i dziewiczych puszcach, które mężczyzna albo zdoła przemierzyć i stworzyć ich mapę, albo się w nich zgubi. Zgubi w krainie Sereny, bez nadziei powrotu. Cóż za dręczący obraz.

Pierwszy raz tknęło ją, że jest więźniem Juliana, gdy chciała wprowadzić w czyn zalecenie doktora. Spacer do wsi Twickenham – zdecydowała – w sam raz dobry dla zabicia czasu. Odźwierni przy bramie nie chcieli jej wypuścić i darmo się z nimi wyklócała. Żadna siła nie mogła ich przekonać.

– Zwykła ostrożność – zapewnił ją Julian, kiedy zaczęła robić mu wyrzuty w czasie południowego posiłku. – Nie wydobrzałaś jeszcze po wypadku. Wszystko w swoim czasie, Victorio.

Wszystko w swoim czasie. Coś jeszcze ją uderzyło.

– Nigdy nie widziałam posiadłości, w której byłoby tylu ogrodników i łowczych. – Skąd nagle wiedziała, jak wyglądają bogate posiadłości? – Przyglądałam się im dzisiaj na spacerze.

Połowa wałęsała się tam i sam, udając, że pracuje.

Ręka niosąca filiżankę do ust zamarła w powietrzu. Julian odstawił ostrożnie naczynie na spodek i wypowiedział myśl, która i ją uderzyła.

– Co wiesz o posiadłościach, ogrodnikach i łowczych? Co pamiętasz?

– Nic szczególnego.

– Ale wspomniałaś o posiadłościach. Co mam o tym sądzić?

Zaczerwieniła się, słysząc ton oskarżenia w jego głosie. Spoglądał na nią, jakby nie była jego dopiero co poślubioną żoną, tylko kimś obcym. Coś się tu nie zgadzało. Nie. To tylko jej imaginacja. Miała wstrząśnienie, to wszystko.

Przyłożyła dłoń do skroni.

– Wybacz. Co mówiłeś? Jakoś ostatnio nie mogę się na niczym skupić.

Twarz mu natychmiast złagodniała.

– Przepraszam, nie powinienem tak napierać. – Oczy zabłyśły mu chytrze. – Ale spieszno mi jak i tobie, żebyś wreszcie całkiem wydobrzała, i wiesz dlaczego.

Zaśmiał się widząc, że spłoszowała jeszcze bardziej.

– Nawet nieźle się zdarza, że mnie różne sprawy wzywają do miasta. Znajdziesz tu dla siebie różne rozrywki. Tylko nie...

Nie dała mu dokończyć.

– Jedziesz do miasta?

– Niedaleka wyprawa.

– Weź mnie ze sobą.

– To byłoby nierozważne.

– Czemu to?

– Trzymam się tylko zaleceń medyka. – Po chwili wahania podjął lekkim tonem: – Powinienem i to ci rzec jeszcze, że przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo zakazałem ludziom wypuszczać cię poza granice majątku. Nie patrz tak na mnie. Ledwie jedną noc mnie nie będzie i, jak powiadam, masz tu dość rozrywek, by przepędzić ten krótki czas.

Jak rzekł, tak rzekł, głuchy na wszelkie argumenty.

Godzinę później ze stopni portyku śledziła znikających w oddali jeźdźców.

Gdy została sama, wątpliwości powróciły z dubeltową siłą. Coś tu naprawdę było nie tak, coś się nie zgadzało. Gdyby tylko potrafiła dojść co. Spojrzała na obrączkę na palcu. Kółko od kotar, ani chybi. Obiecał inną, ale jej nie dostała. Dlaczego by kłamał, jeśli nie jest jego żoną? Może być kochanką, nie ma nic przeciwko temu, wiedział o tym. Czemu ją więzi?

Jedynym skutkiem próżnych zgoła i wysiłonych rozmyślań był nawrót dreszczy i bólu głowy. Poszła do swojego pokoju, jak stała wsunęła się pod kołdrę i tak zdrzemnęła. Przebudziła się zdrowa i wypoczęta. Raptem zelektryzowały ją powracające echem słowa.



„Jesteś moją żoną. Wierz mi. Mam akt ślubu”.

Akt ślubu! Czemu wcześniej na to nie wpadła? Jak tylko Julian wróci, zaraz go poprosi, żeby pokazał jej certyfikat, rozwiał wątpliwości. Musi tylko poczekać do jutra. Jutro... jeszcze jedna noc morderczej niepewności. Przekleństwo i skaranie boskie! Czemu wcześniej na to nie wpadła?

Kiedy poprawiała łóżko, zdjęła ją myśl nowa. Akt ślubu musi być gdzieś w domu. Nie trzeba wiele silić głowy, by dojść, że znajdzie go najpewniej w biurku Juliana. Gnana ciekawością zbiegła na dół.

Zwolniła dopiero przy drzwiach biblioteki. Ma szperać w jego papierach? Zbyt to pachniało zdradą i podstępem. Jeśli kto ją przyłapie na gorącym uczynku?

Nikt jej nie przyłapie. Przy pierwszej sposobności sama powie o wszystkim Julianowi. Nie zamyśla przecież nic złego. Niewiasta ma prawo zobaczyć swój własny akt ślubu. Zdecydowana już, nacisnęła klamkę i weszła do pokoju.

Stojące pod ścianą między oknami potężne orzechowe biurko prezentowało się wcale okazale: nieco starodawne, stanowiło skrzyżowanie sekretery z szafą gabinetową. Klucz tkwił w drzwiczkach, jakby obwieszczał, że pan domu nie ma tu nic do ukrycia. Delikatnie otworzyła drzwiczki. Ten sam klucz pasował do wewnętrznej sekretery. Kiedy opuściła jej blat, cofnęła się ogarniając wzrokiem zatrząsienie szufladek, skrytek i przegródek.

Od jednego rzutu oka widać, że Julian nie pracuje przy tym biurku. Panował tu zbyt wielki ład, niczym na wystawie. Wszystko porządnie poukładane. Spojrzała na dekoracyjne pióro obsadzone w kość słoniową i podobny przycinak do kompletu, na równiutko stojące kałamarze ze srebrnymi wieczkami, takie samo srebrne korytko z opłatkami do pieczętowania listów, porcelanową suszkę z proszkiem pumekсовym do posypywania atramentu. Widać tu było skrzętną dłoń gospodyni Juliana.

Uśmiechając się, podniosła wzrok wyżej, na smukłe pilasterki szafki i wieńczące je złocone figurki greckich bóstw. Doświadczenie mówiło jej, że każde biurko ma sekretny schowek. Nikt, kto miał odrobinę oleju w głowie, nie zwykł trzymać tam cennych rzeczy i ważnych dokumentów; te deponowano w bankowych sejfach lub powierzano prawnikom, ale akt ślubu, listy miłosne... takie papiery przechowywano właśnie w schowkach.

Musiała wspiąć się na krzesło, by dosięgnąć złoconych figurynek nad pilastrami. Próbowała obracać każdą z nich we wszystkie strony: żadna ani drgnęła. Uznawszy w końcu, że to myląca przynęta, zeszła z krzesła. Musi zmienić taktykę. Raptem na cokołach pilasterków dojrzała złocone inicjały Juliana, *J* i *R*, tyle że w odwrotnym porządku, *R* na lewym, *J* na prawym.

Całkowicie pochłonięta zagadką biurka, zajęła się inicjałami. Znalazła! Litery okazały się kluczami, tyle że umieszczonymi w niewłaściwych zamkach. Prawie pewna już swojego odkrycia wyjęła *R* z dziurki i krzyknęła radośnie, kiedy się okazało, że dobrze zgadywała.

Jeszcze chwila i pilastry ustąpiły z cichym szcękaniem, ukazując sekretny schowek ukryty za rzędem szuflad.

Tak jak przypuszczała. Poza aktem ślubu nie znalazła nic godnego uwagi. Zabrała się do czytania. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Po wielokroć przebiegła wzrokiem dokument. Bijące w oczy nazwiska. Wraz z nimi powróciły oblicza, potem pamięć wydarzeń. Jedno nazwisko szczególnie echem dudniło w głowie, jej własne. Serena Ward. Serena Ward. Serena Ward.

Opadła na fotel Juliana, jakby otrzymała potężny cios w splot słoneczny. Ledwie nadażala za natłokiem cisnących się do głowy myśli. Julian starannie przygotował całą rzecz. Flynn ją zdradził. *Fleet marriage*. Falszywy lord Alistair. Julian jej nienawidzi.

Ale zaraz przyszła myśl jeszcze straszniejsza. Jako Victoria Noble okazywała werwę upośledzonej na umyśle fladry. Te długie zalotne spojrzenia, które mu słała. Ta chętko do pieszczot i całusów. Co się z nią stało? Prawda, że straciła pamięć, ale to nie powód, by tracić przyrodzony rozum. Serena Ward nigdy nie obdarzyłaby łaskami człowieka pokroju Juliana Raynora.

„Pożądanie tak wielkie, że zda się, jakbym miała za chwilę umrzeć. Bolesne i tęskne”. Dobry Boże, ona to mówiła? Na widok Raynora pożądała tylko, by ukrećić mu głowę. Victoria Noble dla własnego dobra powinna zostać zamknięta w szpitalu dla obłąkanych.

Wstyd palił jej twarz. Jak mogło do tego przyjść? Jak mogła chcieć go uwieść poprzedniej nocy? A przecież chciała. Nie powinna się okłamywać. Zrobiła co w jej mocy, by go obudzić i wynećić z garderoby. Otworzyła okno i zamknęła je z hukiem, krzyczała, jakby przebudziła się z koszmarnego snu, trzaskała szufladami, rzuciła grzebieniem, potem szczotką o ścianę. Spał jak zabity, co potwierdzało donośne chrapanie dochodzące zza drzwi. Zaczęła się okazać siostrą miłosierdzia! Apopleksja mogłaby ją trafić i nikt by nie wiedział. Kiedy w końcu, zrezygnowana, zeszła po mleko (choć to on miał doglądać jej potrzeb), ten przekretnik wreszcie się pojawił. Jęknęła na wspomnienie własnego zachowania. Jak to go zapraszała wdzięcznie, by usiadł obok niej na łóżku, jak nogę ku niemu przesuwiała. A później... Nie, wołała o tym na razie nie myśleć, inaczej gotowa paść tu z wielkiej udręki. Co on musiał sobie o niej pomyśleć? O Boże, co on musiał pomyśleć?

– To nie byłam ja – powiedziała do siebie, niczym dziecko, które przeskrobało coś wyjątkowo paskudnego. – To Victoria Noble. Ona i ja to dwie zupełnie różne osoby.

Uwierzyła, że jest aktorką, a jak wiadomo, aktorki nie grzeszą nadmiarem pruderii czy skrupułów. To dlatego niewiele dbała, czy jest jego żoną czy kochanką. Dlatego zachowywała się wobec niego jak kokietka. Ani o tym wiedząc, odgrywała rolę. Dlatego tak ją niecierpliwiło, kiedy nie potrafiła sprostać zadaniu. Serena Ward i Victoria Noble nie wiedziały nawzajem o swoim istnieniu. Niech Bóg pokara Victorię Noble za to, co wyczyniała!

Niech Bóg pokara Juliana Raynora! On wiedział i zamiast powstrzymać, jeszcze ją

podbechtywał. Wykorzystał sytuację, patrzył na Victorię Noble, która czuła to, czego nie pamiętała Serena Ward. Napelniał ją o...

Gorąco. Gorące i zimne dreszcze. Nieznośne cielesne odczucia. Wystarczyło, by pomyślała o dotknięciu, pocałunku Raynora, a już miała chęć doświadczać ich bez końca. „Pożądanie bolesne”. Musi być upadłą kobietą, żeby żywić podobne uczucia wobec człowieka, który ją zwiódł i uprowadził. Nie jest upadłą kobietą, to Victoria Noble jest bez czci, i tak mu powie, jeśli ośmieli się z niej naigrawać. Co za różnica, co on o niej myśli? Kiedy wróci, jej dawno już tu nie będzie.

Ta myśl przywróciła jej spokój. Porzucając próżne wyrzuty, zaczęła rozważać swoje położenie. Jest uwięziona. Na nic zda się przedkładać ludziom Juliana zawile wyjaśnienia, tłumaczyć, kim jest, jak została uprowadzona. Wołała nie próbować. Mieli ją za zakochaną, płoniącą się pannę młodą. Przez głowę im nie przejdzie, że mogłaby się wymknąć nocą. Wyśmienicie. Wymknie się nocą.

Łatwo powiedzieć. Przypuściwszy nawet, że uda się jej wymknąć, nie pójdzie przecież w ciemnościach, ot tak, spacerem do Londynu. Dziewięć, dziesięć mil. Musi pierwszej dokonać rozpoznania, niczym generał gotujący się na bitwę. Najpierw dokładnie określić położenie, potem ułożyć plan. Nauczyła się od Flynna tej mądrości.

Uprowadził ją i uwięził. Co myślał przez to zyskać? Jedno tylko znajdowała wyjaśnienie. To musi mieć coś wspólnego z jakobickimi zbiegami. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Może jest agentem rządu? Chce zastawić pułapkę na któregoś ze zbiegów? Dlatego by ją tu zamknął, sam zaś pojechał wypełnić swoje niegodziwe zamysły? Nie mając żadnej wskazówki nie zdoła rozwikłać tej zagadki.

Spojrzała na biurko Juliana. Wolna już od wyrzutów sumienia, jęła szuflada po szufladzie sprawdzać zawartość. Nic nie znalazłszy zabrała się za książki. Po godzinie nie była ani trochę mądrzejsza. Poza jednym drobiazgiem. Nigdy jeszcze nie widziała równie bogatej, obszernej biblioteki, szczególnie jeśli idzie o klasyków. Choć zgadzało się to z wcześniejszymi informacjami Flynna – opowiadał jej wszak, jakim Julian jest miłośnikiem książek – zadawało kłam opowieściom samego Juliana o jego dzieciństwie. Tylko człowiek kształcony mógł posiadać taki księgozbiór, on zaś twierdził, że skończył nauki będąc ledwie trzynastoletnim dzieckiem. Historia, która wycisnęła jej łzy z oczu i wzbudziła prawdziwą dlań admirację, tak jak sobie zamyślił. Jak chytrze ją podszedł! Żałowała tylko, że nie będzie mogła zobaczyć miny Juliana, kiedy odkryje, że umknęła mu z sieci.

Jakiś głos na korytarzu wyrwał ją z zadumy. Szybko doprowadziła biurko do porządku i nim wyszła z pokoju, wsunęła jeszcze do kieszeni swój akt ślubu.

## 13

Leżała w ubraniu na łóżku, wsłuchując się w szalejącą za oknami burzę, kiedy doszły ją gniewne, zaniepokojone głosy i trzaskanie drzwiami. Nad cały ten harmider wznosił się głos Juliana. Rozpoznawszy go, skoczyła z łóżka jak spłoszone zwierzę. Gotowa na każdą niespodziankę, sprężona do walki, czujnie nasłuchiwała.

Coś się przydarzyło. Miał wrócić dopiero jutro. Liczyła na to. Wszystko zaplanowała. Miała się wymknąć, gdy burza ucichnie. W zaroślach na brzegu czekała płaskodenna łódź. Spłynęłaby nią z biegiem rzeki, precz z włości Juliana, do oberży „Pod Siedmioma Gwiazdami” przy następnym zakolu Tamizy. Tam już znalazłaby pomoc.

Cały dzień spędziła na przygotowaniach. Brała na spytki nic nie podejrzewających czeladnych i snuła plan ucieczki. Była gotowa do drogi. Pelerynę przerzuciła przez oparcie krzesła i czekała tylko sposobnej okazji. Tego wszak nie przewidziała. Kolejne trzaśnięcia drzwiami, Julian wydał jakieś polecenia podniesionym głosem, przekrzykując zamęt. Uchyliła ostrożnie drzwi i wymknęła się na korytarz. Chwilę nasłuchiwała, zbliżyła się do balustrady, skąd mogła widzieć się na dole. Ludzie kręcili się niespokojnie, dwóch mężczyzn wnosilo akurat rannego, leżącego na rozciągniętej płachcie.

Pośród tego zamieszania szamotała się gospodyni w szlafroku i papilotach, rozpytujac wszystkich i każdego z osobna. Uszu Sereny doszły oderwane słowa: „zasadzka”, „zbóje na gościńcu”, potem znów podniesiony głos Juliana nakazujący sprowadzić doktora Amesa. Kiedy się opustoszała, Serena wróciła do pokoju.

Ledwie zdążyła zamknąć drzwi, usłyszała kroki na schodach. Dech jej zaparło ze strachu. Zgasila świecę i wskoczyła do łóżka. Podciągnęła kołdrę po samą brodę. Po chwili drzwi rozwarły się na oścież, na progu stanął Julian z lichtarzem w dłoni. Zamrugala powiekami, jakby raptem wybudziła się z głębokiego snu.

Świeca rzucała groteskowe cienie upodabniając twarz Juliana do maski o olbrzymich czarnych otworach zamiast oczu. Wrażenie było tak okrutne, a jej myśli tak posępne, że mimowolnie się wstrząsnęła.

– Julianie? – Głos jej drżał. – Co to wszystko znaczy? Co się stało?

Już myślała, że jej pytanie nie przebiło się przez kamienny spokój zastygłej postaci, kiedy raptem rozluźnił się i odparł miękko:

– Nic ważnego. Niepotrzebnie cię budzę. Śpij. Kiedy drzwi się zamknęły i na powrót spowiły ją ciemności, wzięła głęboki oddech. Próbowala uporządkować myśli, odgadnąć, co zaszło. Musieli mieć potyczkę. Był jeden ranny. Zrozumiale, że nie myśleli opowiadać się gospodyni. „Zbójcy na drodze”? Jej nie zbałamuca.

Przed oczami pojawiały się migotliwe obrazy. Podziemne przejścia i nic nie podejrzewający jakobici, usiłujący rozpaczliwie wydostać się z potrzasku. Widziadła zrodzone w skołatanej głowie – Flynn, lord Alistair, jej uprowadzenie, przerwana podróż Juliana do Londynu – przyprawiły ją o zamęt i drżenie.

Julian w zamyśleniu schodził po schodach. Niezwykłe, iżby Serena przespała całe zamieszanie. Zatrzymał się z ręką na poręczy, spojrzął przez ramię, ale pytanie gospodyni, która chciała wiedzieć, czy szykować mu łóżko, odwróciło tok jego myśli.

Czekając lekarza, rannego pacholka złożono na kuchennym stole. Któryś z kamratów poił go brandy dla złagodzenia bólu. Tylko jeden Thompson ucierpiał przy napaści. Trafiła go w ramię bodaj pierwsza wystrzelona kula. Reszta niewielkiej kawalkady, zdjawszy kapelusze i peleryny, w dobrym zdrowiu raczyła się napitkiem, wydzielonym po kapce każdemu przez panią Forrest.

Jak to nieraz bywa po walce, kto ujdzie z niej cało, obraca w bagatelę włos jeżące na głowie przejścia.

– Anglia musi na psy schodzi – mówił jeden – kiej zbójcę krwiopijcę, chcąszy wyżyć uczciwie, biorą się już rabować w taką noc okrutną jako dzisiejsza.

– Zbójcę? A kto powiada, że one zbójcę? – rezonował inny. – Mnie się widzi, że prędzej jakie lordzieta pluderkowe awantury szukały.

– Czemu tak myślisz? – natarł na niego ostro Julian.

– A bo pytali o pieniądze? Nie. Jak biesowie wypadli pośród burzy, pałacy z pistoletów. Prędko od nas odpór dostawszy, czmychnęli kieby psi podkuliwszy ogony. Zbójcę są mocniejsze w korzeniu.

– Nie wiedziawszy, że tak podle trafią na zwartą kompaniją, takż dostali, czego się prosili – wtrącił pierwszy głos.

Jeszcze jeden przyłączył się mówca.

– A mnie się widzi, żeś nie te, co trza spódnickę zawadził, Joe. Drugą rażą zrób nam te łaskę i daj pokój zamężnym białogłowom, bo wszyscy ducha damy.

– Co, ja? – zapytał niewinnie Joe, chwata liczący sobie lat dwadzieścia z okładem, uchodzący za wielkiego amatora przygód miłosnych. – Strzepisz gębę po próżnicy, Dave. A wy sie pilnujta, boście żonaci. Ja żony nie mam, wdowy nie zostawię, co by potem miała se wziąć cały mój ziemski dobytek.

– Prawda, ale zobaczysz, jak cię zwiążą stułą, choćbyś i przody pół majątku wydał, twoja drugie pół nie wiedzieć gdzie przepuści i tak zemrzesz goły.

Ta riposta wywołała ogólny rechot. Dalej się przekomarzano tym sposobem, byle odwrócić uwagę rannego od jego kondycji. Dopiero z przybyciem lekarza facecjoński ruszyli na spoczynek do stajni.

Jeszcze godzina przeszła, nim dom usnął. Thompsonowi posłano w alkówce koło ogrodowego salonu, blisko pokoi Forrestów. Tylko Julian czuwał, zbyt niespokojny, by myśleć o spaniu, nękany pytaniami, na które nie znajdował odpowiedzi.

Napadli ich o milę od domu. Zbójcy? Pluderkowi lordkowie? Kto? Z kieliszkiem brandy usiadł wygodnie w swoim ulubionym fotelu w bibliotece. Wyciągnął nogi i oparł je o obramowanie kominka.

Jeśli to rabusie, dlaczego nie żądali pieniędzy? Nie znajdując odpowiedzi, zajął się drugą hipotezą. Lordzieta wypuścili się w noc, szukając przygody? Mało prawdopodobne. Napaść, w której przychodzi do palby, to już nie figle. Było w tym ataku coś złowieszczonego, jakby jego celem... co? Morderstwo? Kto by na niego nastawa!/? Kto miałby z tego korzyść?

Porzuciwszy na chwilę jałowe rozważania, cofnął się pamięcią do wydarzeń minionego dnia, jakby w nich miał nadzieję znaleźć odpowiedź. Po przyjeździe do miasta najpierw zatrzymał się u prawnika. Był teraz człowiekiem żonatym i chciał uporządkować swoje sprawy, wydać konieczne rozporządzenia, omówić szkic testamentu. Potem pojechał do Ward House zobaczyć się z Flynnem. Jeremy miał aż nadto czasu, by załatwić sprawy we Francji. Dlaczego spóźnił się z powrotem?

Pociągnął solidny łyk z kieliszka, odrzucił głowę na oparcie fotela, zamknął oczy. Znalazł się w niejasnym położeniu. Z jednej strony uważał za swój obowiązek poinformować Wardów o ślubie z Sereną, zanim doszłyby ich wieści z innych źródeł. Niechby nawet widzieli w nim łajdaka i parweniusza, w swoim mniemaniu uczynił, czego wymagał honor.

Z drugiej strony snuł intrygę, która miała doprowadzić do ruiny ojca jego żony. To też była sprawa honoru. Nie mógł pozwolić, żeby małżeństwo z Sereną stanęło na przeszkodzie jego zamierzeniom. Czystym trafem okazała się córką człowieka, który musiał zapłacić za swoje winy, i nawet ona nie mogła go powstrzymać od wzięcia retribucji na sir Robercie. Nie szukał odwetu, tylko sprawiedliwości.

Zatrzymał się na chwilę myślami przy Serenie, ale niezbyt rad własnym rozważaniom powrócił do rozmowy z Flynnem.

Usłyszał od niego, że nie ma żadnych wieści o sir Robercie. Prawdę powiedziawszy, Flynn zdziwił się jego wizytą. Jeremy i Clive wyjechali ledwie przed dwoma tygodniami – dowodził. Różne mogą być powody spóźnienia. Sir Robert nie domagał. Pogoda na Kanale jest zmienna, kapryśna, itd., itd., itd. Julian musiał się tym zadowolić.

– A teraz powiedzcie, jak sie miewa Serena – zapytał Flynn w jakimś momencie.

Opowiedział, bagatelizując wypadek i wstrząśnienie, którego doznała. Nie miał najmniejszej ochoty widzieć Flynnna pędzącego do Twickenham, by sprawdzić, czy jego pani nic złego się nie dzieje. On był teraz odpowiedzialny za Serenę i nie dopuści, żeby kto się między nich wtrącał.

Sprytne oczy Flynnna wpatrywały się przenikliwie w Juliana.

– Uhm – stwierdził. – Macie z niemi trzy światy, co? Nie dziwota mi to. Powiadałem wam, jak będzie. A chcecie mojej rady, to wam jeszcze powiem, pokażcie jej od samego początku, kto w domu rządzi. Ale co mnie gadać, czego sam nie widzę.

Tak to, podniesiony na duchu, Julian rozstał się z Flynnem. Została mu jeszcze do załatwienia pewna delikatna sprawa.

Odwiedził kolejno znajome damy, by je grzecznie pożegnać, w razie gdyby same nie pojęły, jak sprawy stoją. Raz postanowiwszy uładzić, co było do uładzenia, nie szczędził wysiłków.

W końcu był tylko człowiekiem. I zaciejszy od niego uczułby skurcz żalu na widok owych skąpo odzianych zwodnic w ich przytulnych buduarach. Dość pomyśleć o takiej Cherry Marshall albo lady Amelii. Nigdy swobodne kawalerskie życie nie wydawało mu się bardziej pociągające. Jakoś zdołał się wywinąć błyskotkami i kilkoma wcale rozkosznymi całusami. Bardzo rozkosznymi.

Zberek – zbesztął sam siebie. Co by rzekła Serena, gdyby wiedziała o tych całusach? Kompletnie pozbawiony skruchy uśmiezek zniknął z jego twarzy. Julian zamyślił się. Znał łoża chętnych kobiet, gdzie jeszcze teraz zostałby ciepło przyjęty, czego nie mógł powiedzieć o łożu Sereny, jedynym, w którym pragnąłby się znaleźć.

Wysuszył kieliszek do końca i zapatrzył się w jego puste dno. Jaki diabeł go podkusił wracać do domu po nocy, w towarzystwie kilku tylko obstawy? Podjął decyzję w jednej chwili. Zajechawszy do swojego domu gry, tłukł się niespokojnie po pokojach, kiedy wreszcie w bibliotece natknął się na lorda Kirklanda.

Hrabia przywołał go do siebie.

– No i, jakeś chciał, sir Robert – dostał akt łaski.

Julian próbował zbyć jego słowa żartem.

– Powiadają, żeście się za nim wstawili, chociaż nieprzychylni postanowieniu.

– Przemyślałem, coś mówił, i zmieniłem zdanie – odparł hrabia z szelmowskim błyskiem w oku. – Nie ż-żebyśmy oczekiwali nawrócenia sir Roberta, choć zaprzysiągł wierność Koronie. Nie. Lepiej wszak mieć go tutaj, n-na oku. Tutaj nawet nie kichnie bez naszej wiedzy.

Śmiejąc się Julian odwrócił głowę i napotkał nieprzyjazny wzrok lorda Charlesa Tremayne'a. Lord Charles pierwszy spuścił oczy. Julian zamiast wrogości czuł raczej rozbawienie. Lord Charles był wiernym adoratorem Catherine Ward. W stanowczym postanowieniu znalezienia przystępu do Sereny Julian umizgał się do jej bratowej, co bardzo nie w smak było Charlesowi. Julianowi niemal zrobiło się go żal. Nic biedak nie wskóra u zakochanej w swoim mężu Catherine.

Ta myśl od nowa wprowadziła go w zaniepokojenie i wiedziony impulsem postanowił wracać

do Twickenham. Skoro podróż nie była planowana, skąd przeświadczenie, że ktoś dybie na jego życie? Mordercy nie mogli się nań czaić nocą, skoro było wiadomo, że nie wróci do domu wcześniej aż następnego dnia. Śledziliby go przez całą drogę? A jeśli to nie łotrzykowie z gościńca, kto inny? Kto miał powód, by czyhać na jego życie?

Nocne niebo przecięła błyskawica, zagrzmiało. Julian wstał leniwie i podszedł do okna. Ciemno, choć oko wykol. Już miał się odwrócić, kiedy kolejny błysk rozświetlił niebo niczym tysiączne fajerwerki. Zdołał dojrzeć coś na kształt kobiecej postaci na brzegu przy łodzi i znowu zapadły ciemności.

Musiało mu się przywidzieć. Nikt, a już na pewno żadna kobieta, nie puszczałaby się łodzią na rzekę w taką noc. Chyba że zdesperowana istota uykająca przed czymś lub przed kimś. Ledwie to pomyślał, capnął lichtarz i popędził ku schodom.

Chociaż łóżko było zburzone, w pokoju nie zastał nikogo. Nie zatrzymując się nawet, wpadł do garderoby. Ani śladu Sereny. Do głowy cisnęły się najróżniejsze myśli, dając dostęp wszelkim możliwym podejrzeniom. Zamarł niczym kamienny posąg, po czym wybiegł miotając pod nosem przekleństwa.

Schody przemierzył po dwa stopnie na raz. Słyszał jakieś odgłosy z pokoi Forrestów, ale nie czekając chwycił pelerynę i dopadł drzwi.

– Serena! – Wołanie tonęło pośród szumu deszczu.

Biegł przez trawnik w stronę rzeki.

– Serena! – Krzyczał ile sił w płucach, serce łomotało w piersi. Gnając ku rzece, kłął się w myślach za własną głupotę. Taki był z siebie zadowolony, taki pewny swego. Powinien był przestrzec ludzi, by nie dali się zwieść niewinnym uśmiechom i szczerzej jakoby naiwności jego żony, za którymi kryły się szczerwane knowania. Była przecież z Wardów. On, jak nikt inny, wiedział, co to oznacza.

Trząśł się targany lękiem i gniewem. Miało jej pilnować dwunastu jego ludzi. Gdzie się, u diaska, podzieli? A Serena? Aż tak się go bała, że narażając zdrowie i życie postanowiła uciekać? Musiała wynaleźć nie lada powody, kiedy wydał się jej aż tak straszny.

– Serena! – ryknął. – Odezwij się, na Boga!

Opatrzność odpowiedziała na jego wołanie błyskawicą, rozświetlając niebo na jedną, dech w piersiach zapierającą chwilę. Zobaczył ją wyraźnie w łodzi w dole rzeki, jak manewruje długim drągiem pośród wodnych zasadzek.

Co ona, u diabła, wyczynia? Nie wie, że to płaskodenna łódź? Nie utrzyma jej przy tej pogodzie.

Nie wiedząc, czy budzić swoich ludzi, czy puścić się w samotną pogoń, stał chwilę na brzegu, po czym, klnąc los, siebie samego, ale nade wszystko ciskając gromy na nią, rzucił się ku przystani, gdzie leżały łodzie.



Nieświadoma pościgu, Serena wypatrywała w ciemnościach przeszkód. Na darmo. Ledwie mogła dojrzeć własną dłoń. Brzeg zniknął za kurtyną deszczu. Nie tak to sobie wyobrażała, nie taką znała Tamizę. Na rzece nie było innych łodzi, po wodzie nie niosły się przyjazne pozdrowienia wykrzykiwane od wiosła, wokół jak okiem sięgnąć żadnych świateł, podług których dałoby się orientować. Równie dobrze mogła przepływać Styks w drodze do Hadesu. Próbowwała walczyć z narastającą paniką. Kiedy zepchnęła łódź na rzekę, była bliska rezygnacji. Tylko szalenciec wyprawia się w taką pogodę, ale co począć. Nie potrafiłaby, nie odważyłaby się spojrzeć Julianowi w oczy, w każdym razie takiemu, jakiego zobaczyła dzisiejszego wieczoru na progu swojego pokoju. W jego twarzy wyczytała coś dzikiego, nieokiełzanego, coś zimnego i nieodgadnionego. Nie umiała wytłumaczyć sobie własnych odczuć. Instykt, który ostrzegał ją, że stoi przed największym w swoim życiu niebezpieczeństwem, wziął górę.

To tylko panika – powtarzała sobie w myślach. Nerozumne odruchy. Julian był przebiegły, ale nie groźny. A może? Jeśli okaże się agentem, który ich tropi, był nie tylko groźny, był śmiertelnie niebezpieczny.

Nie wiedziała, jak długo już sunie z prądem, kiedy zdała sobie sprawę, że na rzece jest jeszcze jakaś łódź. Ktoś za nią płynął, ktoś ją ścigał. Słyszała pospieszny plusk wiosła, potem, kiedy tamten zaczął ją doganiać, także świszczący oddech. Przerazona zamknęła oczy. Nie daruje jej teraz, nie pozwoli, by jeszcze raz mu się wymknęła.

Miała szczęście. Jakby naprawdę przeprowiała się przez Styks, z rzeki nagle uniosły się opary otulając ją całunem mgły.

– Serena!

Głos Juliana. Poczowała dławienie w gardle. Była pewna, że słyszy jej zmęczony, przyspieszony oddech.

Rozległ się złowieszczy trzask, łódź się zakołysała i raptownie stanęła. Na wpół uniesiona, Serena wyciągnęła ręce przed siebie, szukając po omacku przeszkody, która ją zatrzymała. Nie wierzyła własnym dłoniom. Łódź zdryfowała do brzegu i tkwiła między zwieszającymi się nad wodą konarami. Serena krzyknęła, czując na twarzy mokre witki wierzby płaczącej.

– Mam cię wreszcie! – krzyknął Julian. Wskoczyła z łodzi, kiedy miał jej dosięgnąć. Upadła na kolana, ale nawet nie poczuła bólu. Poderwała się natychmiast, gotowa odeprzeć atak.

Teraz, kiedy nie musiał się już lękać o jej bezpieczeństwo, zdjęła go zimna furia.

– Ty łajdaczko! Ty podstępna, przewrotna łajdaczko! Cofnęła się o krok.

– Nie. Nie.

W tej samej chwili niebo rozdarła oślepiająca błyskawica. Serena wywinęła mu się spod ręki i rzuciła przed siebie. Nie zważając na kałuże, na deszcz siekący po twarzy, na wodę chlupoczącą w trzewikach, pomykała wzdłuż brzegu. Raz czy dwa zakosami próbowała zmylić pogoń, a kiedy się potknęła, co zdarzało się często, podrywała się natychmiast na nowo do

biegu. Wkrótce miała zadyszkę, złapała ją kolka, ubranie lepiło się do ciała niczym pancerz z mokrego gipsu.

Kiedy dobiegła do drewnianej kładki, stanęła, żeby odetchnąć. Mgła była tu rzadsza. Rozejrzała się, usiłując odgadnąć, gdzie jest. Zdawało się jej, że biegła w dół rzeki, ale w popłochu straciła chyba rozeznanie. Mogła być wszędzie, w tych piekielnych ciemnościach nie odnajdywała żadnych punktów orientacyjnych.

Zaczęła bacznie nasłuchiwać i chociaż przez szum deszczu nie uловиła żadnych odgłosów, ani przez chwilę nie uwierzyła, że poniechał pogoni. Musi biec dalej.

Po obydwu stronach ścieżki czerniły się pnie drzew niczym mury więzienia. Już miała zboczyć w gęstwinię i tam poszukać kryjówki, kiedy pośród rozpraszającej się mgły dojrzała odległe światło. Odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu. Odrzuciła kaptur z głowy i nie bacząc na strugi deszczu, zaczęła się wpatrywać w przyjazny punkt.

– Nie zatrzymuj się – usłyszała głos Juliana za plecami. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Odwróciła się gwałtownie, gotowa rzucić się na niego z zaciśniętymi pięściami. Przewidział ten ruch. Chwycił w nadgarstku rękę wzniesioną do ciosu i jednym ruchem zarzucił sobie Serenę na plecy. Razy, którymi go okładała, nie odnosiły żadnego skutku. Zaprzestała dopiero walki, słysząc skrzypnięcie drzwi otwieranych kopniakiem, i pozwoliła wnieść się do wnętrza.

Kiedy postawił ją na ziemi, łapiąc równowagę oparła się o coś, co zdawało się stołem. Drżała z zimna, oblepiała ją wilgoć, otaczały ciemności tak głębokie, że nie sposób było rozróżnić w nich bodaj zarysów. Obyła się bez tego. Wyostrzonymi zmysłami czuła jego obecność, bijące odeń ciepło, słyszała każdy oddech, ale nade wszystko zdawała sobie sprawę z ledwie powstrzymywanej wściekłości.

Gdzieś uderzył piorun, potem usłyszała krzesanie ognia. Przytknął hubkę do knota, zapłonęła lampa. Byli w wielkiej, sypiącej się stodole, służącej po części za warsztat. Pod ścianami stały jakieś części różnych maszyn, ośki, koła, przedmioty, których nie umiała nazwać. Po jednej stronie piętrzyło się siano. Ogarnęła to wszystko szybkim spojrzeniem i utkwiała wzrok w zimne oczy mężczyzny. Postąpił krok w jej stronę. To nie odwaga zatrzymała ją w miejscu, ale ślepy instynkt. Jedną dłoń zaciśnęła na krawędzi stołu, szukając oparcia.

Groźny. Nieobliczalny. Zuchwały. Dreszcz niepokoju budziło coś jeszcze gorszego, dzikiego i prymitywnego, co dopiero teraz – jak się jej zdawało – szukało ujścia. Nie dowierzała chłodnej masce oglądy, rozważnej obojętności. Ten człowiek to drzemiący wulkan, gotów w każdej chwili wybuchnąć.

– Mądrzej byłoby – powiedział – mieć cię za kochankę niż za żonę.

– Mam chyba w tej materii coś do powiedzenia. – Chociaż odrzuciła głowę' hardo do tyłu,

trzęsła się ze strachu.

Przez twarz przebiegł mu gorzki uśmiech.

– Nie pojmuję tylko, jakeś to ułożyła. Zwilżyła wargi.

– O czym mówisz?

– Daj pokój, Sereno. Wiesz, że o napaści dzisiejszego wieczoru.

– Napaści? Nic nie wiem.

Rzuciła okiem na zaryglowane drzwi.

– Spróbuj tylko umknąć – mówił spokojnie, choć widziała, że gotuje się ze złości – a pożałujesz, żeś się urodziła. Zaczniemy od początku? Jakeś to ułożyła? Jakich miałaś współników? Jak widzisz, mój umysł nie trudził się darmo. Wiem, że byli współnicy.

– Po co miałam coś układać? Nie było powodów. Myślałam, że jestem Victorią Noble, możeś zapomniał?

Pokręcił głową śmiejąc się cicho.

– Wyborny spisek, to muszę ci oddać. Podeszłaś mnie niczym stado baranów. Naraiłaś sobie któregoś z moich ludzi na posłańca?

Najpierw zaprzeczyła żywo, po czym odparowała:

– Tak powinnam była uczynić, uczyniłabym, gdybym była sobą ty... ty szpiegu bez zasad.

Przeraził ją jego uśmiech.

– Zrobiłaś swoje, nie powinnaś była uciekać. Zdradziłaś się tym nierozważnym krokiem.

Popatrzyła na niego: zacięta twarz, diabelski uśmieszek. Gorączkowo zaczęła myśleć nad sposobem ucieczki.

Niby to ogarnięta raptownym zmęczeniem odwróciła się do stołu i rzekła płaczliwie:

– To niesprawiedliwe. Nie tobie, ale mnie stała się krzywda, boś mnie uprowadził i więził wbrew mej woli. – Mówiąc to, skrytą pod peleryną ręką macała po stole za jakimś narzędziem, czymkolwiek, co mogłoby posłużyć za oręż. Natrafiła na podłużny żelazny kształt i zamknęła na nim dłoń.

Na moment niepewność zagościła w jego oczach, ale zaraz zlodowaciały na powrót.

– Starczy tego. Powiedz, co chcę wiedzieć, albo wydrę z ciebie każde słowo.

Kiedy wyciągnął ręce w jej stronę, cofnęła się o krok i zamierzyła na oślepa. Uchylił się, cios poszedł bokiem przez pierś. Usłyszała głuchy łomot. Julian zatoczył się na stół, łapiąc z trudem powietrze. Spojrzała na trzymany w ręku młotek i rzuciła go na kamienną posadzkę z okrzykiem przerażenia. Kiedy klnąc ją próbował się wyprostować, rzuciła się ku drzwiom. Rygiel ustąpił od razu. Wypadła w noc niczym lis umykający przed sforą psów gończych.

Dopał ją jednym susem. Nim zdążyła krzyknąć, pochwyił ją i wymierzył siarczysty, karzący pocałunek. W głowie się jej zakręciło, tchu zabrakło. Słaba próba obrony spotkała się z tak silnym odporem jego warg, że już całkiem nie mogła oddychać.

I on, zadyszany, uniósł wreszcie głowę.

– Może w końcu dopniesz swego, ale nim zostaniesz wdową, przebóg, jeszcze posmakujesz, co znaczy być żoną.

Odwrócił się na pięcie i ruszył na powrót do stodoły, z Sereną na rękach.

Uszedł z niej cały animusz do walki, i to nie tylko za sprawą wyczerpania. Bała się go niczym burzy. Wiedziała, że nic z nim nie zwojuje prośbą ani groźbą, kiedy w takim jest usposobieniu. O dziwo, myśl ta ją uspokoiła, ale pojawiło się niezwykle przecucie.

Czując, że się zsuwa, chwyciła go za ramiona. Wydał jakiś dźwięk, ochrypli pomruk. Podniosła nań oczy, a on wymierzył jej kolejny karzący pocałunek. Tym razem nie próbowała stawiać oporu. Z samej głębi kobiecej duszy szła prastara wiedza. Wargi poddały się miękko gwałtowi.

Kiedy wreszcie przemówił, zabrzmiało to stanowczo i ostro.

– Tym sposobem też nic ze mną nie zwojujesz. Za późno się namyśliła.

Przez chwilę zdawało się, że czeka na jej odpowiedź. Kiedy nic nie odrzekła, poprawił ją sobie na rękach i poniósł na stertę siana. Prawie ją rzucił, po czym sam wyciągnął się obok.

Szybki w oknach dzwoniły pod uderzeniami deszczu i wiatru, jej serce biło przyspieszonym rytmem niczym w gorączkowym kontrapunkcie do tamtych dźwięków. Nagle niebo rozbłysło i przetoczył się grzmot. Z krzykiem przyłgnęła do Juliana.

Trwali tak bez ruchu przez dobrą chwilę, niemal dotykając się ustami, łącząc oddechy, czując nawzajem ciepło swoich ciał, wsłuchani w narastające pragnienie. Powody obłąkańczego pościgu, który przywiódł ich do tego miejsca, odpłynęły gdzieś na krańce świadomości, pozostawiając na placu boju tylko potężne a szukające ujścia emocje.

– Nie pozwolę ci odejść. Nie próbuj nawet prosić.

– Ja... – Patrzyła na niego bezradnie, szukając słów. Cokolwiek by powiedziała, nie będzie tego słuchał.

Nie mógł, nie chciał się hamować. Zbyt długo trzymała go z dala od siebie, i nie miał na myśli wyłącznie tego tygodnia, który spędziła pod jego dachem już jako żona. Znacznie wcześniej sprawiała mu zawód; zaraz rano po ich pierwszej nocy, kiedy to obudził się oczekując Bóg wie czego, znalazł w łóżku wiedźmę.

Od tamtej chwili aż po dzisiejszy dzień paliło go pragnienie. Teraz wszelkie skrupuły, które dotąd go hamowały, przestały mieć znaczenie. Zamach na jego życie, pościg, lęk o jej bezpieczeństwo, gwałtowność emocji, kiedy rzuciła się na niego – wszystko to zachwiało kruchą materią ogłady, spod której wychynęło coś mrocznego a pierwotnego, co w chwilach trzeźwości umysłu musiałoby go napawać zgrozą i odrazą. Nie chciał jej krzywdzić. Nie myślał przymuszać. To, czego doświadczał, sięgało głębiej niż żądza posiadania kobiecego ciała. Chciał wszystkiego. Nie wiedział, jak to tłumaczyć, choćby samemu sobie.

– Julianie, ja...

– Nie! – zawołał porywczo, przerywając jej w pół słowa. Kiedy zleął na niej, zapadła się w siano. Zduszony pocałunkiem okrzyk przerażenia uwiązał jej w gardle. Usiłując zachować zdrowe zmysły, kurczyła i rozwierała palce na jego ramionach: ich uścisk stawał się coraz mocniejszy. Chwila musiała upłynąć, nim Julianowi zaświtało w głowie, że ona wcale mu się nie opiera i że jego ogniste usiłowania, by pocałunkami przywieść ją do posłuszeństwa, wcale nie były konieczne. Kapitulacja. Czuł jej smak na wargach, czuł miękką uległość jej ciała.

Kiedy oderwał się od niej, unióśł ją z sobą, podtrzymując ramieniem. Zanurzył twarz w jej włosach.

– Nie mogę pozwolić ci odejść – powtórzył, co powiedział wcześniej, tyle że tym razem była w jego słowach prośba. – Jeśli nie będę z tobą teraz, to najpewniej czeka mnie obłęd. Będiesz wielkoduszna, Sereno?

Słuchała jego słów i ogarniał ją miły bezwład, poczucie wyswobodzenia ciała. Nie tylko jemu groził obłęd. I ona nosiła w sobie echo dzisiejszych zajęć. Nie znajdowała dość siły, żeby się opierać, i nie miała ochoty. Owładnęło nią coś innego, nie namiętność, nie pożądanie; niezgłębione źródło emocji odnajdujących zgodę z tym, co było w naturze Juliana męskiego. „Julian” – myślała ni to w desperacji, ni w zbożnej zgrozie. „Tylko Julian”.

Przyciągnął ją bliżej, wtulił w siebie.

– Nic nie mów. Nie chcę rozmawiać. Nie chcę myśleć. Chcę... Nie opieraj się. Proszę cię.

Bez udziału ze swojej strony, a i bez sprzeciwów, pozwoliła zdjąć z siebie pelerynę. W mig się uporał z resztą jej szat, potem sam zaczął się rozbierać. Ręce mu drżały.

Na dworze szalała wściekła burza, jakby tkwili pośrodku wielkiego pola bitwy. Błyskawice, grzmoty, szum deszczu. Serena zamknęła oczy: ciało odpowiadało odzewem na głosy nawałnicy. Potem i to umknęło. Został tylko Julian, wsparty nad nią na łokciu.

Jedyna tycząca jej nawałnica. Nie wiedziała o tym od zawsze? Groźny. Zuchwały. Nieobliczalny. Tylko głupiec próbuje temperować żywioły. Zadrżała na tę myśl, nie ze strachu, lecz z podniecenia, w oczekiwaniu. Kiedy splotła dłonie na jego karku, usłyszała mruknięcie ni to bólu, ni protestu. Uniosła głowę i pocałowała go mocno, mocno. Szarpnął się całym ciałem.

Tego właśnie chciał. Nie uległości, nie akceptacji, ale namiętności, równie desperackiej i wolnej jak jego własna. Drżała pod jego dłońmi. Gorąca, wilgotna skóra. Kręciło mu się w głowie od jej zapachu. Polne maki i coś zmysłowego, mrocznego, tylko jej właściwego. Podniósł ją ku sobie i począł wędrować niby odkrywca zagarniający dla siebie, co eksplorowały usta, język. Nikt jeszcze tak jej nie dotykał. Nikt tak nie dotknie. Była jego i tylko jego.

Poddawała się tym kolonizacyjnym wycieczkom niczym miękki wosk. Płonęła żywym ogniem. Zdawała na odczucia. O cokolwiek ją poprosi, odda mu bez zastrzeżeń, poza kres widnokęgów skromności i wstydu. Jej ruchy stały się bardziej rytmiczne, bardziej instynktowne; wyginała się i wila, zapraszając i jego, żeby zbył się pęt.

Dziki. Władczy. Pierwotny. Nigdy jeszcze tak nie było, a uważał się przecież za mężczyznę z doświadczeniem. Zdawało mu się, że poznał dogłębnie, czym jest rozkosz i namiętność. Ona była pierwszą kobietą, pierwszą i jedyną, która budziła w nim nie tylko pragnienie zaspokojenia zmysłów, ale i chęć naznaczenia jej raz i na zawsze znakiem przynależności. Jak już to się stanie, będzie wreszcie wiadomo, czyją jest własnością.

Kiedy wsunął w nią palce i poczuł gładkość pochwy, zamknął oczy powstrzymując nagły przyływ żądz. Chociaż była gotowa na jego przyjęcie, sprawiłby jej ból, gdyby wziął ją w sposób, jakiego chciał. Zbyt był wielki i twardy.

– Powoli – powiedział powstrzymując jej ruchy naporem własnego ciała.

Nie podobała się jej ta powściągliwość. Chciała męskiej siły. Kołysana falami wstrzymywanej rozkoszy szeptała jego imię nie raz, po wiele razy, głosem pulsującym namiętnością, póki nie przywiodła go do punktu, w którym ciało eksploduje w końcu naładowaną energią.

Wszedł w nią wykraczając poza rozumną myśl. Obydwoje na moment znieruchomieli, wreszcie uniósł się trochę i wsunął w nią głęboko, do końca. Niskim, zachrypniętym głosem mówił jej, czego od niej chce. Kiedy oplótła go rękoma i nogami, wstrząsnął się, jakby z największym trudem próbował okiełznać to, co w nim dzikiego, a co się rozpętało z jej następnym ruchem. Wnikał w nią mocnymi, gwałtownymi dźgnięciami, póki się nie uwolnił od wzbierającej rozkoszy.

Przywarła do niego w pochwałę dzikości. Chciała jej, chciała go takim – zdołała pomyśleć resztkami trzeźwego umysłu i zatraciła się w pierwotnym żywiole.

Zbudziła się z okropnym odczuciem *deja vu*. Powoli podniosła powieki i zobaczyła wpatrzony w siebie oczy Juliana. Poderwała się, gwałtownie chwytając powietrze, i spojrzała ku oknu. Burza się uciszyła, ale do świtu było jeszcze daleko.

Odgarnęła włosy opadające na twarz i uświadomiła sobie, że jest naga. Skuliła się, podciągnęła kolana pod brodę. Wreszcie znieruchomiła, spojrzała na niego i zapytała niespokojnie:

– Co to za miejsce?

Julian tylko czekał na tę chwilę, z mocnym postanowieniem, że nie dopuści, by powtórzyło się to samo, co działo się rankiem po ich pierwszej wspólnej nocy. Zrobiła z niego wtedy łotra, siebie, ma się rozumieć, uznawszy za ofiarę. Tym razem nie da się tak potraktować.

– Myślałem, że to jasne. Jesteśmy w opuszczonej stodole, która stoi na moich gruntach. – Kiedy się nachmurzyła, skinął głową. – Tak, jesteśmy w moich włościach. Zatoczyliśmy ostatniej nocy koło.

Na wspomnienie minionej nocy chciała się poderwać, ale Julian tego tylko czekał. Chwytał

ją w pół, by nie umknęła.

– Ty, Flynn, lord Alistair – zaczęła mu złorzeczyć próbując się uwolnić. – Wszyscy byliście w znowie.

Uniósł się.

– Ostatniej nocy nie chciałaś mówić, ja też nie. Są między nami sprawy, które trzeba wyjaśnić, ale nie teraz, nie akurat w tej chwili. Później pomówimy, znacznie później. Proszę, daj mi jeden dzień, nim wrócimy do tego, co się zdarzyło. Jeden dzień nie czyni chyba różnicy? Nie odmieni faktu, że ktoś napadł na mnie wczoraj, ani tego, że choć nasz ślub był pokątny, małżeństwo jest prawdziwe. Co mamy do stracenia darując sobie jeden dzień?

Mówił cicho, łagodnym, przekonującym tonem. Nie mogła myśleć, czując jego dłonie na nagich ramionach.

– Ale... – Nie podda się tak łatwo. Musi się dowiedzieć, czy szlak jakobickich ucieczek spalony.

– Nie wyjdziemy stąd teraz, choćbyśmy chcieli. Ubrania przemoczone i do świtu daleko. Jak błąkać się w ciemnościach?

Wyczuł jej wahanie. Zaczął całować szyję, ramiona, piersi.

– Powiedz „tak”, Sereno – mruknął cicho. – Powiedz „tak”. – Ujął ją pod brodę i szeptał zbliżając wargi do jej ust, jakby uczył dziecko mówić. – „Tak”. Łatwe słowo. Co się dzieje, kochana? Dlaczego nie chcesz dać mi tego? Nie było ci rozkosznie w moich ramionach tej nocy?

– Tej nocy... – zaczęła, zbierając się oznajmić coś niezwykle doniosłego, ale myśl, którą miała wypowiedzieć, wyparły cisnące się do głowy obrazy. Ostatniej nocy w jego ramionach było jej rozkoszniej, niż kiedykolwiek mogła przypuszczać.

Poczuła jego język w ustach.

– „Tak”. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

– Tak – odparła zamykając oczy. – Tak. Potrząsnął nią.

– Dlaczego? Dlaczego powiedziałaś „tak”?

– Bo... sprawiasz, że czuję, czego wołałabym nie czuć.

Zaśmiał się zagadkowo.

– Naprawdę, kochana? – Zarzucił sobie jej rękę na szyję. Chwilę odczekał. Nie odsunęła się, westchnął ostrożnie. – Ty robisz ze mną to samo.

Ale nie tym razem – napomniał się w myślach. Tym razem miał zamiar poczekać, aż Serena ustąpi w kilku punktach. Zasadniczych.

Wstrzymała oddech, gdy poczuła jego dłoń na piersi. Nie znajdowała w sobie nic poza pożądaniem.

– Julianie. – Głos jej drżał. – Proszę.



Wpatrywał się w jej twarz, bacznie obserwując, jakim ulega przemianom. Nie widzące oczy, rozchylone wargi, urywany oddech. Swoim zwyczajem, jak zawsze, kiedy nie pojmowała czegoś do końca, ściągnęła brwi.

Ostrożnie ścisnął sutek palcami. Z westchnieniem zarzuciła mu drugą rękę na kark, głowę oparła na jego ramieniu.

– Tak niedobrze, pozwól, ułożę cię wygodniej. – Nie przerywając pieszczot, zmienili pozycję. – Teraz lepiej. – Oparty plecami o ścianę rozsunął szeroko uda, ukazując jej przyrodzenie. Przez długą chwilę nie mógł dobyć głosu.

– Wy tłumacz mi coś. Dlaczego zawsze ze mną wojujesz, zanim ulegniesz, a i potem także? Natychmiast pojął, że użył niewłaściwego słowa. Szarpnęła się do tyłu, mrużąc oczy.

– Ulegnę? – zapytała. – Ulegnę?

Nie byłby sobą, gdyby nie okazał przewrotności. Uznał, że jest w prawie. Przeszedł przez nią piekło. Kiedy próbowała się odsunąć, zanurzył palec pod kępka włosów, rozwarł lekko fałdy, ale nie wchodził głębiej. Zacisnęła konwulsyjnie dłonie na jego karku, odchyłona do tyłu, z odrzuconą głową.

– Julian – wyrzuciła, z trudem łapiąc powietrze. – Julian.

Nie przerywał swoich zabiegów.

– Tak, kochana, uległość. Lubię, kiedy się oddajesz. A ty nie lubisz, kiedy ja się oddaję?

– Nie znoszę... Julian... dość. Zaśmiał się cicho.

– Mówiłaś coś. Nie lubisz?

– Nie znoszę mężczyzn, którzy... – Wszelki opór zniknął. Obejmowała go mocno.

– Którzy...? Naprawdę chciałbym wiedzieć.

Nie zważał wiele na toczącą się między nimi rozmowę. Owładnął nim upajający triumf. To nie słodka, przyzwalająca Victoria rozpałała się doń teraz, ale wyniosła, purytańska, pełna zasad Serena, która potrafiła jednym zimnym spojrzeniem zmieszać człowieka z błotem. Tym razem nie miał zamiaru rzucać się na nią niczym rozochocony byk. Weźmie ją powoli, doprowadzi jej pożądanie do kresu wytrzymałości, dowiedzie sobie, jej, że jest mu obojętna.

Przesunął ją lekko, tak by sięgnąć ustami jej piersi. Pod palcami czuł wilgoć. Dłużej nie mógł zdzierżyć. Jeszcze chwila, a eksploduje.

Przyjrzał się jej uważnie. Lśniaca skóra, tam gdzie dotykał wargami, twarz otoczona puklami jasnych włosów, szczupłe, proporcjonalne członki, falująca pierś. Przemienił ją we wrzące pożądaniem naczynie. Dobrze. Pora, żeby doświadczyła trochę z tego, co sam musiał przecierpieć.

Uniosła powieki, spojrzała mu prosto w oczy.

– ...mężczyzn, którzy próbują mną zawładnąć – oznajmiła.

– Co? – Zapomniał już, o czym mówili. Ona też.

– Nie znoszę mężczyzn, którzy próbują mną zawładnąć. – Powtórzyła machinalnie.

Jej słowa przypomniały mu, że nie bez powodu chciał ją uwieść. Chociaż rozmowa była ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, powściągnął w sobie zwierzę i położył dłonie na jej ramionach, by przysiadła na piętach. Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Kiedy nieco ochłonęła, powiedział szczerze, acz nie do końca w zgodzie z prawdą:

– Nigdy nie chciałem tobą zawładnąć. Myślałby kto, że się uda! Akurat byś pozwoliła. Uległość to co innego.

– Tak?

– Tak. Uległość oznacza przyznanie, że pragniesz tego – przesunął dłońmi po jej ciele – tak jak ja przyznaję. Jesteś do tego stworzona, stworzona dla mnie. Ulegasz mi, a ja ulegam tobie. Jeśli nie ma tego w akcie miłosnym, jest wstrętny. – Zacerpnął powietrza. – Powiedziałaś mi raz, że kiedyśmy się kochali, czułaś tylko odrazę. Chciałaś mi dowieść, że wziąłem cię siłą. To naprawdę takie odrażające, Sereno? – Wsunął w nią głęboko palce. – Naprawdę zmuszam cię do czego?

Mrugała oczami jak wybudzona ze snu kotka. Chociaż jej ciało rozpaczliwie dopominało się spełnienia, które tylko on mógł jej dać, coś w jego tonie wytrąciło ją z hipnotycznego oczekiwania. Rzucone ongiś w gniewie nierozważne słowa uczyniły na nim głębokie wrażenie. Więcej, ubodły go do żywego.

Przysunęła się bliżej i pocałowała go.

– Kłamałam – mruknęła z ustami przy jego ustach. – Nigdy mnie nie zmuszałeś, a ja nigdy nie myślałam o tobie z odrazą. Nigdy. Wstydziałam się tylko tego, co czuję.

– Dlaczego?

– Byłeś obcy. Myślałam, że uczciwa kobieta nie powinna tak czuć, i ciebie za to obwiniałam. Wybaczysz mi?

Przebiegł go dreszcz, potem następny. Zamknął oczy.

– Byłem w czyścicu. Nie wiedziałem... Nie miałem pewności. – Zacisnął zęby. – Nie mogłaś gorzej o mnie myśleć, niż ja sam o sobie.

– Tak mi przykro, Julianie. Co mam ci rzec? Jeśli tylko mogłabym to jakoś naprawić...

Otworzył szeroko oczy.

– Możesz, a jakże – powiedział porywczo i przywarł do niej.

Ludzie Juliana znaleźli ich o pierwszym brzasku. Po jednej czy dwóch godzinach snu Serena nie była w zbyt promiennym usposobieniu. Uderzyła Juliana po rękę, kiedy próbował ją obudzić. Bezwzględne, natarczywe dłonie ciągnęły ją, szarpały, ubierały, kiedy miała ochotę dalej spać; gdyby była trochę przytomniejsza, obrażałyby jej skromność. Wcisnęły nagie piersi pod stanik. Zaczęło ją znowu ogarniać miłe podniecenie. Urocze.

– Diabła, nigdy nie będę miał cię dość. Naburmuszyła się, gdy cofnął dłonie, ale nic nie powiedziała, tylko złożyła głowę na jego piersi, by natychmiast zostać bezlitośnie wybudzoną z drzemki.

– Znalazłem to na podłodze. Zechciałabyś wyjaśnić, jakim sposobem weszłaś w posiadanie naszego aktu ślubu i co zamyślałaś z nim zrobić?

W jego tonie było coś, co od razu ją otrzeźwiło. Wzruszyła bezradnie ramionami, wpatrując się w dokument, którym wymachiwał jej przed nosem.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Czy nasze małżeństwo nie jest prawdziwe, Julianie?

– Z całą pewnością jest. – Złożył pergamin i schował do kieszeni. – U mnie będzie bezpieczniejszy.

– Dobrze – powiedziała zamykając oczy.

– Sereno! – W jego głosie usłyszała śmiech zaprawiony zniecierpliwieniem. – Pora ruszać. Przygotuj się do drogi, za chwilę wsiadamy do powozu. Już czeka.

Kiedy wyszła z wygodki, do której ją zaprowadził, zatrzymała się, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Julian objął ją, otulił swoją peleryną. Ze śmiechem ucałował odęte usta i uniósł w ramionach.

W powozie powieki same jej opadły. To jego sprawka, wymęczył ją swoimi nienasyconymi pragnieniami, długą miłosną nocą. Myśl ta wywołała uśmiech zamiast skruchy.

Rozbawiła go ironia sytuacji. Zawsze miał się za bardzo namiętnego mężczyznę o zdrowym apetycie seksualnym. Serena nauczyła go kilku rzeczy. Zrozumiał, że nie miał dotąd pojęcia, czym jest namiętność. Przy właściwej kobiecie, przy Serenie, jego apetyt okazywał się nienasycony. Nie mógł się nią nacieszyć, oderwać od niej rąk, przestać jej pragnąć. Nigdy jeszcze nie przytrafiło mu się coś podobnego. Gdyby miał tylko dość czasu, wziąłby ją tutaj, w powozie. A ona by na to przystała. Poczuł, jak całe ciało pręży się na tę myśl. Jedno dotknięcie i jego mała skromnisia przemieni się w rozpustnicę. Prosił o jeden dzień, który mieliby tylko dla siebie, pewien, że ten jeden dzień obróci się w lata. To dopiero początek. Bardzo możliwe, że począł z nią dziecko, a jeśli nawet nie, wiedział już, jak postępować z Sereną. Przykuje ją do siebie potęgą magnetycznego seksu, którego istnienia między nimi już jej był dowiódł. Może się jej to nie podobać, może się opierać, ale on jest bardziej doświadczony od niej. Jeśli okaże się konieczne, nie zawaha się skorzystać z doświadczenia i obrócić go przeciwko niej.

Kiedy dowie się prawdy, przestanie mu ufać. Ale czy wybierze jego, czy ojca – stanowiło czysto akademicki problem. Jest jego żoną. Każdy sąd jemu przyzna rację. Nie umknie mu już.

Nie jest zimnokrwistym potworem – upewniał się w myślach. Prawie już postanowił, że kara, jaką wymierzy sir Robertowi, nie będzie trwała w nieskończoność. We właściwym czasie, przez wzgląd na Serenę, odpuści mu, ale niech wcześniej jego wróg pozna, co to prawdziwy

strach, niech zasmakuje własnej trucizny. Nie może naturalnie przyjść do zgody. Między nimi zawsze będzie nienawiść. Kiedy prawda wyjdzie na wierzch, zabierze Serenę gdzieś daleko, gdzie będą mogli zacząć życie na nowo i gdzie nie sięgną wpływy jej ojca.

Zaczął znowu deliberować nad wczorajszą napaścią. Chociaż gubił się w domysłach, na trzeźwo przyznawał, że Serena nie mogła mieć z tym nic wspólnego.

Objął ją, jej głowa opadła mu na ramię. Przytuliła się ufnie niczym dziecko. Ciągłe spoglądał na nią zamyślony, kiedy powóz stanął przed domem.

Zostawił ją śpiącą jak niemowlę i poszedł zobaczyć, jak się miewa ranny pacholek. Zastawszy go w znacznie lepszym zdrowiu, kazał podać sobie śniadanie w bibliotece.

Wkrótce pojawił się posłaniec z raportem od Blackiego, który jak zwykle przysyłał skrupulatny biuletyn wpływów z ostatniej nocy. Tym razem i Julian miał coś do przesłania Blackiemu.

Jego akt ślubu przedstawiał sobą opłakany widok. Jeden róg urwany, atrament rozmazany od deszczu. Uśmiechnął się na myśl, że za wcześniej przesądzać, czy Serena po przebudzeniu wyrzuci dom do góry nogami w poszukiwaniu pergaminu, czy też pogodzi się ze swoim losem.

Zrobił kopertę z welinu, wsunął do niej dokument i zapieczętował woskiem, na którym odcisnął swoją pieczęć.

– Oddaj to panu Blackiemu i powiedz, by schował do sejfu – nakazał posłańcowi. Morland, goniec, spełniał już wiele podobnych poleceń i Julian ufał mu jak Blackiemu. Zrobi, co pan każe, bez zbędnych pytań.

Przezorny po wczorajszym ataku, dał Morlandowi eskortę dwu zbrojnych, choć prawdę rzekłszy, nie spodziewał się kłopotów w jasny dzień. Musiał jeszcze donieść o napaści miejscowej władzy, z czym zwłóczył, chcąc najpierw wypytać Serenę.

Kiedy poszedł na górę do jej sypialni, ciągle spała jak niemowlę. Przesunął palcem po jej wargach. Miałaby coś wspólnego z napadem? Nie chciał wierzyć, żeby mu aż tak źle życzyła.

Koniec knowań i podstępów. Jest jego żoną i powinna być wierna. Diabła z wiernością! Chciał znacznie więcej.

Obudziła się z uczuciem pożądania pulsującym w całym ciele. Chwilę świadomości przyćmiła namiętność. Dłonie Juliana nie spoczywały. Szepnęła jego imię uniesiona falą rozkoszy, szarpnęła się gwałtownie i przywarła doń zapadając w nicość.

Poderwała się z poduszek przerażona. Obudziły ją jakieś odgłosy, od których włos jeżył się na głowie. Rozejrzała się niespokojnie. Była sama; ciemności rozświetlała tylko świeca na kominku.

Jakiś łoskot, brzęk tłuczonego szkła, potem zdławiony krzyk. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła pospiesznie szlafrok, chwyciła srebrny lichtarz i osłaniając płomień dłonią wybiegła z pokoju.

Zatrzymała się na schodach. Sień zalana była światłem. Kilku żołnierzy w czerwonych mundurach ciągnęło jakiegoś mężczyznę. Inni pomagali wstać leżącym na podłodze jak po pijatyce. Pani Forrest uczepiona Juliana. Okropna scena, niczym z jakiegoś przedstawienia albo nocnego koszmaru.

Mężczyzna pochwycyony przez dwóch ze zbrojnych usiłował się uwolnić.

– Julianie! – krzyknęła Serena. Odstawiła świecę i zbiegła ku niemu.

Ludzie odwrócili się na dźwięk jej głosu. Dopiero teraz zobaczyła, że Julian ma kajdanki na rękach. Spuścił głowę, jeden rękaw koszuli był prawie oderwany.

– Julianie!

Była o krok od niego, gdy jeden ze zbrojnych i uniósł pistolet i nakazał jej cofnąć się. Julian podniósł głowę. Drgnęła widząc krew spływającą z rozciętych warg, oczy pałały chęcią mordy.

– Suka! – warknął. – Podstępna suka!

Postąpiła krok do tyłu. Patrzyła przerażona na żołnierzy zbierających się do wyjścia i ciągnących ze sobą Juliana. W popłochu ruszyła za nimi.

*ELIZABETH THOENTON* Na zewnątrz pomimo gęstego mroku dojrzała sylwetki jeźdźców i koni.

– Poczekajcie! – krzyknęła, kiedy zaczęli dosiadać wierzchowców. – Co zrobił? Dokąd go zabieracie?

Z ciemności doszedł ją głos Juliana, niechętny, ponury.

– Przrzekam ci, jeszcze się zobaczymy. A wtedy pożałujesz...

Jakieś stłumione uderzenie i głos zamarł. W panice rzuciła się do przodu i natychmiast poczuła czyjeś dłonie zaciskające się na ramionach. Zaczęła się dziko szarpać.

– Uspokójcie się, panienko! – Pan Forrest pochwycił ją mocniej. – To musowo jakaś pomyłka.

– Czego... oni chcą?

– Powiadają, że spiskuje z jakobitami, że ktoś na niego doniósł, uwierzysz? Od razu rankiem trzeba wołać kauzyperdę, zobaczymy, co da się zrobić. A teraz nie rób przedstawienia, tylko zaszkożysz majorowi. Prawdę mówię.

– Julian – szepnęła zdławionym głosem. Jeźdźcy ruszyli galopem. – Julian. – Próbowała otrząsnąć się z okropnego przecucia, że sam wpędził się w tarapaty.

## 15

Tej nocy nie zmrużyła oka. Niecierpliwie wyglądała ranka, rozmyślając, jak uwolnić Juliana. Musiała zająć pomyłką, wzięli go widać za kogoś innego. Powtarzała sobie bez końca te słowa, usiłując znaleźć w nich pociechę.

Przede wszystkim należało wywieźć się, dokąd zabrała go milicja. Pan Forrest uważał, że zamknęli go w którymś z wielkich londyńskich więzień, w Newgate albo Fleet. Jego żona była innego zdania. W Twickenham był areszt, pewnie tam go trzymają. Po co mieliby ciągnąć tyle drogi do miasta, nie odwołując się pierwszej do miejscowej władzy?

O pierwszym brzasku Serena z jednym tylko pacholkiem ruszyła do Twickenham. Czekają ją rozczarowanie. Poza pełniącym straż sierżantem nie było w areszcie nikogo. Sędzia pokoju, do którego odesłał ją wartownik, niezadowolony, że wyciągają go z łóżka bladym świtem, ani wiedział cokolwiek o Julianie i nakazie aresztowania, ani go to wzruszało.

Wracała do domu z zamętem w głowie. Ocknęła się, kiedy pacholek szarpnął za wodze jej konia i ściągnął ze ścieżki.

– Co...

– Patrzcie!

Ukryta w zaroślach, spojrzała przez żelazne sztachety ogrodzenia i dech jej zaparło. Czereda czerwono odzianych żołnierzy wyganiała stajennych i czeladź z czworaków. Państwo Forrest wyklócali się z kimś, kto chyba dowodził oddziałem.

– Na waszym miejscu nie wracałbym teraz, jeno rozejrzał się za obrotnym jurystą, a potem przyczaiwszy, przeczekał najgorsze.

Chłopiec skłonił się pospiesznie, pociągnął swojego rumaka i ku jej zdumieniu zniknął po chwili za zakrętem ścieżki. Nie szedł do domu.

Targana niepewnością rozważała, co czynić. Gdyby miała tu Flynną... Ta myśl przyspieszyła decyzję. Rzuciła jeszcze okiem na willę Juliana, po czym spięła konia i ruszyła drogą, którą odszedł pacholek.

Dotarła do Ward House pokryta kurzem, z odzieniem w nieładzie, ale bez przeszkód. Flynn, zrazu uznawszy, iż jest wściekła na niego za udział, jaki miał w jej pokątnym ślubie, usiłował ją udobruchać.

– Nie to mi w głowie – sarknęła prowadząc go do małej alkowy.

W krótkich słowach opowiedziała mu o pojmaniu i dalszych wypadkach. I on był przekonany, że Julian wkrótce znajdzie się na wolności.

Pierwsza rzecz – oznajmił – to dowiedzieć się, gdzie go trzymają, a tu pomocni będą przyjaciele z kasyna. Wyszedł pełen optymizmu. Wrócił po kilku godzinach z zafrasowaną

miną.

– Ani sie tam zbliżyć. Żołdaki dom obstawili. Wszystko zamknięte.

– O co go obwiniają?

– W tym senk. Nikt nic nie wie, ludziska spekulujom na wyprzody. Powiadajom, że uciekł z aresztu i że go szukajom, ale nikt nie wie, gdzie jest ani co zamyśla. Wyglonda, że zdrowo przeszkrobał.

– Uciekł z aresztu? – Pod Sereną nogi się ugięły. – Ale... dlaczego?

– Też chciałbym wiedzieć.

– Flynn! To jakiś koszmar. Usiadł naprzeciwko Sereny.

– Rozpytujom po jego przyjaciółach. Juzem myślał, że i ciebie nie znajdę za powrotem do domu.

Serena chwilę pomyślała, po czym pokręciła głową.

– Nie wiedzą, gdzie mnie szukać. Jeśli patrzą za kimś, to za Victorią Noble, chyba że przeszukali moje rzeczy i znaleźli coś, co ich naprowadzi na ślad. – Raz jeszcze pokręciła głową. – Nie, nic nie mogli znaleźć. Jestem pewna.

– Victoria Noble? – Flynn popatrzył na nią, jakby straciła rozum. – A któż zacz?

Najkrócej, jak mogła, wytłumaczyła mu, jak straciła pamięć.

– Chryste, ale galimatias! – To był cały komentarz Flyna.

– Co teraz począć?

– A co innego zostaje, jak siedzieć i czekać? Nie to Serena chciała usłyszeć.

– Może gdybym poszła do władzy i zażądała...

– Wiele wskórasz. Powiesz, żeś pani Raynor, tylko im pomożesz zastawić nań pułapkę. Boże Wszchemogoncy! Wezmom cie na spytki, co wtedy? Julian Raynor nie jest jakobitom, my owszem. Chcesz nam ściognonć milicje na kark?

Następne dni zdawały się Serenie nieznośnym koszmarem. Flynnowi było łatwiej, robił coś, przewąchiwał po kawiarniach, zadawał się z ludźmi milicji i różnym ludkiem, od którego myślał zasięgnąć języka, chwytając wieści, zanim się rozejdą po mieście.

Dowiedział się, że zatrzymanego człowieka i Forrestów zwolniono z braku zarzutów. Milicja ciągle jednak szukała Juliana, przetrząsając okolice kasyna i nie spuszczać oka z jego domu w Twickenham.

– Mówiom, że major spiskuje z jakobitami i jak go złapiom, to... – Flynn czym prędzej zwekslował, chcąc oszczędzić Serenie napomknięć o strasznym losie czekającym zdrajców. – O tobie nic nie wiedzom – rzeki pocieszająco. – To już coś.

– Doszukają się prędzej czy później. Nie zapominaj, kogo miałam za świadków na ślubie.

Flynn parsknął kpiąco.

– Słowa nie pisnom. To przyjacióły majora. Władza nic z nich nie dobędzie.

Przeświadczona, że władze mogą ją wykorzystać przy zastawianiu pułapki na majora, Serena nie odważyła się kiwnąć palcem. Jeśli Julian miałby jej szukać, nie chciała, żeby natknął się na czekających nań żołnierzy.

„Przyrzekam ci, jeszcze się zobaczymy”. W jego słowach była pogrożka. Tak czy inaczej, musi go przekonać, że nie miała nic wspólnego z aresztowaniem.

Kiedy Catherine i Letty wróciły wreszcie poniewczasie z Riverview, przywożąc list z Francji, obawy Sereny obróciły się w innym kierunku. Jeremy donosił, że zdrowie sir Roberta jest bardzo wątpliwe. Tydzień, dwa jeszcze miną, zanim zaczną sposobić go do drogi. Troska okazywana przez szwagierkę głęboko poruszyła Serenę. Już się wahała, czy nie zawierzyć przyjaciółce swoich strapiień.

– Domyślam się – rzekła – że doszły cię wieści o Julianie Raynorze, jak i towarzyszące im pogłoski?

Catherine przerwała te ostrożne wstępy.

– Raynor! – wykrzyknęła nie kryjąc dysgustu. – I pomyśleć, że kiedyś chciała, żebyś zagięła nań parol. Powinno mnie to nauczyć nie wściubiać nosa w cudze sprawy.

– Nie przypominam sobie.

– Spodziewałam się... nieważne, czego się spodziewałam. Radam teraz, że nic go nie łączy z naszą rodziną.

Mniej więcej w tym tonie toczyła się rozmowa. Z każdym słowem stawało się coraz bardziej oczywiste, że nikt z bliskich nie okaże serdecznych uczuć podejrzanemu jakobicie.

– Jeremy powiada – ciągnęła Catherine – że my, kobiety z Wardów, musimy być jak żona Cezara, ponad podejrzeniami.

Serenie nie pozostawało nic innego, jak zamilczeć tę uwagę.

Nie minęły dwa tygodnie, a rozgwar wokół zniknięcia Juliana ucichł, stłumiony przez bardziej zajmujące plotki. Lady Margaret Fairley uciekła z własnym służącym, lord Baringstoke czmychnął na kontynent zabijwszy przeciwnika w pojedynku. Wydawało się, że nawet władze przestały się interesować Julianem. On zaś ciągle nie próbował nawiązać z nią kontaktu. Mogła zrozumieć, że jej nie ufa, nie potrafiła pogodzić się z tym, że spotkało go jakieś nieszczęście. Nigdy nie modliła się równie żarliwie. Dobijała targów z Bogiem, byle Julian był zdrow i cały. Zatopiona w myślach, usłyszała zajeżdżający pod dom powóz. Przyskoczyła do okna i zobaczyła wysiadającego Jeremy'ego.

– Papa! – zawołała i powtórzyła radosnym już tonem: – Papa! – Odwróciwszy się na pięcie, popędziła do drzwi.

Catherine ją uprzedziła. Serena ujrzała najpierw Clive'a obejmującego szwagierkę, potem zobaczyła Jeremy'ego.

– Kochaneczko moja – rzekł wyciągając ręce, kiedy się zachwiała. – Przygotuj się na



najgorsze.

– Nie! – zawołała. – Nie!

– Nasz ojciec zmarł przed tygodniem. Miał słabe serce, nic nie mogło go uratować. Nie cierpiał. Odszedł od nas cicho.

Drżała, choć ciepłe powietrze napływało przez otwarte okna, a ramiona miała okryte jedwabną narzutką. Splotła dłonie i potoczyła wzrokiem po siedzących za stołem: Catherine, Jeremy, Clive, Letty – w ani trochę lepszym niż ona stanie ducha. Żadne z nich nie tknęło delikcji przygotowanych przez kucharza.

Bolesny powrót do domu. Dojrzała teraz, czego nie zauważała wcześniej. List Jeremy'ego miał ją przygotować na najgorsze, tymczasem pochłonięta troską o Juliana nie pojęła przesłania. Rozmyślała nad tym, co traciła wraz ze śmiercią ojca. Pomimo jego wad, na które nigdy nie była ślepa, kochała go, jak córka kocha ojca. Bywał bezwzględny, porywczy w gniewie, nieskory wybaczać, ale umiał trwać przy swoim, o czym zaświadczała jego wierność Stuartom. Kiedy wszyscy inni opuścili księcia, sir Robert Ward pozostał z nim do końca, nie bacząc na cenę, jaką przyjdzie zapłacić jemu samemu i rodzinie. Godna śmierć, na wygnaniu, w służbie swego pana.

Sir Robert nie spoczął u boku małżonki na przykościelnym cmentarzu Świętego Klemencjusza. Charlotte Ward przeżyła życie w cieniu swego męża. Cicha, skromna, jeśli objawiała jakąś żywość ducha, ta zniknęła natychmiast, ilekroć u jej boku pojawił się sir Robert. Jej delikatna konstytucja nijak się godziła z jego gwałtownym i, bywało, okrutnym usposobieniem. Zmarła wcześniej wycofawszy się ze świata. Sir Robert nigdy nie miał poważania dla tych, którzy nie potrafili stawić mu czoła, a ona była, jaka była.

Tak, myślała Serena, znałam wady swego ojca, a jednak go kochałam.

Nie było żadnych ceremonii pogrzebowych. Bracia pochowali ojca na małym cmentarzu we wsi, w której przepędził ostatni rok. Żadnych obituariów w gazetach. Tak postanowili.

– Takie było życzenie ojca – powiedział Jeremy, przerywając długie milczenie. – Wiedział, że umiera, wydał polecenia co do pochówku i całego obrządku.

– Księżę był na pogrzebie. – Głos Clive'a załamał się przy tych słowach. – W przebraniu, ma się rozumieć. Francuzi nie więcej go cenią jak angielscy poddani.

– Charles Edward nadszarpnął bardzo francuską serdeczność, jak to ma wszędzie w zwyczaju – oświadczył Jeremy ostro.

Clive zeszytniał.

– Myślałem, że ci księżę miły. Wieczerzałeś z nim przecież. Zdało się, żeś go polubił.

– Polubiłem. Miły z niego towarzysz, kiedy chce. Znam jednak niebezpieczeństwa idące z takiej przyjaźni. O niczym innym nie myśl, jak tylko wziąć dla ojca tron Anglii. Chętnie widziałby mnie między swoimi poplecznikami.

Ujawszy karafkę z sherry podszedł do Sereny, by napełnić ponownie jej kieliszek.

– Bładaś jak pergamin – powiedział łagodnie. – To za wiele dla ciebie. Napij się. Wino dobrze ci zrobi.

Rozbroiły ją zupełnie te troskliwe słowa. Jeremy zawsze potrafił dostrzec, gdy coś złego działo się z którymś z nich. Upiła solidny łyk, by sprawić mu przyjemność.

Wróciwszy na swoje miejsce, powiódł wzrokiem po zebranych, przeciągnął dłonią po czole.

– Za twardy dla was jestem, ale tak trzeba, chociaż mi to niemiłe. Koszta, jakie ponieśliśmy kupując łaskę dla ojca... – Przerwał i po chwili podjął bardziej wstrzemięźliwym tonem: – Wybaczcie. Nie wiem, co mnie naszło. Żalność. Śmierć ojca była dla nas wszystkich wstrząsem.

– Jeremy, mój drogi – odezwała się Catherine. – Nie powiesz chyba, że musimy płacić za łaskę, kiedy... To jest... kiedy nie ma już po temu potrzeby?

– W istocie, nie ma potrzeby, ale Korona zdążyła wziąć pieniądze. Pożegnaliśmy się z majątkiem.

– To niesprawiedliwe – zawołała Letty.

– Czyżby? Ministrowie Jego Mości nie tak myślą. Śmiechem pożegnali wroga, który tyle im nawarzył piwa za życia.

Zupełnie wyczerpana, Serena schroniła się w swojej sypialni. Łatwiej byłoby jej znieść stratę ojca, gdyby ona jedna go oplakiwała.

Dreńczył ją lęk o Juliana. Pragnęła opowiedzieć o wszystkim Jeremy'emu, ale powstrzymywała się, nie chcąc mu przysparzać dodatkowych strapień. Jakże zresztą miałyby mu się zwierzyć, nie wyjawiając tajemnicy jakobickiego szlaku i swojej misji. Jeremy i tak nie ruszyłby palcem, by pomóc Julianowi, kiedy ciążyło na nim podejrzenie o spiskowanie przeciw Koronie. Nie winiła brata, rozumiała jego położenie. Uczyni wszystko, by chronić rodzinę.

Od okropnej nocy, kiedy aresztowano Juliana, minęło więcej niż dwa tygodnie, a on nie dał znaku życia. Czasami wydawało się jej, że czas, jaki spędzili wspólnie, jest tylko wytworem jej imaginacji. Gdyby nie przechowywane w ukryciu kółko od kotar, gotowa by myśleć, że straciła rozum.

Podeszła do komody, otworzyła górną szufladę i wyjęła koronkową chustkę. Wewnątrz leżała jej obrączka, obok pięćdziesięciofuntowy bilet bankowy, który kiedyś Julian wcisnął jej siłą. Nie były to przedmioty, które mężczyzna ofiarowuje wielbionej i darzonej szacunkiem niewieście.

W głowie miała mętlik. Żalowała gorzko, że ostatniego dnia, jaki spędzili razem, nie wyjaśnili sobie tego, co ich różniło.

– Och, Julianie – szepnęła do siebie. – Zniosę wszystko, byłam wiedziała, żeś w dobrym zdrowiu i bezpieczny. – Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła łkać, póki nie zabrakło jej łez.

Julian usiadł i uczył ból w całym ciele. Żelazo wpijało się w kostki u nóg. Otarte, skute obręczami nadgarstki krwawiły. Ciemności rozpraszało tylko światło wpadające przez szparę w drzwiach. Gwałtowne szarpnięcie przyprawiło go o kolejny spazm bólu. Trzeszczenie, potem pisk uciekających szcurów. Nie znał nawet nazwy przeklętego statku, którym go transportowano nie wiedzieć do jakiej kolonii.

Transport. Nie było ani sądu, ani wyroku. Ludzie tak zwanej milicji skatowali go do utraty przytomności, potem porzucili na kei, skąd trafił pod pokład zaszczurzonego żaglowca. Nie pojmował, dlaczego nie wpakowali mu po prostu kulki w głowę i nie skończyli z nim na miejscu.

Zdawało mu się, że ma złamaną szczękę. Ból napływał falami. Jakoś się z nim upora. Warto było. Skatowali go dopiero po tym, jak z rozmysłem nazaczył ich herszta cięciem przez policzek. Nie obeszło się na pewno bez szwów. „Urodziwy” będzie nosił bliznę do końca swoich dni.

„Urodziwy”. Dobrze go zapamiętał. Długie rzęsy, dołeczki w policzkach, szczupła postać i teraz ohydna, szpetna blizna. Pewnego dnia – obiecywał sobie – weźmie zapłatę za wszystko. Pewnego dnia stanie oko w oko z „Urodziwym” i wtedy...

Obraz zniknął, w jego miejsce pojawił się następny. Serena. Chłód, jakiego nie doznał nigdy w życiu, mrozący krew w żyłach, ogarnął jego duszę. Ona stała za wszystkim. Inaczej nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Przez ostatnie tygodnie prześledził w myślach całą ich znajomość od pierwszego spotkania. W swoim mniemaniu miała dość powodów, żeby i po dziesięciokroć wysłać go do kolonii. Kiedy mu powiedziała, że znajdzie sposób, aby go ukarać, nie wziął tego poważnie.

Wiedziała, jak się z nim obchodzić. Te zdławione okrzyki pożądania, ta gotowość, z jaką mu odpowiadała, słodka uległość – wszystko udane. Dał się zwieść Victorii. Grała na zwłokę, knując przeciw niemu. Flynn mógł być z nią w zмовie. Gdyby nie dojmujący ból w szczęce, śmiałyby się z siebie.

Ufał jej, chciał oszczędzić losu, który zgotował jej ojcu. Co za ironia! Spętała go niczym byka wiedzionego na rzeź. Raz jeszcze Wardowie zatriumfowali nad Renneyami.

– „Urodziwy” powiedział mu, jaki los go czeka. Czternaście lat robót na plantacji trzciny cukrowej albo tytoniu, a jeśli by próbował kiedyś wrócić do Anglii, skończą z nim na dobre.

Wróci, tego był pewien. Nie myślał odbywać żadnej kary, cokolwiek stało w papierach, które miał kapitan okrętu.

Wykręcał zakute dłonie. Znajdzie sposób, by wrócić i spotkać się z nią. Zamknął oczy, dając przepust rozkosznym obrazom.

Tygodnie się wlokły, przynosząc kolejne choroby. Najpierw uskarżała się na przeziębienie, potem zdjęły ją dreszcze, w końcu rozwinęła się influenza. Kiedy wreszcie wstała z łóżka, wyglądała jak cień. Wszyscy, nie wyłączając rodziny, sądzili, że przyczyną słabości jest żal po stracie ojca. Mieli tylko po części rację. Dręczyła ją niepewność o los Juliana.

Były chwile, że pojawiała się iskierka otuchy. Od czasu do czasu dochodziły pogłoski na jego temat. Ktoś mówił, że zbiegł do kolonii i tam zaczął nowe życie, ktoś inny, powołując się na tajemniczych informatorów, którzy woleli pozostać anonimowi, powiadał, że uciekł na kontynent i widziano go w Paryżu. Jedna tylko plotka okazała się niezaprzeczalnym faktem: nie było przeciw niemu żadnych oskarżeń, władze go nie poszukiwały.

Serena usłyszała o tym od Flynna, ale zrazu nie dawała wiary jego gadkom. Kiedy jednak Jeremy powtórzył tę samą wieść podczas herbaty, w jednej z rzadkich chwil wolnych od ślęczenia nad rachunkami, serce skoczyło jej do gardła.

– Co oznacza – mówił Jeremy – że może bezpiecznie wracać do kraju.

– Chyba że to pułapka – wtrącił Clive. – Zdybia go, niech się tylko pokaże.

HiL,izj\BCjin i nuru\ i uiv Serenie ręce tak drżały, że filiżanka zaczęła dzwonić o spodek. Uniosła naczynie do ust, udając, że pije.

– Nie – zaprzeczył Jeremy. – To nie pułapka, nie sądzę. Wiem to od lorda Kirklanda, a to najpewniejsze źródło.

– Ja nigdy nie wierzyłam, żeby Julian Raynor miał być jakobitą – oznajmiła Letty.

– Ja też nie – odparł Jeremy. – Prędzej gotów byłem widzieć w nim agenta rządu.

– A to dlaczego? – natarł Clive ostro.

– Dlaczego? Ach, w moim klubie krążyły takie pogłoski. Powiadali, że aresztowanie i ucieczka były udane. Miał tym sposobem ująć odwetu jakiejś jakobickiej grupy, do której przeniknął.

– Jeśli tak – zaczęła Serena ostrożnie – lepiej, żeby nie wracał. Jego wrogowie ciągle mogą szukać pomsty.

– Nie myślę. Skoro mówią, że droga powrotna stoi przed nim otworem, na Whitehall widać sądzą, że nie ma się czego obawiać.

Po tej rozmowie nadzieje Sereny przybrały gargantuiczne rozmiary. Julian jest człowiekiem majątnym. Nie do pomyślenia, żeby zostawił wszystko teraz, kiedy nic mu nie grozi. Powinna uzbroić się w cierpliwość. Co za różnica, agent czy jakobitą. Cierpienie podpowiadało jej, co jest naprawdę ważne: że Julian żyje gdzieś cały i zdrowy.

Mijały miesiące, próbowała robić dobrą minę, chociaż bywało, że z trudem podnosiła się rano z łóżka, myśląc o kolejnym ciężkim dniu. Nie było już „pasażerów”, którzy zaprzętałiby jej uwagę. Albo skończyły się ucieczki, albo Clive i Flynn postanowili między sobą, że pora się wycofać. Nawet jeśli nie zaprzestali pomocy, nic jej nie mówili.

Wardowie zaczęli wreszcie wprowadzać w życie to, czego od dawna chciał Jeremy. Służbę pozwalniano; gdy nie znalazł się dzierżawca na Ward House, wynajęto Riverview; sprzedali najpiękniejsze wierzchowce pełnej krwi; zaczęto przerabiać suknie. Serena czuła, że czas żałoby, kiedy nie było żadnych przyjęć, balów, rozrywek, stanowił przedsmak tego, co czekało ich później. Przez wzgląd na Letty coś należało przedsięwziąć. Podzieliła się swoimi myślami z Jeremym.

– Nie wiem, skąd mamy wziąć pieniądze – mówiła – ale coś musimy dla niej zrobić. Ma posag, może być dobrą partią, ale na to trzeba, żeby bywała między ludźmi.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Jeremy się uśmiechnął.

– Cóż, pewnie, że trzeba. Tobie też to potrzebne. Jak myślisz, dlaczego przez te wszystkie miesiące byłem takim tyranem, jeśli nie z troski o waszą przyszłość? Chcę, żeby moje siostry, kiedy żałoba się skończy, weszły w świat godziwie wyposażone. Nie desperuj. Jeszcze nie jesteśmy nędzarami.

Rozmowa ta dała Serenie do myślenia. Jeremy chciał, żeby jego siostry weszły w świat godziwie wyposażone. Nie tylko Letty, ona także. Chociaż tego nie rzekł, kiedy wyjdą za mąż, przestaną być mu ciężarem, a w razie któraś z nich znajdzie świetną partię, mogłaby nawet dopomóc swoim majątkiem w spłacie długów. Przez wzgląd na rodzinę miały obowiązek iść za mąż.

Wstrząsnęła nią ta myśl. Nawet gdyby chciała spełnić powinność (na co nie miała ochoty), nie mogła tego zrobić, była już mężatką. Czy aby na pewno? Prawda, nie miała aktu ślubu. Po raz ostatni widziała go po nocnym pościgu pośród burzy, kiedy to trafił do kieszenie Juliana. Nie miała pojęcia, co się później stało z tym dokumentem.

W każdym razie *Fleet marriage* bez trudu można by unieważnić – tak twierdził Julian. Czy dyspensował się od małżeństwa? Wróci kiedy do niej? Dobry Boże, gdzie on teraz, czemu go nie ma?

Część tych morderczych rozterek znalazła odpowiedź w dniu, kiedy Flynn wpadł do domu z wiadomością, iż dom Raynora znowu otworzył podwoje. Na grad pytań Catherine i Letty odparł, że nie, major nie powrócił, chociaż to on z dała wszystkim zawiaduje. Wie to od samego pana Blackiego, Raynorowego zausznika, jakoby ten osiadł w Karolinie Południowej, gdzie ma wielkie plantacje. Tam się ukrywał przez miniony rok, a że zasmakował w tamtejszym życiu, myśli jakiś czas jeszcze zabawić w Nowym Świecie. Tymczasem śle listy przez Atlantyk z instrukcjami dla przyjaciół i agentów, jak powinni rozporządzać jego stanem posiadania

w Londynie.

W następnych tygodniach Serena dowiedziała się, że oprócz plantacji jest jeszcze, wspaniałością przewyższający wszystkie siedziby Anglii, dom w Charles Town, które cieszyło się sławą idealnego georgiańskiego miasta. Tamtejsze rozrywki mogły iść w zawody z londyńskimi: niezliczone kluby, bale, zebrania towarzyskie, koncerty, przedstawienia, nie wspomniawszy kobiet, najpiękniejszych i najbystrzejszych w świecie.

Te pikantne wieści docierały do Sereny stopniowo, w miarę jak Wardowie wracali do świata. Julian – słyszała – wiódł życie arystokraty pośród socjety Charles Town, a jego majątek w Karolinie równy był bogactwom, jakie pozostawił w kraju.

Cieszyła się przez wzgląd na niego, naprawdę się cieszyła, co też oznajmiła Flynnowi, kiedy ją przestrzegął, by powściągnęła wodze fantazji. Tysiączne mogły być przecież powody, dla których major zwłóczył z listem do niej.

– Pragnęłam tylko wiedzieć – powiedziała łagodnie – że jest zdrow i cały. Radam to słyszeć, Flynnie. Prawdziwie rada. Nie sądzisz chyba, że będę miała mu za złe życie, jakie wiedzie w koloniach?

Duma przez nią przemawiała, obydwójce z Flynnem dobrze o tym wiedzieli. W myślach targały nią skrycie niepewność i udreka. Nie chciała wierzyć, że kiedy tonęła w żalu, nie wiedząc, czy żyje, czy zginął, on nie poświęcił jej jednej myśli.

W duszę wsączały się złe podejrzenia, niczym zdradzieckie krople trucizny. Nie był podobny do Allardyce'a. Nie uwierzy, że jest taki. Tamten chciał jej tylko dla majątku, nie dbając o nią samą. Pamiętała ostatni dzień z Julianem i przysięgłaby, że coś do niej czuł.

Jeśli wyniosła jakąś naukę ze znajomości z Allardyce'em, było nią przekonanie, że pewnych mężczyzn niebezpiecznie jest kochać. Wzięła to sobie do serca. Stephen był przeciwieństwem Allardyce'a – godny zaufania, pewny.

Czy niebezpiecznie było kochać Juliana? Gdyby nie to, że wyplakiwała sobie oczy, śmiałaby się z własnej naiwności. Niebezpiecznie kochać? Czy nie wiedziała tego od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała?

Były i inne smakowite plotki, łączące imię Juliana z całym wianuszkiem pięknych dam z Charles Town. Te budujące powiastki rozgłaszali dyplomaci i kupcy odwiedzający młodą kolonię. Serena wysłuchiwała ich z uśmiechem, w milczeniu.

– Sereno – zaczął Flynn ugodowo, a w jego oku pojawił się znajomy chochlik – daj biedakowi pożycz. Nie wiesz, że major... – Tu uchylił się przed lecącym w jego stronę porcelanowym naczyniem, które roztrzaskało się o drzwi. – Sereno – rzekł z naganą. – Pohamuj się. Cóż znaczy jedna czy druga spódniczka dla bywałego w świecie człowieka. Nic zgoła, wierzaj.

– Ty nikczemniku! – Zazgrzytała zębami. – Ty łotrze, obwiesiu jeden, obyś się udławił

własną wątrobą i żaby jadał. Zawsze musisz go bronić.

– Może mieć powody, kiej tak postępuje. Nie myślałaś, że mógł stracić pamięć.

Znowu się uchylił, tym razem przed srebrną szczotką do włosów, która świsnęła mu koło nosa.

– Gdyby nie ty – pomstowała Serena, rozglądając się po sypialni za kolejnym pociskiem – nie tkwiłabym w tym żalonym położeniu. Wiesz, jak się czułam dzisiaj, słuchając o tych wszystkich kobietach, które łączą z jego imieniem? – Flynn wiedział i chyłkiem ku drzwiom mierzył. Serena ciągnęła nieubłaganie: – Mogły sobie robić zabawy ze mnie, a tyś się do tego przyłożył, boś mnie wpędził w pokątne małżeństwo.

Kiedy wyciągnęła spod łóżka nocnik, Flynn czmychnął ku drzwiom. Nocnik, pusty dzięki Bogu, dosięgnął jego ramienia.

– Sereno – napomniał ją, łapiąc z trudem równowagę, i zniknął czym prędzej, gdy ujrzał w jej dłoni świecznik.

Zadyszana wpatrywała się w drzwi przez dobrą minutę. Odrzuciwszy świecznik padła na łóżko i utonęła we łzach. Biedny Flynn! Spadły na niego ciosy przeznaczone dla Juliana Raynora. Łkanie wstrząsało jej ramionami. Kiedy ona pogrążała się w rozpacz, on wiódł rozpustne życie arystokraty. Łajdak! Szubrawiec! Pisuje do swoich przyjaciół i agentów, a do niej ani słowa.

Niby z jakiej racji? Nigdy o nią nie dbał. Pięćdziesięciofuntowy bilet i kółko od portiery były jawnym dowodem, ile dlań znaczy. Wywiódł ją w pole uwodziciel. Wprost jej rzekł, jak łatwo unieważnić *Fleet marriage*. A ona poszła za nim niczym nierozgamięte ciele, ona, Serena Ward, której się zdawało, że potrafi przejrzeć każdą niecną sztuczkę, do jakich uciekają się pozbawieni skrupułów szubrawcy, byle zaciągnąć niewiastę do łóża. Dla mężczyzn jego pokroju łowy były wszystkim, a raz już dosięgnawszy ofiary, zaczynali uganiać się za następną zdobyczą. Tyle dla niego znaczyła. Zdobycz, która zraniła jego męską dumę.

Zostawił ją ani wiedząc, czy nie jest brzemienna. Pomyśleć, że szlochała gorzko, kiedy o właściwym czasie pojawiła się kobieca słabość; gdyby jego straciła, chciała bodaj mieć dziecko. Głupia! Boska opatrność oszczędziła jej ostatecznego upokorzenia. Powiłaby bękarta, a on nawet by nie zapytał.

Kiedy łyzy obeschły, zdało się jej, jakby wyschła z nimi cała nadzieja i wszystkie marzenia. Nie czuła nawet złości. Flynn, pojawiwszy się po godzinie, niepewny i czujny, ujrzał obcą istotę o bladym licu i mrocznym spojrzeniu. Przyjął skruszone przeprosiny, ale gdy usiłował znowu wspomnieć Juliana Raynora, jej rysy oblekła maska zaciętości. Epizod ów – oznajmiła mu chłodno Serena – utonie w niepamięci, jakby nigdy nie miał miejsca. Choćby i wrócił do niej teraz, odesłałaby go precz. Więcej nie chce słyszeć jego imienia.

Wbrew postanowieniom zdarzało jej się zapłakać za nim. Za każdym razem obiecywała

sobie, że to po raz ostatni. Siłą woli odnajdywała w sobie hart i upór, o które się nie podejrzewała. Duma nie pozwalała jej rozpaczać, wywoływała uśmiech, choć wcale nie było jej wesoło. Bardzo być mogło, że któryś z jego przyjaciół wspomni w kursujących przez Atlantyk listach imię panny Sereny Ward. Chciała, by Julian Raynor wiedział, że rozstanie nie wywarło na niej żadnego wrażenia.

Czas płynął kojąc ból i udrękę, aż przyszedł taki dzień, gdy ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że potrafi się cieszyć i śmiać bez przymuszenia. Wyleczyła się wreszcie z Juliana Raynora. Należało żyć dalej, znaleźć jakiegoś szlachetnego dżentelmena, z którym będzie dzielić życie.

Doświadczenie z Julianem ostatecznie zraziło ją do mężczyzn, których niebezpiecznie jest kochać, przy których kobieta zapomina się w porywie zmysłów i traci rozsądek. Nade wszystko pragnęła spokoju i pewności: znalazła je w skromnej osobie pana Trevora Hadleya.

Flynn tylko, jak zawsze, nie dawał jej zapomnieć o Julianie Raynorze. Bigamia – takiego słowa użył. Wbrew poleceniu, by nigdy nie wymieniał jego imienia, przedkładał jej, że powinna napisać do Juliana, tylko dla oczyszczenia – jak to ujął – atmosfery między nimi. Zbyt dumni są obydwójce. Flynn za nic nie chciał uwierzyć, że Julian Raynor mógł ją oszukać.

Bigamia nie bagatela. Wreszcie zdobyła się na krótki list, w którym w serdecznych zwrotach dawała do zrozumienia, że chce wyjść za mąż. Prosi tylko Juliana o potwierdzenie, iż zniszczył dowody ich pokątnego małżeństwa.

Bardzo była dumna ze swojej epistoły. Czytając ją, gratulowała sobie trafego tonu. Nie doszukałby się w nim złości, śladów bólu i udręki, jakie przecierpiała. Nie wybaczyła mu, nie. Po prostu nic już dla niej nie znaczył.

Kapitan Mosley rozwodził się nad znaczeniem Charles Town, w szczegółach tłumacząc pasażerom, którzy mieli honor zasiadać przy jego stole, jak ważny to port morski. Chociaż wywód był bardzo zajmujący, młoda pani Jaffe ciągle zerknęła na dżentelmena siedzącego naprzeciw niej. Za dwa dni dobiją do kei i mało prawdopodobne, by kiedyś jeszcze ujrzała pana Raynora. Płynął do Londynu w interesach, podczas gdy ona z mężem, sprzedawszy majątek, mieli zamiar osiąść w Devonie. Westchnęła z żalem, uniosła kieliszek z winem i spróbowała skupić się na konwersacji. Obiło się jej coś o uszy na temat powodów, dla których Raynor zjeżdżał do Anglii.

Mąż podzielił się z nią skąpych informacjami, jakie sam posiadał. Zwykła dość historia. Pan Raynor pojawił się w Karolinie dwa lata temu, salwując się ucieczką z kraju po jakimś skandalu. Zaciekawiony młodą, kwitnącą kolonią, wziął się z punktu do melioracji swoich plantacji, inwestując wszystkie dochody w rozmaite przedsięwzięcia. Miał wielkie wpływy i równie wielkie posiadłości. Przyjaźnił się z gubernatorem Glenem. Mówiło się, że zamierza



kandydować do Izby Reprezentantów Zgromadzenia.

Nawet bez mężowskich informacji potrafiła dostrzec w Raynorze człowieka, z którym należy się liczyć. Takie miał wzięcie. Nie to, żeby onieśmiał, nie. Zawsze był wobec niej uprzedzająco grzeczny i pełen szacunku, a jednak wyczuwała w nim stalowy charakter człowieka, który jeśli coś postanowi, pokona każdą przeszkodę.

Być może dlatego tak szybko stał się wybitną postacią. Wielu ludzi mających równe awantaże marnowało się, przetrącając fortuny bądź wiodąc awanturnicze życie.

Tu przypomniała sobie plotki zasłyszane od dam na statku, które obracały się w Charles Town w tych samych co Raynor kręgach. Według pani Simmons jego *affaires* z kobietami określonej konduity znane były jak Karolina Południowa długa i szeroka. Mówiono o pojedynkach, pijackich orgiach z niewolnicami, gorszącym, nierządnym życiu. Gdy zapytała męża, złażał ją, że zajmuje się sprawami, o których dobrze urodzona dama ani wiedzieć powinna. Tacy już są mężowie, ich poczucie przyzwoitości zmusza niewiasty, by uciekały się do podstępnych sposobów, kiedy trzeba zasięgnąć języka.

– Nie wierzę – oświadczyła z godnością – by gubernator dopuszczał do poufałości takiego kogoś i liczył go między swoich popleczników.

Mąż przez chwilę się wahał, po czym rzekł ostrożnie, że dżentelmen, jeśli ma do czynienia z człowiekiem honoru, nie pyta, ile kto ma kochanek albo do ilu pojedynków stawał. Ku jej szczeremu oburzeniu dodał jeszcze, iż takie sprawy raczej dodają mężczyźnie splendoru między mu równymi.

Niezbyt uważnie śledząc rozmowę, która zweekslowała na temat Indii Zachodnich, znad kieliszka obserwowała pilnie pana Raynora: po trzydziestce, jak miarkowała, z tym specjalnym „czymś”, co pociąga kobiety, bardzo męski, noszący się z wytworną a zwracającą uwagę nonszalancją.

Pan Raynor podniósł właśnie wzrok i pochwycił jej spojrzenie. Zamarła niczym zahipnotyzowana przez drapieżnika. Odetchnęła dopiero, gdy spuścił ocienione długimi rzęsami powieki, i przeniosła uwagę na perorującego o czymś współbiednika, z nadzieją, że nikt nie dostrzeżeł nieprzystojnego rumieńca na jej liczku.

Julian, choć słuchał z atencją, wewnątrz się gotował. W chwili gdy pochwycił spojrzenie pani Jaffe, przeżył coś na kształt *deja vu*: baczny wzrok Sereny podczas *levee* Catherine Ward.

Przeklęta pani Jaffe z tym jej podobieństwem. Jasne włosy, żywe błękitne oczy, wytworne wzięcie dobrze urodzonej damy, wszystko to, boleśnie znajome, pragnął wygnać z pamięci. Zastanawiał się, czy w razie spotkania ze swą byłą żoną potrafi się powstrzymać, by nie zamordować jej na miejscu. Okazywało się, że nie była mu tak obojętna, jak myślał.

Gdy obiad dobiegł końca, a damy wstały od stołu, nie chciał pić brandy: przeprosiwszy panów wyszedł na pokład i ruszył w stronę dziobu. Tu stanął przy burcie, wystawiając twarz

do bryzy, i zapatrzonej w ocean zamyślił się. Tę samą drogę odbywał niegdyś w przeciwnym kierunku i zgoła innych okolicznościach. Wtedy płynął jako John Adam, więzień w łańcuchach, zamknięty w ciemnicy pod pokładem. Klnąc w pasji swoich prześladowców, kiedy nie chcieli go słuchać, niebawem sobie zaszkodził. Widząc, że mają do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem, nie robili sobie z nim ceregieli i srodze go skatowali. Więzień z połamanymi żebrami, trzymany na głodowych racjach, pokornieje. Choć pojął nauczkę, nie poddał się przecież. Jeśli miał uciec, powinien zachowywać się tak, jakby wybili mu wszelki opór z głowy.

Życie na plantacji tytoniu w Marylandzie było o niebo znośniejsze w porównaniu z tym, co przeszedł na statku, już bodaj z tej racji, że właściciel widział w nim kawał zdrowej koniny. Zapłaciwszy zań spore pieniądze i dalej łożąc na jego utrzymanie, dbał, by praca niewolnika zwróciła się z naddatkiem.

Wszelako przy życiu trzymała Juliana chyba tylko nienawiść do Sereny. Nie myślał spocząć nie wyrównawszy z nią przody rachunków. Wszystko starannie obmyślał. W Karolinie Południowej na obrzeżach Charles Town posiadał plantację, którą zarządzał jego niegdysiejszy towarzysz broni z Indii. Jeśli udałoby mu się tam dotrzeć, Dorsey go ukryje aż do powrotu do Anglii.

Dotarł w istocie. Uciekł, jak zamierzał. Głodując wędrował pieszo dwa miesiące do swoich posiadłości, następny miesiąc wracał do sił. W tym czasie Dorsey, przyjaciel i zarządca jego dóbr, przeprowadził dyskretne rozpoznanie, z którego wynikało, że nie ma żadnych zarzutów przeciw Julianowi Raynorowi. Był wolny i mógł robić co dusza zapragnie.

Sceptycznie odniósł się do tych wieści. W czasie rekonwalescencji zaczął korespondować ze swoimi bankierami, prawnikami i kilkoma przyjaciółmi w Londynie. Wszyscy potwierdzili informacje zdobyte przez Dorseya. Dowiedział się przy okazji co nieco o Serenie. Panna Ward żyła sobie, jakby Julian Raynor nigdy nie istniał. Nie podniosła rabanu z racji jego zniknięcia. Gdyby była niewinna, to przede wszystkim dałaby znać światu, że jest jego żoną. Byłaby wówczas w prawie dopominać się u władzy, by te wyjaśniły, co się stało z jej mężem. Nie czyniąc tego poświadczyła tylko, że przyłożyła ręki do jego uprowadzenia. Och, prawda, była przecież pogrążona w głębokim smutku po przedwczesnej śmierci ojca.

Wieść o zgonie sir Roberta upewniła tylko Juliana w podejrzeniach. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Cierpliwość, przemyślane plany, tkliwe zabiegi wokół Sereny – wszystko na próżno. Gdyby miał trochę więcej roztropności, powinien był wiedzieć, że Wardowie są poza zasięgiem i ponad retribucje jakiegoś tam Renneya.

Sir Robert Ward, choć stał się przekleństwem Renneyów, nie zapłacił wszak za swoje przewiny. Cóż więc? Miałby Julian szukać pomsty na następnym pokoleniu Wardów, niczym tragiczny heros rodem z greckich mitów? Miałoby to stanowić o jego życiu? Nie bardzo mu się

widziała taka koncepcja. Ze śmiercią sir Roberta nawet nienawiść do Sereny zbladła. Ot, jeszcze raz wypuścił go los na harc. Nie wiedział, że ta śmierć oznaczała punkt zwrotny w jego życiu.

Podczas rekonwalescencji miał mnóstwo czasu, by wszystko przemyśleć. Powrót do Anglii nie wydawał się już tak nagły. Zawsze chciał się urządzić w Nowym Świecie i teraz miał okazję doświadczyć na własnej skórze, jak też zasmakuje mu życie w Karolinie.

Zasmakowało mu nad podziw. W Ameryce, nawet przed człowiekiem o tak pogmatwanych losach, otwierały się nieskończone możliwości. Ważne tylko chcieć być kimś. Nadal był graczem, ale teraz zwał się inwestorem, stawiał na przedsięwzięcia mogące przynieść dochód, dumny, że przyczynia w ten sposób powodzenia nie tylko sobie, ale i innym kolonistom. Zyskał poczucie przynależności, którego nie miał w Anglii.

Były i kobiety, dziesiątki kobiet, ale żadna nie zagościła dłużej w jego pamięci i sercu. Z upływem czasu wspomnienie Sereny bladło coraz bardziej, póki nie rozplynęło się w błogosławionej mgle zapomnienia.

Aż wreszcie dostał list od niej. Płynął do Anglii nie dla wzięcia odwetu, nie dla stawiania z nią w szranki, nie dla ciekawości. Przeszłość nie miała już nad nim władzy. Ameryka go wyzwoliła. Liczyła się przyszłość, a nie machinacje jakiejś przebiegłej angielskiej szantrapy. Powodowany chęcią zlikwidowania wszystkiego, co wiązało go z dawnym życiem, od dawna myślał wrócić któregoś dnia, żeby pozbyć się domu gry i reszty majątności. Oznaczało to także przecięcie więzów z żoną, równie jak on skorą wymazać wszelkie ślady niefortunnego związku.

Tylko on wiedział, gdzie jest akt ślubu. Zniszczy go, ma się rozumieć. Serena Ward była teraz dla niego nikim albo mniej niż nikim.

Wpatrywał się w przestrzeń zatopiony w myślach. Ocknął się wreszcie i z marsem na czole ruszył do swojej kajuty.

W milej ciszy Blackie ogarnął wzrokiem kantorek, w którym urzędował przez ostatnie dwa lata. Naznaczony osobowością przyjaciela, zawsze był dla niego gabinetem pryncypała, i teraz, gdy Julian znowu zasiadł za swoim biurkiem, miał wrażenie, że czas się cofnął; z niedowierzaniem słuchał, że przyjaciel chce się pozbyć domu gry, który był niegdyś jego oczkiem w głowie.

Julian wykazywał, że człowiek się zmienia, zmieniają się okoliczności kształtujące ludzki los. Za miesiąc, dwa najdalej, wróci do Nowego Świata. Wiadomo, Julian, czego by się tknął, miał szczęśliwą rękę. W to Blackie nigdy ani przez chwilę nie wątpił.

– I czegoś się tak zasepił? – zapytał Julian. Blackie wzruszył ramionami, zawahał się i odrzekł głupkowato:

– Anim chciałem kiedy, anim się spodziewałem mieć udziału w domu. Prawdę rzekłszy, ostatnimi czasy czułem się jak zarządca, z niecierpliwością wyglądający powrotu właściciela. Będzie mi brakowało twoich powarkowań, a bodaj i kąsania. I...

– I?

Blackie się roześmiał.

– Miejmy nadzieję, że szczęście mnie nie opuści.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy – odparł ubawiony Julian spoglądając uważnie na przyjaciela. – Dowiodłeś swoich talentów, co się jasno wykazuje z buchalterii. Łacno podołasz, druhu, możesz mi wierzyć. Nie robię ci prezentu, jako że oczekuję tłustych profitów.

Blackie spojrział na księgi rachunkowe rozłożone na biurku.

– A jakże, wpływy są przyzwoite.

– Tak – potwierdził Julian, przesuając palcem po kolumnie cyfr i zatrzymując się przy którymś wpisie. – Dziwi mnie, że pod moją nieobecność potrafiłeś odebrać wierzytelności. Jak ci się to udało?

Blackie pokraśniał z zadowolenia słysząc tę pochwałę i zaraz zbył ją śmiechem.

– Miałem twoje notatki i zagroziłem, że jak nie będą chcieli płacić, rozgłoszę po mieście ich długi, a wiesz, że nie ma gorszej infamii dla angielskiego dżentelmena niż nie spłacone należności. To sprawa honoru.

– Grackość się sprawił – rzekł Julian z uśmiechem i ciągnął od niechcienia: – Dziwne, że Jeremy Ward się wypłacił, bom słyszał, że się doprowadził na skraj nędzy zabiegając o akt łaski dla ojca.

Blackie spojrział na rozliczenia, które pokazywał Julian.

– Tak przebóg. Kiedym zobaczył jego skrypty dłużne, kiedy znalazłem w sejfie jego listy

zastawne, o mało nie trafiła mnie apopleksja. Uwierzyć nie mogłem, żeś skredytował człowieka, o którym powszechnie było wiadomo, że stoi na skraju ruiny. Już myślałem, że nie zobaczę ani pensa z jego zaległości.

– A z ksiąg widać, że wykupił wszystko do ostatniego weksla.

– Nie. To lord Charles Tremayne się ze mną układał. Odsprzedałem mu długi za pół tego, co warty. – Spojrzał na Juliana niepewnie. – Może źle postąpiłem, ale przyznam ci się, że nie wahałem się ani chwili na tę propozycję.

– Dobrze uczyniłeś – odparł Julian z uśmiechem. – Zastanawiam się tylko, skąd lord Charles wiedział, że to ja mam skrypta dłużne, i po co mu one były?

Blackie wzruszył ramionami i posłał Julianowi pytające spojrzenie.

– Nie pytałem, rad, że się mogę ich pozbyć.

Julian, jakby chciał ominąć czytelne w oku przyjaciela pytanie, wyciągnął srebrną tabakierkę i podsunął ją Blackiemu.

– Co myślisz o mojej mieszance?

Blackie wziął szczyptę, zażył.

– Wyborna – orzekł, chociaż nie miał zielonego pojęcia o tabace, zostawiając takie delektacje znawcom pokroju Juliana, po czym widząc, że więcej się od niego oczekuje, dodał z przekonaniem: – Nadzwyczaj, nadzwyczaj wyborna. Twojej własnej recepty?

– Nie. Prezent od damy.

– Aha – rzekł Blackie przybierając obojętny ton. Odkąd Julian pojawił się przed tygodniem, lady Amelia Lawrence nie dawała im żyć, posyłając perfumowane liściki i prezenty. Raynor przez większość czasu zajęty był interesami i jeśli istniała w jego życiu jakaś kobieta, Blackie nic o niej nie wiedział, miał wszak nadzieję, że przyjaciel nie da się omotać Amelii, która tymczasem zostawszy wdową najwyraźniej zagięła nań parol.

Wyszczrzył zęby na tę myśl. Jeśli kto potrafił mieć się na baczności, to na pewno Julian. Czyż nie poradził sobie w koloniach? W rzeczy samej aresztowanie i ucieczka do Karoliny Południowej wyszły mu tylko na dobre. Pozostał tym samym człowiekiem, jakim go zapamiętał, a jednak się zmienił, mniej był kwaśny, za to swobodniejszy. Chyba – poprawił się Blackie w myślach – że rozmowa schodziła na kobiety. Wtedy Julian stawał się kaśliwy i Blackie widział już oczami duszy, jak jego przyjaciel dostaje odkosza od którejś ze ślicznotek Charles Town. Nie, Julian nie wyda się na pastwę pełnej wdzięków lady Amelii.

– I czego się tak szczerzysz? – zapytał Julian.

Blackie pokręcił głową.

– Przez ciebie. Strasznej zażywasz sławy, odkąd wróciłeś. Szacowne matrony kiedyś chowały swoje pisklęta przed twoim okiem, teraz jedna przez drugą chcą cię podejmować. Daleko odplynęły czasy bajzli w Whitechapel.

– Tak, obydwaj przebyliśmy długą drogę.

Blackie uśmiechnął się na wspomnienie pierwszego spotkania z Julianem, raptem sześć lat wcześniej. Natknęli się na siebie w speluncie hazardowej, gdzie Julian, odkrywszy, że jest oszukiwany, wdał się w bójkę. Blackie nie miałby powodów stawać po jego stronie, ale chwilę wcześniej zamienili kilka słów na temat swoich doświadczeń w służbie króla jegomości. Jakże nie pomóc żołnierzowi?

Chociaż obydwaj wyszli z bijatyki mocno poturbowani, udało im się przecież rozkwasić kilka nosów, zanim wyrzucono ich bez ceremonii na ulicę. Poszli utopić smutki zacnym od wieków sposobem i zaprzyjaźnili się przy tym zajęciu. Dotąd Blackie nie mógł się nadziwić, że przynajmniej raz w życiu znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze. Julian Raynor nie zapominał wyświadczonych przysług.

– Wiesz chyba, co mówią o tobie? – zagadnął Blackie.

– Cóż takiego?

– Ano, niektórzy powiadają, że jesteś jakobitą, inni, żeś był agentem na usługach rządu, tak czy siak, musiałeś zmykać z Anglii, po której byś pracował stronie, przed gniewem wrogów.

– A ty co na to mówisz?

– Cóż, mówię, coś ty mi powiedział, że zawsze zamyślałeś wyjechać do Ameryki i że aresztowanie tylko przyspieszyło bieg rzeczy.

– Z grubsza tak właśnie było.

Kiedy Blackie wrócił do swoich zajęć, Julian długo jeszcze siedział za biurkiem przeglądając książki. Niewiele dbał o to, że listy zastawne i weksle sir Jeremy’ego Warda nie są już w jego posiadaniu. Skupował je tylko po to, żeby zniszczyć sir Roberta; z jego śmiercią przestały mieć dlań znaczenie. Nurtowało go tylko, dlaczego lord Charles je odkupił. Spodziewał się korzyści? A jeśli chciał uchronić Wardów przed ruiną, nie prościej było po prostu pożyczyć sir Jeremy’emu pieniądze, by sam spłacił długi? Skąd lord Charles wiedział, gdzie szukać weksli?

W gruncie rzeczy niewiele go to obchodziło. Wardowie przestali mieć dlań znaczenie, co innego go zaprzętało. Spojrzawszy na zegar, włożył książki do sejfów ukrytego w szybie windy łączącej biuro z pokojem kredensowym piętro niżej. Tylko on i Blackie wiedzieli o istnieniu skrytki. Kiedy kto prowadzi dom gry, musi być przezorny.

Odsunął plik listów zastawnych i sięgnął po dokument, który po wielokroć oglądał w ostatnim tygodniu. Teraz ponownie trzymał go w dłoni. Pieczęć była złamana, ale to on ją złamał. Wcześniej nie chciał, by ktokolwiek miał dostęp do zawartości pakietu. Chociaż niewiele było do oglądania na pomiętym i poplamionym akcie ślubu, wpatrywał się w niego długo, wreszcie schował na powrót do sejfów i uruchomił zapadkę zamykającą skrytkę. Zamknął windę, raz jeszcze spojrzął na zegar. Lord Kirkland oczekiwał go w Ministerstwie Wojny.

J-jakem ci już pisał, kiedy tylko usłyszałem, gdzie przebywasz, d-dowiedziałem się o wszystkim poniewczasie. – Lord Kirkland napelnił kieliszek Juliana sherry. – Wiesz z mojego listu, że nakazałem natychmiast cię szukać, ale b-było za późno, już płynąłeś do Ameryki.

– Kto postanowił o moim areszcie?

Otóż to. Nie natrafiłem na żadne ślady oficjalnego postanowienia. Nie wiem, k-kto miałby wydać rozkaz milicji ani c-co o tym myśleć. Dziwna historia, d-do-prawdy bardzo dziwna.

Uwagę Juliana rozpraszał portret wiszący nad biurkiem hrabiego. Miał uczucie, że cofa się w czasie, jakby znowu był chłopcem i słyszał śmiech matki rozbawionej jakimś jego słowem. Poczul ucisk w gardle i połknął sherry niczym wodę.

Widząc, że jego gość nie może się skupić, lord Kirkland obrócił się lekko i zerknął na portret.

– Jest bardzo piękna – powiedział Julian. – Kto ona?

– To p-portret mojej siostry, Harriet, namalowany krótko przedtem, jak uciekła z ukochanym.

– Z waszych opowieści rozumiałem, że cała galeria portretów spłonęła w pożarze.

– Bo też tak się stało. T-ten był w posiadaniu krewnego. Dostał mi się po śmierci kuzyna.

Matka pojawiła się w ich rozmowach po raz pierwszy. Korzystając z jedynej może sposobności, Julian postanowił drażnić dalej.

– Słyszałem, że to tragiczna historia.

– Coś słyszał? – Hrabia bawił się swoim kieliszkiem.

Julian wahał się chwilę, po czym zaczął odważnie:

– Słyszałem, że sir Robert Ward zawziął się na człowieka, którego poślubiła twoja siostra, i że ten zmarł w więzieniu dla dłużników.

– Zdumiewające, że ludzie jeszcze pamiętają, ale z grubsza było t-tak, jakieś słyszał.

– A siostra? Co z nią?

– Nigdy się nie dowiedział, b-bo i skąd. Kiedy uciekła, byłem jeszcze chłopcem, dziesięć lat minęło, ślady się zatary, nimem dorósł na tyle, by jej szukać. W-wiedziałem, że nie żyje, ma się rozumieć.

– Jakim sposobem mogliście to wiedzieć?

Przed śmiercią Renney pracował u lorda Horns-by’ego. Musiał b-być już wtedy wdowcem. Nie wspominał słowem o Harriet. Gdyby żyła, odezwałaby się d-do mnie. Byliśmy b-bardzo zżyci.

Julian przypomniał sobie wszystkie koleje losu, które doprowadziły ojca do lorda Hornsby’ego. Ich mała rodzina rozproszyła się i nigdy już nie miała się połączyć. Nie mógł się powstrzymać:

– Rozumiem, że przyczyną zawziętości sir Roberta był list, który wasz preceptor napisał do władzy. List, w którym zdradził jego i lorda Hugona?

– B-był jaki list? Cóż, mamy na to tylko słowo sir Roberta. M-miał poślubić moją siostrę, wiedziałeś o tym? Nigdy nie przebaczył Renneyowi, nigdy nie z-za-pomniał.

– Chcecie powiedzieć, że sir Robert prześladował biednego Renneya z czystej zazdrości? – zapytał Julian gniewnie.

– Mogę t-to sobie wystawić. Sir Robert b-był zawsze dumnym człowiekiem. Ale to stare dzieje, nigdy już nie p-poznamy prawdy.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł sekretarz księcia.

Po krótkiej rozmowie, z której Julian nie usłyszał słowa, sekretarz wyszedł, hrabia zaś powrócił do przerwanej wątku pojmania Juliana.

– P-prosiłem cię tutaj, bo winienem ci coś na kształt nieoficjalnych wyrazów ubolewania za t-to, coś przecierpiał z winy n-naszego... jak by to rzec... wiesz, co mam na myśli.

– Niezgulstwa?

Hrabia poruszył się niespokojnie.

– Kto m-może powiedzieć, co zaszło tamtej nocy? W mieście wrzał niepokój, głowę miałem zajęta t-tym, jak uciszyć wzburzenie na ulicach. Nic nie wiesz. Nie wiedzieć dla jakiej racji pijani wściekłością marynarze zaczęli podkładać ogień pod burdele. Kiedy pojawili się żołnierze, ruszyli na nich. W mieście t-tyle było milicji, że kilku z nich mogło się na ciebie ważyć bez naszej wiedzy. Może wskażesz j-jakie imiona albo opiszesz, jak wyglądał dowódca. Gotowym szukać, p-póki nie odkryjemy, kto zacz. Jedno tylko mogę powiedzieć n-na pewno. Wzięli cię samowolnie. Nikt z rajców, żaden sędzia pokoju nie wydał na ciebie tamtej nocy nakazu aresztu.

Julian pomyślał o „Urodziwym” i bliźnie, którą tamten nosił od ich spotkania. Wahał się przez wzgląd na Serenę. Jeśli okazałoby się, że wszystko stało się z jej poduszczenia, nie chciał, żeby prawo ją sądziło. Sam się z nią potrafi uporać.

– Żałuję, ale nic nie zapamiętałem.

– G-gdzie cię pojмали? Jakeś im uciekł? Musisz coś pamiętać.

Z wyjątkiem sprawców nikt nie wiedział, że znalazł się w Marylandzie wbrew swej woli. Wszyscy wierzyli, że umknął z aresztu, po czym z pomocą przyjaciół wy dostał się z kraju. Rozważywszy, czyby nie dopuścić hrabiego do konfidencji, uznał, że tego nie uczyni. Już i bez tego dość zażywał rozgłosu. Jeśliby wyszło na jaw, że niczym skazaniec pracował na plantacjach, nie opędziłby się od ludzkiej ciekawości.

Miał i inne obiekcje. I tym razem ich przyczyną była Serena. Bojąc się, że to jej sprawka, nie chciał żadnych dochodzeń. Dziwił się gorzko, dlaczego, zważywszy, co przez nią wycierpiał, usiłuje jeszcze ją chronić.



Dostrzegłszy coś we wzroku Juliana, jego lordowska mość zapytał:

– Wiesz, co ludzie o t-tobie mówią?

– Żem jakobickim podżegaczem albo agentem i że moją ucieczkę zorganizowali przyjaciele? – W głosie Juliana dało się słyszeć rozbawienie. – Słyszałem, a jakże.

Lordowi Kirklandowi nie było do śmiechu.

– J-ja wiem na pewno, żeś nie był agentem.

Na moment zapadła złowroga cisza.

– Nie byłem też nigdy – odparł Julian – i nie jestem jakobickim wicherzycielem.

– B-bardzo rad słyszeć te słowa, mój chłopcze, bo jeśli k-knowałybyś co przeciw Jego Wysokości, n-nie wahałbym się użyć całej swojej władzy.

– Ani bym śmiał dopuszczać co innego – przyświadczył Julian.

– R-rozumiemy się.

– Zdało mi się – rzekł Julian łagodnie – że przyszedłem odebrać wyrazy ubolewania?

Hrabia wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Uhu, coś w rodzaju nieoficjalnych w-wyrazów ubolewania. Korona nie zwykła wszak popełniać błędów. Nie wiemy nawet, czy aresztowali c-cię prawdziwi żołnierze. Julian był prawie pewien, że nie.

– Jak się dowiedzieliście o moim pojmaniu? Powiaacie, że ponieważ, ja zaś wiem od swoich służących, żeście już następnego ranka, w kilka godzin po resztowaniu, kazali milicji mnie szukać.

Jego lordowska mość udzielił niejasnej odpowiedzi.

Nie pamięta szczegółów. Z upływem czasu wydarzenia zatarły się w pamięci. Julian musiał się zadowolić tym wyjaśnieniem.

Ostatnie słowa lorda Kirklanda zabrzmiały na podobieństwo ostrzeżenia albo pogrożki:

– Miej się n-na baczności, chłopcze. Nie chcemy, żeby przydarzyło ci się raz jeszcze coś podobnego.

Kiedy lord Kirkland wrócił do domu, zastał jaśnie panią w jej ubieralni, wyciągniętą na sofie i czytającą list, który nadszedł rano. Jego treść najwyraźniej nie znalazła przychylności w oczach hrabiny. Usta zacisnęła, jasnoniebieskie oczy zwęziły się w niechęci.

– Od Dorothei – oznajmiła mężowi, nastawiając policzek do zdawkowego pocałunku.

– Aha.

Dorothea, hrabina Trenton, była szczególną przyjaciółką jaśnie pani. Lord Kirkland nie pojmował tych zastarzałych więzów, które żadnej z obydwu dam nie wprawiały w zbyt ni zachwyty. Jego hrabina i Dorothea rywalizowały wiecznie ze sobą o wszystko.

– Pisz mi – mówiła na swój dobitny sposób – że Trenton chce zupełnie przerobić ich rezydencję w Hampshire. Czyż to nie cała Dorothea? W ostatnim liście wspomniałam, że

przemyśliwamy nad przebudową Bagley. Na złość mi robi i nie masz innego tłumaczenia. Już ja jej odpłacę pięknym za nadobne.

Posłała mężowi znaczące spojrzenie.

– Wiesz, co mam na myśli, Jamesie?

– Co masz n-na myśli, kochaneczko? – Hrabia usadowił się ostrożnie na złożonym krześle.

– Mam chyba chęć zaprosić twojego pana Raynora na przyjęcie w Bagley. Wszyscy go sobie wrywają, czy nie tak? Wszyscy o nim mówią. – W zamyśleniu pukała się palcem w policzek. – Tak, przyjęcie z panem Raynorem jako gościem honorowym to będzie właściwa rzecz.

Jego lordowska mość nie jęknął co prawda, ale dźwięk, który wydał, bardzo był zbliżony do jęku.

– Nie mam nic przeciw t-temu, żebyś zrobiła Juliana gościem honorowym na jednym z naszych przyjęć, Esther, ale nie wystarczyłaby mała kolacyjka? Wiesz, jak nie lubię tych wystawnych uczt.

Podeszła szeleszcząc spódnicami i położyła dłoń na jego piersi proszącym gestem. Poczul lekki zapach cytryny i werbeny w jej siwiejących włosach. Wiedział, że pod maską kruchości kryje się niewzruszona siła. Jeśli jej odmówi, delikatność pryśnie, a jego pani przedzierzgnie się w prawdziwą jędzę.

– Czcze frazesy, Jamesie. Jesteś zbyt skromny. Musisz bardziej w siebie wierzyć. Nikt tego za ciebie nie zrobi.

Lord Kirkland kochał żonę. Często zadawał sobie pytanie dlaczego, wreszcie doszedł do wniosku, że z wdzięczności. Esther go kochała. Choć niewart był miłości, żona go kochała. Stała mu się tak niezbędna jak cotygodniowe wizyty w Świątyni Wenus na King's Place.

Ustał z wdziękiem. Zawsze ustępował.

– Przyjęcie? Wspomnę Julianowi. Więcej nie mogę obiecać.

Odświeżony po kąpieli, odziany w czerwony aksamitny fraczek i białe pludry, Julian powoli schodził głównymi schodami kasyna. Była pierwsza w nocy, pora, kiedy modnie zaczęli biesiadować i balować; o tej godzinie dom gry pustoszał. Julian nawet to wołał. Przez ostatni tydzień, gdziekolwiek się ruszył, co czynił rzadko, natychmiast cisnął się wokół niego tłum.

Blackie miał rację, mówiąc, że obrósł w sławę. Ludzie traktowali go jak postać z romansów, przypisując mu nie wiedzieć jakie heroiczne cechy. Zdaniem Blackiego snuli fantastyczne wizje, kiedy powiadali, że jest albo jako-bitą, albo patriotą. Był ofiarą, to wiedział na pewno, pozostawało tylko dowiedzieć się czyją.

Wkrótce po przyjeździe do Londynu spotkał się ze starym przyjacielem, konstabłem Loukasem. On wywie się dlań wszystkiego. Jeśli ktoś był do tego powołany, to właśnie Loukas, ze swoimi stosunkami i znajomościami nieosiągalnymi dla zwykłego obywatela. Miał też niezwykłą smykałkę do wyciągania wniosków z mało ważnych szczegółów i faktów. Chociaż już nie pracował, dawni koledzy nadal szukali jego pomocy.

Sprawa nie nastęczała wielkich trudności. Wszystko ukartowała Serena. Chciał tylko poznać nazwiska jej współników. Mógł ją przekonać, żeby je zdradziła.

Trzymał w ręku wszystkie karty, z atutami włącznie. On miał akt ślubu, ona rozpaczliwie chciała zdobyć dokument.

Jego była żona przysłała już nawet doń Flynną, prosząc o spotkanie w dogodnym dla niego miejscu i czasie. Dogodnym mu było kazać jej czekać jak na rozżarzonych węglach. Nie był przewrotny, nie był złośliwy, ale tym razem stanowczo postanowił dać jej nauczkę i nie chciałby znaleźć się w jej skórze.

Wedle informacji Flynną tego wieczoru Serena w towarzystwie swego adoratora miała się bawić z przyjaciółmi w ogrodach Ranelagh w Chelsea. Nie spodziewała się spotkać tam męża. Sir Jeremy zamówił altanę w pobliżu Rotundy: tam też planowali zjeść kolację po pokazie ogni sztucznych. Julian chciał ją zaskoczyć niby to przypadkiem, dla samej przyjemności ujrzenia jej reakcji. Może jednak jest złośliwy. Kolejna myśl przyprawiła go o śmiech. Mąż i adorator? Ciekawe, jak też się z tym upora.

W marmurowej sieni czekał już na niego stangret lady Amelii. Szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na ciekawe, rzucane spod oka spojrzenia krupierów, wyszedł z domu.

W drzwiach minął się z grupką pracujących dla niego dziewcząt: natychmiast stłoczyły się przy oknie, śledząc Juliana. Zwykła rzecz. Od tygodnia nie mógł się ruszyć, nie wzbudzając zainteresowania.

Anastasia, jedna z nowych, pierwsza przerwała milczenie.

– Co też lady Amelia Lawrence ma takiego, czego mnie brak?

Dziewczęta zaczęły chichotać. Emerald, najstarsza stażem, pospieszyła z odpowiedzią:

– Chcesz powiedzieć: poza urodą, urodzeniem i majątkiem tak wielkim, że nie wie, co z nim zrobić?

– Dość, ani słowa więcej – odparła Anastasia z udaną rozpaczą.

Emerald uśmiechnęła się.

– Och, to nie wszystko. – Ściszyła głos do porozumiewawczego szeptu. – Lady Amelia nie chowa cnoty pod korcem.

Anastasia zrobiła wielkie oczy.

– Tyle tylko? Dla niego i ja bym gotowa na takie poświęcenie.

Ogólny śmiech.

– Nie ty pierwsza – zmartwiła ją Emerald. – Niewiele byś wskórała. Julian Raynor ma jedną kardynalną zasadę: nie tykać dziewcząt, które dla niego pracują, i nigdy od niej nie odstępuje.

Anastasia zmarszczyła nosek.

– Zasady można łamać.

Odeszły od okna dopiero, kiedy powóz ruszył.

– I co na to powiesz? – zagadnęła Anastasia.

– Co wiesz o lady Amelii? – odpowiedziała pytaniem Emerald.

– Niewiele. A bo co?

– Lepiej nie wchodzić jej w drogę. Ma może anielską twarzyczkę, ale naturę żmii. Niejedna mogła się o tym przekonać.

– Kto na ten przykład?

– Och, chociażby Mary Harvey, jeśli już chcesz wiedzieć.

Ciekawość Anastasii osiągnęła punkt wrzenia. Rozległ się gong i dziewczęta zaczęły rozchodzić się do stolików.

– Siostra lorda Harveya? – zapytała cicho Anastasia. Emerald skinęła głową.

– To długa historia. Później ci opowiem.

W powoziku lady Amelii Julian odpierał miłosne zapędy bywalej wdowy.

– Bezwstydnica – wymamrotał na poły z ubawieniem, na poły z rozpaczą. Ledwie odsunął dłoń lady Amelii wędrującą w górę po jego udzie i zdążył poprawić ubranie, stangret otworzył szeroko drzwiczki i z trzaskiem opuścił stopień.

– Przekleństwo – syknęła Amelia mierząc biedaka odowatym spojrzeniem. – Kto kazał ci zatrzymać powóz, awkins?

– Jaśnie wielmożna pani – wyjąkał Hawkins rozglądając się bezradnie. – Toż dojechaliśmy.

– Tu się mylisz, Hawkins. Ja nie dojechałam i go-owam zaręczyć, że major Raynor także. – Spojrzała znacząco na krocze Juliana i uśmiechnęła się lubieżnie.

– Dziewka – napomniął ją Julian dławiąc się ze śmiechu. Odsunął pospiesznie pałowego ze wstydu stangreta i wyskoczył na chodnik.

Lady Amelia zwłóczyła chwilę z wysiadaniem.

– Do diaska z Ranelagh i całą tą nudą – powiedziała wreszcie. – Smakowitsze przyjemności czekają nas w domu, jeśli dobrze odgaduję twe gusta. Co powiesz? Jeszcze nie jest za późno zawrócić powóz. Wolisz rozkoszować się Ranelagh czy mną?

Pokusa była wielka. Miał za sobą długi celibat wymuszony podróżą morską. Po chwili pokręcił przecząco głową.

– Cierpliwość nie należy chyba do twoich cnót, moja droga.

Z rezygnacją wysiadła z powozu.

– Nie mam cnót-szepnęła zmysłowo, niemal dotykając wargami jego ucha. – Podobnie jak ty, i nie próbuj mi mówić, że chcesz mnie zmienić.

Nie. Nie chciał jej zmieniać, można to było wyczytać z jego ust. Miał wiele kobiet w swoim życiu i jeśli idzie o uciechy zmysłowe, żadna nie dorównywała Amelii. Bez wstydu, nienasycona, taką ją lubił. Na sam widok falującej piersi i powiek trzepoczących w uniesieniu krew zaczynała krążyć szybciej w jego żyłach, niosąc istotne przesianie.

Westchnął. Przyjechał tu w określonym celu. Serena Ward. Ochłódł raptownie w swych zapalach. Serena. Pewnego dnia powie jej, jakim jest wybornym antidotum na męskie namiętności. Już spokojny, zaśmiał się cicho. Podał ramię Amelii i kręcąc głową ruszył przed siebie.

Marudząc nad ciastkiem Serena spoglądała z altany w stronę oświetlonej Rotundy. Wieczór nie spełnił jej nadziei. Oczekiwała rodzinnego spotkania, na którym jej *beau*, pan Hadley, mógłby wreszcie zabłysnąć. No, może nie dosłownie „zabłysnąć”. Trevor nie należał do ludzi wyróżniających się w towarzystwie, ale w niewielkim kółku czuł się już pewnie. Chciała dowieść rodzinie, jak bardzo niesprawiedliwie go osądzała. Nie był wcale ociężały i tępy, tylko nieznośnie przeciętny.

Ledwie tu dotarli, Jeremy przeprosił i uciekł do znajomych, których wypatrzył wśród mrowia spacerowiczów. Wkrótce i Clive poszedł w jego ślady, pozostawiając trzy panie Ward i pana Hadleya samym sobie. Nie na długo. Po chwili złożył im swe uszanowanie najwy-trwalszy z admiratorów Catherine i uprowadził ją ze sobą. W altanie pozostała tylko trójka: Serena, Letty i Trevor Hadley, a jako że Letty i Trevor różnili się w zapatrywaniach na wszystko, jak dzień różni się od nocy, Serena łamała sobie głowę nad jakimś obojętnym tematem, który przerwałby milczenie.

– Miejmy nadzieję, że nie zacznie padać – wpadła wreszcie na koncept.

Letty nie słuchała. Wychylona przez balustradę przyglądała się tłumowi w dole, wymieniając spojrzenia z filującymi ku niej młokosami.

Pan Hadley cmoknął.

– Lepiej nie ośmielać tych impertynentów i letkiewiczów, chyba że chcesz, panna, żeby się tu który zjawił. Nigdy dość przezorności, kiedy człek znajdzie się między takimi.

– Baniałuki – orzekła Letty kpiącym tonem. – Traf chce, że znam kilku z tych dżentelmenów, których waść nazywasz letkiewiczami.

– Na jedno wychodzi – ciągnął pan Hadley nie zrażony. – Byłoby lepiej, gdybyś idąc za przykładem siostry nie wychylała się tak, aśka, z altany.

Letty pokraśniały policzki.

– Myślałam, żeśmy tu przyjechali dla oglądania. Serena postanowiła interweniować, zanim pan Hadley wywoła konflikt.

– Może wszyscy usiądziemy bardziej na widoku? Wiem, że Phoebe Cole ma być tutaj. Obiecałyśmy sobie odszukać się w tłumie. Gotowa mnie nie dojrzeć, kiedy będę się tak chować.

Zawarto kompromis, przestawiono krzesła. Z Rotundy dobiegły pierwsze dźwięki muzyki.

– Tańce! – zawołała ożywiona Letty i zaczęła się wiercić. Pomachała komuś w dole.

Odpowiedział jej lord Harry Egremont, dziedzic tytułu lorda Kirklanda.

– Pójdź tu na dół, Letty. Zatańczymy.

– Młode, dobrze urodzone damy – oznajmił pan Hadley – nie robią z siebie widowiska tańcząc w publicznych ogrodach.

W oczach Letty zapaliły się zielone błyski.

– Ile masz pan lat, Trev? – zapytała ze słodkim uśmiechem.

Chociaż zaskoczony tą poufałością, odpowiedział natychmiast:

– Trzydzieści. Dlaczego?

– Kiedy człowiek waści słucha, zda się, żeś już jedną nogą w grobie. Sereno, mogę zatańczyć z lordem Harry m?

Serena nie wiedziała, kto bardziej ją wyprowadził z równowagi: jej *beau*, siostra czy wreszcie ona sama, że sprokurowała dzisiejszą katastrofę.

– Nie widzę w tym nic złego – oznajmiła i nim zdążyła dodać cokolwiek, Letty z furkotem spódnicy wyfrunęła z altany.

– Na mą duszę! – Pan Hadley wpatrywał się w drzwi, ciągle jeszcze kołyszące się po nagłym zniknięciu Letty. – Com ja takiego powiedział?

– Jest w trudnym wieku. Bądź z nią cierpliwy – udzieliła niewyraźnej odpowiedzi Serena.

Nie mogła powiedzieć mu prawdy, że Letty tak odpowiadała na oczekiwania Jeremy'ego, który chciał dla niej dobrej partii. Hołubiąc dziewczęce marzenia o małżeństwie z miłości,

kręciła nosem na szacownych dżentelmenów, których brat jej podsuwał, a Serena wspierała ją w tym całym sercem. Letty ma przed sobą całe życie: nie należy jej do niczego przymuszać, nie wolno dopuścić, żeby rezygnowała z marzeń o miłości i spełnieniu. Niechże zazna szczęścia, niech sama wybierze ukochanego, nie patrząc na tytuły i majątek.

Serenie gardło się ścisnęło. Jej los ułożył się inaczej. Jest starsza, lepiej zna świat. Dla niej miłość straciła swój powab. Skromniejsze ma wymagania, stosowne dla jej wieku i doświadczenia. Serdeczne przywiązanie i kochające dzieci – oto czego może się w najlepszym razie spodziewać.

Jak na dziewczynę bez posagu, doprawdy powinna się uważać za szczęśliwą. Trevor Hadley nie jest może bogaczem, ale nie jest też biedakiem. Ma rozumne piwne oczy, miłą, kwadratową twarz, która nie będzie się zwracała w stronę każdej napotkanej piękności. Nie jest taki jak Allardyce czy Julian Raynor. Bardziej już przypomina Stephena. Naprawdę powinna się uważać za bardzo szczęśliwą niewiastę.

Z westchnieniem zaczęła się przyglądać promenują-cym elegantom.

– Widziałaś coś podobnego! – wykrzyknął pan Hadley.

– Co? – Serena posłusznie zwróciła wzrok w stronę par tańczących przy Rotundzie.

– Letty i lord Harry! Odchodzą we dwoje. Nie martw się, zaraz ją tu sprowadzę.

– Ale...

Trevor nie czekał, co Serena ma do powiedzenia. Już go nie było. Nie mogła zostać sama w altanie. Zgrzytając zębami ruszyła jego śladem.

Otoczona grupką panów domagających się jeden przez drugiego odrobiny jej uwagi, Amelia posłała Julianowi spojrzenie skromnisi. Odsunął się z uśmiechem i czekając, aż pani znudzi się swoją świtą, zajął się podziwianiem pokazu sztucznych ogni.

Bawiło go, że to ona, a nie fajerwerki, stanowi ośrodek zainteresowania. Mężczyźni ciągnęli do niej jak ćmy do światła. Nie był zazdrosny. Aż nadto doceniał jej powaby. Urodzona kokietka, stworzenie rządzące się zmysłami, działała na męskie instynkty, co nie oznacza, że mógł ją mieć każdy. Wielu popełniło błąd tak sądząc, gdy ona igrała z nimi jak kot z myszką. Amelia potrafiła być okrutna, zwłaszcza wtedy, gdy jakiś nieszczęśnik tracił dla niej głowę.

Krztusząc się ze śmiechu Julian ruszył w stronę per-goli otaczającej sztuczne jezioro. Znalazł tu pusty zakątek i przystanął, by zażyć tabaki. Na jeziorze młodzi ludzie w łódkach usiłowali spychać się wzajemnie do wody drągami. Uniósł oczy śledząc pióropusz wystrzelający w niebo tysiącnymi gwiazdami. Schował tabakierkę i wsparł rękę o skrecony pień kwitnącego rododendrona. Raptem skądś z tyłu doszedł go kobiecy głos. Julian wyprostował się, opuścił rękę. Po chwili usłyszał szelest spódnic ocierających się o krzew. I oto się pojawiła.

– Letty? Harry? Gdzie...?

Stanąła w arkadzie pergoli. Podobne księżycowemu światło lampionu, sączące się przez gęstą winorośl, rzucało niezmierną poświatę. Postąpiła kroczek do przodu, potem jeszcze jeden, dopiero się zatrzymała. Skryty w cieniu człowiek mógł być kimkolwiek. Szerokie plecy, wąska talia, jedna dłoń na rękojeści szpady. Nawet gdyby straciła wzrok, rozpoznałaby go. Atmosfera zdawała się naładowana jak przed burzą.

– Julian.

– A więc to ty – powiedział.



Od chwili gdy dowiedziała się, że postawił stopę na angielskiej ziemi, przepowiadała sobie w myślach, jak też powinna się zachować, kiedy wreszcie staną naprzeciw siebie. Flynn przekonywał ją, że darmo żądać wyjaśnień i rozważać, kto ponosi winę za to, co dawno dla żadnego z nich nic już nie ważyło, i miał rację. Julian zaczął nowe życie w Ameryce. Ona miała swoje życie tutaj. Trzeba wybaczyć i zapomnieć, potem będą mogli zniszczyć dowód swego krótkiego związku i na zawsze uwolnić się od siebie.

Nie przewidziała jednak, że Julian Raynor we własnej osobie wywrze na niej tak potężne wrażenie. Serce tłukło się w piersi, w ustach jej zaschło. Krótka a stanowcza przemowa, którą z takim nabożeństwem sobie przepowiadała, zatrzepotała gdzieś na obrzeżach pamięci i całkiem wyfrunęła z głowy.

Odchrząknawszy Serena rzekła:

– Rada jestem, że ci się powiodło, Julianie.

Nie wiadomo, co odpowiedział, bo jego słowa utonęły w ogłuszającym trzasku fajerwerków. Niebo rozjarzyło się na jedną krótką chwilę, dość by dojrzeć w przelotnym błysku przestrzeń osłoniętą rododendronami.

Wydał się jej szczuplejszy, twarz miał surowszą, wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Zawsze myślała o nim jak o żywiolu, z którym człowiek powinien być ostrożny. Teraz dojrzała w nim jakąś nową siłę. Julian Raynor wie, kim jest i ku czemu zmierza. Ameryka to sprawiła. Ciemność zamknęła się nad ich głowami, jakby przybliżając ich do siebie.

W błysku oślepiającej iluminacji i Julian się jej przyjrzał. Jest taka, jaką ją zapamiętał: subtelnie ukształcone rysy, o czystym rysunku kamei, sploty jasnych włosów okalające twarz falistą linią. Suknia, jakiej mógł po niej oczekiwać; żadnej przesady, śladu wystawności. Ale nawet ta skromna szata nie była w stanie ukryć niewieściej kibici o pełnych piersiach, wdzięcznego wygięcia szyi, talii tak wąskiej, że można by objąć ją dłońmi. Widział, ile zazdrości wzbudził wśród panów szlachty towarzysząc lady Amelii, najbardziej pożądanej kobiecie w Londynie. Wiedział też, że gdyby nie dzieliła ich przeszłość, jednej tylko kobiecie chciałby towarzyszyć, tej, która stała przed nim.

– Wyglądasz dobrze, Sereno.

Ośmielona serdecznym tonem podeszła bliżej.

– Z tego, jakim cię znajduję, wnoszę, że Ameryka ci służy, Julianie.

Zapomniał już zapachu perfum, których zawsze używała. Wdychał teraz świeżą woń polnych maków i jej wspomnienie przełamało wszystkie opory z łatwością, z jaką mgła przenika przez mury fortecy. Lody puściły.

Śledząc grę świateł na ślicznej twarzy miał wrażenie, że nie tylko on żałuje przeszłości. Kiedy wpadała w złość, stawała się jędzą. Czyżby uderzyła w niego na swój popędliwy sposób tylko po to, by się pomiarkować, kiedy było za późno? A może dopiero spoglądając wstecz pojęła, że nigdy nie był zagrożeniem dla tak jej drogiego szlaku przerzutowego?

Stała przed nim teraz łagodna jak nigdy, wielkooka, o bladej twarzy. Czekwała, aż to on zacznie mówić.

– Szczęśliwa jesteś, Sereno?

Wypuściła wreszcie powietrze z płuc. Z niezrozumiałych dla niej samej powodów poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. Ogarnęło ją raptem pragnienie, by wszystko między nimi znowu było dobrze.

– Tym szczęśliwsza, że mogę cię widzieć. Przykro mi, że rzeczy tak się ułożyły. Naprawdę przykro. Nie chcę, żebyśmy chowali do siebie urazę, Życie jest za krótkie. Wybaczmy sobie i zapomnimy?

Nie umiał się oprzeć. Czyż nie wyraziła tego, co i on czuł? Czas ukoił żale. Przeszłość za nimi.

– Tak – odpowiedział wyciągając dłonie. – Wybaczmy i zapomnijmy. Jak powiadasz, szkoda życia.

I ona wyciągnęła dłonie. Ucisnął je delikatnie. Na jedno krótkie mgnienie zapanowała pełna harmonia. On się uśmiechnął. Ona się uśmiechnęła.

– Powinam już iść. Powinam szukać siostry. Letty jest w trudnym wieku, jeśli wiesz, co mam na myśli – rzekła, opuszczając dłonie naturalnym, nie pasującym do chwilowej harmonii gestem.

– Chcesz powiedzieć, że zerwała się ze smyczy i gdzieś się przechadza ze swoim kawalerem?

Skinęła głową i obydwójce zaczęli się śmiać.

– Żle, że nie dałeś mi znać o swoim przyjeździe.

– Pragałem zrobić ci niespodziankę.

Co mu się udało, ale nie chciała myśleć o smutkach, teraz kiedy był już w Londynie i pierwszy zrobił krok ku pojednaniu. „Wybaczyć i zapomnieć”. Tak radził jej Flynn.

Rozległy się oklaski widzów zebranych na trawnikach wokół ich schronienia.

– Muszę iść – powiedziała Serena – zanim Letty popełni jakąś okropność.

– Nie uciekaj. – Zastąpił jej drogę. – Powiedz mi coś o sobie.

Nie będzie się z nim przecież sprzeczać na temat tak błahy jak uganianie się za siostrą. Dość było między nimi waśni. Starczyłoby na całe życie, nawet i na dziesięć. Ten jeden raz niech Letty radzi sobie sama.

– Przede wszystkim – zaczęła trochę zbity z tropu, że prowadzą normalną rozmowę jak

dwoje normalnych ludzi – jestem zaręczona i mam wyjść za mąż.

– Zaręczona? Rozumiałem, że czekasz z tym, dopokąd nie wyjaśnimy sobie wszystkiego.

Zgrzyt w rozmowie. Podniosła wzrok, zobaczyła błyskające w uśmiechu zęby i poczuła ogromną ulgę.

– Ma się rozumieć. Nie będzie zaręczyn, póki ogień nie strawi naszego aktu ślubu. – Zaśmiała się, a on jej zawtórował. – Masz go, Julianie?

– Bądź spokojna w tym względzie. Jest w bezpiecznym miejscu.

– Mówisz jak człowiek przezorny.

– W pewnych sprawach.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie wzniecając dawnych waśni.

– Kiedy zatem mogę się spodziewać wieści, że już go zniszczyłeś?

Uśmiechnął się słysząc, jak jej spieszno.

– Twój adorator – Trevor Hadley, prawda? – musi być bardzo cierpliwy.

– Trevor to bardzo porządny, uczciwy człowiek – zgodziła się skwapliwie.

Odezwał się po chwili milczenia:

– Jak ci się udało go powstrzymać?

– Powstrzymać?

– Daj spokój, Sereno. Rozumiesz świetnie pytanie. Twój konkurent musiał naciskać na ciebie, żebyś mu wyjaśniła powody zwłoki. Wie o nas?

– Nie, na Boga! Poza Flynnem nikt o nas nie wie.

– Jakeś więc przekonała nieocenionego pana Hadleya, by powściągnął swoją niecierpliwość? Nie ubywa ci lat z wiekiem. Musiał się dziwić, że nie ciągniesz go do ołtarza, póki jeszcze ktoś cię chce.

Powiedział to żartem. Pojęła intencje. Zresztą gdyby było inaczej, nie potrafiłaby go złać. Nawet jeśli czyniłby przytyk do jej podeszłego wieku? Dwadzieścia pięć lat to już staropanieństwo, czyż nie tak? Mówił to, co wszyscy myśleli. Jest stojącą nad grobem staruszką. Nie przyzna mu przecież głośno racji.

– Sereno, ja...

– Trevor jest inny niż ty, Julianie. Jest mi oddany. Przedkłada nade wszystko moje dobro. Szanuje moje wahanie przed powzięciem ostatecznego kroku. Tym razem nie będzie niszczenia dowodów ślubu, mąż nie okaże się wiarołomnym libertynem.

– Wiarołomnym libertynem? Mogłabyś z łaski swojej wyjaśnić te słowa?

Uśmiechnęła się na widok jego obruszenia.

– Och, myślę, że ty potrafisz wyjaśnić je lepiej niż ja. Wielkie *fiale* pokazu rozbłysło nad ich głowami niczym eksplodujące słońce. Ziemia zadrżała pod stopami, rozległ się aplauz widzów, niemal równie donośny jak huk tysięcznych detonacji, tylko oni uparcie milczeli. Wreszcie

Julian przerwał ciszę.

– Mówisz jak skrzywdzona żona. Zazdrosna?

– Zazdrosna? – Posłała mu spojrzenie, od którego spaliłby się na popiół, gdyby mógł je widzieć. – Musiałabym upaść na głowę, żeby być zazdrosną o kobiety, z jakimi się zadajesz.

Bawił się szczerze.

– Co wiesz o kobietach, z jakimi się zadaje?

Już niemal zapanowała nad sobą, gdy raptem się roześmiał i przezorność diabli wzięli.

– Cały Londyn ekscytuje się twoimi przygodami w sypialniach Charles Town.

– A ja myślałem, że jestem wcieleniem dyskrecji w tej materii.

– Nazywasz dyskrecją trzy pojedynki o trzy różne kobiety w ciągu jednej nocy?

– Zechciej odświeżyć moją pamięć. Nie przypominam sobie takiego zajścia.

Dech jej zaparło, odskoczyła od niego i przypadła doń na powrót, tak że stali teraz nos w nos.

– Domyślam się, że pojedynki o kobiety to dla ciebie rzecz tak pospolita, że nawet nie pamiętasz nazwisk i twarzy tych dam.

Nawet w mroku mogła dojrzeć, że wyszczerzył się w uśmiechu od ucha do ucha. Ugodzona do żywego, ciągnęła napastliwie:

– Aktorka Mary Donovan? Madame z burdelu, pani Carla Jak-Jej-Tam? I wreszcie, choć nie na końcu, ta Indianka, którą wygrałeś w karty? Wróciła ci już pamięć?

Nie mógł powstrzymać śmiechu. Wykrztusił wreszcie z trudem:

– Sereno, jesteś godna podziwu. Twoja pamięć jest daleko lepsza od mojej. Nie rozumiem tylko, co te kobiety mogą dla ciebie znaczyć.

– Nic poza tym, że nabieram pewności, iż rozwiążle niewiasty to twój żywioł.

Ledwie wypowiedziała zjadliwe słowa, wiedziała, co sobie pomyślał. Zwierzył się jej kiedyś, że wychowały go kurwy i prostytutki. Za późno się zreflektowała.

– Julianie, nie chciałam...

Zacisnął zęby.

– Masz naturę sekutnicy i niewyparzony język przekupki. Mówiłem ci to już kiedyś.

Spąsowiała. Z niezmierną godnością, dama w każdym calu, uniosła spódnicę i okrążywszy go skierowała się najprostszą drogą do przejścia w żywopłocie. Ruszył za nią, przeciskając się wśród tłumu rozchodzących się widzów. Dogonił ją przy fontannie.

– A czemu to miałabyś być lepsza od tych rozwiązłych kobiet, którymi tak gardzisz? – syknął z wściekłością.

Zadarła nos i ignorując pytanie przyspieszyła kroku. Chwycił ją za rękę i odwrócił ku sobie z mocnym szarpnięciem.

– Dzieliliś moje łóżko – parsknął – przekonana, że ślub był maskaradą, a potem zdradziłaś.

Za kogo się masz?

– Zdradziłam?! – krzyknęła. – Nigdy cię nie zdradziłam. Mój Boże, myślałam, że jestem w tobie zakochana. Ale koniec! Chcę tylko od ciebie, Julianie Raynor, gwarancji, że certyfikat zostanie zniszczony, a wtedy będziemy wolni i każde pójdzie w swoją stronę.

– Dostaniesz gwarancje, kiedy mnie to będzie wygodne, ani chwili wcześniej.

– A to co ma znaczyć?

– To znaczy, kiedy będę miał powody do rozwiązania naszego małżeństwa. Dam ci znać.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Odzyskawszy mowę krzyknęła:

– Ty wężu jadowity! Powinnaś być oczekiwać tego po tobie, szulerze!

– A ja powinienem był wiedzieć, że nie należy ufać przewrotnej, podstępnej wietrznicy.

Cofnęła się i zamierzyła na niego z pięściami. Uchylił się, a ona z impetem poleciała na brzeg fontanny. Chciał ją chwycić, ale odepchnęła jego dłoń i zachwiała się do tyłu.

– Sereno, nie!

Ostrzegawczy krzyk nic już nie pomógł. Jeszcze próbowała postąpić w bok – i wpadła do fontanny. Siedziała wśród lilii, we wzdętej krynolinie, z kolanami pod brodą, majestatyczna niczym okręt pod pełnymi żaglami, zlewana bijącą z góry wodą, która z głowy i ramion spływała strużkami po gorsie jej sukni. Podniosła wzrok i dech jej zapało ze zgrozy. W zacierzawieniu walki, ślepi i głusi na wszystko, co się dzieje wokół, nie zauważyli rozbawionych gapiów, którzy otoczywszy ich kręgiem, z żywym zainteresowaniem śledzili rozgrywający się dramat. Ich śmiechy łatwiej było wszak znieść niż z trudem tłumiony chichot dobywający się z gardła Juliana.

– Sereno!

– Julianie!

Słyszając dwa równoczesne okrzyki, jęknęła ostatecznie upokorzona. Trevor nigdy nie zrozumie, jak mogła się znaleźć w podobnym położeniu, ale jeszcze gorszy był drugi głos. Że też akurat lady Amelia Lawrence musi być świadkiem jej sromoty.

Julian pierwszy odzyskał zimną krew. Donośnym głosem, tak by mogli go słyszeć wszyscy gapie, oznajmił:

– Droga panno Ward, proszę o wybaczenie. Strasznie byłem niezgrabny. Pozwolisz, aścka, że jej pomogę. – I zaraz wszystko popsuł nieprzystojnym parsknięciem.

Chociaż miała szczerą ochotę wydrapać mu oczy, nie było innej rady, jak przyjąć pomocną dłoń. Kiedy wyszła z wody, gawiedź nagrodziła ją spontaniczną owacją.

– Afrodyta wyłaniająca się z fal – szepnął jej rozbawiony Julian do ucha. – Aj, aj, Victorio, co za nieobyczajne widowisko.

Odsunawszy się od niego, z uroczym uśmiechem przeznaczonym dla gapiów rzekła:

– Moi bracia będą chcieli osobiście podziękować panu za wszystko, coś dla mnie zrobił,

majorze Raynor. Najchętniej z pistoletami w dłoni, na dwadzieścia kroków.

Uniósł brwi na tę ukrytą pogroźkę.

– Będę ich czekał.

– Straciła cały rezon na te słowa. Gdyby doszło do pojedynku, Jeremy i Clive nie poradziliby temu szubrawcowi. Zresztą nie rozważała poważnie podobnego biegu rzeczy. Im mniej będzie miała do czynienia z Julianem Raynorem, tym lepiej dla wszystkich., A cóż tu się, u diaska, dzieje, Sereno? – zapytał Trevor Hadley, który właśnie się zjawił. – Ten dżentelmen obraził...

Och, nie, Trevorze – czym prędzej zapewniła Sere-na. – Przewróciłam się, a major Raynor mi pomógł. Chyba się nie znacie, panowie? – Nie zważając na przemoczoną suknię ani kałużę wody tworzącą się u jej stóp, dokonała wzajemnej prezentacji. Nie przestała się też ani na moment uśmiechać, kiedy u boku Juliana pojawiła się wytworna brunetka i zaborczym gestem położyła dłoń na jego rękawie.

Lady Amelia Lawrence odznaczała się uderzającą urodą. Trochę wyższa od Sereny, była od niej daleko bardziej majętna. Smagłą karnację, doskonałą kibić odkreślała przemyślana oprawa: srebrzyste połyski zwiewnej tkaniny i ciemnobłękitnych jedwabi. Na jej widok Serena poczuła się jak smętny wrak żaglowca; co gorsza, jej skromna suknia z zielonej tafty, przerobiona z balowej sukni Catherine, wyszła z mody trzy sezony temu. Dzielnie zignorowawszy uśmieszek Juliana, wyprostowała się nieco i wysunęła brodę, zajęta wyłącznie myślą, jak się wycofać zachowując resztki godności.

– Panie się znają? – zaczął Julian.

– Znamy się z panną Ward od lat – odparła lady Amelia ze śmiechem. – Nigdy wszak nie miałam szczęścia poznać tego tu dżentelmena. – Ciemne oczy uśmiechały się zalotnie do pana Hadleya. Ten wyjąkał swoje nazwisko i złożył niezdarny ukłon przed najpiękniejszą damą Londynu, Julian tymczasem zdjął fraczek i otulił im Serenę. Prawdę powiedziawszy, ucieszyło ją, że ktoś niej pamięta, wołałaby jednak, żeby był to każdy inny, tylko nie Julian Raynor.

– Bardzo przyzwoity, uczciwy człowiek – szepnął ściskając pocieszająco jej ramię. – Oddany, wierny, nade wszystko przedkłada twoje dobro?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Usta jej drżały. Uśmiech zniknął z jego oczu.

– Victorio, jesteś wspaniała – powiedział miękko.

Raptem miarka się przepełniła: Julian kpił, pan Hadey zawiódł, lady Amelia obnosiła się ze swoją doskonałością, gapie ani myśląc się rozejść wytrzeszczali oczy.

Odwróciła się na pięcie i postanowiła odejść bez słowa wyjaśnienia, bez przeprosin.

Pan Hadley przerwał w pół zdania, wydał okrzyk zdumienia i pospieszył za nią. Julian zacisnąwszy szczęki śledził, jak znikają w tłumie.

Czuła się tak, jakby cały świat zwałił się na jej barki. Na domiar nieszczęścia fraczek

pachniał wodą kolońską Juliana, w trzewikach chłupotała woda, a rodzina czekająca w powozie wynajętym przez pana Hadleya zasypała ją gradem nieznośnych pytań.

– Nie klóciliśmy się. Niby dlaczego? Już wam mówiłam, że ktoś mnie popchnął, przewróciłam się. Może powiedziałam coś w złości, ale nie kierowałam tego akurat pod adresem pana Raynora. Powtarzam, że przyszedł mi z pomocą i tyle.

– Słyszeliśmy podniesione głosy, kiedyśmy was znaleźli – oznajmił pan Hadley.

Clive śmiał się.

– Brzmiało to jak sprzeczka kochanków.

– Clive! – Catherine przywołała go do porządku, posyłając mu surowe spojrzenie.

– Przecież nic takiego nie miałem na myśli. Ale słychać ich było aż przy Rotundzie. Kiedy wreszcie precisiśnałem się tam i zobaczyłem, że to Serena i Raynor wywołali taki rwetes, nogi się pode mną ugięły. Idę o zakład, że jutro we wszystkich klubach i kawiarniach będą rozprawiać tylko o tym.

– Jakież to wulgarnie! – zawołała Catherine.

– Prawda? – odparł Clive radośnie.

Letty pociągnęła nosem.

– Nie wspomniawszy o panu Hadleyu i lady Amelii. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu na to widowisko.

– Nie przyszłoby do tego, gdybyś miała panna odrobinę przyzwoitości.

– Banialuki! – zaprotestowała Letty. – Lord Harry należy właściwie do rodziny. Nic w tym złego, żeśmy poszli na spacer.

– A powinno być.

– Co robić, Jeremy? – Catherine potrząsnęła ręką męża, budząc go z zamyślenia.

Rozejdzie się po kościach – odparł. – Raynor nie należy do naszego kręgu. Nie będziemy go zbyt często widywać. A jeśli przyjdzie do spotkania i świat zobaczy, że my, Wardowie, grzecznie traktujemy owego dżentelmena, zajście szybko pójdzie w niepamięć. Zachowujcie się jak gdyby nigdy nic.

– Roztropna rada – oznajmił pan Hadley.

Serena milczała. Myślała o Julianie i lady Amelii. Gdzie teraz są, co robią? Z westchnieniem otuliła się szczerzej aksamitnym fraczkiem.

Serena Ward jest wybornym antidotum na męską namiętność – rozmyślał Julian, wchodząc po schodach do swoich prywatnych pokoi w domu gry. Nawet nie próbował zlec w łóżu z lady Amelią. Nie sposób, kiedy myśli zajęte miał inną kobietą. Serena Ward. Miał nieprzepartą ochotę dostać ją w swoje ręce i życie z niej wytrząsnąć. Wymówił się bólem głowy. Ból głowy. Na Boga. Wykręt tak absurdalny, że lady Amelia wzięła go za dobrą monetę.

Nie musiał wytrząsać z niej życia. Będzie jeszcze przed nim klęczała. Będzie musiała zwodzić nieocenionego pana Hadleya; prędzej posiwieje, niż on uwolni ją od węzłów małżeńskich, i niech sama sobie za to dziękuje.

Odparł szpadę, zdjął kamizelkę i wyciągnął się na łóżku. Nie był sprawiedliwy wobec Sereny. Z niechęcią musiał przyznać, że to on wszystko popsuł. W jednej chwili zachowywał się jak uosobienie rozsądku, a już w następnej dąsał się jak obrażony uczeń.

„Trevor to przyzwoity, uczciwy człowiek”. Ledwie wymówiła te słowa, przypomniał sobie inną rozmowę. „Z takim jak ty tyle mam wspólnego, co ze złodziejami i mordercami”.

Musiała wiedzieć, jak sobie radził. Cały Londyn wiedział. Inaczej niż swego czasu w Anglii, w Charles Town nie był człowiekiem podejrzanego pochodzenia, którego nie dopuszcza się do towarzystwa. Jako majątny posiadacz ziemski cieszył się znacznymi wpływami. O jego względy zabiegali rządzący i nobliwe matrony z córkami na wydaniu. Czy Serena zająknęła się o jego sukcesach? Ma się rozumieć, że nie! Rzuciła mu w twarz bezpodstawne oskarżenia dotyczące kobiet i pojedynków.

Całkiem bezpodstawne. Mary Donovan, czy tak się nazywała? A pani Carla JaknJej-Tam? Jedyna Carla, jaką znał, była bajzelmamą tak starą, że mogłaby być jego babką. Jeśli zaś idzie o młodą Indiankę, to tylko uratował ją przed mężem brutalem. Nic między nimi nie było.

„Niewierny”. Tego za wiele. Wiedział, co oznacza wierność małżeńska. Ojciec był mu w tym względzie przykładem, czego nie można rzec o ojcu Sereny, jeśli wierzyć pogłoskom. Gdyby Serena była mu żoną, miałyby tyle jego wierności, że nie wiedziałyby, co z nią począć. Dowodziłby swojej wierności każdej nocy, a w niedzielę po dwakroć. Może nawet po trzykroć.

Jeśli ktoś był niewierny, to już prędzej ten jej adorator. Stał tam i patrzył jak sroka w gnatach na roztaczającą swe wdzięki Amelię, gdy tymczasem Serena szczekała zębami, jakby grała na kastanietach. Nie miał nawet na tyle przytomności, żeby okryć fraczkiem trzęsącą się dziewczynę. Julian najchętniej udusiłby go. I to miała być chodząca doskonałość, z którą go porównywała?

Dobry Boże, naprawdę nie miała czym się chlubić. Julian rozpytał o niego. Pan Hadley zrobił majątek na hodowli owiec w Walii. Nie znosił wielkiego świata i dopiero ulegając namowom matki sekutnicy przyjechał do miasta, by znaleźć sobie żonę – potulną istotę, która urodzi następne pokolenie Hadleyów, tak jak jego rasowe owce wydawały kolejne mioty jagniąt. Nie pojmował, co Hadley zobaczył w Serenie. Potulna? Niemal współczuł biednemu safandule, który nie wiedział, co czyni.

Wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. To, co on uwielbiał w Serenie, sprawi, że nieszczęsny pan Hadley będzie uciekał gdzie pieprz rośnie. Julian nie mógł uwierzyć, że gotowa zmarnować się przy takim człowieku. Co pocznie na farmie owczej w Walii? Wysoko urodzone Angielki, jeśli nie rodziły swoich kopii, stawały się nie więcej jak uroczą ozdobą domu. Hadley



nie pozwoli jej zajmować się gospodarstwem. W Nowym Świecie rzeczy miały się inaczej. Żony i mężowie wspólnie ujarzmiali dzikie ziemie, sami tworzyli sobie miejsce do życia. Dama... nie, kobieta zdolna nadstawiać karku w cuchnących kanałach Londynu nie będzie kaprysić z powodu komarów, czy utyskiwać na skwarne karolińskie lato. Serena była stworzona do życia w młodej, prężnej kolonii.

A życie oczywiście nie ogranicza się do pracy. Z zakończeniem zbiorów plantatorzy ścigali do Charles Town. Serena mogłaby...

Nagle zdawszy sobie sprawę, jaki tok obierają jego rozmyślania, zerwał się z łóżka i stanął przy oknie. Z zaciśniętymi szczękami patrzył tępo, ledwie zauważając stłoczone na ulicy powozy zwożące gości do jego domu. W oczach Sereny zawsze będzie karcierzem, niegodnym ucałować kraj jej sukni. I bardzo dobrze, bo w dniu, kiedy by do tego przyszło, powinien dać się zamknąć w szpitalu dla obłąkanych.

„Myślałam, że cię kocham. Myślałam, że cię kocham”. Jej słowa dźwięczały mu w głowie. Gdyby w to uwierzył... Czym prędzej zdusił tę myśl. Czas przeszły! On i Serena należeli do czasu przeszłego i ocean żalu nie zdołałby zatopić narosłej nieufności.

Zbyt optymistyczne były przepowiednie Jeremy'ego, jakoby scena między Sereną a Julianem wkrótce poszła w zapomnienie. W ciągu jednej doby nie tylko opowiedziano ją sobie setki razy – w klubach, kawiarniach, salonach, na balach – ale też z każdym powtórzeniem czyniono bardziej pikantną i upiorną.

Catherine Ward usłyszała ją po raz pierwszy na swoim *levee*. Czowała się wcale szczęśliwa pośród tłumu wypełniającego jej mały buduar tego czwartkowego popołudnia. Pojawiła się lady Kirkland ze swoją przyjaciółką od serca, lady Trenton, osoby z towarzystwa. Catherine odniosła triumf. Zastanawiała się, co też spowodowało do niej tyle znakomitości. Zanim goście wyszli, pozostawiając jej najwierniejszego admiratora, lorda Charlesa, otrzymała mnóstwo zaproszeń na rauty, reduty, bale i, najświetniejsze ze wszystkich, zaproszenie na przyjęcie w rezydencji Kirklandów w Kent.

– Och, Charles – zawołała klaszcząc w dłonie – sen się ziścił. Wiesz chyba, co to oznacza?

– Wiem, a jakże. A ty?

Przez chwilę mierzył ją sennym spojrzeniem. Pokręciła głową i wydała okrzyk zachwyty.

– To oznacza, że Sereną i Letty rozszerzą krąg znajomości, będą spotykać interesujących dżentelmenów. – Catherine nigdy nie baczyła na słowa, kiedy była sam na sam z lordem Charlesem. Zнали się od dziecka i czuła się w jego obecności tak swobodnie, jakby był jej bratem. – Może wreszcie pozbędziemy się pana Hadleya. Och, nie żebym miała coś przeciwko niemu, rozumiesz, ale po prostu nie jest odpowiedni dla Sereny.

Lord Charles wstał i podszedł do niej. Nie tak przystojny jak jej mąż, miał wszak ujmującą powierzchowność. Swego czasu zabawiła się w swatkę, w nadziei, że zainteresuje go Sereną albo Letty. Uchodził za świetną partię, dobrze urodzony, dziedzic tytułu ojca, markiza Danham. Nic nie wskórała, nie ożeniła go i wiedziała dlaczego. Otoczony wianuszkami kochanek, niepoprawny rozpustnik, nie próbował nawet kryć się z tym przed nią, co nie umniejszało w niczym sympatii, którą dlań żywiła.

– Co cię tak rozbawiło, Charles?

– Bardzo nie chcesz związku Sereny z panem Had-leyem?

Uśmiechnęła się uroczo.

– Nie powiesz Jeremy'emu?

– Za nic w świecie.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie, ale nic nie wyczytała w jego twarzy.

– Jestem mu ze wszech miar przeciwna – rzekła z poufałym uśmiechem. – Pan Hadley to miły na swój sposób człowiek, ale on nie dla Sereny. Dziewczynie trzeba ukrócić cugli, bo jej

figle w głowie. Byłabym znacznie szczęśliwsza, gdyby znalazła kogoś... takiego jak ty, Charles.

– Porywające – Charles cedził słowa. – Wtedy twoje szczęście byłoby pełne.

Przez jedną krótką chwilę już się zdawało, że gotów oświadczyć się o Serenę. Serce zatrzepotało jej w piersi. Ironiczny uśmiech sprowadził ją jednak na ziemię.

– Mów – powiedziała ze śmiechem. – Cóż to za tajemnica, którą ty znasz, a ja nie?

– Julian Raynor – odparł uprzejmie. – Mój lokaj powiada, że kochanka Raynora w przystępie zazdrości... jak by to powiedzieć... „tknęła” Serenę i wepchnęła ją do sadzawki z liliami.

– Przebóg!

Popatrzył na nią uważnie.

– Czyżbym słyszał ton urazy?

– Co?

– Ty i Raynor. Kiedyś cię adorował.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała zazdrość. Catherine uśmiechnęła się figlarnie.

– Trudno się oprzeć Julianowi, kiedy zaczyna czarować damę – odparła przekomarzając się, ale kiedy ujrzała nasrożoną minę lorda, uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy.

– Ostrzegam cię, Catherine, nie pozwolę ci oglądać się za nim. Jeśli zostawiłabyś Jeremy’ego, to tylko dla mnie. Za wiele poświęciłem, żeby teraz cię tracić.

Przez chwilę nie pojmowała, o czym mówi. Kiedy wreszcie dotarło do niej znaczenie wypowiedzianych słów, poderwała się cała w pąsach.

– Poświęciłeś dla mnie? Myślałam, że mi pomogłeś, nam pomogłeś, z czystej przyjaźni.

– Nie mówię o pieniądzech. Mówię o nas. Między nami coś jest. Zawsze było. Wiesz o tym doskonale.

Coś między nimi było, kiedyś, dawno temu. Jako młoda dziewczyna zadurzyła się w nim po uszy, o czym on nie wiedział. Nawet wtedy oglądał się za niewiastami lekkiego prowadzenia. Kiedy wyjechał na studia i w jej życiu pojawił się Jeremy Ward, zadurzenie minęło.

Próbował wziąć ją w ramiona, cofnęła się.

– Kocham mojego męża – oznajmiła z desperacją. – Myślałam, że to rozumiesz.

Już się jej zdawało, że puścił jej słowa mimo uszu, ale on odwrócił się raptownie i zaczął wyglądać przez okno. Kiedy znów na nią spojrział, dostrzegła z ulgą ironiczny uśmiech goszczący na powrót na jego twarzy.

– Wcześniej czy później coś takiego musiało się zdarzyć. Czyż nie jestem niegodziwym rozpustnikiem, a ty piękną, godną pożądania kobietą?

Jego mina, jego wzięcie sprawiły, że zawtórowała mu niepewnym śmiechem.

– Powinnam się była tego spodziewać – odparła.

– Przyjaciele? – powiedział kpiąco.

– Na zawsze – potwierdziła, z trudem łapiąc powietrze.

On szybciej odzyskał zimną krew. Jakby nigdy nic, wrócił do poprzedniego tematu.

– Nic dziwnego, że cały Londyn ciśnie się u twoich drzwi. Chcą być na miejscu, kiedy kurtyna pójdzie w górę i zacznie się następny akt między Sereną i Raynorem. To lepsze niż walki kogutów i wcale bym się nie dziwił, gdyby właśnie w tej chwili na mieście czyniono zakłady o wynik.

Lord Charles miał rację. W pijalni czekolady „Drzewo Kakaowca” stawiano jeden do dziesięciu, że lady Amelia dopnie swego i stanie się następną damą Ray-nora. W Białej Kawiarni, gdzie krążyła inna wersja wydarzeń, poprzedniego wieczoru obstawiano trzy do jednego, że Serena odprawi pana Hadleya, przyłapawszy go *flagrante delicto* z wielką damą. W Kawiarni Świętego Jamesa, gdzie pogłoski były bliższe prawdy, zakładano się nawet, że przed upływem dwóch tygodni Julian poprosi o rękę Sereny Ward.

Clive bawił się pysznie, a znając swoją siostrę jak nikt inny, potrząsał sakiewką, pewien, że zgarnie niezłą wygraną.

Zrazu pan Hadley czuł się pochlebiony: doszło doń, że lady Amelia i Serena Ward pobili się o niego. Otrzeźwiał dopiero po namyśle. Jeśli opowieść dotrze do jego matki, urąganiom nie będzie końca. Jego przyszła żona musi się cieszyć nieposzlakowaną opinią, inaczej matka zatruje mu życie. Serena powinna zachować powściągliwość i przy pierwszej sposobności powie jej to taktownie, dyplomatycznie, ale w sposób stanowczy.

Jeremy Ward nie okazał tej samej, co jego młodszy brat, tolerancji. Kiedy doszły go plotki, przerwał ważne rozmowy z lordem Choate i udał się prosto do domu Juliana. Tu powiedziano mu, że major Raynor pojechał w niecierpiącej zwłoki sprawie do Kensingtonu i nie ma go w domu.

Tymczasem nieświadoma szerzących się gwałtownie domysłów Serena spędzała popołudnie z Letty i dwoma małymi kuzynkami na wędkowaniu. Teraz, po wynajęciu Riverview, chłopcom brakowało zwykłych zabaw i Serena próbowała czymś ich zająć, a że lubiła malców, nie traktowała spędzanych z nimi godzin jako przykrego obowiązku. Dzisiaj szczególnie była rada chwili wytchnienia, która pozwoliłaby jej rozważyć wszystko w spokoju.

Nie wyprawiali się daleko, poszli brzegiem w dół Tamizy, aż dotarli do niegdysiejszych gruntów Savoy Pałace. Tutaj posłuszni instrukcjom Flynnna zarzucili wędki i rozłożyli piknik.

– Nie złapiecie żadnej ryby – oznajmił jej Flynn na stronie, wskazując na żaglówki pływające po rzece. – Tłok wielki i późna godzina.

– Nieważne. Jesteśmy na wycieczce dla przyjemności. Jako się rzekło, z wędkowania nic nie wyszło, nikt jednak nie narzekał, a już najmniej chłopcy. Zanim Robert i Francis zdążyli się znudzić jedną zabawą, Flynn wymyślał następną. Jego znajomość okolicy okazała się

niewyczerpana. Posiliwszy się, zaproponował chłopcom zwiedzanie pobliskich ruin, Serena i Letty zaś ku radości kuzynów zajęły się robótkami ręcznymi.

Pakowały już resztki z pikniku, kiedy oderwał je od tego zajęcia widok szczególnie zgrabnego jachtu. Nie usłyszały zbliżających się koni. Dopiero słowa pozdrowienia uświadomiły im, że nie są same.

Serena pierwsza rozpoznała dwóch młokosów. Dojrzała ich rozbawione twarze poprzedniego, upokarzającego wieczoru, kiedy Julian wyciągał ją z sadzawki z liliami.

– Oto i dzierlatka z Ranelagh – zakpił jeden.

Koza, na której moja kiesa jedzie – dodał drugi. Serena poczuła ukłucie strachu. Podniosła się powoli i nie spuszczać z nich wzroku szepnęła do Letty:

– Nie biegnij. Idź. Poszukaj Flynna, sprowadź go tutaj.

Letty pobladła jak płótno. Zrobiła krok czy dwa, kiedy jeden z jeźdźców, spiąwszy konia ostrogami, zastąpił jej drogę.

– Po co ten pośpiech, ślicznotko? Dick i ja ci się nie podobamy?

Nazwany Dickiem krzyknął wesoło:

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Salty! Wzrok cię tym razem zmylił. To ta druga turkaweczka jest od Raynora.

Salty raptownie odwrócił się w siodle i spod oka zmierzył Serenę.

– Żarty sobie ze mnie stroisz, Dick! A cóż to za specyjał? Nie dla mnie, żadną miarą. Sztywna jakby kij połknęła. Nie, pewnikiem to jakaś marmuzela, guwernantka albo coś na ten kształt.

Obydwaj mężczyźni parsknęli.

– Może tak ją spytać? – zaproponował ten zwany Dickiem.

Serena, dławiąc strach, mierzyła ich wrogim spojrzeniem.

– Dość pożartowaliście, a teraz się zabierajcie, zanim pojawi się mój brat i wygarbuje wam skórę.

Puszczając mimo uszu jej pogroźki, jeźdźcy zatoczyli koło biorąc dziewczęta między siebie.

– Widzisz jakiego brata, Dick?

Dick zaśmiał się wymownie.

– Patrz jeno! Żywej duszy!

Serena zeszywniała ze strachu, wiedziała przecież, że nie może okazać, jak bardzo się boi. Letty, nie kryjąc przerażenia, przytuliła się drżąca do starszej siostry, co tylko bardziej rozjuszyło napastników.

Wyprostowana, z odrzuconą głową, Serena mierzyła ich wzrokiem.

– Sir Jeremy Ward jest naszym bratem – rzuciła im hardo. – My nie dla waszej zabawy.

– Co, do diaska, Raynor widzi w tej lebidze? Nie pojmuję.

– Trza się przekonać.

– Ano. Ja wezmę drugą. Smakowity kąsek. Bardziej podług mego gustu.

Jeden z jeźdźców chciał zsiąść. Serena nachyliła się i wyjęła z kosza piknikowego kamionkę z piklami domowej roboty. Odepchnęła Letty i wzięła zamach jak przy grze w krykieta. Pocisk trafił konia w bok. Przerażony wierzchowiec, nieomal wysadzając jeźdźca z siodła, pogalopował ścieżką.

Drugi z napastników ruszył ku Serenie z morderczą determinacją. Dała nura pod końskim łbem i pomknęła w stronę rzeki. W jednej chwili był przy niej, zeskoczył z końskiego grzbietu, powalił ją na ziemię i zaczął szarpać spódnice.

Chciała krzyczeć, ale poczuła jego usta na wargach. W zamian Letty narobiła wrzawy. Z dała w odpowiedzi doszło wołanie. Serena zobaczyła nad sobą cień: Letty z kamionką wzniesioną do uderzenia. Ku nim biegł Flynn wymachując rękoma.

Miotając przekleństwa, młokos zebrał się z ziemi. Skoczył na konia.

– Nadęta suka – prychnął w stronę Sereny. – Spuścisz z tonu, jak się Raynor tobą nacieszy. Każdy będzie mógł cię mieć. – I spiąwszy wierzchowca ruszył w ślad za swoim kompanem.

Ledwie Flynn do nich dobiegł, Letty zaczęła płacziwe wyjaśnienia. Serena, ciągle roztrzęsiona, poszła na spotkanie schodzącym zboczem chłopcom: nie mieli pojęcia, co zaszło, i nikt nie myślał oświecać ich w tej materii.

Flynn spoglądał za nią zatroskanym wzrokiem. Czas najwyższy, by rozmówił się po męsku z majorem Rayno-rem.

Powietrze w domku w Kensingtonie było tak gęste, jakby wypełniała je mgła znad Morza Północnego.

– Pozwolisz? – zapytał Julian dając znać gestem, że chciałby otworzyć okno.

Konstabl Loukas zaciągnął się ponownie fajką i wypuścił kłęby dymu.

– Co? A, rozumiem. Zupełnie jak moja Kate, niech spoczywa w spokoju. Tak samo nie znosiła zapachu tytoniu. Za jej życia wychodziłem zapalić do ogrodu.

Traktując to jako przyzwolenie, Julian zwolnił haczyk i szeroko rozwarł okno. Wziąwszy kilka głębokich wdechów rzekł:

– Wiesz, że palenie wychodzi z mody? Ostatnie szaleństwo to tabaka. Nawet damy z towarzystwa zaczynają jej zażywać.

– Takóż i Harry. Ja w tym nie smakuję. Paskudny nawyk.

– Gdzie się Harry obraca? Loukas zachichotał.

– Jest za pomocnika u Tomasa Burdusa. Dasz wiarę?

– U sędziego pokoju z Bow Street? Loukas przytaknął.

– Widać mamy prawo we krwi.

– Rad słyszę. Zawsze uważałem, że Harry daleko zajdzie.

– Chciałby się z tobą spotkać, ma się rozumieć. Powinieneś go odwiedzić. Mieszka na Strandzie.

Widząc, że Julian tkwi nadal przy oknie, Loukas się nachmurzył.

Coś mu zaświtało w głowie, wystukał fajkę w kominku, odłożył ją i burknął:

– Siadajże, niech ci wreszcie złożę raporta. Julian szczerząc się w uśmiechu, wcale nie zrażony naburmuszoną miną swego towarzysza, przyjął zaproszenie. Poznali się przed laty, gdy jako wyrostek przybył do Londynu i po raz pierwszy zadarł z prawem. To Loukas doprowadził go wtedy przed oblicze sędziego De Veila pod zarzutem zakłócania spokoju i wstawił się za nim. Pod groźną maską krył się prawdziwy naprawiacz świata. Nie było dlań większej radości, jak skierować młodego człowieka na właściwą drogę, co oznaczało – namówić go do służby wojskowej. Wierzył w dyscyplinę, która wzmacnia charakter.

Przez lata pisywali do siebie. W czasie urlopów Julian często wieczerał z Loukasami w tym właśnie domku. Od chwili gdy uciekł z sierocińca, stanowili dlań namiastkę rodziny.

Julian zwierzał się niewielu ludziom. Loukas był tu wyjątkiem, choć nie w pełni. Raynor przedstawił mu pogodniejszą wersję najmłodszych lat, wspominając jedynie, że został osierocony dzieckiem. Konstabl był jedynym, który znał historię jego uprowadzenia i zsyłki do Marylandu, a i to dlatego tylko, że mógł okazać się pomocny w rozwiązaniu tajemnicy.

– Słucham – powiedział Julian. – Dowiedziałeś się czego?

Loukas podrapał się po peruce, przekrzywiając ją przy tym.

– Niewiele. Lord Kirkland prawdę powiadał, że nie ma śladu, by który z rajców podpisał nakaz aresztowania, z czego trzeba wnosić, że ludzie z milicji, którzy cię pojмали tamtej nocy, dopuścili się samowoli. Napytałeś sobie wrogów, mój chłopcze, ale w twojej profesji trudno się temu dziwić.

Julian pokręcił głową.

– To nie ma nic wspólnego z moją profesją. Listy zastawne należą do domu, nie do mnie. Choćbym zginął, i tak trzeba by je wykupić. Żaden z moich gości nie zyskiwał nic na mojej śmierci.

Loukas sięgnął po fajkę, rozmyślił się i odłożył ją na kominek.

– Ale twoi najbliżsi mogliby zyskać. Julian zasepił się.

– To znaczy?

– Twoja żona.

– Podejrzewasz Serenę?

– Zaś tam. Nie zamordowali cię przecież, tylko wysłali do Ameryki. Ktokolwiek to zrobił, zamyslał się ciebie pozbyć, nie zabijać.

– Może Serena chciała mnie ukarać, zem ją zmusił do małżeństwa? – zażartował Julian.

Loukas zaśmiał się.

– I narazić się na twój gniew za powrotem do Anglii? Nie myślę, ale i to rozważę.

– Pięknie. Jakie wnioski? Loukas się zawahał.

– Nie jesteś szpiegiem rządu, Julianie?

Julian puścił długą a kwiecistą wiązkę przekleństw.

– Gdybym był agentem, nie stałbym teraz przed tobą. Miałbym wysoko postawionych przyjaciół zdolnych rozwiązać tę zagadkę.

– Wszak lord Kirkland, pierwszy wróg jakobitów, liczy się między twoich przyjaciół.

– A Serena Ward, pierwsza ich przyjaciółka, jest moją żoną.

– Rozumiem, do czego pijesz. Może ci, co cię porwali, byli pewni, że pracujesz dla drugiej strony, co ciągle nie wyjaśnia nam, kim byli.

– Co z człowiekiem, który nimi dowodził, a którego nazywam „Urodziwym”?

– Może trafiłem na ślad. Nie, za wcześnie mówić.

Nawet jeśli znajdę twojego „Urodziwego”, nie wiem, co nam to da.

Następne pół godziny rozważali różne możliwości. Posunęli się nawet do tego, że sporządzili listę podejrzanych. Bardzo długą listę.

Kiedy Julian zaczął zbierać się do wyjścia, Loukas odprowadził go do drzwi.

– Wiesz, co myślę, mój chłopcze? – Zadawszy retoryczne pytanie, ciągnął dalej: – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli czym prędzej załatwisz swoje sprawy i wrócisz do Ameryki. Tak, im szybciej opuścisz Anglię, tym bezpieczniej dla ciebie. Do takiego przyszedłem wniosku po głębokim namyśle.

– Nikt – oznajmił Julian z emfazą – nie wygoni mnie z kraju. Odpłynę, kiedy będę gotów, ani minuty wcześniej.

Loukas z uśmiechem poklepał go po ramieniu.

– Takem właśnie myślał. Jeśli uparłeś się znaleźć tych złoczyńców, nie ma innej rady, jak ich przywabić.

– Zastanowię się nad tym – odparł Julian. – Coś jeszcze chciałem ci powiedzieć. – Rozejrzał się po małym pomieszczeniu, po czym znowu popatrzył na Lou-kasa. – Chciałbym kogoś zaufanego w domu, kogoś, kto potrafiłby wypatrzeć coś niezwykłego. Nic mi chyba nie grozi, ale byłbym głupcem nadstawiając niepotrzebnie karku. Poza tym muszę porozumiewać się z tobą, a przyjazdy na Kensington to diabelna mitręga.

– Mówisz tak, bo wiesz, że się tu nudzę. Bardzo to miło z twojej strony, chłopcze, ale...

– W porządku. Znajdę kogoś innego.

– O, nie. Skoro mówisz poważnie, jestem na twoje usługi.

– Staw się zatem jutro z samego rana – oznajmił Julian.

Jeszcze po powrocie do kasyna myśli miał zajęte listą podejrzanych. Loukas nie liczył na



serio między nich Sereny. Podziwiał jej odwagę i był pod jej urokiem od pierwszej chwili, kiedy tylko Julian wciągnął go w plany potajemnego ślubu, opisując pannę jako zieloną dzierlatkę, o złotym sercu i przyprawiającym o zgrozę sposobie myślenia. Jest ona – przekonywał – swoim najgorszym wrogiem i trzeba czegoś nadzwyczajnego, żeby poniechała pomocy zbiegom. Jeśli wyjdzie za niego, on już położy kres tym wyczynom.

Loukasa także wzruszyło poświęcenie dziewczyny spieszącej z pomocą zaszczytnym jakobitom. Przeraziło go równocześnie, że słaba kobieta wystawia się na podobne niebezpieczeństwo. Loukas solennie przestrzegał litery prawa, lecz tu okazał liberalny pogląd: im mniej jakobitów w Anglii, tym mniejsza okazja do kolejnej rebelii. Gdyby Serena była zaangażowana w agitację i konspirację, inne miałby zapatrywania.

Nie mógł jednak przystać na rozwiązanie proponowane przez Juliana. Małżeństwo to krok ostateczny. Tu Julian musiał wyznać, że były inne, bardziej zobowiązujące powody. Loukas okazał szczere zdumienie, a Julian zaczerwieniony po korzonki włosów zaczął bąkać coś o tym, że Serena jest bez winy; to on źle ocenił jej charakter, poniosły go emocje i ją wykorzystał. Na samo wspomnienie miny Loukasa tamtego wieczoru nadal oblewał się rumieńcem.

Nachmurzony wszedł do swoich pokoi, zamykając kopniakiem drzwi za sobą. Na spotkanie wyszedł mu służący z wiadomością, że ktoś chce się z nim widzieć i czeka od dłuższego czasu w bibliotece.

Flynn wstał na powitanie Juliana.

– Odnoszę fraczek – oznajmił. – Wyczyszczony i wyprasowany. – Tu wskazał na wiszące na krześle okrycie.

Bardzo ci zobowiązany – rzucił krótko Julian i podszedł do kredensu. Nalał sobie solidną porcję brandy, wypił duży haust, po czym odwrócił się do Flynnna. Oto – pomyślał zgryźliwie – jeszcze jeden okaz ślepy na prawdziwą naturę Sereny.

– Serena – zaczął Flynn przysuwając się bliżej – posyła wiadomość.

Julian jeszcze bardziej spochmurniał.

– Nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia Serena Ward.

– Rzecz krótka.

– Cóż? Słucham. Dalejże, człowieku.

Flynn uśmiechnął się i przesłanie od Sereny wylądowało na szczęce Raynora z taką siłą, że ten poleciał do tyłu. Szklanka wypadła mu z ręki. Siadł na podłodze, z plecami wspartymi o biurko. Wróciwszy do siebie po ogłuszającym ciosie, ryknął:

– Zmysłyś postradał, człowieku?

Zadyszany Flynn stanął nad swoją ofiarą w szerokim rozkroku.

– To przesłanie, na któreś, waszmość, zasłużył, a tera sobie pogwarzymy. Pokaże się, czy

mam wam jeszcze wbijać rozum do zakutej głowy. No, jak będzie? – Uniósł groźnie pięść.

Julian potrafił mówić tym językiem znacznie lepiej od Flynna. Choć ten ostatnimi czasy zmęźniał, był jeszcze chłopcem.

– Nie chcę robić ci krzywdy, Flynnie.

– A idźże do diabła! – prychnął Flynn z nie skrywaną pogardą.

Julian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałem – oznajmił i błyskawicznym wierzgnięciem posłał Flynna na ziemię.

Na dole w sali gry widok niebezpiecznie rozkołyszanych żyrandoli zdumiał i zaniepokoił gości; dziewczęta zaczęły piszczeć. Z pokoi piętro wyżej dochodziły odgłosy tłuczonej zastawy i przewracanych mebli. Z sufitu oderwał się kawałek zdobnego stiuku i z łoskotem roztrzaskał się na dywanie.

– Trzęsienie ziemi – orzekł pułkownik Mowbray popatrując z niejakim zainteresowaniem na drżące ściany. – To mi przypomina, jak w Egipcie... Opowiadałem wam kiedyś...

– Tak! – Kilka głosów równocześnie zakrzyczało go, zanim zdołał przywołać jedno ze swoich nudnych wspomnień.

Ściany i sufit przestały drżeć, żyrandole się uspokoiły. Rozległ się jeszcze stłumiony odgłos śmiechu, ale i ten zaraz ucichł.

## 21

Jaką zatem wiadomość naprawdę przesyła Serena? – zapytał Julian, wyciągając rękę i pomagając wstać Flynnowi.

Flynn obmacał obolałą szczękę i nos, szukając złamań. Zadowolony, że jego uroda nie poniosła szwanku, odparł.

– Kazała podziękować za fraczek, ale głosem, który nakazywał użycie pienści.

Julian nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Żadna krwi przeklętnica.

– Ma dość powodów, żeby chcieć drzeć z was skórę pasami, a resztę soli i ćwiartować. Zgodzisz się, waść, ze mnom.

Tak gwarząc ustawiali meble powywracane w czasie bijatyki.

– A z tym co? – zapytał Flynn wskazując czubkiem buta skorupy rozbitej wazy.

– Służący się tym zajmie.

Flynn zachichotał.

– Takeś go obtańcował, kiedy tutaj wpadł, że bendziesz miał, waść, szczęście, jeśli nieborak nie wymówi z punktu. Barbarzyńcy jesteśmy, ot co. – Spojrzał na potłuczoną porcelaną leżącą u jego stóp. – Straszne paskudztwo. Prezent od starej cioteczki, z którym baliście się rozstać?

Julian spojrzał na szczątki kolekcjonerskiego cacka, isnieńskiej misy wartej więcej, niż Flynn zdołałby arobić przez całe swoje życie.

– Splata za długi karciane – wyjaśnił.

– Och, w porzondku – oznajmił Flynn z pańska. – zeknijcie ile, a z radościom zapłacę za szkody.

Julian się odwrócił, chcąc ukryć uśmiech.

– Zbyteczne. Nigdy mi się nie podobała. Wyświadczy-eś mi przysługę, wierzaj. Czego się napijesz, Flynnnie?

– Co macie.

Julian nalał brandy do dwóch kieliszków, jeden podał lynnowi. Zasiadłszy w fotelach przy kominku, sączyli runek, uśmiechając się od czasu do czasu niczym ucz-iacy zamyślający psotę.

Wreszcie Julian przerwał milczenie.

– Wspomniałeś coś, że Serena ma dobre powody rzec ze mnie skórę pasami, soli i ćwiartować. Zgaduję, że nawiązujesz do sprzeczki w Ranelagh i mojej dmowy zniszczenia aktu ślubu. Łagodność malująca się na twarzy Flynnna ustąpiła iejsca czemuś na podobieństwo wojowniczości.

– Jeśli jej nie chcecie, pozwólcie jej odejść. Myślaem, że to postanowione.

– Było. I będzie. Wierz mi, Flynnie, że nie bardziej am ochotę trwać w tym małżeństwie niż ona.

– Czemu jom przeto zwodzicie?

– Ponieważ – odparł Julian bardziej zgryźliwie, niż amierzał – złość mnie na nią wzięła.

Flynn podrapał się w głowę. Widząc, że Julian nie yśli dalej się tłumaczyć, rzekł:

– Nie wiem, czemuście sie tak zawzięli. To wyście jom krzywdzili, umykajonc do Ameryki słówka nie pisonwszy, czyście zdrowi i cali.

– Wiedziała.

– Co wiedziała?

Julian dopił swoją brandy, usta wykrzywił w uśmiechu. Uznał, że po dziurki w nosie ma pochwał pod adresem swojej żony. Flynn stawia ją na piedestale. Czas, by ktoś mu powiedział, że lepi posąg z gliny.

– To ona urządziła moje porwanie – oznajmił. – Zostałem zesłany do kolonii niczym złoczyńca. Och, pod przybranym nazwiskiem, pojmujesz. Próbowałem wyjaśnić, kim jestem, przedkładałem, że powinni mnie uwolnić, ale kijami wybijano mi wszelki opór z głowy. Wreszcie uciekłem. Jak widzisz, wszystko dobrze się skończyło. Nie dziw się, że nie padam na kolana przed Sereną i nie zanoszę do niej dziękczynnych pień za to, co dla mnie uczyniła.

Flynn zrobił ucieszoną minę. Zdumiony otwierał i zamykał usta niczym ryba wyjęta z wody.

– Widzę z twojej twarzy – mówił Julian – że przyjść do siebie nie możesz. To już coś. Oznacza, żeś nie przyłożył do tego ręki. Odpowiedziałeś na moje pytanie.

Odzyskując mowę Flynn wyjąkał:

– Myślicie... ale dlaczego by... mówiła, że jom o coś obwiniecie, ale nigdy nie dopuścił, że... – Po czym, doszedłszy już całkiem do siebie, rzekł: – Dlaczego, u diaska, tacyście pewni, że zdolna jest do takiego postempku?

Julian sięgnął po karafkę i ponownie napelnił swój kieliszek.

– Tak powiedziała, kiedy odkryła, że ją podstępem zmusiłem do małżeństwa.

– Co powiedziała?

– Że znajdzie sposób, żeby mnie ukarać. Dopięła swego.

Flynn wydał prychnięcie oznaczające niedowierzanie.

– A wyście dali wiarę, że kobieta z jej charakterem zdolna jest do podobnej bezduszności?

– Nie od razu, nie. Myślałem, że złość przez nią przemawia. Nie patrz na mnie tak, jakbyś chciał mnie zasztyletować. Myślisz, że tego nie rozważałem setki, tysiące razy? Kto inny miałby to uczynić? A gdybyś myślał pytać, to ci powiem, nie, nigdy nie byłem szpiegiem Króla Jegomości ani żadnego stowarzyszenia jakobic-kiego, zatem nie próbuj szukać kozła ofiarnego,

Flynnie, to na nic się nie zda.

Julian wmawiał sobie z uporem, że to zamknięty rozdział jego życia i zdrada Sereny już go nie może obejść. Teraz musiał przyznać, jak bardzo się oszukiwał. W Karolinie Południowej zabronił sobie myśleć o niej. Był jak niespełna rozumu, zapracowywał się do upadłego, zdecydowany wyrzucić ją z serca i pamięci. Praca i kobiety okazały się najlepszym panaceum na chorobę zwaną Serena Ward, tak mu się przynajmniej wydawało.

Popęnił błąd wracając do Anglii. Spotkanie z nią wskrzesiło dawny gniew, cały ból. Zakopał je tak głęboko, że aż dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak są żywe. Powinien był pogrzebać je jeszcze głębiej. Teraz, kiedy wyraził ledwie niewielką część swojej goryczy, odczuł pewną ulgę.

Powodowany jakąś niewytłumaczalną lojalnością wobec Sereny, nie chciał się zwierzać ze swoich podejrzeń konstablowi Loukasowi. Spoglądał na Flynna przekonany, że nie ma żadnego argumentu, żadnego dowodu zdolnego zachwiać wiarą, jaką ten pokładał w swej pani. Zamiast go rozdrażnić, świadomość ta podziałała niczym sonda, która upuszcza nagromadzoną w głowie truciznę.

– Bezdusznosc? – zaczął. – Nigdy nie powiedziałem, że Serena jest bezduszną, nigdy tak nie myślałem. Prawdę powiedziawszy, ducha w niej aż za dużo. W tym całe nieszczęście, którego nie przewidział. Jestem jej ofiarą. Boże, czyż nie zrobiła ze mnie swojej ofiary? – Gwałtownym gestem nakazał milczenie Flynnowi, który już gotował się coś odpowiedzieć. – Wiesz, jaka jest, kiedy wpadnie w gniew. Nic jej nie może utemperować. Dopiero ponieważ żałuje swojej popędliwości. Wiesz, że mówię prawdę.

Flynn odchylił się w fotelu, mierząc Juliana chytrym spojrzeniem.

– Uważacie przeto, że umyśliła wasze porwane w przystępie wściekłości i potem zaraz zaczęła żałować?

– Zdolna jest do czegoś takiego.

– Kiedy tak mówicie, znaczy się, wcale jej nie znacie.

– Ty ją za to znasz? – W głosie Juliana pojawił się zimny ton.

Flynn skinął głową i wyszczerzył zęby w urągliwym uśmiechu.

– A jakże. Zostałem jej pazikiem, kiedy miał sześć wiosen. Chcecie wiedzieć, jaka jest, to wam rzeknę. Prosta jak pion murarski. Nigdy by nie postompiła, jak powiadacie, bo to tyle, co wsadzić komu sztylet w plecy. To nie ona. Jeśli chciałaby wam odplacić pienkym za nadobne, w oczy by wam to wygarnęła i nie zwałała na innych. Zapytajcie tego jej amanta, co go porzuciła przed ołtarzem.

Julian ściągnął brwi.

– Serena kogoś porzuciła?

– Tak mówioncy. Miała wtedy siedemnaście lat. Zwał się kapitanem Allardyce, ale nie

jestem Richard Flynn, jeśli kiedy służył w kawalerii Króla Jegomości. – Rad z wywołanego zainteresowania ciągnął dalej: – Był z niego łotr nad łotry, groszem nie śmierdzący. Próbowałem jej tłumaczyć, ale nie dawała posłuchu. W tamtych czasach miała jeszcze posag.

– Co się stało z pieniędzmi? – wtrącił Julian.

– Co? Oddała wszystko ojcu pomyłkowi, żeby mu pomóc politykować – prychnął Flynn. – Wszystko przetracił na harmaty dla tych jego jakobitów.

– A Letty? Też straciła posag?

– Nie. Letty i pan Clive byli za młodzi, żeby rozporządzać swoim majątkiem, sir Robert nie mógł położyć łapy na ich pieniądzach, co to były zabezpieczone w powiernictwie u babki. Pojmujecie?

– Pojmuję. Biedna Serena. Mów dalej.

– No wienc, jakem rzekł, każdy, kto miał trochę oleju w głowie, widział, że Allardyce patrzy tylko za jej posagiem. Gadał jej, że jom miłuje i że sie przez niom naprawił. Ma sie rozumieć, sir Robert nigdy nie pozwoliłby na takom partie. Chcieli razem uciec. Powiem wam, zem już rozum tracił. – Przerwał i upił łyk ze swojego kieliszka.

– Co się potem stało?

– Potem Serena odkryła, że Medy sie do niej umizgał, zadawał się z niewiastom Lawrence.

– Lady Amelią?

– Znacie jom, widzę – odparł Flynn przez zęby.

– Nieważne. Opowiadaj dalej.

Flynn uśmiechnął się na wspomnienie minionych zdarzeń.

– Tej nocy, kiedy mieli uciec, zgadnijcie, kto spadł z drabiny w ramiona kochasia? – Flynn skinął głową. – Tak, wasz pokorny sługa, Richard Flynn. Pamientajcie, że w tamtych czasach byłem czternastoletnim niedorostkiem o gładkim licu: wystrojony w Sereny falbanki, z welonem na twarzy. Rodzona matka by mnie nie poznała.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Julian. – Już wtedy obydwójce byliście niepoprawni!

– Żeby skończyć mojom opowieść. Zawiózł mnie do takiej jednej kaplicy na Mayfair, wiecie, takiej gdzie czekali na nas jego przyjaciele. Przed ołtarzem odrzuciłem welon z twarzy. Zobaczył, że Serena wywiodła go w pole. Juzem myślał, że mnie zabije, a jego przyjaciele mało nie popenkali ze śmiechu.

Podobnie Julian. Łzy płynęły mu po policzkach. Otarłszy je chusteczką, wydusił:

– Co cię naszło, Flynnie, żeby zrobić coś takiego? Miałeś szczęście, że łobuz nie położył cię trupem na miejscu.

Wartało. Serena dała mi zarenczynowy pierścionek, który dostała od tego nicponia. Ten przynajmniej był prawdziwy, choć narzeczony fałszywy jak bies. Ma sie rozumieć, że nic mi po pierścionku, zatem... – Dotknął palcem szmaragdu w lewym uchu.

– Zawsze mnie zastanawiał ten kolczyk – powiedział Julian.

– Teraz wiecie. Rzekłem Serenie, że z tego pierścionka od razu widać, co wartowało miłowanie tego jej kocha-sia. Spójrzcie tylko, szmaragd jak główka szpilki. „Sere-no – powiadam – gdyby ci prawdziwie kochał, dałby ci szmaragd wart królewskiej szkatuły”.

Obydwaj zamilkli przypomniawszy sobie, że obrączka, którą Julian dał Serenie, była zrobiona z kółka od zasłon.

Wreszcie Julian przemówił:

– Co się stało z tym zalotnikiem?

– Cały Londyn się z niego śmiał i tyleśmy go widzieli. Co jednak chce rzec, to że nawet jeśli nikt inny nie wiedział, on pojął, jak mu dała do wiwatu.

Zapadła pełna zadumy cisza. Julian westchnął, jakby wdychał proste słowa Flynnna. Kiedy zrozumiał, że opowieść wywarła zamierzony przez narratora skutek, pokręcił głową nad własną naiwnością.

Łatwowierny czy nie, poczuł, że wielki ciężar spadł mu z serca. Świadomy baczego spojrzenia Flynnna, rzekł:

– Punkt dla ciebie. Jak wam się udało zachować imię Sereny w tajemnicy?

– Rozpuściliśmy wieść, że to jej brat wszystko obmyślił, a Allardyce najadł się dość wstydu, by rozpowiadać, że niewiasta tak go wystrychnęła.

– Zuch dziewczyna – zaśmiał się Julian z odcieniem dumy w głosie.

– Nie taki zuch, jakby się zdawało – poprawił go Flynn.

– Nie?

Flynn westchnął.

– Cóż, wiecie już pewnikiem, z jakimi mężczyznami zadaje się Serena? Stephen Howard? Pan Hadley? Stateczni, spokojni, to najlepsze, co da się o nich rzec.

– Chcesz powiedzieć, że Allardyce tak się jej przysłużył?

– Kochała go – odparł Flynn po prostu – a on się przeniewierzył. Ojciec też nie był jej żadnym wsparciem. Daleko mu do świętego, rzekłszy prawdę. Nawet kiedy jej matka umierała, hulał gdzieś z pannami i nikt nie mógł go znaleźć. Wiele wody upłynęło, nim Serena wreszcie mu to wybaczyła.

Julian wyciągnął w jego stronę karafkę, Flynn podsunął pusty kieliszek.

– Opowiedz mi o matce Sereny – poprosił Julian napełniając mu kieliszek po brzegi.

– Co takiego?

– Widziałem kiedyś jej portret. Serena jest do niej bardzo podobna.

– Biedna lady Ward – westchnął Flynn. – Mało co jom pamientam. Umarła, kiedy Serenie szło na szesnasty rok, biedactwo. Sir Robert ożenił się z nią tylko dla majontku jej ojca. Był bogaty, a sir Robert tonął w długach. Co wam mogę jeszcze powiedzieć? Niczym się nie

wyróżniała. Jedno tylko rzeknę. Serena miała dla niej serce, można powiedzieć, że była matce wzorem. Biedna lady Ward żyła zawsze jak ta mysz pod miotłom.

Opis Flynna wywołał w umyśle Juliana najróżniejsze domysły. Zastanawiał się nad bliskim związkiem łączącym matkę i córkę, o którym wspomniał Flynn. Co je wiązało? Niewiasta poniżana przez męża hulakę i dziewczyna na progu kobiecości? Jeśli dobrze zgadywał, tłumaczyłoby to, dlaczego od pierwszej chwili tak zawzięcie opierała się zauroczeniu. Czyżby myślała, że jest on z tej samej gliny co jej ojciec? Że okaże się podobny Allardycy'owi?

Oczywiście! Uwiódł ją i zaproponował pozycję utrzy-manki. Cóż innego mogła o nim myśleć? „Z takimi jak ty tyle mam wspólnego, co ze złodziejami i mordercami”. „Takimi jak ty”. Nie wymawiała mu niskiego pochodzenia. „Libertyn”, „wiarołomny libertyn”. Tych słów najczęściej używała poniesiona gniewem. To jego zła sława uwodziciela tak jej doskwierała. Nawet w Ra-nelagh wyrzucała mu znajomości z kobietami. Dobry Boże, czy nie rozumiała, że gdyby z nim była, nie miałyby powodów czynić wyrzutów o kobiety.

Coś jeszcze przyszło mu na myśl. W Ranelagh był z lady Amelią, co po swojemu rozumiała. Posłała mu takie spojrzenie, a potem umknęła jak zbiry pies. Gardło mu się ścisnęło na wspomnienie tamtego spojrzenia.

„Myślałam, że cię kocham. Myślałam, że cię kocham”. Boże, co zaprzepacił.

– Tak czy owak – przemówił Flynn przerywając jego rozmyślania – wasze drogi się rozeszły. Wy macie swoje życie w Ameryce, Serena zażywa czy też będzie zażywać, kiedy spalicie certyfikat, szczęścia z panem Hadleyem.

Następne słowa Juliana zniweczyły nadzieje Flynna na oczekiwaną odpowiedź.

– Masz rację. Im prędzej z tym skończymy, tym lepiej. Powiniennem zniszczyć certyfikat w jej obecności, inaczej nie przestanie wątpić w prawowitość małżeństwa z Hadleyem.

Po tym pełnym obojętności stwierdzeniu Flynn, uczu-wszy, że ślub Sereny z panem Hadleyem zbliża się wielkimi krokami, w ponurym milczeniu sączył brandy.

– Zadbasz o to, Flynnie?

– O co?

– Zadbasz, byśmy się spotkali, a ja zniszczę certyfikat.

– Cienżka sprawa.

– Ciężka sprawa?

– Zakłady po kawiarniach, gadki, domysły, wiecie, o czym mówię.

Było jasne, że Julian nie ma bladego pojęcia, do czego Flynn pije. Musiał go oświecić.

– Wkrótce wszystko ucichnie – skwitował Julian obojętnie opowieść Flynna.

Ten spoglądał nań w milczeniu, po czym wybuchnął:

– Łatwo mówić. Pewnie, kto by zważał na pańskie grzeszki. Wam nic, lady Amelii też ujdzie na sucho, tylko dobrym imieniem Sereny gemby se wycierajom.



Julian był wcale ubawiony.

– Nikomu, kto zna Serenę, nie przyjdzie do głowy brukać jej dobrego imienia.

– Tak powiadacie? – odparował Flynn kwaśno. – Wam się zdarzyło. A co rzekiecie o dwóch nicponiach, co ją zaczepiali nie dalej jak dzisiaj, kiedy jom na chwile zostawił samom.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy jego pięść wylądowała na szczęce Juliana, Flynn zobaczył minę, którą chciał ujrzeć. Rozszerzone nozdrza, ściągnięte brwi, szare oczy lodowate jak arktyczne śniegi. Patrzył zafascynowany, jak twarz Juliana zalewa rumieniec gniewu. Głos, który usłyszał, przypominał daleki łoskot grzmotu.

– Jeśli kto tknie palcem moją żonę – oznajmił Julian – przede mną odpowie.

Nietrudno było się dowiedzieć, kim są i gdzie mieszkają Dick Montrose i Salty Saltcoat, młodzieńcy z prowincji, przybyli do miasta dla nabrania ogłady w wytwornym świecie. Znudzeni wytwornym światem zadali się z dandysami, których głównym zajęciem było picie, hazard i pogoń za spódniczkami. Julian i Flynn znaleźli ich w szynku „Pod Sroką i Pniakiem”, gdzie zwykle przesiadywali, zajętych grą w wista. Damy wiszące im na ramionach nie były damami w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Na widok Juliana obydwaj dżentelmeni pobledli jak pergamin, ale odzyskali rezon, kiedy ten uprzejmie ich pozdrowił, nie próbując przy tym dobywać szpady z pochwy. Flynn uparł się, że nie jest to sprawa, którą można rozwiązać przy użyciu broni palnej bądź białej, chyba że major chce rozpętać jeszcze większy skandal wokół imienia Sereny.

Wywiązała się sprzeczka. Julianowi nie spodobał się żabot pana Montrose’a, Flynnowi kpiąca mina na przystojnej twarzy pana Saltcoata.

– Radzę wam, śliczni mospankowie, opuścić Londyn pierwszymi podwodami. Spotkam was jutro, może się okazać, że w nieco kwaśnym humorze, co źle by wam wróżyło. Powiedz im, Flynnie.

– Kastracja – oznajmił Flynn radośnie – sprawi, że wasze głosy bandom takie śliczne jak wasze gładkie liczka.

Nicponie sięgnęli ku rękojeściom broni, ale nim zdążyli dobyć ją z pochew, ich przeciwnicy puścili pięści w ruch, a tak chwacko i szybko się sprawili, że Julian uczuł głęboki zawód.

Fortuna uśmiechnęła się jednak do niego. Stałym bywalcom przejedli się dwaj czupurni fircykowie, co to wygarniali im sprzed nosa najsmakowitsze panny. Pokrzykiwania i gwizdy szybko przerodziły się w szarpaninę. Ktoś rozbił krzesło o stół i uniósł je do ciosu. Zapadła cisza i zaraz wybuchł rwetes. Zaczęły fruwać kufle, rozgorzała bitwa.

Godna to była burda, a major godnym był panem, co wszyscy zgodnie uznawszy, honorowi

pierwej zadość czyniąc, uczcili zaraz przy barze na koszt Juliana. Tylko Dick i Salty nie brali udziału w celebracji. Kiedy przyszedli do zmysłów, umknęli podwinawszy ogony i kupili miejsca w pierwszym dyliżansie opuszczającym Londyn.

Minęło nieco czasu, a Julian i Flynn, odprowadzani przez życzliwą gromadę, ruszyli ze śpiewem w stronę St. Dunstan's Court. Procesja stanęła przy bocznym wejściu do domu Juliana. Ten spojrział zezem na Flynna. Chwiał się niebezpiecznie. Flynn, dając baczenie zagrożeniu, wyciągnął dłoń, by przywrócić równowagę w świecie.

– Od dawna myślałem cię zapytać – przemówił Julian wypowiadając słowa z nie słyszaną dotąd przez Flynna precyzją – dlaczego ciągle trzymasz się Wardów. Młodzieniec twoich talentów, Flynnie, mógłby ważyć się na więcej.

– Tak będzie, w swoim czasie.

– Czemu nie dzisiaj? Przydałby mi się człowiek taki jak ty.

Flynn dotknął szmaragdu w uchu, przestępując niespokojnie z nogi na nogę.

– Tego po mnie nie oczekuj, nie kuś mnie przeto.

Julian się uśmiechnął.

– Takem też myślał. Biedny Flynn. Biedny ja. Biedny pan Hadley. Biedniemy wszyscy zatraceni.

Uchylił kapelusza, złożył wesołym kompanom głęboki, dworny ukłon i popsuł cały efekt obierając zły kierunek i trafiając do niewłaściwego domu. Po raz ostatni radośnie pomachał, po czym zamknął za sobą drzwi.

Gromada birbantów wpatrywała się tępo w zawarte odrzwia. Podnieśli oczy: w oknie na piętrze zapaliło się światło, przeraźliwe piski wypełniły ciszę, a po nich natychmiast rozległa się palba z króciocy. W chwilę później drzwi otwały się z impetem i Julian wyleciał na zbitą twarz. Jeszcze jedna upiorna opowieść, która zwiększy tylko dysgust Sereny – pomyślał żałośnie, rozplaszczając się u stóp Flynna, i więcej już nie pamiętał.

Kiedy Flynn wrócił na Buckingham Street, Serena czekała na niego.

– Co cię tu sprowadza nocą? – zapytał i gniewnym gestem zatoczył po swojej izbie.

Słyszając, że Flynn poprawnie wymawia zgłoski – pewny znak, że popił – odparła chłodno:

– Chciałam z tobą mówić. Co z twoją twarzą?

Flynn się nasrożył.

– Wiesz, która godzina? Co ludzie pomyślą, jeśli cię tu zobaczą, sam na sam ze mną, w mojej izbie?

– Co ludzie pomyślą? – Ściągnęła brwi w zdumieniu. – Flynnie, to ja, Serena. Nic sobie nie pomyślą.

Podszedł bliżej, zobaczyła siniaki i przyskoczyła do niego.

– Flynn, kto cię tak urządził? Julian?

Trzepnął ją po łapach, kiedy chciała go dotknąć.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie powinnaś być tutaj sam na sam ze mną. Porozmawiamy rano, w pokoju śniadaniowym.

– Masz w czubie – zauważyła.

Zaśmiał się ponuro.

– Nigdy w swoim życiu nie byłem trzeźwiejszy. Podszedł do umywalni, nalał wody do miski i przyłożył mokry ręcznik do twarzy.

– Popatrz na siebie – sarknął. – W nocnej koszuli. Nie przystoi, Sereno. Nie słyszałaś o służących uwodzących swoje panie?

– Nie bądź śmieszny, Flynnie – powiedziała chichocząc. – Jestem za stara dla ciebie. Kto ci nabił głowę takimi bzdurami?

– Tylko trzy lata różnicy. – Mówił z tak śmiertelną powagą, że przestała się uśmiechać. – To się zdarza. Czy obydwójce nie znamy dam twojego stanu, które uciekły ze swoimi służącymi? Chcesz uciec ze mną, Sereno? Tak?

Ruszyła czym prędzej ku drzwiom.

– Chciałabym wiedzieć – rzuciła gniewnie – dlaczego próbujesz zepsuć naszą przyjaźń.

– Mogliśmy być przyjaciółmi, kiedy byliśmy dziećmi. Dorośliśmy.

– Pięknie. Skoro tego chcesz.

Wahała się jeszcze, kiedy warknął:

– Wynoś się albo dokończę, co tych dwóch nicponi zaczęło dzisiaj po południu.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Flynn stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, po czym z jękiem padł na łóżko.

Rano, gdy pojawił się w pokoju śniadaniowym, spojrzała na niego niepewnie. Był cały w uśmiechach.

– Coś mi świta, żeś na mnie czekała wczorajszego wieczoru, alem tak miał w czubie, że nie wiem, czy mi sie nie zwidziało.

Niepokój zniknął z jej twarzy.

– Byłeś pijany jak bela.

Wszystko będzie jak dawniej. Odetchnęła z ulgą. Kiedy w drzwiach stanęła Catherine, Serena podniosła filiżankę do ust. Jeszcze rozmówi się z Flynnem. Nie w jego izbie ani w jej sypialni, to pewne. Te dni minęły bezpowrotnie. Flynn miał rację. Nie przystoi.

Przyglądała mu się kątem oka znad filiżanki. Najwyraźniej nie pamięta ani słowa z ich nocnej rozmowy. Tak lepiej, inaczej już nigdy nie potrafiłaby zachowywać się przy nim normalnie.

– Chyba wybiorę się na przechadzkę – powiedziała.

– Weź aby ze sobą Flynną albo którą z pokojówek – poradziła Catherine zajęta swoimi myślami.

– Flynnie?

Wyszli razem ze śniadaniowego.

Problem z latem polega na tym, że słońce nie zachodzi przed dziewiątą, a później długo jeszcze zmierzcha. Dla tych, którzy żywią nieczne zamysły, jak to zbójcy po gościńcach, włamywacze albo damy spieszące na schadzki, długie letnie wieczory mogą być prawdziwą niewygoda.

Takie myśli nachodziły Serenę, kiedy spoglądała na zegar na kominku, który wskazywał dziewiątą. Cała minuta minęła od chwili, kiedy po raz ostatni sprawdzała godzinę. Za oknem mrok gęstniał. Ciszę przerywało tylko tykanie i poskrzypywania usypiającego domostwa. Z zewnątrz od czasu do czasu dochodziły nawoływania od rzeki i bicie dzwonów.

Była, ma się rozumieć, zdenerwowana. Kiedy zegar wybije godzinę, opuści zacisze sypialni i wymknie się na spotkanie z Julianem. Już przy śluzie York, ledwie o rzut kamieniem od Ward House, czekał przewoźnik z łodzią. Popłynie w dół rzeki do Blackfriars, skąd lektyka Juliana zabierze ją do kasyna.

Przechadzając się niespokojnie po pokoju, spoglądała w lustro – Duma zabraniała jej okryć się dziś niesławą. Damy bywające u Juliana były to wykwintnisie pierwszej wody, żadne szantrapy. Chociaż jej błękitna jedwabna suknia była przerabiana, by nadażyć za ostatnią modą – obcisły stanik, dopasowana talia, niewielka krynolina, całe jardy koronek przy łokciach i dekolcie – Julian nic nie pozna. Rozpuszczone włosy spływały na ramiona w lokach nie z wyboru, jeno z konieczności; dama, która kładzie się do łóżka udając migrenę, nie może prosić pokojówki o ułożenie fryzury. Z czystej brawady przylepiła czarną jedwabną muszkę w kąciку ust, z próżności tylko uróżowała usta i policzki.

Surowym wzrokiem zmierzyła pannę w lustrze. „Co myślisz przez to osiągnąć?” – zapytała czyniąc wystudiowany gest dłonią. Panna w lustrze, nie myśląc oddawać taksującego spojrzenia, sprawiała wrażenie skruszonej, jakby miała zamiar wybuchnąć płaczem, jeśli ktoś popatrzy na nią koso. Zniechęcona widokiem płaksy, podeszła ciężko do krzesła i opadła na nie.

Dlaczego targają nią wątpliwości? Wszystko układa się przecież po jej myśli. Julian do niczego jej nie zmuszał, było wszak wskazane, żeby na własne oczy zobaczyła, jak ich akt ślubu obraca się w popiół. Inaczej nigdy nie zazna spokoju. Kiedy tego dokonają, będą wolni i każde pójdzie swoją drogą.

Dla niej oznaczało to małżeństwo z Trevorem Hadleyem. Chociaż od wielu miesięcy pomijali ten temat milczeniem, wystarczyło, by powiedziała jedno słowo, a Trevor na powrót zacznie zabiegać o jej rękę. Dotąd godził się z jej życzeniem: długie narzeczeństwo pozwoli im lepiej się poznać przed powzięciem ostatecznego kroku. Istotnie było to długie narzeczeństwo, a cierpliwość zdawała się najbardziej wyrazistą cechą charakteru pana Hadleya.

Wyjęła z kieszeni obszytą koronką chusteczkę i poczęła wycierać nos. Bzdurą jest – zgromiła się w myślach – obwinianie pana Hadleya za brak ognia, kiedy ona trzyma go na dystans. Nie chciała ognistego konkurenta, tylko kogoś statecznego, na kim można polegać, i takiego znalazła. Powinna być szczęśliwa, a nie mazać się jak podfruwajka, która sama nie wie, czego chce.

Czuła się oczywiście winna. Teraz, kiedy przeszkoda stojąca na drodze ich związkowi ma być usunięta, nie wie, czy poważy się na ten krok. Wszyscy przyjmowali za oczywiste, że niezamężna panna staje przed ołtarzem nietknięta. Zmagała się długo ze swoim sumieniem w kwestii owej skazy, wreszcie doszła do wniosku, że nie może cierpieć po kres swoich dni za coś, za co nie ponosi winy. Łatwo było tak myśleć, póki plany małżeńskie wydawały się odległą przyszłością. Teraz zachwiała się w logice swoich postanowień.

Trevor był człowiekiem ze wszech miar moralnym. Nigdy nie zrozumie, jak mogło ją coś łączyć z człowiekiem takim jak Julian. Już teraz chodził chmurny, słysząc pogłoski i domysły na temat gorszącej sceny w Ra-nelagh, chociaż wiedział, że tutaj akurat była bez winy. Ani przypuszczał...

Kiedy zegar wybił godzinę, drgnęła. Dziesiąta. Podniosła się, podeszła do toaletki, skryła twarz za масeczką ze srebrnej koronki, narzuciła niedbale szal na ramiona i gasząc świece wyszła w pokoju.

Szczęśliwie Flynn tym razem nie czekał na nią. Jere-my potrzebował go na przyjęciu lady Kirkland, ale to Flynn sprokurował dzisiejsze spotkanie. Przekonał ją, że Julianowi gniew minął i że gotów jest uporządkować sprawy między nimi. Wystarczy, by spotkali się chwilę, wspólnie spalili certyfikat, i Serena znajdzie się w swoim łóżku, zanim reszta rodziny wróci do domu.

Po chwili była przy słuzie York. Na jej spotkanie zamiast przewoźnika wyszedł sam Julian. Cofając się o krok obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

W czarnej pelerynie i masce wyglądał jak rozbójnik. Męski, urodziwy, arogancki, butny. Zaśmiała się bezdźwięcznie.

Rozumiała teraz, dlaczego zawsze wywierał na niej takie wrażenie, nadal wywierał. Niewiele kobiet zdołałoby mu się oprzeć. Na myśl, że kilka jednak się oparło, poczuła niemiły ucisk w żołądku.

– Wszystko w porządku. – Wziął ją za rękę i poprowadził na brzeg. – Sam przyjechałem, nie chciałem zawierzać twojego bezpieczeństwa lokajom, kiedy Flynn zajęty jest czym innym.

Raptem, nie wiedzieć dlaczego, poczuła piekące łzy pod powiekami.

– Dziękuję – zdołała wydusić zdławionym głosem, gdy wziął ją w ramiona i lekko wskoczył do łodzi.

Kiedy przewoźnicy siedli do wiosł, zapadła cisza. Nie było w niej wrogości, w każdym razie Serena jej nie odczuwała. Od chwili gdy Flynn opowiedział jej o uprowadzeniu Juliana

i o tym, co przecierpiał, gnębił ją smutek. Julian jej nie uwiódł, by potem z rozmysłem porzucić. Nikt nie był winien temu, co się stało. Padli ofiarą okoliczności i własnych uprzedzeń.

Nie. Padli ofiarą jakiegoś okropnego spisku, który miał usunąć Juliana z Anglii. Łamali sobie z Flynnem głowy, próbując rozwiązać tajemnicę porwania. Nie doszli do niczego, a raczej doszli do tylu wniosków, że nie posunęli się ani o krok. Bolały ją oczywiście podejrzenia Juliana. Flynn nabrał wody w usta w tej materii, mówiąc tylko, iż zdołał przekonać Juliana o jej niewinności. Wkrótce rozstaną się na zawsze. Rozpaczliwie pragnęła, żeby rozstali się jak przyjaciele i żeby w przyszłości nie musiała wspominać go z goryczą, on zaś, jeśli w ogóle czasami ją wspomni, zachował w pamięci podobnie ciepły obraz.

Gdy przy Blackfriars Julian pomógł wsiąść jej z łodzi, pojawił się młodzieniec, którego rozpoznała dopiero po chwili i którego zawsze nazywała w myślach „lordem Alistairem”.

– Wszystko w porządku – Harry Loukas zapewnił Juliana.

U szczytu schodów na nabrzeżu czekał na nich powóz, a nie lektyka, której się spodziewała. Zawahała się przez moment, spoglądając to na Juliana, to na jego towarzysza. Scena tak bardzo przypominała inną, kiedy Julian wsadził ją siłą do powozu i uwiózł do Twicken-ham.

Nie uczynił nic tym razem, by ją przymuszać, nawet nie wskazał na czekający pojazd.

– Ufasz mi albo nie – stwierdził tylko. – Co wybierasz?

Postanowił, że tym razem Serena musi sama decydować. Niech spotka się z nim z własnej woli, bez wahań i oporów. Cokolwiek zamyśli, zamyśli na zawsze i nieodwracalnie. W tej kwestii nie może być żadnych nieporozumień. Ale wybór musi należeć do niej.

Mój Boże, kogo on chce oszukać? Gotów użyć każdej broni, jaką dysponował, by uczyniła podług jego woli. Chciał postępować uczciwie, uszanować jej skrupuły, ale cóż robić, kiedy miała o nim zupełnie błędne mniemanie. Nie był podobny do jej ojca ani do Allar-dyce’a i jeśli nie potrafił jej o tym przekonać, tym gorzej dla niej.

Znowu robił to samo, pobłażał własnym odruchom, które u innego uznałby za niewybaczalne. Tak czy inaczej postanowił, że Serena sama musi zdecydować o własnej przyszłości. Przystanie na każdą jej decyzję. Niech tak się stanie.

Wsiadła do powozu, wyzywając się w myślach od skończonych idiotek. Tamtym razem okoliczności były zupełnie inne. Julianem, przekonany, że zrujnował życie młodej dziewczynie, targały wyrzuty sumienia. Teraz, kiedy wiedział, że ma konkurenta, nie musiał czuć się za nią odpowiedzialny.

Uwolnieni od obecności przewoźników mogli rozmawiać swobodnie. Łamała sobie głowę nad jakimś niewinnym tematem do konwersacji.

– To młody Loukas, prawda? Co tu robi?

– Będzie nas eskortował. – Julian zachęcił ją gestem dłoni, by wyjrzała przez okno.

Zobaczyła trzech jeźdźców.

– Spodziewasz się ataku? – zapytała niedowierzająco.

– Jeszcze pytasz, po tym, co ci się przydarzyło?

Słyszając twardy ton w jego głosie, zrazu się obruszyła, po czym zalała ją fala żalu. Flynn opowiedział jej, jak obydwaj doszli sprawiedliwości wobec nicponi, którzy ją napastowali, i chociaż delikatniejsza strona jej natury wzdragała się na takie barbarzyńskie postępowanie Juliana, innej wcale w smak była kara, jaką wymierzył broniąc jej honoru.

– Czemu to zrobiłeś? – zapytała wypowiadając błakającą się w głowie myśl, lecz zdjęta lękiem, że Julian uzna to za próbę wydobycia zeń jakiejś deklaracji, natychmiast dodała: – Flynn nie powinien był ci o tym mówić, chociaż wcale mi nie żał tych dwóch hultajów, którym natarłeś uszu. Dziękuję, Julianie, szczerze.

– Powinni dostać lepszą nauczkę, niech dziękują Flynnowi, że uszło im na sucho. Do kogo, jak nie do mnie, miał się Flynn zwrócić? Do pana Hadleya? Palcem by nie kiwnął. Do twoich braci? Honor nie pozwoliłby im inaczej uczynić, jak wyzwąć łajdaków na pojedynek. Cały Londyn mówiłby o tym. Tymczasem nikt się nie zdziwi, że hazardzista, człowiek gminny, rozwiązał rzecz przy użyciu pięści.

Jak zwykle nie mogła nadażyć za jego zmiennymi nastrojami. Żeby chociaż raz w życiu wiedziała, na czym stoi, kiedy miała z nim do czynienia. Po namyśle doszła do wniosku, że woli nie wiedzieć. Lepiej nie otwierać puszek Pandory.

Kiedy powóz zatrzymał się pod domem, Julian wysiadł pierwszy, nalegając, by Serena poczekała, póki nie przejdą przechodnie, wtedy podał jej dłoń. Dopiero teraz zaczął do niej docierać komizm sytuacji.

– Czy to nie zbytek ostrożności, Julianie? O czyją dbasz reputację, swoją czy moją?

– Skoro nie mam nic do stracenia – odparł z uśmiechem – jak usiłowaliście mnie przekonać z Flynnem, chyba o twoją.

Jeśli wierzyć Flynnowi, i moja reputacja pozostawia wiele do życzenia. – Odrzekła nie bardzo świadoma wypowiedzianych słów, zadowolona, że nastrój mu się poprawił. – Po kawiarniach robią zakłady, ale sam o wszystkim się dowiesz. Jeremy będzie ci zobowiązany.

– Owszem. Był u mnie, pytał, jak położyć temu kres.

Szli po schodach do jego pokoi.

– Jeremy widział się z tobą? – Serena ściągnęła brwi. – Nic mi nie mówił.

– Powie, kiedy uzna za stosowne.

– A ty... co postanowiłeś?

– Nic niepocziwego. Wiesz, o co idzie. Spotykać się w miejscach publicznych, jakoby przypadkiem, żeby świat zobaczył, że jesteśmy dalekimi, acz przychylnymi sobie znajomymi.

– I ani tobie, ani Jeremy'emu nie przyszło do głowy mnie zapytać o zdanie?



– Teraz pytam. Co według ciebie mamy zrobić?

– Nie wiem – odpowiedziała mętnie, jako że zupełnie brakło jej konceptu – ale wiem, że lubię, by pytać mnie o zdanie w sprawach, które mnie dotyczą.

– Takem też powiedział sir Jeremy’emu, a on mnie zapewnił, że nic nie poweźmie bez twojego przyzwolenia.

Nie była pewna, czy zadowala ją ta odpowiedź, a widząc, że wyszczerzył zęby w uśmiechu, uniosła suknie i weszła do pokoju. Tu stanęła. Biblioteka pełna maków, przed kominkiem stół zasłany śnieżnobiałym adamaszkiem, nakryty dla dwojga. Na pomocniku rząd srebrnych półmisków, kryształowe karafki, kieliszki.

– To tylko zimna kolacja-powiedział przepraszająco, zdjął z niej szal i przewiesił przez oparcie krzesła. Zanim odgadła jego zamiary, zdjął też maseczkę z jej twarzy i odrzucił na bok.

– Dałem lokajowi wychodne, jesteśmy sami.

– Ja... nie przypuszczałam... nie spodziewałam się. Wyraz jego twarzy się zmienił, w głosie nie słyszała już wcześniejszego ożywienia.

– Rozumiem. Skoro nie możesz zdzierżyć w moim towarzystwie dłużej niż kilka minut, przejdźmy natychmiast do tego, co cię tu naprawdę sprowadza. Wracam za chwilę.

Chciała już wyciągnąć dłoń, lecz cofnęła ją, zanim zdołał zauważyć ten gest. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, pożałowała, że go nie zatrzymała. Zadał sobie dla niej tyle trudu, nie tylko dzisiejszego wieczoru, także wtedy, kiedy wziął pomstę na dwóch hultajacki i kiedy rozmawiał z Jeremym o jej spokoju. Nie mogła uwierzyć, że potrafi być tak małoduszna. Przecież nic się jej nie stanie. Że zje z nim kolację? Z całego serca pragnęła, żeby rozstali się jak przyjaciele. Najwyraźniej on też. Dlaczego raptem zaczyna się zachowywać jak niewypie-rzona gąska?

Zachowywała się jak niewypierzona gąska, ponieważ Julian Raynor, ani o tym wiedząc, miał dziwny wpływ na jej głowę, nie mówiąc już o reszcie anatomii. Piersi zdawały się rozsadać obcisły stanik sukni, puls podskoczył, podbrzusze jakby oczekiwało naporu jego ciała. Nie sposób, by obwiniała się za to, nad czym nie ma władzy. Kobieta w zaślepieniu traci rozum i wiele go utraciło dla Juliana, powinna to wiedzieć.

Nieco otrzeźwiona tą myślą podeszła do pomocnika i zaczęła sprawdzać, co kryje się pod pokrywami rozlicznych półmisków.

Tak zastał ją Julian za swoim powrotem. Nie zauważyła, że wszedł. Przez chwilę napawał się jej widokiem. Piękna była w błękitnych jedwabiach i srebrnych koronkach, ze złocącymi się w blasku świec włosami. Miał ochotę wyciągnąć dłoń, dotknąć jej. Zawsze wiedział, że nadobna i wdzięczna z niej panna. Obserwował jej ruchy, gdy sprawdzała, co przygotował im kucharz na kolację; w każdym calu dama. Uśmiechnął się.

Kiedy się z nią kochał, nie przypominała damy, gibka i rozwiązła. Czego więcej może pragnąć mężczyzna od swojej kobiety? Uśmiech zniknął z przyływem pożądania. Ani szło mu

o własną rozkosz, ani o danie jej rozkoszy, tylko o zbliżenie tak pełne, że już bardziej nie można się do siebie zbliżyć.

Zamknął drzwi i podszedł do niej.

– Czy to znaczy, że zmieniłaś zamiar?

Odwróciła się raptownie i zamarła na widok jego twarzy bez maski. Zdobiące ją siniaki i zadrapania stanowiły tak groteskowy widok, że parsknęła śmiechem.

– Wyglądasz, jakbyś zderzył się z kamiennym murem. Czy... te obrażenia to z mojego powodu, Julianie?

– Nie ze wszystkim – odparł skwapliwie. – Flynn ci nie opowiadał? Nieważne. I tak o tym usłyszysz. Zostałem zaskoczony przez zazdrosnego męża, kiedy wdrapywałem się do łóżka jego żony. Ruszył na mnie z króciwą. Wyleciałem stamtąd, jakby kto lont pode mną podpalił. Niestety, kiedy znalazłem się już na ulicy, lądowałem jak długi na pysk.

Emocje przemykające przez jej twarz wobec tej bezczelnej relacji dały mu ostrogi. Wyglądała, jakby miała ochotę go uderzyć.

– Całe zajście było naturalnie nieporozumieniem.

– Och, tobie one zawsze się przytrafiają – odparowała i nałożyła sobie z rozmachem nieco ryby, nim przeszła do następnego półmiska.

– Niezupełnie. Niech ci Flynn powie. Byłem w stanie, by tak rzec, upojenia i wszedłem do obcego domu, do sąsiedniego, mówiąc ściśle. Zabawiłem tam jedną, dwie minuty. Niewinna pomyłka, ale możesz być pewna, że plotkarze ubarwią tę historię. Jak zawsze.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Dlaczego mi to opowiadasz?

– W Ranelagh wspomniałaś o mojej reputacji uwodziciela. Chciałem, żebyś wiedziała, że to grubo przesadzona opinia – odparł z powagą.

– Ale nie ze wszystkim pozbawiona podstaw? Przewiercał ją wzrokiem.

– Nie ze wszystkim.

Tracąc głowę pod jego spojrzeniem, szybko dokończyła nakładać jedzenie i podeszła do stołu. Julian odsunął krzesło. Usiadła, starannie układając krynolinę.

I on usiadł, wyjął z kieszeni pergamin, rzucił jej na kolana.

– Nasz akt ślubu. Zjedzmy może najpierw, potem pomyślimy, jak najlepiej rzecz skończyć.

Skinęła głową, zajęta swoimi myślami. Rozwinęła dokument.

– Wiesz, że to wtedy, kiedy przeczytałam tu nasze nazwiska, wróciła mi pamięć? Tamtego dnia w Twickenham.

Nalał wina i zachęcił, by upiła łyk.

– Naprawdę cierpiełaś na wstrząśnienie mózgu? Nie byłem nigdy pewien... potem.

Nachyliła się ku niemu.

– Nie wierzysz chyba, że miałam coś wspólnego z twoim porwaniem? Pragnęłam tylko ci umknąć. Uciekałabym wiedząc, że cię pojmają?

Odłożył sztućce.

– Dlaczego uciekłaś? Tak cię przerażało małżeństwo z hazardzistą?

Oblała się rumieńcem, ale nie spuściła oczu.

– Jeśli powiedziałam coś, co cię uraziło, przepraszam, musisz jednak przyznać, że prowadzenie domu gry nie należy do najbardziej szacownych zajęć.

– Och? Co myślisz, kiedy mówisz „hazardzistą”? Słowa popłynęły same.

– Groźny, nieobliczalny, zuchwały. Takie rzeczy.

– Wielkie nieba! Tymi samymi słowami ja nazywam ciebie. Ale nie odbiegajmy od tematu. Powiedz, dlaczego wtedy uciekłaś?

Nie wiedziała, jak przedstawić mu tamte odczucia. Pocierając zmarszczone czoło palcem, próbowała cofnąć się w przeszłość.

– Nie wiem, co myślałam. Miałam zamęt w głowie. Wydawało mi się, że za tym ukartowanym ślubem kryje się jakieś niebezpieczeństwo związane ze szlakiem przerzutowym.

– Brałaś mnie za agenta na usługach rządu?

– Nie miałam pewności. Później, kiedy Flynn mi powiedział, że pomogłeś w ucieczce prawdziwemu lordowi Alistairowi, wiedziałam, że niesłusznie cię podejrzewałem.

– Nigdy nie byłem agentem. Poślubiłem cię, bo tak nakazywał honor. Odebrałem ci niewinność. Chciałem dać ci moje nazwisko i opiekę. To przez ciebie wszystko tak się splątało.

Zawrzała na te słowa.

– A tobie się zdaje, że miałam przyjąć męża, który żeni się jedynie przez wzgląd na sumienie? Nie chciałeś mnie za żonę ani ja – dodała pospiesznie – nie chciałam ciebie za męża.

Wyszczерzył się w uśmiechu.

– Ponieważ jestem hazardzistą i libertynem?

– Tak! A później, kiedy zniknąłeś bez słowa i wylądowałeś w Ameryce, pomyślałam, że mnie uwiodłeś i porzuciłeś.

– Jak uczyniłby prawdziwy libertyn?

– Tak.

Patrzył na nią w milczeniu, wreszcie powiedział łagodnie:

– Jak ktoś piękny i mądry jak ty może wątpić w swoją moc zatrzymania przy sobie mężczyzny? Chcę powiedzieć, prawdziwego mężczyzny.

Przez chwilę myślała, że z niej szydzi, ale w jego oczach zobaczyła tylko rozbrajającą czułość i serdeczność.

– Pij wino, Victorio – zachęcił i odwrócił tok jej myśli pytaniem o plany na przyszłość.

Szukała w głowie, co by mu powiedzieć. Poza tym, że zamierzała wyjść za pana Hadleya

i przestać być ciężarem bratu, nie bardzo wiedziała, jak ma wyglądać jej przyszłość. Zawstydzona tak wyrachowanym traktowaniem swojego konkurenta, dżentelmena zasługującego ze wszech miar na jej szacunek i poważanie, zasypała Juliana litanią jego zalet. Od słowa do słowa, wkrótce opowiedziała mu o wszystkich swoich adoratorach, zaskoczona, jak lekko przychodzi jej mówić o kapitanie AUardysie, jakby nie robiło to na niej żadnego wrażenia, nie położyło się cieniem na jej młodości.

Julian był wdzięcznym słuchaczem, podrzucał delikatnie słowo, kiedy się wahała. Nie wiedzieć dlaczego, usłyszała raptem, że opowiada mu o swojej matce, o tym, co wycierpiała przez mężowską obojętność.

– I wiedząc to wszystko – powiedział łagodnie – wkrótce po śmierci matki zawierzyłaś Allardyce’owi, człowiekowi, który zdawał się urobiony na podobieństwo twojego ojca?

– Przysięgał, że się odmienił. Kłamał naturalnie. Oni zawsze łąą.

Jego głos zabrzmiał bardzo poważnie.

– Nie było w moim życiu żadnej kobiety, od chwili gdy zamieszkałem w Charles Town, żadnej po tobie, która cokolwiek by znaczyła.

Poczuła ciarki przebiegające po plecach, straszną suchość w gardle. Ku jej rozpaczyc wróciło wcześniejsze podniecenie, a z nim poczucie dyskomfortu. Sięgnęła po kieliszek i wychyliła solidny, wzmacniający haust – Dość o mnie – oznajmiła. – Chciałabym usłyszeć o twoim życiu w Ameryce. Naprawdę jesteś farmerem, Julianie? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

Śmiejąc się odparł, że owszem, naprawdę jest farmerem, i chcąc wyrzucić na niej wrażenie, począł się rozwodzić nad swoimi plantacjami i życiem w koloniach.

– Dom w sam raz stosowny jest dla kawalera, ale kiedy będę miał żonę, postawię coś godniej szego, odpowiedniego dla człowieka usatkwowanego.

Człowiek usatkwowany? Julian?

Jego uśmiech zdradzał, że odgadł te wątpliwości.

– Ktoś, kto jak ja miał szczęśliwe dzieciństwo, chciałby tego samego dla swoich dzieci. Mówiłem ci już o tym, w Twickenham, pamiętasz?

Pamiętała, ale bardziej wrył jej się w pamięć opis przytułku i młodości spędzonej w burdelach Manchesteru.

Może sprawiło to wino, może szczególny nastrój chwili, w każdym razie odruchowo zamknęła jego dłonie w swoich i przytuliła do piersi. W oczach pojawiły się łzy.

– Tak mi przykro, Julianie, tak strasznie, strasznie żałuję.

Przysunął się bliżej i uwolniwszy jedną rękę położył ją na oparciu jej krzesła.

– Jesteś moją miłością? Czego żałujesz?

– Wszystkiego – powiedziała ogólnie. Tego, co stracił jako chłopiec, kaprysów okrutnego

losu, który dwa razy niszczył jego życie, tego, że nie jest odpowiednią dlań kobietą, że nigdy nie dochowają się wspólnych dzieci. Mignął jej przed oczami obraz Juliana otoczonego sza-rookimi, ciemnowłosymi pociechami i rozplakała się.

Zaczął całować łyzy z jej twarzy, ale jego pocałunki nie przynosiły ulgi.

Najbardziej jednak rozżaliła się na myśl, że z niego hultaj i rozpustnik, a ona jest, kim jest, i właściwie oddała już rękę innemu. Odsunęła się, uśmiechnęła przez łyzy, po czym żałośnie podniosła leżący na jej kolanach pergamin i podała go Julianowi.

– Zjedliśmy wieszczę. Pora rzecz kończyć ku obopólnemu zadowoleniu, jak obiecałeś.

– Niech tak będzie. – Niezwykle długo wpatrywał się w dokument. – Najlepiej zapalić go od świecy, a gdy się już zajmie, rzucić do kominka.

Propozycja brzmiała rozsądnie. Skinęła głową.

– Dobrze. Pozwolisz, że zamknę oczy, kiedy będziesz to czyniła? Nie zniósłbym tego widoku. – Co mówiąc zacisnął jej palce na pergaminie i zasłonił oczy. – Powiedz mi, gdy będzie po wszystkim.

Spojrzała na dokument, potem na Juliana. Usta jej drżały.

– Już? Skończyłaś?

Nie słysząc odpowiedzi otworzył oczy, by ujrzeć, że ciągle trzyma pergamin w zaciśniętej dłoni.

– Nie rozumiałaś? Świeca jest tutaj. – Wskazał na świecznik stojący na stole. – Tutaj nasz akt ślubu, a tutaj kominek. Musisz tylko zrobić tak... – Wykonał małą pantomimę, którą śledziła na wpół przytomnie.

Gdy zasłonił ponownie oczy, usłyszał jej głos:

– To ty powinieneś spalić dokument Jesteś mężczyzną.

– Mówisz nie jak Serena, którą znam.

I ona nie znała tej Sereny. Uzbrowwszy się w męstwo przytknęła pergamin do płomienia świecy. Kiedy płomień zaczął lizać jego brzeg, krzyknęła i cofnęła rękę, nim dokument zdążył się zająć.

– To na nic, Sereno – powiedział Julian.

– Ty to zrób, proszę. Siedział bez ruchu.

– Nie. Nie uczynię tego. Chcę, żeby nasze małżeństwo trwało. Dam ci jeszcze jedną szansę. Musisz zrozumieć, że albo spalisz certyfikat, albo zostaniesz moją żoną na dobre i złe. Nie mam zamiaru się sprzeczać. Spal ten pergamin albo pogódź się z konsekwencjami. Tym razem wybór należy do ciebie.

## 23

Poderwała się z krzesła rzucając pergamin na stół. On podniósł się z większym opanowaniem.

– Dlaczego nie chcesz zniszczyć naszego aktu ślubu, Sereno?

– Dlaczego? Bo mam skrupuły religijne, bo to sprzeciwia się wszystkiemu, czego nauczyła mnie matka, napawa mnie wstrętem, ale może ty nie masz podobnych obiekcji. To twój obowiązek spalić pergamin.

Wziął dokument w rękę. Odskokczyła, jakby zobaczyła węża.

– To nie są powody. – Oczy mu jaśniały, gdy to mówił. – Popatrz na siebie. Nigdy nie widziałem cię równie strojną. Ta muszka! Róż? Zadałaś sobie wiele trudu, żeby tak dzisiaj wyglądać, czyż nie tak? Chciałaś mnie uwieść i, na Boga, dopięłaś swego.

Zacisnęła zęby.

– Ty zarozumiała głupcze! Anim o tym pomyślała.

– Naprawdę, Sereno?

Rzuciła mu lodowate spojrzenie. Uniósł dłoń, w której trzymał pergamin, i podsunął jej przed oczy.

– Ostatnia sposobność, Sereno. Albo zniszczysz ten dokument, albo pojdziesz, co oznacza jego zachowanie.

I Zadarła nos i założyła ręce na piersiach. – Nie wiem, co knujesz, Julianie Raynor, ale mnie nie przestraszysz.

Zaśmiał się beztrasko i lekkim ruchem rzucił pergamin na najwyższą półkę biblioteczną. Uniosła brwi.

– To niczego nie zmienia.

Rozłożył szeroko ramiona.

– Pójdź do mnie, żoneczko, a zobaczysz, co to zmienia.

Kiedy chciał ją objąć, cofnęła się pospiesznie.

– Nie myliłam się co do ciebie – warknęła. – Groźny, nieobliczalny, zuchwały. Ledwie cię zobaczyła, wiedziałam, jaki jesteś.

Pokręcił głową, wyszczerzając się w uśmiechu.

– Siebie zobaczyłaś, Victorio.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Dlaczego nie? Tak o tobie myślę. Z tobą zawsze przychodzi do potyczek i zawsze ty z nich wychodzisz zwycięsko.

– Naturalnie – odparła urągliwie i złożyła mu szyderczy ukłon.

Zaśmiał się odrzucając głowę i postąpił w jej stronę.

– Tylko prawdziwy mężczyzna może cię chcieć. Powinnaś być szczęśliwa, że mnie spotkałaś. Kto inny poradziłby sobie z twoimi napadami złości?

Wziąwszy się pod boki tupnęła nogą.

– Dla twojej informacji, Julianie Raynor, pozwól sobie powiedzieć, że ja i pan Hadley nigdy się nie... posprzecaliśmy! – ostatnie słowa wykrzyczała.

– Nie! Doprawdy? Biedna Victoria! Musisz się strasznie nudzić.

Był tak bliski prawdy, że poczuła, iż musi mu rzecz wyjaśnić.

– Lubię mężczyzn z ogładą, miłych.

– Będziesz więc miała ręce pełne roboty, bo ja nie dam się wziąć pod pantofel. Nie, nie zrozum mnie źle.

Będę wiernym mężem, ale nie dam się wodzić za nos, nawet tobie. Przyznaj, Victorio, że pasujemy do siebie.

Rzuciła oburzone spojrzenie spod ściągniętych brwi.

– Słyszac cię, człowiek gotów pomyśleć, że jestem wiedźmą.

Z każdym jego krokiem cofała się, zachowując przezornie ciągle tę samą odległość między nimi.

– Wiedźma! – rzucił.

– Szuler! – nie pozostała mu dłużna.

Zatrzymał się i oparł rękoma o zapiecek sofy.

– Oczy ci błyszczą, usta układają się do uśmiechu, policzki masz zaróżowione. Bawisz się równie dobrze jak ja, przyznaj, Sereno.

– Błędzisz, jeśli tak myślisz, Julianie Raynor. Nienawidzę kłócić się z ludźmi.

– Kłócić się? Kto mówi o kłótni? Jesteśmy jak grzmot i błyskawica. Nie ma dla nas innej drogi, ale kiedy burza się wyładowuje, odnajdziemy spokój. Do następnego razu, ma się rozumieć.

Zanim dokończył mówić, dał susa przez sofę. Wydała okrzyk, w którym tyleż było przerażenia, co rozbawienia. Przyskoczyła do drzwi i chwyciła za klamkę, ale już był przy niej, porwał za ramiona i obrócił ku sobie. Odchyliła głowę. Serca łomotały tym samym przyspieszonym rytmem, oddechy się łączyły, skrzyżowali zaczepne spojrzenia.

Zanurzył palce w jej włosach, odchylił głowę i pocałował z całej siły. Nie pozostała mu dłużna.

– Tego mi brakowało – powiedział zapalczywie. – Tego chciałem. Wielkie nieba, Sereno, nikt się nie może z tobą równać. – I wycisnął kolejny pocałunek na jej ustach.

Wpijając mu paznokcie w ramiona wydała zdławiony jęk. Nigdy jeszcze nie czuła tak intensywnie, że żyje. Krew śpiewała, miała uczucie, że płynie w powietrzu. Serce biło tak mocno, że z trudem łapała oddech. Była wolna, swobodna i bardzo się jej to podobało.

Objęła go i całowała z całą namiętnością, tłumioną od chwili jego zniknięcia. Z oczu płynęły łzy, kolana się pod nią ugiwały i gdyby jej nie trzymał, upadłaby na podłogę. Pochwycił ją bez wysiłku i zaniósł na sofę.

Wsparta na łokciu patrzyła, jak zdejmuje ubranie. Nachylił się nad nią. Najpierw uporał się z krynolino-wymi halkami. Zdejmował z niej bieliznę z wprawą, która mówiła o nim więcej, niżby chciała wiedzieć. A więc jest biegły w damskich fatałaszkach. Co za różnica?

Gra się skończyła, pozostała tylko wzajemna ciekawość: ciemnowłosy mężczyzna o palącym spojrzeniu i jasna, niebieskooka dziewczyna. Patrzyli na siebie jak ludzie sobie obcy, a przecież znajomi, aktorzy w sztuce, która miała się dopiero rozegrać, po raz pierwszy, bez wcześniejszych prób, a która zdawała się tak oczywista jak poranny wschód słońca.

Zapomniała już, że pod bogatymi materiałami kryła się męskość, dość nieustepliwa. Szerokie, muskularne ramiona, ciemna szczecina na piersi. Gibki był i mocny, jak dziki kot czający się w dżungli.

Ledwie ten obraz pojawił się w jej głowie, poczuła ciarki na skórze. Błyski w oczach zdradzały jego stan.

Ukrył twarz w jej włosach.

– Nie patrz tak. Może jest we mnie nieokrzęsana siła, ale ty masz nade mną nieograniczoną władzę. Nie wiesz tego?

Pokręciła głową.

Nie spuszczać z niej wzroku uniósł ją tak, by usiadła. Klęczał przed nią jakby w pozie suplikacji.

– Pokażę ci, o czym mówię. Obejmij mnie za szyję.

Gdy zrobiła, jak prosił, zamknął na chwilę oczy, znowu je otworzył i zaczął powoli rozpinać jej stanik, potem gorset. Kiedy została tylko w cienkiej płóciennej koszuli, znowu zadrżała na całym ciele.

– Tego chciałaś, kiedy się tutaj pojawiałaś. Chciałaś, żebym się z tobą kochał, przyznaj, Sereno.

Czekanie było taką torturą, że nic już nie miało znaczenia, zwłaszcza duma.

– Tak.

– Tak było od pierwszego wieczoru, kiedyśmy się spotkali. Spójrz na mnie. – Uniósł jej brodę. – Powiedz, niech to usłyszę.

Zwilżyła wargi.

– Tak. Zawsze tak było.

Milczał przez długą chwilę, wreszcie się uśmiechnął.

– Tyle straconego czasu, tyle niepotrzebnych wzajemnych żalów. Koniec z tym. Wynagrodzisz mi to wszystko, droga moja.



Niecierpliwym gestem ściągnął ramiączka jej koszuli.

– Marzyłem o tym – powiedział dotykając palcem piersi.

Poczuła to dotknięcie aż w podbrzuszu, mimo woli zacisnęła uda.

Przesunął dłońmi od kostek do kolan. W jednej chwili jej koszula wylądowała na podłodze.

W samych pończochach i podwiązkach poczuła się okropnie dekadentko.

– Rozsuń nogi – poprosił przymilnie i delikatnym ruchem wsunął się między jej uda.

Przyciągnął jej głowę ku sobie i zaczął całować, jakby chciał rozproszyć resztki oporu. Oderwali się wreszcie od siebie drżąc gwałtownie, oddychali ciężko, wargi nabrzmiały od pocałunków. Kiedy przysiadł na piętach, wydała pomruk protestu i przygarnęła go do siebie.

Zdjął jej jedną pończochę, potem następną. Każde muśnięcie jego dłoni zdawało się torturą, każdy pocałunek, a było ich wiele, sprawiał, że krew pulsowała szybciej. Naga, poczuła się bezbronna.

Zamknął w dłoniach jej piersi i zaczął masować sutki, póki nie stały się twarde. Potrzęsnęła głową, oczy zasnuły się mgłą. Jakby dla zwiększenia jej męki nachylił głowę i zaczął ją pieścić językiem. Słyszając przyspieszony, płytki oddech, z uśmiechem położył dłoń na miękkiej kępce włosów między udami. Kiedy wszedł w nią delikatnie, przyjęła go wilgotna, gotowa.

Zbyt wiele to było: rozkosz nie do zniesienia. Próbowwała zacisnąć uda, broniąc się przed nim; powstrzymał ją. Przemawiając łagodnie, wypowiadając kojące słowa zwiększał jej udrękę, doprowadzał do szaleństwa.

Wiła się, wyginała pod jego dotykiem, raptem objęła go z całych sił i pociągnęła na podłogę. Klęcząc nachyliła się nad nim. Wyraz zaskoczenia malujący się na jego twarzy stopniowo ustąpił miejsca zachwytowi.

Wahała się przez chwilę.

– O, nie – zaprotestował. – Nie pozwolę ci teraz stchórzyć. Chciałaś sprawdzić, jaką masz nade mną władzę, skorzystaj ze sposobności.

Chwycił jej dłonie i położył na zapięciu spodni. Nie uczyniła żadnego gestu, żeby mu pomóc, ale to go nie zniechęciło. Prowadząc jej palce, pokazał, jak łatwo jest rozpiąć guziki.

– Praktyka czyni mistrza – oznajmił rozradowany, z chytrym błyskiem w oku. – Już o to zadbam, byś jak najwięcej praktykowała. – Pojawszy, że wieki miną, zanim Serena go rozbierze, szybko zrzucił ubranie.

Nie poruszyła się, wstrzymała oddech, klęczała jak kamienny posąg, z oczami utkwionymi w nabrzmiąłą męskość, która filowała w jej stronę z gęstwiny włosów.

Nie myślał się już cofać.

– Tylko mi nie mów, że myślisz teraz, jak odtrąbić odwrót, Victorio – oznajmił kpiąco.

Zamknęła oczy, odrzuciła głowę i odważnie usiadła na nim okrakiem. Kiedy chciał

zamknąć dłonie na jej piersiach, dała mu po łapach.

– Poddaj się, albo poniesiesz konsekwencje. Uniósł brwi, wykrzywił usta w zabawnym grymasie, po czym założywszy z niewymuszonym wdziękiem ręce pod głowę, pozwolił jej czynić najgorsze.

Co powinna teraz robić? Biorąc z niego przykład, dotknęła sutków ukrytych w gęstwie na piersi. Kpiący chochlik zniknął z jego oczu.

Coraz bardziej ośmielona, przesuwała dłońmi po jego brzuchu, wolno, wolniutko, acz z niezachwianą determinacją, póki nie zaczął jęczeć. Kiedy dotarła do nabrzmiałego przyrodzenia, zawahała się.

Julian uniósł się jednym zwinnym ruchem.

– Odwagi, Victorio – wycedził przez zaciśnięte zęby i ująwszy jej dłoń, zamknął ją na członku. Zacisnęła, jęknął jak zraniony zwierzak. Zacisnęła ponownie, tym razem już z rozmysłem, zafascynowana grą emocji na jego twarzy. Przemknęło jej przez głowę, że gdyby chciała, mogłaby go uczynić swoim niewolnikiem.

– To działa w dwie strony – powiedział spoglądając na nią, jakby czytał w jej myślach. Objął ją wpół jedną ręką, drugą zsunął w dół, rozwierał ją palcami, kciukiem szukając punktu rozkoszy.

W desperackim zapomnieniu tarzali się po podłodze. Groźny, nieobliczalny, zuchwały – zachwycała się odczuciami, jakie w niej budził. Kiedy w nią wszedł, zaczęła poruszać biodrami, biorąc go najgłębiej, jak mogła, póki nie osiągnęli wspólnego spełnienia, które zadawało się nie mieć końca.

Wiedział, że uśmiecha się jak kot, który spił śmietankę, taki był rozradowany na myśl, że kochając się z nim potrafiła zapomnieć o bożym świecie. Żona ma prawo oczekiwać, że mąż zlegnie z nią w łóżu, weźmie ją z całą wymaganą powściągliwością i delikatnością. Tymczasem leżeli na podłodze w jego bibliotece, nagusieńcy niczym dwoje bezwstydných przedwiecznych pogan. I było cudownie.

Zwinęła się obok niego, jej oddech wskazywał, że zapada w sen. W odruchu czułości objął ją wpół, a ona przytuliła się do niego, moszcząc pupę pomiędzy jego lędźwiami. Skutek był oczywisty.

Nie wolno mu. Nie powinien. Nie godzi się wprowadzać jej zbyt pośpiesznie we wszystkie arkana. Znając Serenę, mógł też przewidzieć, że nie ucieszy jej świadomość, że to on jest preceptorem, ona zaś nowicjuszem, który musi się jeszcze wiele nauczyć. Poruszyła się ponownie i Julian przegrał walkę z własnym sumieniem.

Zaczął muskać wargami jej kark, co przyjęła leniwym śmiechem. Przygarnął ją z całych sił do siebie. Pomrukując i zwijając się w kłębek, powoli się rozbudziła.

Uniósł ją lekko i wszedł w nią od tyłu. Spojrzała przez ramię, by zobaczyć w jego oczach pożądanie, i oblała się pąsem. Otworzyła usta.

– Julianie! Co...?

– Chcę cię, pragnę – zaniósł się. – Pozwól mi kochać się z tobą w taki sposób.

Uspokajał ją kojącymi słowami, podniecał rytmicznymi ruchami. Nie pozwolił się jej odwrócić, przyspieszył rytm. Kiedy wygięła głowę do tyłu, kiedy poczuł spazmatyczne skurcze podbrzusza, przestał kontrolować ruchy. Zagłębił się w nią gwałtownym pchnięciem i eksplodował.

Leżeli długo, z trudem łapiąc oddech. Dopiero teraz odwrócił ją ku sobie, by przyjrzeć się jej twarzy. Poczul ulgę. Nie sprawiała wrażenia zagniewanej ani oburzonej. Nie dość, że miała zamglone spojrzenie osoby prawdziwie zaspokojonej, to spoglądała na niego z czymś na podobieństwo pełnej podziwu trwogi.

– Zgorszyłem cię, kochana?

Odwróciła wzrok, pąsowa po korzonki włosów. Uśmiechnął się bezczelnie.

– Zaczę się chyba lubować w gorszeniu cię. – Skinął głową, kiedy znowu na niego spojrzała. – Tak, to tylko przedsmak tego, co przed nami. Wiele masz jeszcze do poznania, Sereno, a ja zamierzam być cierpliwym, oddanym nauczycielem.

– Rozpustnik – oświadczyła, ale usta drgały w powściąganym uśmiechu.

Przytaknął, szczerząc się radośnie.

– Wiele zyskasz czerpiąc z moich bogatych doświadczeń.

Uniosła się na łokciu.

– Być może jest kilka rzeczy, których ja mogę cię nauczyć, Julianie Raynor – odparowała z błyskiem w oku.

Uniósł wymownie brwi.

– Podejrzewam, że pan Hadley śmielił się co najwyżej na skradzionego całusa, albo i to nie.

Pan Hadley. Oczy jej przygasły. Przerażona chwyciła się za głowę.

– Boże – jęknęła. – Jestem bez wstydu. Jak mogłam go zdradzić z tobą? – Sięgnęła po ubranie i zaczęła się odziewać.

Julian osłupiał.

– Zdradzić? – ryknął. – Jestem, do diabła, twoim mężem. Jakaś mogła go zdradzić, pozwalając mi skorzystać z praw małżeńskich?

Wstyd i żal chwyciły ją za gardło. Jak mogła zapomnieć o Trevorze Hadleyu? Może go nie kocha, ale nie zasłużył sobie na takie traktowanie.

Julian też zaczął się ubierać.

– Nie zrobiłem nic, czego byś nie chciała – powiedział cicho, kiedy stało się jasne, że nie doczeka się żadnej odpowiedzi. – Mogłaś zniszczyć nasz akt ślubu, aleś tego nie zrobiła.

– Co to za różnica. Stało się.

Szukała na czworakach podwiązek. Koszula opadła do połowy ud. Chociaż wściekły na nią, nie mógł nie podziwiać jej kształtnych pośladków. Przypomniał sobie, jak mościła się kilka chwil wcześniej, i wzięła go ochota położyć dłoń na jej pupie.

Naciągnął koszulę, wsunął ją w spodnie.

– Masz rację. Stało się i nie ma odwrotu. Możesz być przecież w ciąży.

Myślisz, że o tym nie wiem? Boże, jak ja spojrzę mu w twarz? Co mu powiem? Nie stój tak. Ubierz się, zanim ktoś tu wejdzie i zastanie nas razem. W Juliana jakby piorun strzelił.

– Kilka minut temu nie dbałaś o to, że ktoś może wejść.

Zasłoniła oczy dłońmi.

– Wiem. Wiem. Nie musisz się tym pysznić.

Nie pysznił się, był zdumiony i zraniony. Dalej ubierali się już w milczeniu. Julian od czasu do czasu popatrywał na Serenę, ale była całkowicie pochłonięta troczkami i guzikami.

Odezwał się dopiero, kiedy mieli wychodzić:

– Jutro odwiedzę sir Jeremy'ego i wyłożę mu sprawę naszego małżeństwa.

Dech jej zaparło.

– Nie próbuj nawet! Jak się wytłumaczę Trevorowi? Pomyśli, że bawiłam się jego kosztem. Potrzebuję czasu.

Nie sprzeczał się. Zrobił, co mógł. Dał jej możliwość wyboru. Zacisnąwszy szczęki, wyszedł za nią z pokoju.

W połowie schodów doszły ich odgłosy ożywionej zabawy. Julian uniósł głowę, hałas raptownie ucichł.

– Co to? – zapytała Serena.

– Ktoś musiał otworzyć drzwi do sali gry.

– Co w tym dziwnego?

– Wziąwszy pod uwagę, że zamknąłem je na klucz od strony mieszkania i że w tej części domu jesteśmy tylko my... Zejdź na dół. Nie czekaj na mnie. Na ulicy spotkasz Harry'ego. Powiedz mu, żeby natychmiast odwiózł cię do domu.

Ruszył na górę pospiesznie, na palcach. Kiedy był na podeście, z którego przechodziło się do kasyna, jego uwagę przyciągnęły uchylone drzwi biura. Wziął świecę z przyściennego świecznika i ostrożnie wszedł do pokoju. Od razu zobaczył otwarty szyb windy. Podszedł, opuścił windę, otworzył sejf. Wszystko leżało na swoim miejscu, dokładnie w takim porządku, jaki zostawił, wyjmując stąd przed godziną akt ślubu, czego nie dało się powiedzieć o reszcie pokoju: wysunięte szuflady biurka, porozrzucone papiery, przekrzywione obrazy na ścianach.

Odstawił świecę i ruszył ku drzwiom prowadzącym do kasyna. Ktoś je otworzył.

Wszedł na galerię. W dole kłębił się tłum. Julian słyszał śmiechy i odgłosy rozmów. Stał

tak, z dłonią zaciśniętą na balustradzie, wypatrując pośród mrowia gości... sam nie wiedział czego.

Ktoś go pozdrowił, kilka głów uniosło się w jego stronę. Powiódł wzrokiem po sali i nagle szarpnął się do tyłu na widok wbitych weń oczu służącego o twarzy zeszpeconej blizną biegnącą przez policzek. Odwróciwszy wreszcie spojrzenie, mężczyzna począł przeciskać się ku wyjściu. „Urodziwy” – olśniło go nagle i popędził na dół.

Nie zwracał uwagi na cisnących się wokół ludzi, którzy chcieli zamienić z nim kilka słów. Jest nieuprzejmy, popędliwy, każdy to wiedział i każdy chciał uścisnąć rękę człowiekowi, który zażywał ostatnio takiego rozgłosu. Z coraz większym zniecierpliwieniem, skupiony tylko na swoim łupie, roztrącając nagabujących, zaczął biec. „Urodziwy” wiedział, że jest ścigany, od czasu do czasu oglądał się za siebie. Kiedy dotarł do drzwi frontowych, Julian krzyknął do stojących tam odźwiernych. Nie zrozumiawszy rozkazu opuścili stanowiska i zaczęli iść w jego stronę, przepuszczając wolno „Urodziwego”.

Julian zaklął. Szczęściem w tej samej chwili z jednej z sal wyszedł Loukas. Natychmiast pojął, w czym rzecz, i przyłączył się do pościgu.

Na ulicy zatrzymał Juliana natłok lektyk i pieszych.

– Łapać złodzieja!

Julian odwrócił głowę. Konstabl Loukas, wymachując gorączkowo rękami, gnał ile sił w nogach. Popędził za nim. Słyszał okrzyki podniecenia i rżenie wystraszonych koni. Potem wszystko ucichło.

Zadyszany dopadł Loukasa. Konstabl pochylał się nad rozciągniętą na ziemi postacią.

– Wypadek – tłumaczył stangret cisnącym się wokół gapiom. – Wyleciał prosto pod konie. Juzem nic nie mógł zaradzić.

Julian przyklęknął obok Loukasa. Oczy „Urodziwego” patrzyły w przestrzeń. Konstabl zamknął mu powieki.

– Do diabła! – zaklął Julian.

– Nie zasłużył na to – westchnął Loukas. – Nellie Bloggs to tylko drobny opryszek.

– Nellie?

– Nelson. Wracaj do domu. Ja się tu wszystkim zajmę.

– Ale...

– Później porozmawiamy. Rób, jak mówię, tak będzie najlepiej.

Julian z ociąganiem posłuchał rady przyjaciela. Już w biurze powiódł tępym wzrokiem po otaczającym go nieładzie. Odkrył tylko, że Bloggs dostał się do jego prywatnych apartamentów przez szyb windy. Nie pojmował tylko, co tamten spodziewał się znaleźć. Chciał ukrąść księgi rachunkowe i listy zastawne klientów? Szukał czegoś innego? Jeszcze przed godziną jedynym wartym zachodu dokumentem w sejfie był akt ślubu.

Zacisnął pięści, prostując się zatrzęsął drzwiczki windy, wypadł z pokoju i popędził do biblioteki. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że dokument zniknął.

Nie mógł uwierzyć. Chlusnął solidną miarkę brandy do kieliszka, wychylił jednym haustem i nalał sobie następną. Aż tak by się mylił co do niej? Frymarczyła-by sobą, żeby dać czas swojemu wspólnikowi? Niemożliwe.

Dopiero przy trzecim kieliszku uspokoił się na tyle, by zdać sobie sprawę, że Serena mogła przecież zniszczyć akt ślubu za jego przyzwoleniem.

Skupił wreszcie rozbiegane myśli na człowieku z blizną. Czy Bloggs mógł mieć jakieś konszachty z Sereną? Im więcej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie spocznie, póki nie dojdzie sedna sprawy. Musi wiedzieć, jaki Serena ma w tym udział, jak daleko mogła się posunąć. Loukas miał rację. Powinni zanęcić wroga i wtedy go ucapić.

Esther, hrabina Kirkland, z przyjemnością spoglądała na swoją pracę: rozłożone na burku karnety ze złożonymi brzegami, zaproszenia na „nieformalne” przyjęcie w wiejskiej rezydencji Kirklandów w Bagley. Zważywszy, że gościem honorowym miała być londyńska znakomitość nad znakomitości, gwiazda sezonu, Julian Raynor, nie spodziewała się, by ktokolwiek odmówił.

Chciała podzielić się z kimś swoim triumfem, ale nie miała z kim. Jej mąż, hrabia, nie okazywał żadnego zainteresowania sprawami domu, uznając je za trywialne, a nawet gdyby, zajęty był w tych dniach obowiązkami wagi państwowej. Nie mogła też zwierzyć się swojej przyjaciółce od serca, lady Trenton, z obawy, że Doro-thea zechce ją ubiec.

Sięgnęła po srebrny dzwonek stojący na sekretarzyku i potrząsnęła nim delikatnie, wzywając służącego, który czekał pod drzwiami buduaru. Gdy wszedł, wskazała na leżące na biurku karnety.

– Dopilnuj, żeby zostały rozniesione jeszcze dzisiaj.

Zareagował ze zwykłą u niego flegmą, obliczając w głowie, ile czasu zajmie pięciu posłańcom dostarczenie zaproszeń jaśnie pani pod wskazane adresy. Uznawszy, że trzeba więcej niż jednego dnia, zaczął rozważać, czy poważy się odłożyć część z nich na jutro. Hrabina nie dowie się o niczym.

– Jeszcze jedno, Thomasie – oznajmiła hrabina z chytrym błyskiem w oku. – Powiedz ludziom, by czekali na odpowiedź, potem zdasz mi relację. – Spojrzała na zegar na kominku. – Powiedzmy, po kolacji. – Odprawiła go z uśmiechem.

Lady Amelia była jedną z pierwszych osób, które otrzymały zaproszenie. Przyjęła je bez wahania. Od Juliana wiedziała już, czego oczekiwać. Zamierzał ukreślić łeb przykrym pogłoskiem na temat Sereny Ward, którym dała początek scena w ogrodach Ranelagh. Własna reputacja niewiele ją obchodziła, nie dbała też, co mówią o Serenie. Miała własne plany. Domowe przyjęcie na wsi stanowiło idealną oprawę. Uśmiechnięta, wezwała pannę służącą i zaczęła poranną toaletę.

Również Trevor Hadley oczekiwał zaproszenia. Sir Jeremy liczył, iż wesprze Serenę w jakże trudnym dla niej czasie. Pan Hadley spoglądał teraz w zadumie na karnecik o złożonych brzegach. Nadszedł w samą porę, a kiedy już będzie po przyjęciu... usta ułożyły mu się w uśmiechu. Po przyjęciu będzie wolny od wszelkich zobowiązań.

– Możesz powiedzieć jaśnie pani, że z radością przyjmuję zaproszenie – oznajmił wsuwając monetę w dłoń posłańca.

Clive Ward zareagował na zaproszenie złośliwą bezczelnością.

– Przepraszam – oświadczył, głupio szczerząc zęby.

Odpoczywał w swoich apartamentach otoczony kompanami, jakobickimi kompanami, z którymi przehulał noc.

Lord Roderick wziął od niego bilecik, przeczytał z niejakim zainteresowaniem, po czym podał dalej. Z rzucanych uwag można było wnosić, jak bardzo zebrani zazdroszczą Clive'owi szczęścia. W ich oczach Julian Raynor uchodził za znakomitość.

– A tobie co znowu? – zapytał lord Roderick widząc pobladłą twarz przyjaciela.

– Nie bądź idiotą – wycedził Quentin Page. – Wiesz doskonale, że lord Kirkland jest pierwszym wrogiem jakobitów. Żaden szanujący się zwolennik Stuartów nie siądzie z nim do stołu. – Tu naszła go pewna myśl. – Sądziś, że jest coś z prawdy w pogłosce, jakoby Raynor był agentem rządu?

– Czemu pytasz? – zainteresował się Clive.

– Ot, tak, z ciekawości.

Lord Roderick próbował zatuszować niezręczną sytuację.

– Dziękować Bogu, jesteśmy płotki, nie nasze zmartwienie. Nie agitujemy. – Uśmiechnął się łaskawie. – Jesteśmy jeno birbantami, co znają wszystkie możliwe jakobickie toasty.

Uniósł kieliszek z czerwonym winem.

– Panowie, za Jego Królewską Mość za morzem.

Ci, którzy nie drzemali i zachowali jaką taką trzeźwość umysłu, wznieśli szklanice i rytualnie przesunęli je nad misą wody stojącą na stole. – Za Króla Jegomości – rzekli chórem, a każdy z nich wiedział, że słowa te nie odnoszą się do władcy zasiadającego na tronie Anglii.

Jeremy'ego posłanie lady Kirkland odwołało od śniadania. Wracając do stołu, bez słowa podał zaproszenie Catherine.

Przeczytała karnecik i z niesmakiem wykrzywiła usta.

– Przypuszczam, że powinniśmy tam być?

– Dziwne pytanie, kiedy wiesz, żeśmy obydwaj z Ray-norem czekali tego zaproszenia.

– Julian wysoko zaszedł w świecie, skoro Kirklando-wie go przyjmują, a może twoja w tym ręka, Jeremy?

– Nie. Księżna sama wpadła na ten koncept i natychmiast zabrała się do dzieła. Lubi być we wszystkim pierwsza.

– A wy z Julianem postanowiliście to wykorzystać?

– Otóż właśnie.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Zostało to wypowiedziane z takim uczuciem, że Jeremy odstawił swoją filiżankę, zanim zdążyła dolać mu herbaty.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie wiem, doprawdy. Pomyślałam, co znaczy być na widoku. Wiesz oczywiście, że



wszyscy będą oczekiwać najgorszego? – Widząc jego pytające spojrzenie dodała: – Rozumiesz przecież, o co mi idzie. Coś na podobieństwo Ranelagh, sceny, pojedynki i podobne historie.

– Zatem czeka ich rozczarowanie. – Uścisnęła jej dłoń dla dodania otuchy. – Nie zajdzie nic gorszego. Świat się przekona, że Wardowie łaskawie traktują Raynora, i plotka umrze własną śmiercią, sprawy zaczną toczyć się zwykłą koleją i będziemy mogli żyć spokojnie.

– Nie myślisz chyba, że w plotkach jest coś z prawdy, Jeremy? Zawsze miałam wrażenie, że Serena skłania się ku Raynorowi, i to z wzajemnością.

Pokręcił z uśmiechem głową.

– Nawet gdyby tak było, Raynor ma swoje życie w Ameryce. Ani się obejrzymy, jak go tu nie będzie. Dziękować Bogu.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– Inaczej mówi lord Charles. Zmienił się na twarzy.

– Tak? Cóż mówi lord Charles?

– Powiada, że Julian odmienił zamiary i chce osiąść w Anglii.

Zaległa długa cisza. Przyszedłszy do siebie, Jeremy raz jeszcze pokręcił głową.

– Bez sensu. A propos, posłaniec nie wiedział, gdzie może znaleźć Charlesa. Powiedziałem, żeby go szukał w jego domku w Chelsea. Dobrze zrobiłem?

Catherine z lekka się nachmurzyła.

– W jakim domku w Chelsea?

Jeremy skwapliwie wyjaśnił.

W Chelsea lord Charles odebrał zaproszenie lady Kirkland z ponurą wyniosłością.

– Co za impertynencja! – rzekł do lady, którą ledwie chwilę temu zostawił samą w łóżku. – Jak, u diaska, Jeremy odgadł, dokąd skierować posłańca? Rad bym wiedzieć.

Lily Danvers, od dwóch lat jego kochanka, była aktorka, którą uratował od prostytucji, słysząc wściekłość w głosie Charlesa przecknęła się na dobre.

– Jeremy? – powtórzyła chcąc się upewnić. – Sir Jeremy Ward?

Zajęty własnymi myślami nie dosłyszał pytania.

– Jeśli Jeremy wiedział – rzucił popędliwie – możesz być pewna, że ona wie także.

– Lady Catherine? Czemu nie miałyby wiedzieć?

Odwrócił głowę w jej stronę.

– Czy to ma znaczenie? – Usiadła na łóżku. – O co chodzi, Charles? – Nie potrafiła ukryć goryczy. – Boisz się, że kiedy lady Catherine dowie się o tym domu, dowie się o mnie, będzie zazdrosna?

– Zazdrosna? – Zaśmiał się krótko. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Myślę, że masz pojęcie. Kochasz się w niej, a ona ma cię za rozpustnika. Chcesz, żeby tak myślała, ale nie ma przecież nikogo innego. Jestem tylko ja, a ty robisz wszystko, by

wprowadzić ją w błąd, bo się boisz, że inaczej dojrzy w tym zdradę.

Kiedy nic nie odrzekł, ciągnęła bez tchu:

– Cóż, może nawet uzna, że coś ważę dla ciebie i że obydwójce z niej kpimy.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, po czym klnąc pod nosem zaczął się ubierać.

Serena i Letty znalazły zaproszenie na kominku, kiedy wróciły z księgarni Dawesa na Picadilly. Serena spojrzała obojętnie na karnecik, podała go Letty i poszła na górę zmienić wyjściową suknię.

Letty była podniecona. Przyjęcia w wiejskich dworach, szczególnie dla osóbkę w jej wieku, stanowiły nie lada atrakcję. Przy takich okazjach młodym pannom dostawały się zazwyczaj wspólne sypialnie na poddaszu, gdzie mogły paplać do rana albo płać figle i psoty, które przyprawiłyby o zgorzenie dorosłych, gdyby doszły do ich wiadomości.

Poczęła gorliwie odliczać dni w kalendarzu. Tak zastał ją pan Hadley.

– Spójrz, waść – zagadnęła z lekko nieprzytomnym wzrokiem, wymachując przy tym karnecikiem o złoconych brzegach. – Właśnie przynieśli zaproszenie na przyjęcie u Kirklandów.

– Będzie godzina, jak je dostałem.

Ponura mina pana Hadleya, która w umyśle Letty kojarzyła się nieodłącznie ze zbytnią surowością obyczajów, ostudziła nieco jej zapał.

– Strasznie waść markotny. Nie dasz pan wiary, Trevorze, ale przyjęcia są po to, żeby się bawić.

Jeszcze bardziej się zasepił.

– Bardzo być może, ale sir Jeremy dał mi do zrozumienia, że udajemy się tam w poważnym celu.

– Phii! – oznajmiła Letty bawiąc się puklami włosów.

– Mnie to nie obchodzi. Tyś zrobił z siebie głupca w Ra-nelagh, szczerząc zęby do lady Amelii jak zadurzony sztubak. Na ciebie, waść, będą się gapić plotkarze, nie na mnie. – Przechylając główkę kpiła dalej w żywe oczy:

– Ja mam zamiar bawić się w najlepsze.

Poczerwieniał na wspomnienie lady Amelii.

– Będziesz mi tu panna mówić o lady Amelii – wycodził przez zęby, zaciskając i rozwierając przy tym nerwowo dłonie – kiedy twoja konduita to nic jeno sromota. Wietrznica jesteś i flirciara. Nauczyłbym cię przyzwoitości, gdybyś była pod moją opieką.

Rzuciła się na niego, gotowa uderzyć, ale chwycił ją za nadgarstek i mocno ścisnął. Mimo że łzy jej napłynęły do oczu, patrzyła na niego buńczucznie, nie myśląc kapitulować.

Z jękiem porwał ją w ramiona i zaczął obsypywać pocałunkami. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie przyprawiła go o podobne emocje. Oddała mu pocałunek! Pocałowała go! Oderwali

się od siebie z przerażonymi minami.

– Nie mogę cię kochać – załkała. – Nie mogę! Znienawidziłam cię na zawsze!

Pan Hadley jęknął ponownie, obłąpił ją z całych sił i jeśli to możliwe, począł całować z jeszcze większym zapamiętaniem niż przed chwilą.

Nie wiedzieli nawet, kiedy drzwi się otworzyły. Sere-nie wystarczył jeden rzut oka na parę złączoną w namiętym uścisku. Zniknęła, nim które mogło ją zauważyć.

– Nie kochasz mnie – stwierdziła Letty łamiącym się głosem i zaczęła szukać po kieszeniach chustki do nosa. – Nie możesz. Ciągłe mi powtarzasz, że jestem rozpuszczona jak dziadowski bicz, że nie wychowana. – Spojrzała na niego z nadzieją.

Pan Hadley z czułością otarł łzy z jej policzków własną chustką.

– Bo taka właśnie jesteś, moja panno, i za to cię Kocham.

Nagrodziła go łzawym uśmiechem.

– Nie pasujemy do siebie. Ty jesteś stateczny, a ja pędziwiatr.

Uśmiechnął się na tę niewinność.

– Doskonale do siebie pasujemy. Przy tobie wcale a wcale nie jestem stateczny. Prawdę rzekłszy, czuję się jak drapieżny tygrys.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Zawsze wytykasz mi moje wady.

– A jak inaczej zachowałbym honor? Powiadam, że cię Kocham, i dłużej już nie mogę udawać, że jest inaczej.

Letty okropnie pobladła, – Och, Trev, co powiemy Serenie?

O tym samym myślał.

– Prawdę, ma się rozumieć – odrzekł z zaszępioną miną. – Nie można inaczej. Ale jeszcze nie teraz. Liczy na nasze wsparcie i tośmy jej winni. Po przyjęciu u Kir-klandów powiem jej, najdelikatniej jak można.

– Och, Kocham cię, Trev – oświadczyła Letty i złożyła główkę na jego szerokiej piersi.

Niedaleko Ward House, na Pall Mall, gdzie mieściły się najwytworniejsze londyńskie kawiarnie, przed słynną pijalnią czekolady „Pod Drzewem Kakaowca” był postój lektyk do wynajęcia. Z okna klubowej sali na pierwszym piętrze pijalni Julian od czasu do czasu zerkał znad czasopism na przybywające i oddalające się lektyki.

Jedna wzbudziła jego szczególne zainteresowanie. Wysiadł z niej podstarzały dandys, modniś w pudrowanej peruce, naszywanej cekinami kamizelce, fontannami michelinowskich koronek pod brodą i przy mankietach. Julian obserwował, jak modniś wszczyzna sprzeczkę z tragarzami o zapłatę. Do kłótni włączyli się inni lektykarze, ktoś nawoływał przechodniów, by rozstrzygnęli spór.

Uwagę Juliana odwróciło pukanie do drzwi.

Wszedł kelner.

– Będzie pan już zamawiał, sir?

– Nie. Czekam na... – Julian przerwał i odwrócił się gwałtownie, słysząc znajomy dźwięk odwodzonego pistoletu.

– Co, do diabła? Loukas?

Konstabl Loukas pieczołowicie zamknął drzwi za sobą.

– Że też wytrawny żołnierz, jak ty, może być taki nieuważny. Gdyby ta zabawka była nabita – tu Loukas puknął dłonią w pistolet – a ja bym był twoim wrogiem, już byś nie żył.

Julian wyjrzał przez okno.

– W tym modnisiu zgaduję Harry’ego, tak?

Gdy Loukas pokręcił przecząco głową, nachmurzony Julian baczniej począł obserwować rozgrywającą się na dole scenę.

– Harry siedzi w innej lektyce.

– Teraz go widzę. A ten fircyk?

– Mój człowiek, a jakże. Zawodowy aktor. Parker to człowiek o wielu twarzach. Nie masz akcentu, którego nie potrafiłby naśladować. Pożytecznie znać kogoś takiego w mojej profesji.

– Zjedzą z nami śniadanie?

– To nieroztropne. Jeśli mamy spotkać się z nimi wieczorem u lady Kirkland, lepiej, żeby nikt nie widział nas razem i nie snuł podejrzeń. Przyjrzyj się dobrze Parkerowi, żeby wiedzieć, na kogo liczyć w razie jakiego nieszczęścia.

– Trudno go nie zapamiętać – zaśmiał się Julian i pokręcił głową. – Nie uważasz, że za daleko się posuwamy? Im więcej o tym myślę, tym bardziej zaczynam być podejrzliwy.

– Wiesz, co myślę? – zapytał Loukas siadając po drugiej stronie stołu.

– Masz mi coś ważnego do powiedzenia. Znam tę minę.

– Otóż myślę sobie, że wcale nie spieszo ci zdemaskować wroga, bo się lękasz, że to ktoś, w kim wolałbyś go nie odkryć.

Z twarzy Juliana w jednej chwili zniknęło rozbawienie. Gwałtownie zmienił temat.

– Czegoś się dowiedział o „Urodziwym”?

Loukas wzruszył ramionami.

– Nic, co by nam miało pomóc. Jakem ci mówił, Nellie to drobny opryszek. Raz pracował na własną rękę, kiedy indziej dla kogoś, czasami na krótko zostawiał robotę i wiódł jakoby uczciwe życie.

– Znałeś go?

– Bywało, że wpadał mi w ręce. Wstawiałem się za nim, bom wierzył, że w końcu sporządnieje. Ciężkie miał życie, chowała go ulica, niejedno przeszedł, wiesz, jak jest z takimi.

Nikt nie zgłosił się po ciało.

Julian się zasepił.

– Obwiniasz się? – Loukas wpatrywał się w niego uważnie. – Nellie wiedział, co robi. Sam sobie jest winny.

– Nie o to idzie. Pomyślałem, że i mnie mógł czekać taki sam los.

– Nie wierzę w los – obruszył się Loukas. – Masz nasze zaproszenia?

– Co?

– Nasze zaproszenia na przyjęcie lady Kirkland. Czy masz je przy sobie?

Julian sięgnął do kieszeni i wyciągnął karnety ze złożonymi brzegami.

– Jak kazałeś, zaproszenie dla Parkera wypisane jest na pana Gilesa Bowringa.

– Dobrze. Parker jest bardzo czuły, kiedy idzie o jego prawdziwe nazwisko. Harry i ja, ludzie bez skazy, nie mamy, rzecz jasna, nic do ukrycia. – W oczach Loukasa zabłyśły iskierki rozbawienia.

– Powiedziałem naszej gospodyni, że powrócił niedawno z Indii Zachodnich. – Widząc, że Loukas nie rozumie, o czym mowa, wyjaśnił: – Pytała mnie, kto to taki. Nic innego nie potrafiłem wymyślić na poczekaniu.

– Parker najpewniej nie ma zielonego pojęcia o Indiach Zachodnich.

– Zatem niech nabierze pojęcia, zanim zaczniemy naszą szaradę. – Julian zamilkł za chwilę.

– Ciągle nie jestem pewien, czy to coś da. W końcu to tylko przyjęcie.

– Tak, ale pojawią się tam nasi podejrzani. Będą obserwować ciebie, przyglądać się sobie nawzajem, dodawać dwa i dwa. A my spróbujemy trochę pomóc wypadkom.

– Będzie mnóstwo gości. Tylko głupiec odsłoniłby się przy tylu świadkach.

– Może. Ale człowiek przebiegły wie, że wśród tylu podejrzanych, z których każdy ma coś do ukrycia, łatwiej ujdzie nie zauważony. Poza tym nasz łotr może odsłonić się dopiero po czasie, kiedy odegramy już ostatni akt naszego przedstawienia.

Julian oparł się wygodnie w fotelu, wpatrzony bacznie w Loukasa.

– Wszyscy podejrzani mają coś do ukrycia?

– Mój drogi Julianie, każdy ma coś do ukrycia, nawet ty. Ty szczególnie.

Julian zaśmiał się i pokręcił głową.

– Co mi się może według ciebie przytrafić?

– Może znowu uprowadzenie, chociaż nie obstawałbym przy tym pomysle. – Loukas podrapał się w głowę. – Nie, tym razem nasz łotr będzie chciał usunąć cię ze sceny raz na zawsze.

– Urocze!

– Prawda? Wszyscy aktorzy się stawiają, mam nadzieję?

– Jeśli wierzyć lady Kirkland, wszyscy.

– Wybornie, wybornie. Pamiętaj, com powiedział. Nie rozpraszaj się, miej oczy z tyłu głowy. Doświadczenie powiada mi, że niebezpieczeństwo przychodzi, kiedy najmniej się go spodziewamy.

Julian nie mógł powściągnąć uśmiechu.

– A gdzie ty będziesz?

– Będę cały czas w pobliżu, nie ma strachu. Tymczasem...

– Tak, tak, wiem. Uważać na wszystko i mieć oczy otwarte.

Słyszając gniewny ton, Loukas powiedział:

– Spójrz na to w ten sposób, chłopcze. Trzymając się z dala od ludzi przez ostatnie dni, dałeś sposobność swojej biednej, posiniaczonej twarzy, by powróciła do dawnej świetności.

Julian poruszył szczęką.

– Ciągle jeszcze boli? – zapytał Loukas współczująco.

– Ociupinkę – przyznał Julian. Loukas pokraśniał z radości.

– Myślę, żeś dojrzał do śniadania, któreś mi przyobiecał. Och, i nie skąp przez wzgląd na twoją obolałą szczękę. Taki mam apetyt, że mogę zjeść za dwóch.

– Zbyt łaskawyś – podziękował Julian.

Wardowie, *en familie*, z panem Hadleyem na do-czepkę, byli pośród ostatnich przybywających gości. Ledwie zdążyli naprędce poprawić toalety, już zaczęto prosić do wielkiego salonu, gdzie zbierało się całe towarzystwo, by później zasiąść do kolacji.

Serena niespokojnie schodziła po olbrzymich schodach. Wiedziała oczywiście, że Julian będzie zapewne towarzyszył lady Amelii, jak i on wiedział, że u jej boku pojawi się pan Hadley. Stanowiło to część ułożonej przez Juliana i Jeremy'ego skomplikowanej szarady, która miał położyć kres pogłoskom na temat gorszących zajęć w Ranelagh.

Zainteresowane strony miały się pokazać ciekawym oczom wytwornego towarzystwa jako dalecy, acz przyjaźni sobie znajomi, którzy nienagannymi wzajem manierami mieli przywrócić dobre imię Sereny. Tak postanowił Jeremy.

Szlachetny zamiar, tyle że nie po jej myśli. Przybyła tutaj, bo Julian Raynor – niech go diabli – znarowił się. Nie, niezupełnie, on jej unikał, to właściwe słowo. Z rozmysłem ją omijał. Od tamtego wieczoru w jego domu ani razu się do niej nie zbliżył. Nigdy nie spotkała równie przewrotnego okazu rodzaju męskiego. Zmusił ją, by nań polowała, a przecież chciała mu powiedzieć, że nie ma już żadnych przeszkód i że mogą wreszcie ogłosić wiadomość o ich małżeństwie.

Wygrał. Musiała mu to oddać. Niech wszyscy się wreszcie dowiedzą. Szczególnie zależało jej na tym, by lady Amelia się dowiedziała, że to ona, Serena, jest panią Julianową Raynor i na dowód ma swój bezcenny akt ślubu. Chciał przecież tego, tak mówił. Co za diabeł zatem w niego wstąpił? Dlaczego zniknął bez śladu?

Powzięła decyzję po dogłębnym namyśle. Julian nie był typem człowieka, którego chciałaby mieć za męża. Szukała kogoś miłego, pełnego ogłady, a on był nazbyt groźny, nazbyt nieobliczalny, nazbyt... Koniec końców nie należał do tych, którymi łatwo kierować kobiecie. Zdecydowała się jednak spróbować i uważała, że to bardzo pocziwie z jej strony.

Dobry Boże! Kogo próbowała przekonać? Nie myślała nim kierować, tak jak nie dopuszczała myśli, by on mógł kierować nią. Chciała, żeby mieli wspólny dom, byli sobie towarzyszami, dochowali się dzieci, żyli razem. Nigdy nie czuła się bardziej sobą niż z nim. Z rozmysłem pielęgnował w niej to uczucie. Była zakochana i wierzyła, miała nadzieję, że i on ją kocha.

Nie obawiała się powtórki z przeszłości. Uczucie, jakie żywiła do kapitana Allardyce'a, opierało się na fałszu. Pochlebiał jej, grał na próżności, zręcznie nią manewrował, póki nie osiągnął celu, zabiegając jedynie o jej posag.

Julian w niczym go nie przypominał. Nic nie zyskiwał zachowując ich potajemne

małżeństwo w mocy. Mógł się znacznie lepiej ożenić, miał majątek, jego gwiazda wschodziła. Ślub nie dawał mu nic poza nią samą. Musi ją zatem kochać. Inaczej cała rzecz nie miałaby sensu.

Kiedy dotarli do drzwi wielkiego salonu, Jeremy ogarnął wzrokiem swoją gromadkę.

– Uśmiechnijcie się, na Boga! – warknął i zanim gospodarze wyszli im na spotkanie, wszyscy posłusznie odsłoniли garnitury perłowobiałych zębów.

Lord Kirkland jak zwykle chował się za spódnicami żony. Serena przypomniała sobie, jak wielki prześmiewca Horace Walpole rzekł pewnego razu, że kiedy całe towarzystwo drży przed hrabiną, hrabia drży przed całym towarzystwem. Serena wzięła sobie za punkt honoru powitać go z całą serdecznością, na jaką potrafiła się zdobyć, jako że i ona lękała się towarzystwa.

Lady Kirkland przeciwnie, była w swoim żywiole. Gdyby pojawił się sam książę Walii, nie mogłaby być szczęśliwsza. Zebrała u siebie zarówno kwiat angielskiej szlachty, jak i tych, których przyjmowano z racji ich zasług – ludzi wielkiego dowcipu, dramatopisarzy i znakomitości, jak Julian Raynor. Jej przyjęcie – wiedziała – na długo pozostanie w pamięci.

Julian dostrzegł Serenę, ledwie weszła do salonu. Siłą woli powstrzymał się, by do niej nie podejść i nie oznajmić wszem i wobec, że jest jego żoną. Nigdy nie wydawała mu się równie piękna. Delikatne rysy, pudrowane blond loki zaczesane do tyłu i przewiązane sznurem drobnych pereł – uosobienie angielskiej róży. Suknia z kremowego jedwabiu – jeśli sądzić wedle obowiązującej mody, prosta – sprawiała, że stroje innych dam znajdował wulgarnymi.

Wychowanie. Gracja. Wzięcie. Obserwował, jak się ku niemu zbliża, subtelnie kierowana przez lady Kirkland, i zachwyty wzbierał mu w piersi. Musiała zdawać sobie sprawę z niby to przypadkowych spojrzeń, które rzucali jej zebrani, a jednak wydawało się, iż lekceważy wzrastające zainteresowanie, z jakim oczekiwano chwili, gdy staną naprzeciw siebie.

– Skończona aktorka – szepnęła lady Amelia uczepiona ramienia Juliana.

Acz w słowach tych krył się niechętny respekt, wywołały one w głowie Juliana niemiłe myśli. „Skończona aktorka”. Zacinawszy szczęki patrzył tępo przed siebie.

Serena czuła napiętą atmosferę. Chociaż usiłowała zachowywać się naturalnie, miała wrażenie, że wszyscy widzą, jak uginają się pod nią kolana, jak zaciska z całej siły palce na wachlarzu. Tylko Jeremy trwał przy jej boku niczym wierny pies. Reszta ich gromadki, jak można było oczekiwać, odciągnięta przez rozmaitych znajomych rozproszyła się w tłumie.

Ciekawscy rozstąpili się, dając jej przejście ku Julianowi i lady Amelii. Raptem znalazła się twarzą w twarz z obydwojgiem.

– Znasz, pani, zapewne pannę Ward. – Głos hrabiny słodki był jak melasa.

Tu damy wymieniły ukłony i zwyczajowe uprzejmości.

Chociaż Serena z całego serca pragnęła spojrzeć na Juliana, szukając u niego otuchy, nie mogła oderwać oczu od kobiety tkwiącej u jego boku. Niezrównana lady Amelia. Nie potrafiła



opisać jej inaczej. Przekroczyła już trzydziestkę, a przecież swą urodą bez skazy usuwała wszystkie inne damy w cień.

Serena jakoś stawiała czoło znajomemu uczuciu niższości i raptem widmo, które nawiedzało ją przez lata, zniknęło jak egzorcyzmowane. Nie drażnił jej już nawet zapach perfum tamtej.

Jak do tego przyszło? Pojęła, że nic tak nie wzmaga pewności siebie, jak świadomość, że jest się kochaną, naprawdę kochaną. Gdyby Julian pragnął Amelii, zniszczyłby ich akt ślubu, a wybrał ją, Serenę. Nie dlatego, że miała posag, nie dlatego, że mogła wprowadzić go do towarzystwa, ale że ją wolał.

Po prostu.

Lady Amelia miała dość rozumu, by pojąć, że tym razem przegrała. Serena widziała to w jej oczach: spoglądały bez wrogości, już raczej było w nich zdumienie, jakby próbowała zgadnąć, co też Julian zobaczył w dziewczynie pozbawionej urody i stylu.

Serena poczuła, że całe napięcie ustąpiło.

– Dawno temu – odpowiedziała nawiązując do pytania lady Kirkland – lady Amelia wyświadczyła mi nieocenioną przysługę. – Spojrzała na damę. – Chyba dotąd ci nie podziękowałam.

– Jaką przysługę? – zainteresował się Jeremy.

Lady Amelia uśmiechnęła się prowokacyjnie.

– Błahostka – mruknęła. – Usunęłam... drzazgę tkwiącą w... ehm... kciuku panny Ward. Rana nie długo dokuczała, jak tuszę?

– Ani trochę – przyświadczyła Serena beztrasko i posłała Julianowi rozradowany uśmiech.

Z jego miny wносиła, że będą kłopoty. Twarz kamienna, zamknięta, nieprzenikniona. Wyczuwała jednak wściekłość kryjącą się pod maską. Czyżby dlatego, że po ostatnim spotkaniu miała na tyle przytomności umysłu, żeby się wrócić i zabrać akt ślubu. Nie z przebiegłości czy złośliwości. Lękała się po prostu, że może rzucić go w ogień, przekonany, iż wypełnia jej życzenie. Wcale tego nie chciała, ma się rozumieć, i zamierzała mu to powiedzieć przy pierwszej sposobności.

Zalała ją fala czułości. To ona była tu winna. Ona była przyczyną tego niechętnego spojrzenia, wahała się przed zrobieniem kroku, który każdej kobiecie w jej położeniu wydałby się naturalny. Wyjaśni mu wszystko.

– Panie Raynor... Julianie... Nie wiem, jak dziękować za... Ranelagh i wszystko. Prawdziwie doceniłam... doceniłam twą uprzejmość.

Odparł w równie grzecznych słowach, jednakowo jak jej pełnych znaczenia:

– Zapomnij pani, panno Ward, jak ja zapomniałem. Ciągle jeszcze deliberowała nad tą okrężną odprawą, gdy majestatyczny lokaj stukając złotą laską o parkiet obwieścił początek kolacji.

Goście zaczęli powoli przechodzić do galerii, która podczas specjalnych okazji służyła za jadalnię. Jeremy otaksował Serenę baczным spojrzeniem.

– O co tutaj idzie?

Nie czas było oświetać go teraz, kiedy miała Juliana na odległość ramienia. Przybrała nieokreślony wyraz twarzy:

– Przepraszam?

– Ty i Raynor. Catherine skłonna jest myśleć, że macie się ku sobie.

Spoglądała na Juliana i lady Amelię. Stanowili piękną parę. Dosłyszał, jak tę samą myśl wyraża na głos jakiś starszy dżentelmen.

– Raynor i ja? – Zaśmiała się, jak sądziła, dość przekonująco. – Nie mówisz chyba poważnie, Jeremy?

W kącikach jego ust pojawił się uśmiezek.

– Wiedziałem, że mogę liczyć na twój rozsądek – oznajmił podnosząc rękę.

Kiedy byli już nad stawem, lady Amelia zwolniła kroku i popatrzyła kpiąco na Juliana.

– Musiałam być ślepa, że nic nie widziałam. Nie udawał, że nie zrozumiał, o czym mówi.

– To takie widoczne? Pokręciła głową.

– Nie dla tych, co cię nie znają. Powiadam ci, Julianie, myślałam, że się spopielę w żarze, kiedyście tak stali naprzeciw siebie.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Julian posłał jej pełne uznania, serdeczne spojrzenie. Najpiękniejsza i najbardziej zmysłowa pośród znanych mu kobiet była nadto zupełnie pozbawiona zazdrości i zaborczości.

Przywołał się natychmiast do porządku. Przeklęta szarada, którą rozpoczął! Musi podejrzewać wszystkich i grać swoją rolę.

– Zdajesz sobie sprawę, że bez ślubu mieć jej nie będziesz? – zagadnęła Amelia.

Julian wykrzywił się na te słowa.

– Przyszło mi do głowy. – Zastanawiał się, co też, u diabła, Serena zrobiła z ich aktem ślubu. Później dojdzie tego.

– Jestem co najmniej... zdumiona – stwierdziła lady Amelia.

– Że mężczyzna z moją pozycją mierzy tak wysoko?

Spacerowali od czasu do czasu wymieniając ukłony z innymi gośćmi, którzy, jak oni, wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza w przerwie między kolacją i balem. Kątem oka Julian widział idące za nim niańki – trzech dżentelmenów, którzy wyszli z domu pod pozorem wypalenia w spokoju cygara.

– Z twoją pozycją? – zaśmiała się. – Julianie, jesteś teraz prawdziwym trofeum matrymonialnym, człowiekiem mającym, ustosunkowanym. Stajesz się do znudzenia szacowny.

Nie. Dziwi mnie raczej, dlaczego zajął cię ktoś taki jak panna Ward. Zawsze miałam ją za dość zimną. – Tu zaśmiała się ponownie. – Zaraz powiesz, że to moja wina.

Julian przystanął i chwyciwszy ją za nadgarstek, odwrócił ku sobie. Na bladej twarzy igrały księżycowe refleksy przydając jej zjawiskowej urody.

– Co zaszło, Amelio? – zapytał bardzo spokojnie. – Nie wiedziałaś, że była zakochana w Allardysie?

– Wiedziałam.

– Zatem?

Uwolniła nadgarstek z jego chwytu i cofnęła się o krok.

– Do czego zmierzasz, Julianie? Że zachowałam się jak potwór?

– Nie – odparł łagodnie. – Myślę, że ty go też kochałaś.

– Całym sercem – szepnęła.

– I nienawidziłaś Sereny?

Pokręciła głową.

– Nie. Żał mi jej było, jak i siebie samej. Obie nas wykorzystał. Mnie porzucił. Serena miała dość rozumu, by porzucić jego.

Spacerowali dalej w milczeniu, aż doszli do rotundy. Za nimi wielki palladiański pałac jarzył się światłami, przed nimi aż do brzegu rzeki ciągnął się trawnik.

– Dlaczegoś mnie tutaj przyprowadził? – zapytała cicho.

– Żeby się pożegnać – odparł po prostu.

– Dziwne.

– Co takiego?

– Przypomina mi to nasze ostatnie pożegnanie. Pamiętasz? Na krótko przedtem, jakeś pożeglował do Ameryki. Mam nieodparte wrażenie *deja vu*.

Pamiętał bardzo dobrze. Było to po ślubie z Sereną, kiedy to taktownie rozstał się z byłymi przyjaciółkami, a wśród nich z Amelią. Nie pożeglował wtedy do Ameryki. Został uprowadzony wbrew własnej woli. Nie mogła o tym wiedzieć, chyba że przyłożyła rękę do jego porwania. Wypowiedziane przed chwilą słowa zdawały się stawiać ją poza podejrzeniem. A może próbowała go zmylić? Boże, jakże nienawistna była mu rola, którą musiał odgrywać.

– Tak – powiedział. – I ja mam takie wrażenie.

Wrócili do domu w milczeniu.

Było już dosyć późno, gdy lord Kirkland znalazł Juliana na tarasie. Jaśnie pani, niezadowolona, że gość honorowy gdzieś przepadł, poleciła mężowi odnaleźć go i sprowadzić. Hrabia zatrzymał się, widząc, że Julian pogrążony jest w rozmowie z flrcykowatym dżentelmenem, którego nazwiska nie mógł zapamiętać, a który w pokoju bilardowym zanudzał go opowieściami o swoich plantacjach trzciny cukrowej w Indiach Zachodnich. Już miał

oddalić się niepostrzeżenie, kiedy Julian sam podszedł do niego, zostawiwszy nudziarza samego przy kamiennej balustradzie.

– Wysłano mnie, ż-żebym cię sprowadził – oznajmił jego lordowska mość zacinając się po swojemu. – Hrabina chciałaby cię w-widzieć w saloniku karcianym.

Julian nie miał ochoty, żeby gospodyni zawładnęła nim niepodzielnie, co próbowała czynić przez cały wieczór. Co innego zaplanował – przedstawienie, które ułożyli z Loukasem, a które dotyczyło głównych postaci dramatu (albo „podejrzanych”, jak nazywał ich Loukas) i miało być jak najwiedzielszym odtworzeniem rozmów sprzed dwóch lat, toczonych na krótko przed jego pojmaniem. Wreszcie nadarzyła się sposobność zamienić kilka słów sam na sam z hrabią.

– Szczerze mówiąc, wasza lordowska mość, miałem nadzieję odpocząć dzień, dwa od kart. Będę rad, jeśli poświęcicie mi chwilę.

Hrabia rzucił szybkie spojrzenie przez ramię i przysunął się bliżej do Juliana.

– Czego oczy Esther nie widzą – powiedział chichocząc konspiracyjnie – t-to serce nie boli. Och, nie myśl, że wyrzekam. Wiesz, jakie są niewiasty. Kiedy się przy czym uprze, t-trudno ją odwieść.

– Powiadają, że bardzo jest wam oddana.

– Bardzo. Jak i ja jej.

Tym sposobem do niczego nie dojdą-pomyślał Julian i przeszedł od razu do sedna.

– Lady Kirkland mówiła mi, że niewiele was ostatnio widuje i że wielkie rzeczy gotują się w ministerium wojny.

Zdarzało się, że lord Kirkland wpadał w szelmowskie usposobienie. Tak było tym razem.

– W-wielkie rzeczy? Na ten przykład?

– Och, nie mam pojęcia. Ciągłe opowiada się o jako-bickich knowaniach.

Mówili ogólnikami, kluczyli, do niczego nie doszli. Tego się Julian spodziewał. Gdy tak rozprawiając przechadzali się po ogrodzie, czuł niemal śledzące ich oczy. W jakimś momencie natknęli się na Charlesa Tremay-ne’a. Julian, jako że flirtował dzisiejszego wieczoru z Catherine, nie zdziwił się, gdy ten posłał mu mściwe spojrzenie.

Pozostał jeszcze jeden akt dramatu, który rozpoczynało wejście Sereny.

Piętro wyżej ktoś zaczął śpiewać, budząc Serenę z marzeń. Dłoń z grzebieniem zamarła, opadła. Jej sypialnia znajdowała się dokładnie pod „koszarami”, wspólnym dormitorium, w którym pomieszczono samotnych mężczyzn. Najwidoczniej młodzieńcy wyśpiewywali serenady dla swoich pań, nocujących po drugiej stronie korytarza. Pamiętała ze swoich szczenięcych lat, że podobne zabawy mogą trwać do brzasku, chyba że jego lordowska mość, wstawszy z łóżka, odczytaniem aktu o rozruchach położy kres zbyt ochotnym hałasom. Po namyśle przyszła do wniosku, że służba prędzej wezwie jaśnie panią. Kirkland, człowiek wielkiej łagodności, niewiele by wskórał. Nikt nie dawałby nań najmniejszego baczenia. Biedaczysko.

Słyszała trzaskanie drzwiami i chichoty panien. Och, być młodą i płochą, jak Letty i Clive! Niewiastom w latach, do których się zaliczała i którym nie godziło się takie zachowanie, przypadła osobna sypialnia. Młodzi nie posiadaliby się z oburzenia, gdyby przyszło im nocować z własną rodziną. Po wiejskich przyjęciach oczekiwali zabawy.

Kręcąc głową, z uśmiechem zabrała się na powrót do szczotkowania włosów, a czyniła to tak energicznie, że wkrótce nie było w nich już ani drobin pudru. Normalnie zrobiłaby to panna służąca, ale przy tej liczbie gości pokojówki miały ręce pełne roboty, a Serena była zbyt niecierpliwa, by czekać, aż która będzie wolna.

Odłożyła w końcu szczotkę, wstała od toaletki, włożyła brokatową robę. Była już prawie druga w nocy, ale nie chciało się jej spać. Wrzawa piętro wyżej narastała z minuty na minutę. Tupoty i hołubce świadczyły o tym, że młodzież ruszyła w dzikie tany. Litości, co jeszcze wymyślą?

Była też inna przyczyna bezsenności. Przez cały wieczór wyczuwała coś złowrogiego w powietrzu. Położyła się na łóżku, oparła plecami o zagłówek i zapatrzona w przestrzeń próbowała odtworzyć w myślach moment, kiedy to poczuła, że coś jest nie tak, jak być powinno. Wreszcie przypomniała sobie. Przy kolacji rozmowa zesłała na Juliana. Ktoś powiedział, jakoby słyszał, że Raynor myśli osiąść w Anglii. Gwar ucichł. Przez czysty przypadek spojrzała akurat na siedzącego naprzeciw niej Clive'a. Ręka mu drgnęła, rozlał kilka kropel czerwonego wina na śnieżnobiały obrus.

Przez chwilę obracała w myślach tę scenę, potem zaczęła szukać dalej w pamięci. Niewiele tego było, okrucy, ulotne wrażenia, które wprowadzały jeszcze większy zamęt do umysłu: lord Charles i Jeremy, uniesione gniewem głosy, wystraszona, zaszczuta mina Ca-therine, przemilczenia, rzucane chyłkiem spojrzenia, długie chwile nieobecności tych, którzy zniknąć nie powinni. Nie miała na myśli wyłącznie Letty i pana Had-leya. Jeremy'ego prawie nie

uświadczyl, a kiedy wrócił do sali balowej pod sam koniec tańców, zdawał się pochłonięty własnymi myślami.

Z Julianem może zamieniła dwa słowa przez cały wieczór. Pełno go było wszędzie, ale zdawał się równie nieosiągalny jak gwiazdka z nieba.

Trapiły ją jeszcze inne nie powiązane ze sobą epizody. Nudziarz z Indii Zachodnich, który uczepił się jej, kiedy Julian i lady Amelia wymknęli się do ogrodu, mały służący w przekrzywionej peruce. Dojrzała go tylko z tyłu, ale zdał się jej skądś znajomy.

Drgnęła słysząc głośny tupot stóp na schodach, potem łoskot trzaskających drzwi i poirytowane męskie głosy, domagające się odrobiny respektu dla nich, starców pragnących zażyć chwili spokojnego snu. Młodzi z „koszar” odpowiedzieli śmiechami i bezczelnymi gwizdami. Z tego, co doszło jej uszu, odgadywała, że młodzieńców fantazja poniosła nad staw, gdzie umyślili zrobić polowanie na łabędzie jego lordowskiej mości. Kolejne trzaśnięcia drzwiami, wreszcie tabun się przewalił i dom jakby odetchnął, zapadając w niespokojną ciszę.

Biedne panny na poddaszu zostały same, opuszczone przez swoich kawalerów. W środku nocy zdawało się, że nie czekają ich już żadne przygody. Nie doceniały męskiej pomysłowości. Dobrze pamiętała wiejskie przyjęcia, na których młodką bywała, kiedy chłopcy zbałamuciwszy w parku do brzasku, drapali się potem po dzikim winie do okien panieńskich sypialni.

Nie mogła powstrzymać chichotania. Pewnego razu przy takiej okazji spłoszone panny, zaskoczone w samej bieliźnie, wywróciły ku uciechu kawalerki nocnik. Gromkie wybuchy śmiechu mało nie zmiotły dachu. Miała nadzieję, że Clive i Letty dobrze się bawią. Ostatnimi czasy życie w ich domu było mordegą. Clive zniknął na całe dni, Letty snuła się markotna po kątach.

Nie. To niedokładnie tak. Letty z pozoru tylko zdawała się markotna. Kiedy pojawiał się pan Hadley, policzki jej kraśniały, oczy nabierały blasku. Serena ciągle nie mogła jeszcze uwierzyć, że sprawy taki wzięły obrót. Letty i Trevor Hadley? Tak różni od siebie jak bita śmietanka i pudding śliwkowy. Oby Letty wiedziała, co robi. Biedny Trevor. Uśmiechnęła się na tę myśl. Musi być przekonany, że Letty jest jeszcze młoda i miękka niczym glina, ale Serena była prawie pewna, że da mu ona popalić.

Poprawiła się z westchnieniem na łóżku i zaczęła rozmyślać o Julianie. Trzymał się z dala i jej w tym wina. Gdyby miała okazję być z nim sam na sam bodaj kilka minut, na pewno by zrozumiał.

Tu zaczęła deliberować, dlaczego to wymknął się do ogrodu z lady Amelią i czy ułożył wcześniej z panem Bowringiem, by ten zanudzał ją w tym czasie, w razie gdyby chciała pójść za nim. Jak mogłaby pójść za nim, kiedy przez cały wieczór warował przy niej Clive na zmianę z innymi członkami rodziny? Poza wszystkim duma by jej nie pozwoliła.

W każdym razie kobieca intuicja mówiła jej, że Julian nie interesuje się lady Amelią.

Uczepiła się tej myśli i już uśmiechnięta rozważała ją na wszystkie strony, póki nie uleciała jej z głowy, a ona sama nie zapadła w sen.

Obudziła się z krzykiem. Jakaś dłoń zasłaniała jej usta, tłumiąc głos. Ktoś ją przydusił całym ciężarem ciała, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Sztywna z przerażenia rozpoznała wreszcie napastnika, strach minął. Julian!

Upewniony, że nie będzie się szamotać i nie narobi rabanu, zdjął dłoń z jej ust i obrócił się na bok. Serena natychmiast usiadła w łóżku.

– Wszedłeś pewnie po dzikim winie – powiedziała żartem, chcąc rozładować napiętą atmosferę, jaka panowała między nimi przez cały wieczór. – Gdyby kto cię zobaczył, koniec z moją reputacją. – Spojrzała na niego z nadzieją, ale nie dojrzała uśmiechu.

– Nikt mnie nie widział. Bądź pewna, że twoja reputacja w niczym nie poniosła uszczerbku. Mam ci do powiedzenia coś, co tobą wstrząśnie. – Przerwał pozwalając, by przetrawiła jego słowa.

Ma zamiar zerwać z nią. Czytała to w każdym rysie zawziętej twarzy. Nie może mu pozwolić. Po prostu nie może. Nie pozwoli, do diaska.

Chwyliła jego dłonie i przygarnęła do łona. Serce poda mu na tacy.

– Julianie, kocham cię – wyszeptała.

Oczy mu zabłyśły, wydał jakiś dźwięk, ni to się zatchnął, ni jęknął.

– Ty mnie kochasz?

Nie bacząc na sarkastyczny ton, do którego w jej mniemaniu miał wszelki tytuł, przytaknęła gorliwie, i – Zawsze cię kochałam. Zawsze. Widzisz, Julianie...

Odrzącił ją.

– Dość. Nie mam czasu. A może to pułapka? – Przerwał zdawszy sobie sprawę, że omal się nie zdradził nierozważnym słowem. Nie zamierzał dopuścić Sereny do konfidencji. Cały plan zasadzał się na jej osobie, ale gdyby odgadła, że chce się nią posłużyć, nie sposób przewidzieć, co by wymyśliła.

Pułapka? To właśnie dla ciebie znaczy *Fleet mari riagel* – Już zaczynała się unosić szczerym oburzeniem.

Nie pora teraz na podobne rozmowy. Wziąwszy głębi boki oddech zaczął raz jeszcze.

– Posłuchaj mnie, Sereno. Muszę ci coś powiedzieć.

Miała ochotę zapłakać od doznanego zawodu. Po wszystkich dusznych rozważaniach, po wszystkim, co i wycierpiała, godząc się pojawić na tym upiornym wiejskim przyjęciu, on już jej nie chce. Najzwyczajniej nie dba. Ani chybi lady Amelia dopomogła mu w podjęciu decyzji. Oto do czego doszli, kiedy wymknęli się razem do ogrodu. Niech licho porwie jej kobiecą intuicję – pomyślała gotując się z wściekłości.

Rzuciła się na niego i przyparła do poduszek.

– Kochałeś się z tą Lawrence? – zazgrzytała zębami.

Julian zaczynał z lekka tracić orientację, jakby wypił i o jeden kieliszek szampana za dużo.

– Żal mi biedaczki i ty jej też powinnaś żałować, Sereno. Jak możesz mnie oskarżać o takie rzeczy po wszystkim, co było między nami? – Ryknąłby, gdyby nie musiał tłumić głosu.

Odpowiedź ani chybi została przyjęta łaskawie, jako że Serena wycisnęła wilgotny pocałunek na jego wargach. Po chwili tych miłych zajęć Julian oderwał usta.

– Wysłuchasz mnie wreszcie, do krośset?!

– Nie chcę słuchać.

– Sereno – powiedział ostrzegawczo i jęknął słysząc, że śmieje się niczym trzpiotka.

Na jego oczach przeistaczała się w Victorię, ta zaś była ostatnią osobą, którą chciałby widzieć w tym akurat momencie.

– Victorio, bądź rozsądna.

Mógł prosić. Ściągała już z niego odzienie.

– Tego chcę – zaniósła się.

– Chwycił ją i potrzęsął za ramiona, przywołując do porządku.

– Próbuję być dżentelmenem, ty rozpustne ladaco.

Uwielbiała, kiedy tak się z nią przekomarzał.

– Dżentelmen! – prychnęła. – Jak więc to wytłumaczysz? – Pieszczotliwie dotknęła pokaźnego nabrzmienia, gotowego rozsadzić spodnie.

Z wolna przestawał nad sobą panować. Ostatnim heroicznym wysiłkiem próbował jeszcze wspomnieć na przyczyny, które go tu przywiodły.

Używszy swoich wpływów, Loukas zdobył prawdziwy nakaz aresztowania wystawiony na nazwisko Juliana. Mieli go pojmać prawdziwi żołnierze i postawić przed obliczem prawdziwego sędziego pokoju. Jego kolejne zniknięcie musi mieć wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

– Victorio, nie rób tego. Możesz potem żałować. – Kiedy to mówił, szukał wzrokiem zegara, chcąc zmiarkować, ile czasu mu zostało. Powinni jeszcze zdążyć.

– Nigdy nie będę żałować – zapewniła uroczo i zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami.

– Jezu – westchnął Julian. – Zwariowałem. Poddaję się. Bierz mnie, Victorio. Byle szybko, na Boga.

Nie miała pojęcia, że Julian popatruje na zegar. Wiedziała tylko, że gorący z niego i żarłoczny kochanek, którego może nasycić niekiedy tylko szybka obłapka. Nie tracąc chwili, wzięła się skwapliwie do guzików koszuli.

– Nie mamy na to czasu – oznajmił. – Bierz mnie już, Victorio. Chcę być szybko w tobie.



Jej zmysły nie pozostały obojętne na te namiętne słowa. Rozpięła czym prędzej guziki spodni i już tkwił w jej dłoni jedwabisty, wzwiedziony członek.

Delektując się, że tak łatwo przywiodła Juliana do zapomnienia, chciała przedłużyć lubą chwilę. Ale że jemu było nic po tym, nim jeszcze pojęła intencje nie mogących zaznać spokoju rąk, nasadził ją na siebie i zęby zacisnął z rozkoszy. Pasowali bowiem do siebie niczym dłoń do rękawiczki.

Już miała go zbesztać za tę popędliwość, kiedy pojęła awantażę swojej pozycji. Była górą.

Zobaczył w jej oczach uznanie. Posłała mu triumfalny uśmiech, odpowiedział wyszczerzając zęby.

– Tak. Jesteś dżokejem, ale sztuka w tym, żeby spasować się z wierzchowcem. Potrafisz, Victorio?

Natychmiast podjęła wyzwanie. Kiedy zaczął się poruszać, ona mu wtórowała. Przyspieszył. Dotrzymywała tempa. Łeb w łeb, na złamanie karku gnali do mety. Ciągłe jeszcze czuł leciutkie skurcze jej łona, kiedy w końcu z niejakim ociąganiem wysunął się spod niej. Wreszcie udało mu się na kilka minut zmusić ją do milczenia, Ogarnął się, po czym wybudził ją z drzemki.

– Muszę iść, Sereno.

– Iść? Dokąd? – Próbowała przyciągnąć go do siebie. Z upływem każdej minuty w jego głosie narastała prawdziwa desperacja.

– Nie mamy czasu. Musisz mnie wysłuchać. Nagłaçe słowa przebiły się wreszcie przez zmysłowe omdlenie.

– Co jest, Julianie?

Przyszli po mnie ludzie z milicji, jak ostatnim razem. Przyszedłem powiedzieć ci o tym. Nie oczekiwałem ich tak wcześnie. Słyszysz?

Nadstawiła czujnie uszu, usiadłszy w łóżku z przerażoną miną.

– Mylisz się pewnie. Jakże...?

– Posłuchaj.

Trzaskanie drzwiami, nawoływania.

– To tylko chłopcy z „koszar” dokazują po nocy – powiedziała niepewnie.

– Nie. Tym razem ostrzeżono mnie, że przyjdą dzisiejszej nocy.

– Kto ostrzegł?

– Przyjaciel. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Ale... Coś zrobił?! – krzyknęła.

– Mówią, że zamordowałem człowieka. Nelsona Bloggsa. Słyszałaś o nim kiedy? – Obserwował ją bacznie.

Pokręciła głową.

– Jestem, rzecz jasna, niewinny. I tym razem oskarżenie fałszywe. Nie spoczna, dopokąd

się mnie nie pozbędą.

– Nie rozumiem. Kim są ci „oni”?

– I ja chciałbym wiedzieć. Posłuchaj, Sereno, muszę się ukryć. Nienawistne mi mieszać cię w tę awanturę, ale do nikogo innego nie mogę się zwrócić. Pomożesz? Mogę aż tyle żądać?

Napłynęły do niej z powrotem wszystkie niejasne przeczucia katastrofy. Każdym porem skóry wczuwała się w niebezpieczeństwo, skryte pod wesołością i zabawą. W tym domu działały jakieś groźne siły, które sprzysięgły się przeciw Julianowi Raynorowi.

Padła mu w ramiona.

– Zrobię dla ciebie wszystko, Julianie. Wszystko. Wiesz przecież.

– Pomożesz zatem?

– Powiedz tylko, co mam zrobić.

Serena zerknęła po sali gospody „Pod Strzechą” z przemożnym uczuciem *deja vu*, jakby wszystko zatoczyło pełne koło, a ona cofnęła się w czasie do tego wieczoru, kiedy spotkała po raz pierwszy Juliana. Nawet grający w karty wyglądali znajomo, młodzi aktorzy i aktorki z pobliskich teatrów. Był i Flynn. Siedział naprzeciw niej za stołem, starszy o dziesięć lat za sprawą okularów w drucianej oprawie, wpatrzony w rozdawane przez siebie karty.

Jej kostium był znacznie powściągliwszy niż wcześniejsze przebranie. Wzięła sobie do serca nauczkę. Nie udawała już aktorki, lecz cnotliwą pokojówkę gołębiczką, i gdyby ktoś spytał ją, jak się zowie, miała gotową odpowiedź. Kolombina Cnotka. Miała też zamiar okazać się godną tego imienia.

Palce jej drżały okropnie, kiedy wzięła karty. Wtedy była zdenerwowana, dzisiaj nie może sobie pozwolić na nic podobnego. Tym razem szło przecież o Juliana, a nie o jakiegoś jakobickiego zbiega, którego nawet nie знаła.

Boże, gdyby to był tylko koszmar senny, gdyby mogła się obudzić i stwierdzić, że wszystko jest, jak było przed najściem milicji na dom Kirklandów. Czy uda się jej zapomnieć kiedyś to morze kamiennych twarzy, z jakimi goście zebrani w wielkim salonie wysłuchali ponurych nawoływań lorda Kirklanda, by każdy, ktokolwiek wie o miejscu pobytu Juliana, pospieszył z informacjami, jako że ich zatajenie jest wykroczeniem przeciw prawu i podlega karze. Nie wiedziała dokąd, gdzie się schronił. Dał jej tydzień na przygotowania, tak by mogła uruchomić na nowo szlak przerzutowy i zorganizować jego ucieczkę z Anglii.

„Spotkamy się o zmierzchu, od dzisiaj za tydzień, w gospodzie «Pod Strzechą»„. Pożegnał ją tymi słowami, po czym ześliznął się z parapetu okna i zniknął w ciemnościach.

Przedtem dał jej jeszcze rozmaite instrukcje, napominając, by nikomu nie ufała, nie wspominała przy nikim jego imienia, gdyż jego życie od tego zawisa.

Dobry Boże, kim są ci „oni”? Bezimienni, pozbawieni twarzy wrogowie, którzy się przeciw niemu przysięgli. Co on takiego uczynił, że wzbudził podobnie zapiekłą nienawiść? Miałby przed nią jakie sekrety? Wdał się w spiski i knowania, o których nie wiedziała? W głowie się jej mąciło od nieprawdopodobnych domysłów, ciągle wszak nie znajdowała odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Ty wychodzisz.

Głos Flynnna wrócił ją do rzeczywistości. Rzeczywiście wzięła wszystkie lewy, kiedy jej umysł błędził gdzieś daleko? Najwidoczniej.

Flynn oczywiście od razu się domyślił, że to Julianowi mają pomóc w ucieczce. Nie miało to znaczenia, jako że całkowicie ufała Flynnowi. Gdyby to było możliwe, ułożyliby wszystko

sami, nie dopuszczając nikogo do tajemnicy. Ale że nie mieli żadnych kontaktów ni środków, by zapewnić Julianowi bezpieczny przerzut, musieli wtajemniczyć Clive'a. Do pewnego punktu. Z lęku, że im odmówi, nie wyznali, kim jest „pasażer”. Wedle kodeksu Clive'a jakobici byli ludźmi honoru, morderców zaś stawiał poza nawiasem społeczeństwa. Julian nie był jednak mordercą i gdyby miała pewność, że zdoła przekonać Clive'a, gorąco by się za nim wstawiała.

To Flynn wpadł na pomysł, jak wybrnąć z dylematu. Poszedł do Clive'a i poprosił o pomoc, powołując się na dług wdzięczności, który Clive był zaciągnął u niego, za przerzut jakobickich zbiegów. Tym razem on, Flynn, musi wyekspediować z Anglii swojego kamrata.

Clive miał opory, w końcu jednak Flynnowi udało się go przekonać. Kiedy dzisiaj wieczorem umieszczą Juliana w bezpiecznym miejscu, Clive dowie się, że został wystawiony do wiatru, ale wtedy za późno będzie się wycofać, ona zaś się postara, by to zrozumiał, choćby i pod groźbą ujawnienia sprawy. Musi pomóc Julianowi. Musi.

Kiedy otworzyły się drzwi baru, serce skoczyło jej do gardła. Weszło dwóch służących w liberii, szukających schronienia przed gęstą mgłą, która unieruchomiła miasto. Gdzieś tam tylko przemykała jakaś zblakana lektyka, nie znalazłby powozu do wynajęcia. Tym lepiej. Gdyby coś poszło nie tak, mgła utrudni pościg. Z drugiej strony mieli coraz mniej czasu i już zaczynała się martwić, czy Julian nie zgubił się we mgle. Co robić?

Już miała podzielić się jakoś swoimi niepokojami z Flynnem, kiedy któryś z gości, chcąc płacić, zawołał na gospodarza. Z bijącym sercem obróciła się na krześle. Julian! Chociaż siedział w półmroku niewielkiej wnęki, od pierwszego wejrzenia wiedziała, że to on. Nie pofatygował się nawet przebrać. Albo coś niedobrze z jej głową, albo ten człowiek jest beznadziejnie niefrasobliwy. Nieobliczalny. Zuchwały. Czyż nie wiedziała o tym od początku? I jeszcze się uśmiecha na jej widok.

Zjawił się tutaj przed nimi i kiedy ona wpatrzona w drzwi siedziała jak na szpilkach, oczekując jego nadejścia, on patrzył sobie na nich, zjadając w spokoju sutą kolację. Musi mieć nerwy ze stali. Jej własne były w strzępach.

Szybkie spojrzenie na Flynna powiedziało jej, że doskonale wiedział o obecności Juliana. Rozgrywana partia zbliżała się do końca i Flynn dawał do zrozumienia, że on i jego „narzeczona” muszą pożegnać nowo poznanych przyjaciół. Serena pojęła aluzję. Gęsto się usprawiedliwiając, obiecując spotkanie któregoś wieczoru, pozwoliła Flynnowi wyprowadzić się z gospody. Na ulicy chwilę marudzili, niby to niepewni, kędy się skierować w gęstej mgle. Po minucie dołączył do nich Julian.

– Akuratnieśmy wycyrklowali – oznajmił Flynn.

– Nieprawdaż? – przyświadczył Julian. – Dokąd teraz, Flynnnie?

– Do podziemi, do rzymskich ruinów.

Serenie tchu brakło, żeby coś powiedzieć. Teraz, kiedy był z nią Julian, tak blisko, na

wyciągnięcie ręki, dały znać o sobie lęki i obawy tłumione przez ostatni tydzień. Trzęsa się jak galareta.

– Nie od razu cię rozpoznałem. Spodziewałem się ciemnowłosej damy. – Musnął palcem jej jasne loki. – Wiesz, co mam na myśli, Victorio Noble.

– Nie – odpowiedziała Serena. – Dzisiaj jestem Ko-lombina Cnotka.

– Tchórz – zaśmiał się Julian.

Flynn popatrywał to na jedno, to na drugie.

– Nie chce się wtrónać, ale trzeba nam ruszać w drogę.

Julian wyciągnął dłoń do Sereny. Chwyliła ją, jakby z jej uścisku czerpała otuchę. Tyle było do powiedzenia, tak niewiele zostało im czasu.

– Nie miałem pojęcia – odezwał się Julian – że te podziemne przejścia są tak rozgałęzione. – Podniósł wyżej latarnię i poświecił do tyłu, skąd przyszli. – To wszystko rzymskie ruiny?

Stali u podnóża schodów, czekając, aż Flynn da im znak, że droga wolna i mogą wyjść na powierzchnię.

– Flynn tak twierdzi, ale ja wątpię. Są bardzo stare, tyle mogę powiedzieć.

Skinął głową.

– Anim się też spodziewałem, że tylu ludzi spotkamy po drodze. Niczym na promenadzie.

– Niezupełnie. Nikt tu nikogo nie pozdrawia, każdy ma coś do ukrycia.

Zachodziła w głowę, dlaczego prowadzą tę pustą rozmowę, kiedy tyle ważkich rzeczy jest do powiedzenia, a gdyby nawet nie znaleźli słów na ich wyrażenie, niechby przynajmniej wziął ją w ramiona i pocałował.

– Julianie, ja...

Odezwał się w tej samej chwili.

– Wiesz, Sereno, że nigdy nie mogłem się nadziwić, że tyle ci dają swobody.

– Co?

– Wychodzisz, kiedy chcesz. Nie znam innej damy, która zażywałaby podobnej wolności. A przecież jesteś i dobrze urodzona, i niezamężna. Co, u licha, myślą sobie twoi bracia, że tak cię puszczają samopas?

– Na litość boską, Julianie. Nie jestem zieloną dzierlatką. Mam dwadzieścia pięć lat i nie trzeba mi niańki. – Mówiła ostrym tonem, nie dlatego, że Julian jej przygarnął, ale że nazwał ją „niezamężną”. – Jeremy dość ma głowę zaprzątniętą, żeby związać koniec z końcem. Toniemy w długach, które zostawił ojciec. Wiesz, czym w tej chwili zajmuje się mój brat?

– Sereno, przykro mi, że wspomniałem o tym. Skończmy, dobrze?

Próbowała powściągnąć emocje, co okazało się ponad jej siły. Była roztrzęsiona, zdenerwowana, ostatnia uwaga dopełniła miary.

– Jeremy jest w Riverview, pokazuje majątek chętnemu do dzierżawy. Trzeci dzierżawca w tym roku. Gdyby znalazł kupca na dom przy Buckingham Street, chętnie by się go pozbył. Jego własna żona i dzieci prawie go nie widują, a ty go oskarżasz, że zaniedbuje siostrę, która od dawna już jest panią samej siebie.

Kiedy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wiedziałem, że sprawy stoją tak kiepsko.

– A skąd miałbyś wiedzieć? My, Wardowie, potrafimy robić dobrą minę do złej gry. Nikt nie wie.

– Przepraszam, Sereno. Naprawdę wybacz.

– Przeprasiny przyjęte.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Julian rzekł lżejszym już tonem.

– Nie najlepsza pogoda na pokazywanie posiadłości.

– Jeremy ani chybi klnie mgłę. Dopóki się nie przetrze, musi tkwić w Riverview – powiedziała zmuszając się do uśmiechu.

– To samo można powiedzieć o mnie. Dopóki mgła nie opadnie, będę tkwił w porcie.

– Znaleźliśmy ci schronienie. Nie, wiemy, co robimy. Przeczekaś tam bezpiecznie do chwili odjazdu.

Podnieśli głowy słysząc drapanie kamieniem o kamień.

– Droga wolna. – Doszedł ich stłumiony głos Flynna. Ruszyli w górę, Serena przodem.

Dom, w którym Clive wynajął pokoje, nie różnił się niczym od tych, z których korzystali w przeszłości.

Chociaż zaniedbany, sprawiał wrażenie przyzwoitego; był korzystnie położony, o rzut kamieniem od doków. Flynn został na zewnątrz na czatach, Julian i Serena weszli na drugie piętro.

– Skąd braliście pieniądze na wynajmowanie tych schronień? – chciał wiedzieć Julian.

Nie pytał dla podtrzymania rozmowy, w każdym razie Serena inaczej to rozumiała. Był ostrożny i miał po temu prawo.

– W Oxfordzie jest grupa sympatyzująca z jakobitami, oni łożą pieniądze. Więcej nie wiem.

Widząc, że zadowolili ją ta odpowiedź, zapukała do drzwi w umówiony sposób. Sygnał był prosty, trzy krótkie uderzenia, ale Julian pomimo to uniósł brwi.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i znaleźli się w ciemnym korytarzu.

Zapadła niezręczna cisza, kiedy Clive'owi odjęło mowę. Po chwili uśmiechnął się.

– Byłem niemal pewien, że to będziesz ty, panie – powiedział odbierając od Juliana pelerynę. – Nie wiem, czemu Serena i Flynn robili z tego taki sekret.

– Za moim poduszczeniem – odparł Julian. – Mimo że nie ciebie miałem na myśli, kiedy

wymogłem na Serenie dotrzymanie tajemnicy. Nie odmawiasz więc pomocy?

– Po tym, jakżeś wyświadczył przysługę mojemu przyjacielowi? Będę sobie poczytywał to za honor. Tędy, panie.

Wprowadził ich do małej bawialni, w której stał stół, dwa krzesła i przypadkowa zbieranina wyściełanych gratów. Serena skierowała się w stronę krzesła.

– Nie siadaj – zaproponował Julian. – Nie zostaniesz tutaj. – Po czym zwrócił się Clive’a: – Twojemu przyjacielowi? Ach, idzie o lorda Alistaira? Teraz sobie przypominam, że ty i sir Jeremy byliście wtedy we Francji. Smutna historia. Spodziewam się, że lord Alistair spotkał się tam z wami?

Clive odchrząknął.

– Tak, w istocie. Widzieliśmy się.

– Co to znaczy, że nie zostanę? – zapytała Serena. – Myślałam, że wypiję z wami kieliszek wina. – Tu wskazała na otwartą butelkę stojącą na stole. – To niemal rytuał. Zawsze wychylałyśmy szklaneczkę wina, zanim wyprawimy naszego „pasażera”.

– Nie. Twoja rola skończona. Będę spokojniejszy wiedząc, żeś już bezpieczna w swoim łóżku. Wybaczysz nam, Clive? Jeden moment.

Każde kolejne słowo kładło się coraz większym ciężarem na sercu Sereny. Lękała się tej chwili. Odsyła ją i Bóg wie, kiedy znowu go zobaczy.

W korytarzu odwrócił ją ku sobie. Była tak zrozpaczona, że dopiero po chwili zaczęła pojmować, co do niej mówi.

– ...zostań tam. Rozumiesz? Nie chcę, żebyś rozplątywała jakieś tajemnice, nie chcę, żebyś nadstawiała karku. Jeśli to będzie możliwe, pošlę po ciebie. Jeśli nie, zapomnij o mnie. Przyrzekniesz mi coś?

Potaknęła, z gardła dobyło się krótkie, zdławione łkanie.

– Nie pozwól odejść Victorii. Nie trzymaj jej w zamknięciu. Jest częścią ciebie, Sereno. Ufaj jej. Wie, co jest dla ciebie dobre. Wam obu trudno się oprzeć. Ja przynajmniej nie umiem.

W oczach zalśniły łzy.

– Przyrzeknij mi! – nalegał.

– Ja... przyrzekam.

Jego pocałunek był tylko delikatnym jak szept muśnięciem. Chciała czegoś innego, głębszego, co uniosłaby na zawsze w pamięci. Przywarła do niego.

– Powoli, powoli – pohamowywał ją. – Nie utrudniaj nam obydwójgu tej chwili.

Zanim zdążyła się zorientować, była już na ulicy w ramionach Flynnna.

– Zabierz ją stąd – polecił Julian i trzasnął jej drzwiami przed nosem.

– Och, Julianie – westchnęła wpatrując się w drzwi, – Och, Julianie.

Tymczasem Clive rozlał wino do kieliszków. Mimo że Julian był przygotowany na to spotkanie, znajdował w Clivie coś odpychającego, co sprawiało, że czuł się jak owca idąca na rzeź. Powiadając sobie, że już za późno się cofać, przyjął oferowany kieliszek i usiadł w miękkim fotelu. Jeśli tamten chce go uśpić, niech przynajmniej nie rozbije sobie głowy o twardy kant jakiegoś mebla.

Modląc się w duchu, by wszystko poszło zgodnie z planem i mgła nie pokrzyżowała szyków Loukasowi i jego „milicji”, upił odrobinę wina.

– Co teraz? – zapytał.

– Muszę cię stąd wyprowadzić.

– To wiem.

– Nie. – Clive wychylił swoje wino dwoma haustami i nalał sobie ponownie. – Nie rozumiesz. Muszę wyprowadzić cię z tego domu dzisiejszej nocy.

Julian powoli sączył swój napitek.

– Doprawdy? Myślałem, że to bezpieczne schronienie.

– Może tak, może nie. Zbyt wielu ludzi się tu kręci, żebyś mógł pozostać dłużej, a znowu przy tej mgłę trudno powiedzieć, czy jaki statek wyjdzie z portu.

– Masz zamiar umieścić mnie gdzie indziej?

Clive skinął głową.

Dziwne – pomyślał Julian – chłopak z każdą chwilą staje się coraz bardziej opryskliwy.

– Spodziewam się – powiedział na głos – że ty i twoi oksfordzcy przyjaciele zadbaliście o wszystko.

Clive zrobił zdumioną minę.

– Serena ci powiedziała?

– Powiedziała.

– Nie ma żadnych oksfordzkich przyjaciół.

– Nie?

– To tylko przykrywka. O Boże, nie wierzę... – Przerwał i szarpnął żabot, jakby go dusił. – Nie wolno mi nic mówić.

– Są więc inni?

– Mam cię do nich zaprowadzić. Bez obaw. Nie spuszczę cię z oka. Nie skrzywdzą cię. Tylko że... są ostrożni, szczególnie o tym czasie.

Nic chyba nie dosypał do wina. Julian upił solidny łyk.

– Uspokajasz mnie.

– Jezu, strasznie tu gorąco. – Clive wstał i podszedł ciężko do okna. Otworzył je, wciągnął głęboko świeże powietrze i wrócił na swoje miejsce. – Nie czujesz? – Poluzował żabot.

– Teraz, kiedyś o tym wspomniał, tak. Powiedz, na co czekamy?



– Na powóz. Oni mają przysłać po nas powóz.

– Rozumiem. Kim są ci „oni”?

Clive opróżnił kieliszek do końca.

– Jakies tanie wino. Zostawia goryczkę na języku. – Przetarł dłonią oczy.

– Dużo tego wypileś przed naszym przyjściem? – zapytał Julian.

– Kieliszek, dwa. Dlaczego? – Clive spojrział na swoją szklanicę, potem na Juliana. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

– To wino, prawda? Dosypałeś czegoś?

– Ja nie.

Clive zamknął oczy.

– Nie! Nie zrobiliby tego! Nie zrobiliby! – Podniósł się, zrobił kilka chwiejnych kroków i osunął się nieprzytomny na podłogę.

Z każdym krokiem, który oddalał Serenę od Juliana, nogi ciążyły jej coraz bardziej, jakby były z ołowiu. Zapadała się w wielką pustkę.

– Co sie tak ciongniesz? – poganiał Flynn. Podniósł latarnię i czekał chwilę, aż się z nim zrówna. – Mamy jeszcze kawał drogi.

Serena skinęła głową i zmusiła się do wysiłku. Po chwili stanęła.

– Co z tobom?

– Flynnie – powiedziała zniżając głos. Znaleźli się w jakimś ciemnym, zakazanym zaułku.  
– Chcę wrócić.

– Jaki bies cie naszedł?

Chwyła go za ramię.

– Julian powiedział coś takiego. Jakby myślał, że nie ujdzie żywy.

Głos Flynnna złagodniał.

– Nigdyśmy nie stracili „pasażera”. Wiesz dobrze.

– Wiem, ale...

– Ale co?

Wahała się jeszcze przez chwilę, wreszcie podjęła decyzję.

– Chcę jechać razem z nim.

– Co? O, nie, moja panno. Dostałem polecenie. Mam zaprowadzić cię do domu i pilnować, aż będzie po wszystkim.

– Wiem, że mi dobrze życzysz, Flynnie, tak samo jak Julian, ale czy nie widzisz, że bez niego nie ma dla mnie przyszłości? – Niemal połykała słowa, tak spieszno było jej przekabacić go na swoją stronę. – Raz już przez to przeszłam, drugi raz po prostu nie podołam. Zamartwiać się, gdzie jest, zgadywać, czy żyje, czy już martwy. Nawet ten miniony tydzień wydaje się

piekłem. Na co mi zostawać w Anglii? Pan Hadley mnie nie kocha, Letty i Clive nie potrzebują. Jestem niczym panna respektowa, Flynnie, i bez Juliana taką już zostanę póki życia. Tego chcesz dla mnie?

– Major pośle po ciebie – zaczął Flynn, jakby recytował wyuczoną kwestię. – Tak mówił. A choćby było, jak powiadasz, za nic mu nie przetłumaczysz, żeby wzioł cie z sobom.

– Być może, ale muszę spróbować. Wiesz, że dotąd nie powiedział mi, że mnie kocha? Niech przynajmniej to od niego usłyszę. Skoro mam umrzeć starą panną, chcę wiedzieć, że bodaj raz w życiu byłam naprawdę kochana.

– Serena! Czekaj no! – Flynn kłął w rozpacz, widząc, jak zawraca. Nie wyjdzie jej to na zdrowie. Major nigdy się nie zgodzi, żeby ryzykowała życie. Co powinien zrobić?

Miał tylko dwie możliwości. Albo zarzuci ją sobie na plecy i zanieś do domu siłą, albo pójdzie razem z nią.

Wzywając wszystkich bogów przeciwko kobietom w ogólności, a Serenie w szczególności, ruszył za nią.

Co, u krośset? – Loukas wyrżał przez okno najętego powozu. – Niech mnie diabli! Tego być nie miało! – Dwaj towarzysze konstable podążyli za jego wzrokiem.

Harry pierwszy pojął.

– Myślisz, że to Flynn i dziewczyna? Jak możesz coś dojrzeć w tej przeklętej mgle? Ja widzę tylko kobiecą i męską postać.

– Mylisz się pewnie – powątpiewał Parker. – Odegrali już swoje. Czemu mieliby teraz wracać?

– Nie wiem – odparł rozżołądkowany Loukas. – Chyba że siedzą w tym po uszy. Nie. Nie daję temu wiary! A jeśli o tamto idzie, frymusny przydziejek Flynnna wszędzie poznam.

Harry gwizdnął.

– Co teraz?

– Musimy się ich pozbyć, zanim pojawią się prawdziwi złoczyńcy.

– Zdaje mi się – zauważył Parker – że już za późno. Trzej dzentelmeni zamilkli nasłuchując zbliżającego się stukotu kół na kocich łbach. Obok nich przejechał powóz, skręcił za róg i tam się zatrzymał.

– Co dalej? – zapytał Parker.

Loukas wziął głęboki oddech.

– Damy im pięć, góra dziesięć minut i pójdziemy za nimi.

– A Flynn i dziewczyna?

– Muszą zdać się na los, jak Julian.

Flynn stanął na czatach, Serena zaś pobiegła na górę do pokoi wynajętych przez Clive'a.

W podnieceniu zapomniała umówionego sygnału, który sama wymyśliła, i zaczęła bębnić w drzwi. Jakiś nędznie odziany doker, który schodził po schodach, zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

– Ja... nie mogę znaleźć klucza – powiedziała usprawiedliwiająco i zaczęła łomotać jeszcze gwałtowniej, na dobre już zaniepokojona. – Clive! Clive! Otwórz. Słyszysz mnie? To ja, Serena.

Zza drzwi doszło ją przekleństwo. Sąsiad postąpił krok w jej stronę, gdy szczęknął przekręcany klucz w zamku. Wpadła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przedpokój tonął w mroku. Przecisnęła się koło brata i ruszyła do bawialni.

– Zmiana planów... – oznajmiła. – A przy okazji, nie podoba mi się twój sąsiad. Dziwny jakiś... podejrzliwy...

Słowa zamarły jej w gardle. Julian z kneblem w ustach, z zamkniętymi oczami, rękami skrepowanymi na plecach. Clive rozciągnięty bezwładnie na fotelu. Clive!

Okręciła się na pięcie w stronę tego, który ją wpuścił.

– Dlaczego nie napiłaś się wina? – zapytał. – Zawsze to robisz.

Oślupiała z wrażenia zakneblował i związał, zanim zdążyła stawić żalostny opór.

To głos Sereny, raz uniesiony gniewem, raz płaczliwy, przywrócił Juliana do przytomności. Musiał wydać jakiś dźwięk, bo przerwała swoje oracje i przyklękła obok jego krzesła.

– Wypij to – poleciła i przytknęła brzeg kubka do jego ust.

Głowa zdawała się zbyt ciężka dla karku, nogi z waty, ale przynajmniej zdjęli mu knebel. Zgiął nadgarstki. Ręce też rozwiązali. Musieli czuć się bardzo pewnie, skoro nie był dla nich zagrożeniem. Diabła! Nie był żadnym zagrożeniem. W tej chwili nie byłby w stanie zdziąć nawet kapoty.

Powoli podniósł powieki i rozejrzał się. W świetle francuskiego okna wychodzącego chyba na taras rysowały się sylwetki dwóch mężczyzn. Chociaż na zewnątrz był dzień, mgła jeszcze się nie podniosła, w pokoju zapalono świece. Zobaczył biurko i półki wypełnione książkami. Potem dostrzegł Serenę.

– Pij – powtórzyła.

Wziął od niej kubek i ostrożnie posmakował zawartość. Woda, czysta, krystaliczna woda. Wypił do ostatniej kropli. Dwaj dżentelmeni podeszli bliżej. Rozpoznał jednego. Drugiego nie znał, ale miał przeświadczenie, że gdzieś w głębi duszy wie, kim jest.

– Sir Robert Ward. Albo jego duch. Jak się miewasz, Jeremy, cóż za niespodzianka. Czy ta chytra zabawka, którą trzymasz w dłoni, byłaby pistoletem? Jeśli tak, będę zobowiązany, jeśli go opuścisz. Dzięki. A więc to musi być... – raz jeszcze się rozejrzał – musi być Riverview.

Jego prześladowcy wymienili przeciągłe spojrzenia.

– Czy wystawicie sobie – ciągnął Julian poprawiając się na krześle – żem się tego zupełnie nie spodziewał? Byłem pewien, że za całą sprawą stoi lord Charles albo nawet lord Kirkland.

– Julianie – odezwała się Serena. – Jestem równie wstrząśnięta jak ty. Kiedy weszłam tutaj kilka minut temu, nie chciałam wierzyć własnym oczom. Żeby mój własny ojciec, mój własny brat tak mnie podeszli! Naprawdę myślałam, że papa nie żyje. Przysięgam, Julianie.

Rejestrował słowa Sereny zaledwie częścią świadomości, ogarniało go uniesienie na myśl, że jest niewinna, ale naprawdę pochłaniał widok człowieka, którego niegdyś poprzysiągł doprowadzić do ruiny. Sir Robert, mężczyzna potężnej postury, w odróżnieniu od obdarzonego naturalnym wdziękiem Jeremy'ego, miał w sobie twardość wojaka. Jastrzębia twarz, przenikliwe, czujne spojrzenie. Julian nie miał cienia wątpliwości, że ten człowiek potrafi panować nad sobą, zawsze potrafił, i zmierza do celu jasno wytyczoną drogą.

– A więc ty jesteś Raynor – przemówił sir Robert. – Powinieneś być zostać w Ameryce. Głupcem jesteś, żeś wrócił.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje? – zażądała Serena podniesionym głosem.

– Co ona tutaj robi? – chciał się dowiedzieć Julian.

Jeremy udzielił mu odpowiedzi.

– Musiałem ją tutaj przywieźć. Odkryła, że cię pojmała.

Julian rozważał przez chwilę tę informację.

– A Clive i Flynn?

Nie kłopotuj się. Żadna krzywda się im nie stała. Serena uznała za właściwe uzupełnić to lakoniczne stwierdzenie.

– Clive jest na górze, pilnują go, a Flynn... – tu zebrała odwagę, by wypowiedzieć kłamstwo – cóż, odesłałam go wczorajszego wieczoru do domu, kiedy postanowiłam, że muszę zobaczyć wszystko do końca.

Sir Robert sarknął coś kpiąco, Serena spojrzała na niego. Ciągle była oszołomiona odkryciem, że ojciec nie tylko żyje, ale przez ostatnie dwa lata rozmyślnie, bez żadnych względów, pozwalał jej trwać w przekonaniu, że umarł.

– Papo, dlaczego? Dlaczego udawałeś nieżyjącego? Korona cię ulaskawiła. Mogłeś swobodnie wrócić do Anglii. To nie ma sensu.

– Ależ ma – wtrącił Julian. – Weź pod uwagę, że sir Robert Ward, najbardziej zatwardziały ze wszystkich jakobitów, pozostawałby pod stałym nadzorem. – Wypowiadał na głos przychodzące do głowy myśli. – Byłby lepszy sposób odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, jak otrzymać akt łaski i wkrótce potem zapaść na śmiertelną gorączkę? Cóż za nieszczęście! Jaka tragedia! Jaki przedni pomysł! Przez cały ten czas sir Robert mieszkał tutaj, w Riverview, kierując wszystkim zza grobu, by tak rzec. Naturalnie nikt się nie dziwił częstym wyjazdom Jeremy'ego do wiejskiej rezydencji. Dbał przecież o interesy, pokazywał posiadłość potencjalnym dzierżawcom. Teraz, kiedy o tym myślę, widzę, że to idealne miejsce dla konspiratorów. Blisko Londynu, a przy tym położone nad rzeką dającą dostęp do wybrzeża, skąd już droga wolna do Francji.

– Po co Jeremy miałby popierać jakobicką sprawę? – zawołała Serena. – Nigdyśmy z Clive'em nie mogli go dopuścić do tajemnicy, taki był nieugięty wobec jakobitów.

Chciał, żebyście w to wierzyli – mówił Julian. – Nie widzisz, że grał? Gdybyście znali prawdę, moglibyście nieopatrznie się zdradzić. Nie chciał ryzykować. Jest zbyt ważną dla Sprawy osobą, gdy ty i Clive byliście tylko płótkami. Pomagaliście zaledwie nieszczęsnym zbiegom wydostać się z kraju, wasz brat zaś po uszy tkwił w spisku.

Przyglądała się bratu.

– Jeremy, to nie może być prawda. Powiedz, że nie.

– Zastanów się, Sereno – ciągnął Julian. – Kto przekazywał wam zbiegów? Nie, nie było żadnej kamaderii w Oxfordzie. Tylko Jeremy. Przez cały czas Jeremy, a za nim stał twój ojciec. Och, może ktoś pośredniczył, ale to oni kierowali wszystkim.

– Robiłem, co było konieczne dla Sprawy – oznajmił Jeremy.

Pobladła jak pergamin. Przypomniała sobie rozmowy przy stole, ostrzeżenia Jeremy'ego, kierowane szczególnie pod adresem Clive'a, by trzymali się z dala od jakobitów.

– Dlaczego zatem tak nas napominałeś? Gdybyśmy cię posłuchali, szlak przerzutowy przestałby istnieć.

Jeremy spojrział pytająco na ojca.

– Powiedz jej – powiedział sir Robert.

– Clive to gorąca głowa – wyjaśnił Jeremy. – Wiedziałem, że on i jego kompani należą do jakichś tam tajnych jakobickich związków. Gdyby w coś się wdali, gdyby odkryto udział Clive'a, mogłoby się to okazać katastrofalne dla naszych planów. Zwracał uwagę na nas, Wardów, a to ostatnia rzecz, której potrzebowaliśmy. Musiałem go odwozić od tych szaleństw.

Jeśli zaś idzie o szlak przerzutowy, to natychmiast po tym, jak nasz człowiek zwerbował Clive'a, pożałowałem swego kroku. Jesteście obydwójcie zbyt popędliwi, niepotrzebnie nadstawiacie karku. Przykładem lord Alistair. Nikt nie dał Clive'owi pozwolenia, żeby dopomógł temu młodzieńcowi w ucieczce do Francji. Zrobił to samowolnie. Przymusiłem go do wyjazdu, żeby pod moją nieobecność nie popełnił głupstwa. Dużo to pomogło! Historia z lordem Alistairem była ostatnią kroplą. Miarka się dopełniła. Przypilnowałem, żebyście się więcej nie mieszała. Inni przejęli szlak przerzutowy.

– I Clive przez cały czas wiedział o tobie, o papie? – zapytała niedowierzająco.

Jeremy zrobił niecierpliwy gest.

– Ma się rozumieć, że nie wiedział. Myślisz, że jesteśmy takimi głupcami? Że zawierzylibyśmy życie dzieciom, które bawią się w dorosłych? To nie zabawa, Sereno. To wojna.

– Ale... Clive musiał przecież wiedzieć. – Spoglądała bezradnie to na Jeremy'ego, to na ojca.  
– Otworzył na powrót szlak, żeby pomóc Julianowi.

– I wtedy też – wyjaśnił sir Robert – uznałem za stosowne odkryć przed nim fakty. Nie jest już chłopcem. Musi nauczyć się powściągać młodzieńcze zapały i postępować jak mężczyzna. Jest z Wardów i nie wyobrażam sobie, by nie uczestniczył w planach, które mają za cel przywrócenie na tron Stuartów.

– Chcesz powiedzieć: obalenie prawowitego władcy Anglii. O to idzie, sir Robercie, czy tak? Insurekcja? – sztychował Julian.

– Jesteś nadzwyczaj dobrze poinformowany, majorze Raynor.

Julian patrzył spod przymkniętych powiek.

– Powiedzmy, że potrafię dodać dwa i dwa, jak każdy. Uśpiłicie Clive'a, tak? Z tego wnoszę, że nie jest do końca po waszej stronie. Nie ufasz mu i on wie o tym. Powiedział coś...

– Raptem zrobił wielkie oczy. – Chryste! Znosi się na coś naprawdę poważnego? Wkrótce? Dlatego Jeremy ostatnio był tak zajęty. Dlatego dopuściliście Clive’a do tajemnicy? Dlatego się zlekliście, kiedym rozgłosił, że długo jeszcze nie opuszczę Anglii? Co zamierzacie, sir Robercie? Czyżby nadeszła chwila, kiedy wasz mesjasz, Karol Edward Stuart, w chwale powróci do Anglii, by domagać się korony dla swego ojca? Jesteś szalony, kiedy myślisz, że Anglicy spojrzą na to przychylnym okiem.

– Dosyć! – zagrzmiał sir Robert. – Dosyć, powiadam! Patrząc, jak sir Robert usiłuje powściągnąć gniew, Julian urabiał sobie o nim detaliczne zdanie. Przez głowę przemykały oderwane obrazy, strzępy zasłyszanych rozmów. Nie miał do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem, jeno z fanatycznym zaprzancem. Dla sir Roberta jakobityzm był religią, którą przedkładał ponad wszystko. W tych, którzy byli odmiennego zdania, widział heretyków i gotów był ich posłać na stos.

Ojciec musiał dobrze go znać, dlatego postanowił się ukryć wraz z rodziną. Clive to chyba rozumiał. Serena? Nie. Nie sądził, żeby kiedy zgłębiała złożony charakter swojego ojca. Jeremy Ward? Wzrok Juliana spoczął na starszym bracie Sereny.

Jeremy Ward zdawał się przeistaczać na jego oczach w kogoś zupełnie obcego. Podziwiał w nim wiele rzeczy – polityczne umiarkowanie, wysiłki prowadzące do wydobycia rodziny z ruiny, miłe obejście. Wszystko oparte na fałszywym osądzie. Dał się zwieść jak wszyscy, nie wykluczając Sereny. To nie ona była skończoną aktorką, to jej brat był wybornym komediantem.

Powinien pamiętać, że Serena nie jest gamoniem i jak on potrafi złożyć dwa i dwa. Przystąpiła do natarcia, zanim zdążył ją powstrzymać.

– To prawda? Wszystko, co mówi Julian, to prawda! Mogłabym wam jeszcze wybaczyć wierność Stuartom, ale bezwstydnym kłamstw nie wybaczę. – Głos jej drżał. – Oplakiwałam cię! Rozumiesz, ojcze? Oplakiwałam cię! Tyś nigdy po nikim nie płakał w całym swoim życiu.

– Dość tego, Sereno – odezwał się Jeremy. – Trzeba było, byście uwierzyli w śmierć ojca. Wasz smutek miał przekonać wrogów, że naprawdę umarł. Udało się.

W jednej chwili jej gniew przeniósł się na brata.

– Mataczu! – Postąpiła kilka kroków w jego stronę i zatrzymała się na widok uniesionego pistoletu. – Kto obwiniał ojca – krzyczała nie bacząc na słowa – kto ubolewał nad nieszczęściami, które jego stuartowska polityka sprowadziła na naszą rodzinę?! Wszystko było przez niego: długi, brak posagu, utrata tego domu – domu twojej żony, nie twojego – liczenie każdego grosza, przynaglanie nas do małżeństwa, żebyśmy przestały być ciężarem. A ty tymczasem gromadziłeś pieniądze dla Stuartów, rozdawałeś łapówki, kupowałeś broń, ekwipo- wałeś ludzi. Dlatego stoimy na skraju ruiny? Powiedz, Jeremy!

– Jesteś kobietą. Nie rozumiesz tych rzeczy – odpowiedział Jeremy. – To, co teraz cierpimy, to błahostka wobec honorów i majątności, jakie się posypią po restauracji Stuartów na tronie.

– Jak śmiesz mówić o honorze? – krzyczała. – Ty... ty wężu!

– Uspokój się, Sereno, albo będę cię musiał zakneblować i przywiązać do tego tu krzesła – zagroził sir Robert. – Nie żartuję. A teraz siadaj.

Miała taką minę, jakby chciała na nowo wszcząć kłótnię, ale tylko mruknęła coś i posłusznie usiadła. Sir Robert zajął miejsce za wielkim biurkiem. Jeremy stanął obok niego, z pistoletem pod pachą. Drugi leżał po prawej ręce sir Roberta. Julian rzucił nań okiem i odwrócił wzrok. Rozprostował mięśnie i siłą woli opanował nieco zamęt panujący w głowie.

– Nie po tośmy cię tu przywieźli – zwrócił się sir Robert do Juliana – żeby odpowiadać na twoje pytania, jeno byś odpowiedział na nasze. Taka jest natura wojskowego trybunału, majorze Raynor. Jako żołnierz powinienes wiedzieć, co to oznacza. Nie jesteśmy wyrzutkami wyjętymi spod prawa, nie jesteśmy barbarzyńcami. Nawet w czas wojny, jak teraz, stosujemy się do zwyczajów cywilizowanego świata.

– Nie macie prawa stawiać mnie pod sąd. Nie uznaję waszej władzy – zaprotestował Julian.

– A jednak przystąpmy do rzeczy.

Serena na wpół uniosła się w krzesle.

– Jeśli Julianowi choćby włos z głowy spadnie, wydam was. Mówię poważnie.

– I ja mówię poważnie – warknął sir Robert. – Kiedy upierasz się zachowywać jak dziecko, jak dziecko zostaniesz ukarana. Nie z mojej tu jesteś woli, ale skoro się tutaj znalazłaś, oczekuję, iż będziesz pamiętała, żeś z Wardów. Słuchaj mnie. Jeśli myślisz, jakobyśmy ja i twój brat traktowali cię bez serca, przekonasz się, że ten tu człowiek obszedł się z tobą jak potwór.

– Kłamstwo! – Wykrzyknął Julian, po czym już łagodniejszym tonem zwrócił się do Sereny:

– On kłamie, przysięgam, Sereno.

Przyjęła te słowa skinieniem głowy, ale w jej umyśle zakiełkowało ziarenko wątpliwości. Złożyła ręce i wpatrywała się uporczywie w ojca, czekając, aż zacznie.

Dla Juliana było oczywiste, że coś stało na przeszkodzie jego przyjaciołom. Nie przewidywali, że zostanie zabrany ze schronienia. Ale Loukas nie należał do głupców, był przygotowany na każdą ewentualność. Julian spojrzał w okno. Chyba że z wyjątkiem mgły.

Uświadomiwszy sobie, że nie może liczyć na Loukasa, zaczął obliczać, jakie ma odwody. Musi zabrać ze sobą Serenę. Nie może zawierzyć wielkoduszności jej ojca. Jeśli mu się sprzeciwi, trudno powiedzieć, do czego będzie zdolny. Nie podniesie na nią ręki, to pewne, ale są inne sposoby poskromienia zbuntowanej córki.

– Co zamierzacie zrobić z Clive'em? – zapytał zdjęty nową myślą.

Ojciec i syn wymienili spojrzenia.

– Nie twoja rzecz – odparł sir Robert.

– Nie ufacie mu, tak? – nie ustępował Julian. – Nie ma serca dla Sprawy?



Jeremy z groźną miną zrobił krok w jego stronę, ale sir Robert powstrzymał go jednym gestem.

– Clive jest młody – powiedział. – Musi zrozumieć, że wojna to nie przelewki. Będzie wierny Sprawie, wie, jak traktujemy zdrajców.

Zapadła śmiertelna cisza. Julian czuł mrowienie w karku. Nie był już pewien, jak postąpi sir Robert, jeśli Serena nie okaże dość spolegliwości. Nie śmiał na nią spojrzeć, wiedział jednak, że równie dobrze jak on zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Możemy zaczynać? – zapytał sir Robert. – Jesteś, panie, szpiegiem na usługach nieprawego rządu. Mamy niepodważalne dowody.

Dał znak Jeremy'emu, by mówił dalej.

– Zaczęliśmy cię podejrzewać, kiedyś się pojawił w naszym miejscu spotkań, w gospodzie „Pod Strzechą”. Pamiętasz chyba gospodę „Pod Strzechą”, majorze Raynor?

– Zaszedłem tam przez przypadek. Nie ma to nic wspólnego z waszymi przekłętymi schadzками.

– A jednak – odparł Jeremy – nasz „pasażer”, którego Clive miał wyprawić tamtej nocy, i dwaj nasi agenci o włos uniknęli nieszczęścia. Zatrzymano ich, ale na szczęście wkrótce puszczono wolno.

Serena ukryła drżące dłonie w fałdach spódnic. Starła się mówić spokojnie, nie dając poznać po sobie przerażenia.

– Chcesz powiedzieć, Jeremy, że kazałeś mnie śledzić?

– Nie chodziło o ciebie. Zawsze posyłamy dodatkowych ludzi na wypadek kłopotów.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– To oni pierwsi powiedzieli, że Raynor zainteresował się tobą.

Czekała ze ściśniętym gardłem, kiedy Jeremy wyjawi, że spędziła noc z Julianem. Gdy się odezwał, zrozumiała, że brat nie ma o niczym pojęcia.

– Od tamtej chwili – mówił Jeremy – Raynor gorąco się do ciebie umizgał. Co mieliśmy myśleć?

Co pomyślałby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach. Że mi się spodobała, podbiła i że ją pokochałem, jeśli chcecie znać nagą prawdę.

– Ty i Serena? To wydawało się zbyt naciągane, niemniej wstrzymywaliśmy się z oskarżeniami i pilnie cię obserwowaliśmy. A kiedy wyjechałem do Francji i pojawił się lord Alistair, stało się jasne, żeś przeniknął do naszej siatki.

– Za moją sprawą – wtrąciła Serena.

– To też było jasne. Dlatego odsunęliśmy cię od kurierów kursujących między krajem i Francją.

– Kurierów? – zapytała oszołomiona Serena. – Myślałam, że to zbiegowie.

– Nie ostatnimi czasy, nie. Wyjąwszy Alistaira. Ale jakem mówił, tu Clive sam się rozporządził, bez niczyjego przyzwolenia. Tak czy inaczej, przy okazji się przekonaliśmy, jak dalece dopuściliście Raynora do konfidencji, jak bliski był zdemaskowania nas.

– Raynor nigdy cię nie kochał – powiedział sir Robert. – Musiałaś to chyba pojąć, kiedy się rozeszło, że w domu w Twickenham trzyma kochankę. Jak ją zwali, Jeremy?

– Victoria Noble.

Nic nie wiedzieli o jej małżeństwie, nie mieli pojęcia, że ona i Victoria to ta sama osoba ani jak dalece dopuściła Raynora do konfidencji. I nie chciała, żeby się dowiedzieli. Tego była ze wszech miar pewna.

– Zareczam wam, że kiedy to do mnie doszło, zamknęłam przed nim serce.

Sir Robert huknął pięścią w biurko.

– Mamy ci uwierzyć, kiedyś namówiła Clive'a, żeby otworzył dla niego szlak przerzutowy. Rozum straciłaś? Dałaś wiarę, że ucieka, bo zabił? Powiadam ci, Sereno, ten człowiek prowadzi niebezpieczną grę. Pomyśl, ile nieszczęścia mógłby przyczynić Sprawie, gdybyśmy go przekazali naszym agentom. Zaznajomiłby się z nazwiskami, twarzami. Co ty sobie myślisz? Że tylko ty, Clive i Flynn byliście wciągnięci? Gdyby to ode mnie zależało, nigdy do czegoś podobnego by nie przyszło. Powinniśmy byli pozbyć się go dawno temu. Błędem było darować mu życie. Takem też powiedział księciu.

– To wyście mnie uprowadzili – stwierdził Julian zaciskając zęby z wściekłości.

Twarz sir Roberta pozostawała nieporuszona.

– Ja. Chociaż opowiadałem się za karą śmierci.

– A ktoś wyżej postawiony nie przystał na ten wyrok?

– Książę. Nie mogłeś sam się bronić, postanowił przeto okazać łaskawość.

– Bardzom zobowiązany księciu. Domyślam się, że to z jego powodu odgrywamy tę farsę?

– W podobnych przypadkach książę domaga się rozprawy przed trybunałem wojskowym.

– Nie macie więc śmiałości pozbyć się mnie bez sądu, z obawy, że książę... – Julian przerwał raptem, olśniony pewną myślą. – Tamtej nocy dwa razy przypuszczano na mnie atak. Pierwszy to wasza sprawka? Nie zważając na rady księcia, chcieliście widzieć mnie martwym. Nasłaliście na mnie zbójów, zanim miało dojść do uprowadzenia.

Serena próbowała połapać się w tym wszystkim.

– Nie – powiedziała. – Nie. To nie może być prawda. Byli wtedy we Francji, Julianie. Mieliby się rozdziwić?

– Posłużyli się swoimi ludźmi, sami kryjąc się w cieniu. Jednego z tych rzezimieszków rozpoznałem u siebie w domu. Co tam robił? Czego szukał?

– Dowodów przeciwko tobie – odpowiedział Jeremy.

– Jakich dowodów? Nie ma żadnych dowodów, jestem niewinny.

Jeremy pokręcił głową.

– Jak zatem wytłumaczysz, żeś wszedł w posiadanie moich listów zastawnych i skryptów dłużnych? Ostrzegam, wiem dobrze, iż nie trafiły w twoje ręce przypadkiem. Rozmyślnie je skupowałeś. Myślałeś, że tym sposobem zmusisz Serenę, by zdradziła przyjaciół?

Julian próbował uporządkować myśli. Lord Charles wykupił wszystkie zobowiązania, kiedy on był uwięziony na statku.

– Podstawiłeś lorda Charlesa, żeby odzyskał weksle?

Jeremy przechylił głowę.

– Tak, ale nie bezpośrednio. Nie ma rzeczy, której Charles nie zrobiłby dla mojej żony. Ciągle jeszcze je ma i ani myśli ich protestować.

– Jeszcze jeden fałszywy trop. Co za szatańskie pomysły.

– Odpowiedz na pytanie – zażądał sir Robert. – Po co ci były te weksle?

Julian spojrzał w zimne, bezlitosne oczy i po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego ojciec wolał raczej uciec niż stawać do walki.

Nie był do niego podobny. Nie miał żony i dzieci, których musiałby chronić. Nigdy w życiu nie dał pola.

Nachylił się do przodu, zaplótł dłonie, – Tak. Rozmyślnie skupowałem listy zastawne i skrypta, ale nie dla powodów, o których myślisz. Nic to nie miało wspólnego ani z Sereną, ani z tak wam drogim szlakiem przerzutowym.

Wziął głęboki uspokajający oddech, zanim mógł mówić dalej.

– Nie wiesz, sir Robercie? Nie odgadujesz, kim jestem? Przyjrzyj mi się uważnie i powiedz, czy nie przypominam ci kogoś.

Na te dziwne słowa sir Robert zaczął mierzyć Juliana przenikliwym wzrokiem. Wreszcie powiedział:

– Nie widziałem cię nigdy w życiu aż do dzisiejszego dnia.

– Jestem synem Williama Renneya. Musisz pamiętać mojego ojca, niegdyś preceptora obecnego lorda Kirk-landa. Uciekł z panną, którą zamyslałeś poślubić. Widzę, że pamiętasz.

– Ojciec?

Sir Robert uniósł dłoń nakazując Jeremy'emu milczeć.

– Jeśliś synem Renneya, nic dziwnego, że jesteś agentem na usługach rządu. Jaki ojciec, taki syn.

Julian zacisnął dłonie. Miał ochotę chwycić za gardło łotra i wydusić zeń ostatnie tchnienie.

– Jestem dumny, że synem mojego ojca. Był człowiekiem honoru i żelaznych zasad. Sam wiesz. Nie napisał przeciw tobie żadnego listu do władz, prawda? Wymyśliłeś to?

– Po co miałbym to czynić?

– Żeby go pozbawić dobrego imienia. Nienawidziłeś go, bo zabrał ci kobietę, którą kochałeś,

moją matkę, lady Harriet Egremont.

Sir Robert wykrzywił usta w lekceważącym uśmiešku.

– Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś, że niewiele dbam o kobiety. Twoja matka nic dla mnie nie znaczyła. Nie zaprzętałbym sobie głowy niewiastą. Nie. Twój ojciec napisał list i za to poniósł karę.

W głosie sir Roberta brzmiał ton szczerego przeświadczenia. Julian na chwilę zachwiał się w swojej pewności, kiedy nagle pojawiła się oślepiająca rewelacja.

– Mój ojciec nie był autorem listu. Napisał go lord Kirkland, ale teraz nie ma to znaczenia. Liczy się tylko, że postanowiłem przywieść cię do ruiny za wszystkie nieszczęścia, które sprowadziłeś na moją rodzinę. Deptałeś memu ojcu po piętach, póki nie umarł w więzieniu dla dłużników. Zaprzeczysz?

Sir Robert wykrzywił się pogardliwie.

– Sam to na siebie ściągnął. Tchórz, człowiek słabego charakteru. Zdradzając nas zapewnił sobie naszą dozgonną nienawiść.

– Zatem zniszczyłeś go, sprawiłeś, że nigdzie nie mógł znaleźć pracy. Ojciec nie był jedynym, który ucierpiał. Miał żonę i dzieci. Jak myślisz, jaki los im przypadł?

– Powinien był pomyśleć o tym, zanim nas zdradził.

– Matka, młodszy brat i siostra umarli w przytułku. Ja jeden z całej rodziny przeżyłem.

Słyszał, że Serena coś szepce rwącym się głosem, ale nie spuszczał wzroku z twarzy sir Roberta.

– Jeśli myślisz – rzekł Ward – że się ugnę pod tymi słowami, to mnie nie znasz.

– Ty, ugniesz? Za dobrze cię znam. Nie ma w tobie odrobiny ludzkiej życzliwości. Chcę ci tylko powiedzieć, że miałem dobre powody, aby...

Jego słowa utonęły w głuchym łoskocie dochodzącym z zewnątrz. Jeremy podszedł do okna i otworzył je na oścież, obok niego stanęła Serena. Bębnienie narastało, nabierało wyrazu, wreszcie przeszło w rytmiczne bicie setnych werbli, jakby maszerowała cała armia.

– Żołnierze – powiedział Jeremy.

Julian zaśmiał się niefrasobliwie.

– Jeśli się nie mylę, lord Kirkland przysyła milicję. Nie czujesz nic w kościach, sir Robercie? Nic nie wywahałeś? Działają tu niewidzialne siły, doprowadzając wszystko do wzniosłego spełnienia.

Podniósł się i oparł dłońmi o biurko.

– Nie jestem agentem na usługach rządu. Nic nie wiedziałem o waszych jakobickich spiskach, ale to ja, syn Williama Renneya, zniszczyłem twoje ambicje. Kosmiczna sprawiedliwość! Rozważ to, sir Robercie.

Nagłym ruchem zrzucił pistolet na podłogę, chwycił go i wstał z bronią w rękę. Sir

Robert zaczął się cofać.

– Julianie, uważaj!

Szarpnął głową. Serena szamotała się z Jeremym, próbując odebrać mu pistolet.

– Sereno, nie! – Rzucił się w jej stronę, w tej samej chwili broń wypaliła. Powietrze uszło mu z płuc, serce zamarło.

Przez twarz Jermy'ego przemknęło zdumienie. Osunął się na kolana, padł na podłogę. Julian zamknął oczy.

– Dzięki Bogu – powiedział.

Trzaskały drzwi, ktoś go wołał po imieniu. Głos lorda Kirklanda. Głos Loukasa. Zawahał się. Serena klęczała nad znieruchomiałym ciałem brata, krajem sukni ocierając strużkę krwi wypływającą z kącika ust. Kiedy zobaczyła martwe spojrzenie, złożyła głowę Jermy'ego na kolanach i zaczęła się kołysać, zawodzić.

– Sereno?

Jakby go nie słyszała. Głosy stawały się coraz bardziej natarczywe. Spojrzał na nią raz jeszcze i poszedł do drzwi.

Oczy miała pełne łez, kiedy wreszcie podniosła wzrok na ojca.

– Jeremy nie żyje.

Sir Robert był w stanie szoku. Nie potrafiła w tej chwili myśleć, co dobre, co złe. Na to przyjdzie czas później. Wiedziała tylko, że cokolwiek wyszło na jaw, nigdy nie znienawidzi ojca, nie znienawidzi brata.

– Ratuj się, ojcze – szepnęła. – Uciekaj przez okno, zanim będzie za późno.

Ocknął się na jej słowa, przytknął dłonie do skroni.

– To koniec. Beze mnie, bez Jermy'ego księżę nigdy nie powróci do Anglii. Nie będzie powstania.

Nawet teraz, kiedy pierworodny syn leżał martwy u jego stóp, nie potrafił myśleć o niczym innym jak o Sprawie. Serena rozsłochała się na dobre.

– Wybacz, Jeremy – powiedziała przytulając jego dłoń do policzka.

Nie wiedziała, kiedy ojciec wycofał się z pokoju ani ile czasu minęło, zanim Julian powrócił i klęknął obok niej na splamionym krwią dywanie. Leciutko, niepewnie dotknął jej ramienia.

– Twój ojciec... Sereno... Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Nie żyje, prawda?

– Zastrzelił się. Mógł uciec. Była łódź, jacht. Kiedy usłyszeliśmy strzał... znaleźliśmy go w kabinie. Tak mi przykro.

Szarpnęła się dziko, kiedy wyciągnął dłoń.

– Tobie przykro! – wybuchnęła. – Czemu miałoby być ci przykro? Chciałeś tego! Chciałeś

krzywdy mojej rodziny. Chciałeś wyrównać rachunki. – Zanosila się łkaniem. – Wszystko zaplanowałeś do najdrobniejszego szczególu. Byłam twoim pionkiem. Boże, dopomóż mi, byłam tylko pionkiem. Beze mnie nie przyszloby do tego. Ufałam ci! O Boże, jak ci ufałam. Obyśmy nigdy się byli nie spotkali.

– Nie wiesz, co mówisz, Sereno. Kocham cię.

– Nie mów mi o miłości! Ty jesteś za to odpowiedzialny. Zaprzecz, jeśli masz czelność.

– Sereno? – W drzwiach stał Clive z twarzą wykrzywioną cierpieniem.

Wyciągnęła ku niemi ramiona, podszedł do niej szybkim krokiem. Kiedy uklękli razem nad ciałem Jere-my'ego, Julian niepostrzeżenie wyszedł z pokoju.

Noc już zapadała, kiedy kawalkada jeźdźców i powozów ruszyła w drogę powrotną do miasta. Pod domem Wardów odłączyli się Serena, Clive i Flynn. Reszta pojechała dalej, do klubu Juliana. Jakoby chcąc spróbować szczęścia, Harry i Parker skierowali się dyplomatycznie do zielonych stolików, pozostawiając Juliana, Kirklanda i Loukasa w zaciszu biblioteki, aby mogli omówić ostatnie wypadki.

– A więc – mówił Julian – mamy utrzymywać, że Jeremy zginął tragicznie, czyszcząc pistolet. Jeśli idzie o sir Roberta, to jakby go tam nie było. Bo go nie było. Wiem od Clive’a, że dla nielicznych, którzy go widywali, był panem Smithem, dzierżawcą Riverview.

– Tak b-będzie najlepiej – zgodził się lord Kirkland. – Nie ma potrzeby wyjawiać prawdy, k-kiedy sir Robert nie żyje. Przyczyniłoby t-to tylko Wardom wielu nieprzyjemności i wzbudziło n-niepokoje wśród ludu. Im mniej gadania o jakobickich spiskach, tym lepiej.

– Rozumiem, że w ministerium wojny przychylią się do pańskiej wersji? – zapytał Julian.

– Przychylią się. Z-zawsze się przychyłają.

Julian i Loukas wymienili spojrzenia na to szczere stwierdzenie.

– A Clive? – pytał dalej Julian. – Co z nim?

– Skoro b-był uwięziony, kiedy pojawiliśmy się w domu, przyjmujemy, że nie miał nic wspólnego z chorymi knowaniami sir Roberta.

– To bardzo wielkodusznie.

Jego lordowska mość wzruszył ramionami.

– To w k-końcu tylko chłopiec. Mam nadzieję, że wyciągnie z tego właściwą lekcję. Jeśli idzie o kamratów Jeremy’ego, nie w-wydają mi się jakobitami.

– W rzeczy samej – zgodził się Loukas. – Kilku rozpoznałem. Opryszki, co sprzedalyby własną matkę za jednego szylinga.

Julian nalał brandy do trzech kieliszków i podał gościom.

– A teraz – powiedział siadając – może ktoś mi wytłumaczy, jak zostałem uratowany? I jakim sposobem – tu posłał Loukasowi mordercze spojrzenie – pozwoliłeś, żeby Jeremy mnie wywiózł.

Konstabl odchrząknął.

– Powiedziawszy bez owijania w bawełnę, zostaliśmy zaskoczeni. Znaczący, kiedyśmy czekali w powozie na pojawienie się złoczyńcy, on nas uprzedził, aleśmy tego nie wiedzieli. Musiał czatować w budynku. A jakby komplikacji jeszcze było mało – kto pojawia się na miejscu zbrodni? Serena i Flynn. Zupełnie nieoczekiwanie.

– Dlaczego wróciła? Nie wyjaśniła ci tego?

– Może zostawiła szpilkę od kapelusza?

Sarkazm Loukasa spłynął po Julianie. Przyjął go uśmiechem.

Konstabl upił łyk brandy.

– Szczęściem dla nas, i dla ciebie, Flynn ma strasznie podejrzliwą naturę. Stał na czatach przed domem i kiedy usłyszał powóz, chciał sprawdzić, kto zasz. Wtedy go ucapiliśmy. Uśmiejesz się chłopcze, ale Flynn nas wziął za rzezimieszków, uwierzysz? Już chciał podnieść wrzask „mordują!”, kiedy prawdziwi złoczyńcy pojawili się w drzwiach.

– Flynn? Serena powiedziała, że odesłała go do domu.

– Pewnie chciała zmylić ojca i brata.

Julian skwapliwie odnotował te słowa w pamięci.

– Zatem Flynn przez cały czas był z wami?

– A jakże.

– A kiedy złoczyńcy pojawili się w drzwiach, rozpoznałeś Jeremy’ego Warda?

– Nie. We mgle dojrzeliliśmy jeno trzech mężczyzn z trójką wstawionych kompanów. Mogliśmy ich wtedy mieć, ale instynkta mi podpowiadały wstrzymać się i czekać, co będzie.

– Twoje instynkta? Niech cholera weźmie twoje instynkta! Uzgodniliśmy, że nie będziesz ryzykował i jak tylko łajdak się pojawi, to go pojmasz.

– Takem mówił?

– Takeś mówił.

Loukas wyszczerzył zęby nie okazując żadnej skruchy.

– Gdybym nie zaufał swoim instynktom, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o sir Robercie. Pomyśl.

Julian pomyślał i łyknął brandy, coraz bardziej przekonany, że nie powinien był budzić licha. Tego nie mógł Loukasowi powiedzieć.

– Postąpiłeś słusznie – oznajmił za to. – Co było potem?

– Potem pojechaliśmy za waszym powozem. Raz czy dwa straciliśmy go z oczu, ale Flynn był nieoceniony. Rozpoznał, rozumiesz, drogę do Riverview. Jak tylko mi to powiedział, wszystko się spasowało, to jest wszystko, wyjąwszy sir Roberta. W głowie mi nie pozostało, że on za tym stoi.

– A wam, panie? – zwrócił się Julian do lorda Kirk-landa. – Podejrzewaliście sir Roberta?

– Przebóg, n-nie! Ani Jeremy’ego, aż d-do ostatniej chwili.

– Nie rozumiem zatem, jakim sposobem znaleźliście się w Riverview?

Jego lordowska mość zareagował nerwowym chichotem.

– S-stanowczo postanowiłem, że tym razem nie może ci się stać nic z-złego. Obserwowałem cię od dawna, Julianie, jeszcze zanim wyjechałeś d-do Ameryki. Myślałem, rozumiesz, że jesteś jakobitą. Nie patrz tak. Co m-miałem myśleć, kiedyś mi wprost powiedział, że w-wykładasz



pieniądze na ułaskawienie sir Roberta?

– Tak powiedziałem?

– Tak powiedziałaś, nie pamiętasz? W bibliotece na dole. Pytałeś, czy sądzę, że Jeremy z-zdoła kiedyś spłacić należności. Wy-wwnioskowałem, ż-że chodzi o całkiem pokaźną sumę, to i pomyślałem, że pożyczasz mu pieniądze na ułaskawienie.

– Tak, teraz pamiętam.

– Nie t-tylko to. Odniosłem wrażenie, że chcesz użyć m-moich wpływów, by ułatwić sir Robertowi powrót do Anglii.

– Chciałem, ale nie dla powodów, o których myślicie. Zatem podejrzewając, że jestem jakobitą, kazaliście mnie śledzić?

– Kazałem. Jeden z m-moich ludzi zatrudnił się jako ogrodnik w twoim domu w Twickenham. To on mi d-do-niósł o twoim aresztowaniu. Domyśliłem się, że to samowola, i od razu nakazałem m-milicji poszukiwania.

– Dlatego tak szybko działaliście, że mieliście u mnie agenta.

Jego lordowska mość skinął głową. Julian zastanawiał się, co jeszcze mógł odkryć bystry ogrodnik. Zostawiając na razie te rozważania, powiedział:

– Kiedy wróciłem do Anglii, ciągle podejrzewaliście, że jestem jakobitą?

– Ostatnimi czasy już n-nie. M-mój agent był pośród twoich zaufanych. Wiedział, że zastawiasz p-pułapkę na tych, co cię uprowadzili.

– Kto nim był? – zapytał Julian z gniewem.

– Parker – odparł jego lordowska mość. – M-muszę p-powiedzieć, że nawet ja nie rozpoznałem go w Bagley.

– Parker! – wykrzyknęli Julian i Loukas zgodnym chórem, spojrzeli na siebie i uderzyli w śmiech.

– T-tak, Parker – potwierdził jego lordowska mość, wtórując im śmiechem. – O wszystkim m-mnie informował.

– Kiedyśmy więc śledzili powóz Jeremy’ego, wyście śledzili nasz – stwierdził Loukas.

– Tak jest – przytaknął hrabia.

– Niech to lichy – wasza lordowska mość wybaczy – ale Parker miał pilnować, czy nie jesteśmy śledzeni.

– Wywiązał się z zadania.

– A milicja? Skąd oni? – zapytał Julian.

– Z koszar w Gravesend. N-nie dojeżdżając do River-view. Jak Loukasowi, tak i mnie, kiedy p-poznałem drogę, wszystko zaczęło się układać na swoim m-miejscu. P-pomyślałem, że przyda się wsparcie. Sir Roberta wszelako nie p-podejrzewałem. Kompletnie zaskoczenie.

Rozmawiali tak dalej, krążąc cały czas wokół tematu, wyjaśniając punkt po punkcie.

Wreszcie Loukas, wyczuwając, że jego towarzysze mają sobie jeszcze coś do powiedzenia, zostawił ich samych.

Po jego wyjściu na chwilę zapadła cisza, po czym Julian uznał, że pora wziąć byka za rogi.

– Wiecie, kim jestem, czy nie tak, panie?

W oczach hrabiego zabłyśły iskierki.

– O, tak – powiedział miękko. – Syn mojej siostry. Kiedyś p-patrzył na portret matki w m-moim biurze, wtedy odgadłem. Bardzo ją kochałeś. Widziałem to p-po twojej twarzy.

– Wyście ją też kochali? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Wszystko bym dla niej uczynił. Wiesz p-przecież.

– Tak – przytaknął Julian i dodał bardzo łagodnie: – Wyście napisali list, w którym zdradziliście brata i sir Roberta. Nikt inny poza ojcem i wami nie mógł tego zrobić. To byliście wy, tak?

Hrabia skinął głową.

– Wiesz, jaka to ulga m-móc to wreszcie wyznać? M-mój opiekun nie p-pozwalał mi nigdy słowem wracać do wydarzeń tamtej nocy. Tak, on wiedział, ale za nic nie dopuściłby do skandalu, jaki zbrukałby imię naszej rodziny, gdyby m-mój p-postępek wyszedł na jaw.

Odczekawszy chwilę dla uspokojenia, wzięwszy głęboki oddech, hrabia mówił dalej:

– Wszystko p-poszło tamtej nocy na opak. Nic się nie układało p-po m-mojej myśli. Mojego brata i sir Roberta m-miało już nie być w domu, kiedy przyjdą żołnierze. P-postanowili poczekać, póki m-mgła się nie podniesie.

Cichym, urywanym głosem zaczął opowiadać o wydarzeniach, które przyczyniły tyle nienawiści, tylu smutków. Kochał siostrę, wiedział, jak bardzo się lękała sir Roberta Warda. William Renney, preceptor, też to wiedział. I on ją kochał. Gdyby nie sir Robert, nigdy nie ośmieliłby się aspirować do niej. Nie mógł przecież pogodzić się z tym, że oddadzą ją człowiekowi bez serca, który za nic miał jej szczęście. Nikt wprost nie mówił o tym z małym Jamesem. Dochodziły go tylko plotki służby, przypadkowo zasłyszane strzępy rozmów. Ale miał oczy. Jego siostra i preceptor byli w sobie zakochani po uszy. Postanowił im pomóc.

– P-przyglądałem się i czekałem sposobności. Szczegóły nie m-mają znaczenia. Dość kiedy p-powiem, że znałem dzień i godzinę ich ucieczki. M-mówiłem sobie, że coś muszę zrobić, by ojciec im nie p-przeszkodził. Teraz widzę, że p-poniósł mnie zmysł dramatyzmu. Widziałem się zbawcą m-mojej siostry.

Po dłuższej chwili ciągnął dalej:

– Wtedy wydawało mi się to takie p-proste. Jako że Hugo się ukrywał, w domu często p-pojawiali się żołnierze, wypytywali ojca. Czasami prowadzili go do urzędników sądowych. Nigdy nie m-myślał, nie p-pojmował, jakie to niebezpieczne. Żołnierze zawsze okazywali respekt. Znaliśmy ich, oni n-nas znali. Ludzie z okolicy. Niektórych znałem nawet z imienia.

Tak więc, n-nie mówiąc nic nikomu, napisałem list i p-przebrany za chłopca stajennego zniosłem go do domu sędziego, p-pewny, że przyśle po ojca dla przepytania. Nie m-my-ślałem, że co innego może się zdarzyć. Zanim wróci, obliczałem, Harriet i pan Renney będą już daleko.

– Co mówił list? – zapytał cicho Julian.

Lord Kirkland utkwiał wzrok w kieliszku.

– Jeśli dobrze p-pamiętam, pisałem: „Jeśli chcecie wiedzieć, gdzie znaleźć dwóch jakobickich zbiegów, zapytajcie lorda Kirklanda”. Listu nie p-podpisałem ani swoim, ani twojego ojca imieniem. Klnę się, Julianie.

– Tymczasem lord Hugo i sir Robert ukrywali się w domu?

– W szopie n-na łodzi. Ale, widzisz, m-myślałem, że wyjechali. N-nie miało ich tam być. M-mgła. N-nie mogli odjechać p-przez mgłę.

– Rozumiem. Co się potem stało?

Lord Kirkland zamknął oczy na wspomnienie przerażających wypadków tamtej nocy. Drżący, przemógł się, by mówić dalej.

– Jak koszmar senny. Był n-nowy garnizon i kapitan, który zapiekłe nienawidził jakobitów. Dzięki Bogu, twoi rodzice zniknęli, zanim tamci p-przyszli. Sir Robert umknął, ale kiedy żołnierze zaczęli grozić ojcu i m-mnie, Hugo wrócił, żeby n-nam pomóc. – Głos mu się załamał. – P-powinien n-nas b-był zostawić swojemu losowi. J-ja p-przynajmniej n-nie zasługiwałem na nic lepszego. Resztę znasz.

Julian wpatrywał się w swoje dłonie. Myślał o tym, że kiedy ojciec już wiedział, że sir Robert go tropi, kiedy usłyszał o liście, musiał odgadywać, że jedynym, który mógł go napisać, był młody lord James. Tak, William Renney zatrzymał to dla siebie, a on nie zdawał sobie do końca sprawy, jak wielkim człowiekiem był jego ojciec, jak bardzo go przerastał.

Lord Kirkland odchrząknął.

– P-później, dużo później, wyznałem wszystko swojemu opiekunowi. Zbił mnie tak, że m-mało ducha nie wyzionąłem. – I potem bił stale, bezlitośnie, póki James nie doszedł wieku, kiedy się odeń uwolnił. Ale wtedy już nie mógł się obyć bez bicia. Stało się jedynym sposobem oczyszczenia z grzechów. – Bałem się ujawnić, że to ja byłem autorem listu, bałem się sir Roberta, tego, co m-mógłby ze mną zrobić. A kiedym w końcu p-przemógł strach, było już za p-późno. Wybaczysz mi kiedy?

Julian, który cały czas z wielką uwagą wpatrywał się w swoje splecione dłonie, poderwał głowę.

– Nie ma nic do wybaczenia. Nie ty wpędziłeś mojego ojca do grobu. Nie obciążam cię tym, co stało się z moją rodziną.

– Gdybym n-nie napisał tego listu...

Byłeś dwunastoletnim chłopcem. Co chcesz usłyszeć? Że powinieneś zostać ukarany? Nie

jestem Bogiem, ale Bóg, którego pokazała mi matka, byłby bardziej litościwy dla tego dwunastoletniego chłopca niżli ty.

Słyszając swój porywczy ton, Julian się pomiarkował.

– Wybacz. Dostyszałeś gniew w moim głosie? Nie ma we mnie gniewu. Myślałem o wojnie domowej, o Sere-nie, o tym, jak się przyczyniłem do klęski sir Roberta. A nie mam dwunastu lat, jak ty wtedy.

– Nie m-możesz się obwiniać za to, co się stało.

– Nie, i ty nie powinieneś obwiniać siebie. Żałuję jednak... – Pokręcił ze smutkiem głową. – Żałuję, że chciałem odegrać rolę Boga.

Po tych słowach obydwaj zamilkli, zatopieni we własnych myślach. Wreszcie lord Kirkland przemówił:

– Nie czas p-po temu i miejsce, ale chciałbym któregoś dnia usłyszeć o twoich rodzicach.

– I ja bym chciał opowiedzieć. – Wiedział jednak, że nigdy nie opowie lordowi Kirklandowi o przytułku, nie opíše twarzy matki i bliźniąt. Staruszek dość wycierpiał. – I usłyszeć o Egremontach.

Tu jego lordowska mość się pożegnał. Julian z kieliszkiem w ręku podszedł do okna. Wiele miał do przemyślenia. Myślał o tym, że byłoby lepiej, gdyby nie usiłował odgrywać Boga, i myśl ta ciążyła, dręczyła, obezwładniała. Nie powinien był próbować odgrywać Boga. Czy Serena kiedykolwiek mu wybaczy?

Rad był, że są przy niej teraz Clive i Flynn. Pewnie przepowiadali sobie wypadki tamtej nocy, jak oni dziś tutaj. Kazał Flynnowi przypilnować, żeby wzięła kilka kropel laudanum na sen. Jutro będzie potrzebowała sił, kiedy w domu pojawią się stróże prawa z wiadomością o „wypadku”. Tak naprawdę był rad, że będzie miała przy sobie Clive’a i Flyna, szczególnie Flyna.

Wypił do dna trunek, zapatrzył się w refleksy światła na szkle, po czym bezwiednie uniósł rękę. Kieliszek rozprysnął się o ścianę w tysiączne drobiny.

Na ulicy lord Kirkland zaczerpnął głęboko chłodnego wieczornego powietrza. Mgła zniknęła, rozwiana lekkim zachodnim wiatrem. Poprosił odźwiernego, by przywołał mu powóz. Był sobotni wieczór, a on w końcu miał swe stałe zwyczaje.

Powóz zatrzymał się przed kawiarnią na St James. Jego lordowska mość zabawił w niej tylko kilka minut i wyczekawszy stosownej chwili, przemknął tylnym wyjściem do Świątyni Wenus na King’s Place.

Patrzył na niewielki budynek, jakby nie mógł sobie przypomnieć, co go tutaj sprowadza. Kiedy odźwierny go zagadnął, hrabia ocknął się i zawrócił. Przywołałszy lektykę, kazał się nieść do domu, na Hanover Square.



Przed Ward House uwijała się służba, pakując pod okiem lorda Charlesa bagaże do jego powozu. Na koźle siedział Clive, obok niego pan Hadley. Letty trzymając za ręce bratanków czekała cierpliwie, aż służba skończy pakowanie, a ona będzie mogła wreszcie wsiąść do środka. Tydzień minął od pogrzebu Jeremy'ego. Wardowie wyjeżdżali do rezydencji lorda Charlesa w pobliżu Hen-ley, by zapomnieć o troskach. Serena wołała zostać w domu.

Żegnała się właśnie z Catherine.

– Może jednak wybierzesz się do Stanworth? – pytała bratową. – Smutno mi, że zostaniesz sama w pustym domu.

– Nie będę sama. Flynn zostaje ze mną. Jeśli zmienię zdanie, do Henley blisko. Dojadę w kilka godzin.

Catherine więcej nie nastawała. Serena poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Rozmyślnie wprowadziła bratową w błąd twierdząc, że odmówiła zaproszenia Charlesa z powodu Letty i pana Hadleya. Co prawda nie ogłosili jeszcze zaręczyn, nikt przecież nie wątpił, którą z sióstr Ward pan Hadley sobie upodobał. Usłyszawszy o „wypadku” Jermy'ego, natychmiast zjawił się w Ward House, by utulić Letty w żalu.

Prawdziwe przyczyny, dla których odmówiła wyjazdu, Serena wołała zatrzymać dla siebie. Chciała uwolnić się na trochę od całej rodziny, zaznać nieco ciszy, spokoju. Nie była w stanie rozmawiać o Jeremym, zapomnieć, że szamotała się z nim, chcąc mu wyrwać pistolet, kiedy broń wypaliła. Zżerały ją żal i poczucie winy, jeszcze okrutniejsze, kiedy spoglądała na Catherine i dwóch osieroconych bratanków.

Odsunęła się dając przejście służącemu, który taszczył pudła Catherine. Drzwi frontowe stały otworem, z radością słuchała podnieconych okrzyków chłopców, podziwiających ekwipaż Charlesa. W tydzień od pogrzebu Jeremy'ego malcy po raz pierwszy zarzucili szeptu.

Catherine łzy napłynęły do oczu.

– Tacy są jeszcze mali. Nie rozumieją, co się stało z ich ojcem. Może nie powinnam jechać do Stanworth, ale Charles uważa, że to świetnie zrobi chłopcom, a do Riverview za nic nie mogłabym ich zawieźć.

– Charles ma rację – przyświadczyła Serena usiłując zachować spokój. – Tobie też wyjazd wyjdzie na zdrowie.

Podeszły obydwie do drzwi. Catherine spojrzała jej głęboko w oczy.

– Wiesz, że ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć? Ciągle mi się zdaje, że się obudzę i powiem sobie, że to tylko koszmarny sen, że nie było żadnego wypadku. Jak do tego przyszło? Jeremy zawsze tak ostrożnie obchodził się z bronią. – Głos jej się załamał, przytknęła chusteczkę do

ust.

Są kłamstwa, które trzeba po prostu podtrzymywać.

– Cóż możemy powiedzieć – westchnęła Serena. – Lepiej o tym nie myśleć.

Kiedy stanęły na stopniach, podszedł do nich lord Charles. Serena puściła ramię Catherine, której Charles pomógł wsiąść do powozu. Rzeczowy, jak przystało na starego przyjaciela rodziny, nie zmylił Sereny ani na chwilę.

Miał już wsiąść do ekwipażu, gdy się zawahał i podszedł do niej.

– Naprawdę nie zmienisz zdania? – Wyważony głos, nic nie mówiący wyraz twarzy.

– Nie. Dziękuję – odparła Serena. Pożegnała się już z całą rodziną, teraz siłą hamując łzy pomachała bratankom. Myślała o tym, że Jeremy nigdy naprawdę nie znał swoich synów. W tym względzie był zupełnie jak ojciec i teraz rozumiała dlaczego. Obydwaj zbyt byli zajęci sprawą Stuartów.

Lord Charles zacisnął wargi.

– Przez wzgląd na Catherine powinniśmy zapomnieć o dzielących nas różnicach. Wiem, żeś mnie nigdy nie lubiła, czy też słuszniej byłoby powiedzieć, żeś mi nie ufała. Co mógłbym rzec, żeby to odmienić?

Patrzyła na niego ze smutkiem i rezerwą.

– Nie wiedziałam... Nie rozumiałam. – Przerwała z wahaniem. – Mogę mówić otwarcie?

– Mów, proszę.

– Nigdy nie wiedziałam, ile nasza rodzina ci zawdzięcza, nie zdawałam sobie sprawy, że służyłeś nam pomocą, kiedy Jeremy... miał kłopoty finansowe.

Zesztywniał.

– Nie miałaś o tym wiedzieć. Tłumaczyłem już Clive'owi, że ze śmiercią Jeremy'ego wszystkie długi uznaję za niebyłe, nie musicie się więc lękać urgensów.

– Źle mnie zrozumiałeś. Ani mi to teraz w głowie. Patrzył na nią czujnym wzrokiem i nie mogła go za to winić. Nigdy nie ukrywała swojej dlań antypatii, kiedy pojawiał się w ich domu, nigdy nie pojmowała jego oddania Catherine. Miała go za hulakę, któremu w głowie tylko podboje. Chciała chronić przed nim bratową. Jak mogła być taka ślepa? Jeśli komuś naprawdę leżało na sercu dobro Catherine, to właśnie jemu.

Wyciągnęła dłoń. Choć najwyraźniej zaskoczony, odwzajemnił jej uścisk.

– Wiem, że nie pora po temu – zaczęła urywanym głosem – ale radam, że Catherine ma kogoś, na kim może się oprzeć. Pewna jestem, że potrafisz zadbać o nią i chłopców. Zawsze potrafił. – Uśmiechnęła się i zamrugała przestraszona, że zaraz zacznie płakać. – Od tej chwili, Charles, możesz mnie liczyć między swoich najbardziej oddanych przyjaciół.

I on się wreszcie uśmiechnął. Skłonił się, odwrócił i wsiadł do powozu.

Catherine przyjęła go pytającym spojrzeniem.

– Próbowałem namówić Serenę, żeby z nami jechała – oznajmił.

– Wujku Charles, naprawdę będziemy wędrowali w Stanworth? – chciał wiedzieć Francis.

– I... i będziesz nas uczył jeździć konno... i w ogóle?

– Oczywiście. Mówiłem wam przecież.

– No, tak, ale... naprawdę będziesz z nami czy będziesz za bardzo zajęty?

– Przyrzekłeś, że będziesz z nami – upierał się Robert.

– Robercie, Francis! – Matka była zakłopotana i znużona. – Lord Charles ma inne kłopoty niż zajmować się dwoma urwipółciami.

– Jakie? – zapytał Robert.

Catherine nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Pamiętała słowa Jeremy'ego o domku w Chelsea i mieszkającej tam damie.

Charles był oddany swojej kochance; mnóstwo kobiet próbowało zająć jej miejsce, a przecież zawsze wracał do pani Danvers. Pomyśleć, że kiedyś wierzyła, iż ma stałe miejsce w jego sercu.

– Całkowicie się mylisz, Catherine – przemówił Charles. – Nie mam nic lepszego do roboty, jak zajmować się tymi dwoma, hmm, żywymi chłopakami.

– Naprawdę, wujku Charles?

– Naprawdę.

Catherine wzniosła oczy do nieba.

– Charles, nie chcę, żebyś... wiązał się nami. Przecież w mieście... – Tu spojrzała kątem oka na Letty, a widząc, że wychylona przez okno siostra pochłonięta jest rozmową z panem Hadleyem, ciągnęła bohatersko: – Zapewne będziesz chciał się widywać z przyjaciółmi... no i... Rozumiemy to. Nie będziemy się czuli zaniedbywani, kiedy wyjedziesz na dzień, dwa... albo... tak.

– Nie mam żadnych spraw, które zatrzymywałyby mnie w Londynie – oznajmił, po czym dodał miękko: – Już nie.

W jego oczach zamigotało przez chwilę coś, co sprawiło, że dech jej zapało, ale on już wychylał się przez okno, polecając stangretowi, by ruszał.

Serena stała na stopniach portyku, dopóki powóz skręciwszy z Buckingham Street w Strand nie zniknął za rogiem. W holu natknęła się na Flynna. W czarnej liberii z białymi koronkami i srebrnej kamizelce prezentował się bardzo dystyngowanie i pięknie. Jej własne czarne suknie sprawiały, że czuła się jak jakieś ptaszysko.

– Muszę z tobą pomówić – oznajmił.

– Flynnie, jeśli ma to coś wspólnego z Julianem Ray-norem...

– I owszem, ale nie jak się spodziewasz.

– Wielkie nieba, to musi być coś poważnego, skoro prawidłowo wymawiasz wszystkie



samogłoski.

Nie odpowiedział wcale uśmiechem.

– To poważna sprawa, Sereno.

Skinawszy głową, ruszyła do pokoju śniadaniowego.

– Kawa już pewnie wystygła – oznajmiła wskazując na srebrny dzbanek.

– Może być.

Nalała do dwóch filiżanek, jedną podała Flynnowi.

– Siądźże, Flynnie, nie rób sobie ze mną zbyt licznych ceremonii.

Nie wiedziała, dlaczego drży, nie wiedziała, skąd to przeczucie, że nadchodzi kolejny cios, niemniej czując, co się święci, zebrała się w sobie.

– Major Raynor uczynił mi propozycję i byłbym głupcem, kiedy bym ją odrzucił – oznajmił Flynn.

Ani drgnęła. Wstrzymała oddech. Zachowała kamienną twarz.

– Rozumiem – powiedziała niczym ożywiona kukielka. – Rozumiem, lukratywna propozycja, Flynnie. Ma się rozumieć, nie może być inaczej. Zatem wypowiadasz? Chcesz mi powiedzieć, że Raynor cię ukraść?

Pokręcił głową.

– Nie, Sereno, wcale mnie nie ukraść.

– Nie? To czemu mi się nie tłumaczysz tak, żebym mogła pojąć? Jak długo ze mną jesteś, Flynnie? Będzie szesnaście lat. Czas się ruszyć. Och, jeśli chcesz referencji, dostaniesz je. Boże, i ja miałam cię za swojego najdroższego przyjaciela.

Gdyby nie zdawał sobie sprawy, że cierpi, najchętniej przełożyłby ją sobie przez kolano i wlał jej trochę oleju do głowy. Nie sposób cokolwiek jej przedłożyć, kiedy jest w takim usposobieniu, ale próbuje.

– Major Raynor proponuje mi udział w swoim domu gry. Odpływa do Ameryki z końcem miesiąca, wiedziałas o tym? W każdym razie chce, żeby ktoś dbał o interes pod jego nieobecność, ktoś, komu by ufał. Taką samą ofertę złożył był panu Blackiemu – słyszałaś pewnikiem o nim? – więc nie będę sam jeden w interesie. Wiem, że muszę się wiele nauczyć, a Blackie przyrzeka, że będzie mi przewodnikiem. Dla mnie to traf jeden w całym moim życiu. Musisz to zrozumieć, Sereno.

Kiedy nie doczekał się żadnej odpowiedzi, ciągnął tym samym tonem:

– Zawsze wiedziałas, że chcę być kimś, że chcę czegoś więcej. – Tu wykonał dłonią gest, mający oznaczać wykraczanie poza ograniczoną przestrzeń domu.

Taż zawsze sprzyjałam twoim ambicjom, naprawdę sprzyjałam, Flynnie. Dla ciebie to wielki krok. Domyślałam się, że zamieszkas w pokojach Raynora, kiedy on już wyjedzie. – Flynn ochoczo przytaknął, Serena mówiła dalej: – Będiesz dżentelmenem, bo i czemu by nie? Kiedy

chcesz, potrafisz używać wyrafinowanego języka. Rzekło się. Kiedy wypowiadasz, dam ci miesięczną odprawę. Nie wiem, jak stoją nasze sprawy, ale pewnam, że Clive nie chciałby cię ukrzywdzić. Jakoś podołamy, żeby ci szczerze wypłacić. Szesnaście lat to... – Nie mogła więcej słów dobyć, serce jej się krajało, bo też była to zdrada, której nigdy, przenigdy by się nie spodziewała. Wstała z krzesła, podeszła do kredensu i zaczęła niespokojnie przekładać sztućce.

– Nie zostawiam cię na puszczy – powiedział Flynn wstając powoli. – Powiedziałem majorowi, że odsłużę wymówienie. Tymczasem wróci pani Ward. Nie opuściłbym cię przecież w takiej chwili.

– Dobrana z was para. – Serena okręciła się na pięcie, głos jej się łamał. – Obydwaj wiecie, jak wykorzystywać ludzi.

– To niesprawiedliwe, Sereno, i dobrze o tym wiesz.

– W przeciwieństwie do niej mówił spokojnie. – I nie piję tylko do siebie, major na pewno sobie na to nie zasłużył.

– Jak mogłeś jego wybrać zamiast mnie? – zapytała przez łzy. – Wiesz, co on mi zrobił?

– Nic ci nie zrobił! Brak ci piątej klepki, Sereno! Gdybyś tylko chwilę pomyślała, przyznałabyś, że major robił, co w jego mocy.

– Śmiesz go jeszcze bronić? – Szeleszcząc spódnicami podeszła do stołu. Mówiła histerycznym już tonem: – Wykorzystał mnie, żeby zastawić pułapkę na mojego rodzzonego ojca i brata. Przyznał to. Gdybym mu nie ufała, żyliby dzisiaj obydwaj. Jak mam się twoim zdaniem czuć, kiedy Catherine szuka u mnie pociechy? Co mogę jej powiedzieć? Co mam rzec swoim bratankom? Żem pozwoliła oślepić się miłości do... do tego potwora? – Nie dbając, że prawie łka, mówiła bez tchu:

– Ufałam mu, Flynnie, i w nagrodę doczekałam się zniszczenia własnej rodziny. Wiesz, na co się ważyłam?

Chociaż wiedziałam, że mnie wykorzystał, zwiódł, stawałam za nim przeciwko bratu. Flynn był jak ona kredowoblady.

– I gdybyś mogła wszystko cofnąć, cofnęłabyś po to jeno, żeby twoi najukochańsi tatuś i brat żyli? A jakże, żyliby sobie, jeno major leżałby jak nic w grobie. Tego byś chciała, Sereno? To byli przeniwiercy. Major Raynor ani wiedział, jacy z nich oczajdusze. Nikt ich nie podejrzewał. Ale nie to ci mordęgą, ile myśl, żeś mogła kochać bez odwzajemnienia. Spróbuj jeno pomyśleć.

Już nie zdzierżywszy, ku jego i swojemu zaskoczeniu, że tak dała się ponieść temperamentowi, rzuciła weń filiżanką.

– Precz mi stąd! – wrzasnęła. – Niech nigdy więcej nie oglądam twojej twarzy. Słyszysz? Precz!

Flynn chustką otarł kawę z policzka. Bez słowa obrócił się na pięcie i wyszedł.

Usłyszała, jak trzasnęły frontowe drzwi. Oszołomiona, nie dając wiary temu, co się stało, padła na krzesło. Wsparta o stół wtuliła głowę w ramiona i zapłakała gorzko.

Ze swojej sypialni usłyszała głos Flynnna dochodzący z korytarza. Brzmiał tak, jakby jego właściciel przepędził dzień i noc z okładem na hulance. Nie rzekłszy słowa panie służącej, rzuciła się do drzwi.

– Flynn! Flynn!

Już szedł na poddasze, gdzie była jego izba. Obrócił się ku niej i złożył dworny, acz nieco chwiejny ukłon.

– Piękna Circe – przemówił z lekkimi omsknięciami języka. – Nie oprę się twemu, jak widzisz, zakłębciu.

W te pędy pomknęła korytarzem, boso, w koronkowym negliżu, ani zważając, jak się prezentuje. Kiedy stanęła przed nim, wyciągnęła dłoń.

– Flynnie, ach, Flynnie, jakże mi myśleć, że utracę twą przyjaźń. Więcej ona dla mnie znaczy niż wszystko inne. Powiedz, żeśmy są ciągle przyjaciółmi.

Jej drobna rączka utonęła w jego dłoniach. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym spojrzał Serenie w oczy. Ani pomyśli – zdumiał się – ani przez chwilę pomyśli, że i on jest mężczyzną.

– Powiedz, Flynnie, że mi wybaczasz, powiedz.

– Nic nie ma do wybaczenia.

Cokolwiek ujrzała w jego oczach, dodało jej otuchy. Westchnęła cichutko i padła mu w objęcia.

– Nie zostawiaj mnie, Flynnie, jeszcze nie teraz. Dla ciebie to świetna okazja, daj mi przecież oswoić się z tą myślą. Dobrze?

Poklepał ją dobrodusznie po plecach.

– Och, Sereno – szepnął – co ja mam z tobą zrobić? Co ja mam z tobą zrobić?

Przez kilka następnych tygodni Serena na krok nie opuszczała Ward House. Snuła się po pokojach niczym zjawą, nękana wspomnieniami, które zdawały się tak żywe i wyraziste, jakby wszystko działo się wczoraj. Słyszała niegdysiejsze śmiechy, przypominała sobie szczęśliwe chwile dzieciństwa. Nie wiedzieć jak ani kiedy, stała się kobietą, szczęście uszło. Widać na tym polega różnica między byciem dzieckiem a byciem niewiastą.

Usiłowała nie wracać myślami do Riverview i do tego, co się tam wydarzyło, ale wspomnienia i tak ją nawiedzały.

Wiedziała, że zawsze, za wszelką cenę będzie próbowała chronić Juliana. Ważniejszy był dla niej niż ojciec i brat i gdyby raz jeszcze miała przeżyć, co było, postąpiłaby tak samo.

Jednocześnie patrzyła na siebie z pogardą, że pozwoliła mu się otumanić i wykorzystać dla własnych celów. Okropna, okropna logika wypadków, której wcześniej nie pojmowała: jego zabiegi o nią, potajemny ślub, jego determinacja, by małżeństwo stało się prawdziwym. Stała się częścią jego zemsty i tego nie mogła mu wybaczyć.

Miał zapewne swoje powody. Nie była ślepa na grzechy ojca. Prawda, że podle się obszedł z rodziną Juliana. Nigdy tego nie pojmie. Zasługiwał, żeby go słusznie pokarać, ale dlaczego, dlaczego Julian ją sobie obrał za pionek w tej rozgrywce?

Nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Nie chce go już widzieć, a gdyby pojawił się w jej domu, zostanie odprawiony. Na pewno się już nie spotkają. Ani on tego chce, ani ona.

A jednak dochodziły ją wieści o nim. Kiedy rodzina wyjechała, pojawiali się przyjaciele i znajomi z kondo-lencjami; w rozmowach raz po raz wypływało imię Juliana.

Lord Kirkland najwyraźniej odnalazł w nim utraconego niegdyś kuzyna i teraz pospołu z hrabiną wprowadzali go w koła swoich wysoko postawionych przyjaciół. Planowano wielki pożegnalny bal na Hanover Square, na kilka dni przed wyjazdem majora do Ameryki. Rzecz przedziwna, której nikt nie spieszył wyjaśnić, nazywał się Renney, acz zachował i to drugie nazwisko.

Pewnego razu zaskoczyła ją swoją wizytą lady Amelia Lawrence. Najpierw usłyszała głos Flynna, który odprawiał kogoś od drzwi powiadając, że pani odpoczywa i nie przyjmuje gości. Uderzyło ją coś w jego tonie. Ustawiczne wizyty zniweczyły jej nadzieje na spokój. Już miała niepostrzeżenie umknąć, kiedy rozpoznała głos lady Amelii. Zrozumiała teraz opory Flynna. Wiedział, jak bardzo nie lubiła tej kobiety.

Wiedziona ciekawością pojawiła się na schodach. Lady Amelia nie była jej przyjaciółką. Co też ją do niej sprowadza?

– Już odpoczęłam, dziękuję, Flynnie. Miło z twojej strony, żeś mnie odwiedziła, Amelio.

Prawiąc banały poprowadziła gościa do salonu na piętrze. Sposób, w jaki Flynn dobył sherry i zajął pozycję przy drzwiach,omalże wywołał uśmiech na twarzy Sereny. Znowu waruje przy niej jak pies, gotów skoczyć Amelii do gardła, gdyby powiedziała coś niewłaściwego.

Nie zanosilo się na nic takiego. Zadawniona wrogość zniknęła. Ot, dwie dalekie znajome wymieniające uprzejme słowa.

– To wszystko, Flynnie, dziękuję. – Zignorowała z rozmysłem ostrzegawcze spojrzenie, jakie jej posłał, nim zniknął.

Przez kilka minut rozmawiały o tragedii, która dotknęła Wardów. Przy drugim kieliszku lady Amelia odkryła wreszcie powód swojej wizyty.

– Nigdy się nie spodziewałam, że okażesz mi serce. Nie zasłużyłam sobie.

W głosie lady Amelii było tyle powagi i szczerości, że Serena zmęła w ustach banal, który

gotowała się wypowiedzieć. Nie wiedząc, co rzec, milczała.

– Przez osiem lat chowałam do ciebie urazę. Osiem lat, czyż nie?

Osiem lat temu rywalizowały o względy Allardyce’a. Od tamtego czasu unikały siebie niczym zarazy.

– Osiem lat – przyświadczyła Serena. – Dawne dzieje. – Takie się jej to wydawało teraz nieważne.

Lady Amelia westchnęła i odwróciła wzrok.

– Zawsze żałowałam, że sprawy przyjęły taki obrót. Wiesz, o czym mówię. Okropnieśmy się traktowały przez te lata. Jak mogłam dopuścić, żeby ktoś taki jak Allardyce nas poróżnił? Ty stałaś się cieniem dawnej siebie, a ja... – Głos jej się załamał, odkaszlnęła w koronkową chusteczkę.

Serena nie wiedziała, co powiedzieć. Spoglądała na tę oszałamiająco urodziwą kobietę, która mogła mieć każdego mężczyznę, kobietę, której przez lata rozpaczliwie zazdrościła, i zdawało jej się, że widzi ją po raz pierwszy. Przemknęło Serenie przez myśl, że lady Amelia musiała kochać Allardyce’a znacznie bardziej i znacznie dłużej niż ona.

„Żal mi biedaczki – powiedział Julian – i ty jej też powinnaś żałować”.

Poklepała niezdarnie lady Amelię po ramieniu.

– Zachowywałyśmy się jak dwie gąski. – Obydwie roześmiały się na te słowa.

– Nie popełnimy więcej tego błędu.

– Słucham? – zapytała Serena.

– Chciałam tylko powiedzieć, że nie będziesz mogła mi zarzucić, że ukradłam ci Juliana. Między wami nic nie ma? Och, tak mi się zrazu wydawało. Jak on na ciebie patrzył! Byłam zazdrosna. Na mnie nikt nigdy tak nie spoglądał. Teraz wiem, żeście grali chcąc ukreślić łeb plotkom.

Ciepłe uczucia, które już wzbierały w piersi Sereny, raptownie ochłodziły. Julian i lady Amelia? Chyba się przesłyszała.

– Co chcesz powiedzieć?

Lady Amelia zaczęła zbierać się do wyjścia. Serena odprowadziła ją do drzwi.

– Toż to chyba oczywiste – powiedziała Amelia. – Mam wielki sentyment dla Juliana, więcej niż sentyment, i będę o niego zabiegać. Myślisz, że mam szansę?

– Juliana spytaj, nie mnie – odparła Serena z uśmiechem, acz chłodnym głosem, po czym wyprowadziwszy lady Amelię, zamknęła za nią drzwi z trzaskiem.

Na schodach pojawił się Flynn, wzór lokaja.

– No i jak tam? – zapytał cichutko, stając przed Amelią.

Ta obejrzała się i szepnęła:

– Nieźle. Wyłumacz mi jeno, Flynnie, jeśli łaska, dlaczegoś omal nie odprawił mnie od

drzwi i skąd te znaczące spojrzenia, któreś posyłał Serenie?

Flynn wyszczerzył się w uśmiechu.

– Ona już jest taka. Kiedy człek chce, żeby co zrobiła, pewnikiem uczyni na opak. Poza tym nie chcemy przecie, żeby zgadła, co zamyślamy, prawda?

– Rozumiem – przytaknęła lady Amelia, nic nie rozumiejąc.

Sama w salonie, Serena wzięła kilka głębokich oddechów. Jedną rzecz wzgardzić Julianem, całkiem inna widzieć go w ramionach kobiety, jeszcze tak pięknej i godnej pożądania jak Amelia. Nie umywało się to do utraty Allardyce'a. Tamten był głupim dziewczęcym zauroczeniem, a strata Juliana oznaczała powolne, bolesne umieranie.

Miała przed sobą przyszłość bez niego, pozbawioną radości, a przy swoim szczęściu gotowa dożyć i setki. Myśl nie do zniesienia. Nie to, żeby nienawidziła Juliana. Kocha go nadal i zawsze będzie kochała, ale mu nie wybaczy, nigdy.

Kiedy Flynn ją zobaczył, drżącą na całym ciele, zdjęło go przerażenie.

– Co tobie, Sereno? – Podeszedł do niej spieszenie. – Lady Amelia coś ci takiego rzekła?

– Och, Flynnie, powiedz, że nie byłam dla Juliana jeno narzędziem zemsty. – Głos też jej drżał.

– Zemsty? Na kim?

– Na ojcu, ma się rozumieć.

– Skąd ci te głupoty w głowie?

– Nie żartuj sobie ze mnie. Znasz całą historię równie dobrze jak ja. Nienawidził ojca i miał ku temu powody.

– Prawda. – Flynn uśmiechnął się ponuro. – Zapominasz tylko o jednym drobiazgu. Jak my wszyscy, major był przekonany, że twój ojciec od dwóch lat nie żyje. – Dał jej chwilę, by rozważyła jego słowa.

Chwyciła się za gardło, oczy jej zabłyśły i zaraz zgasły. Pokręciła głową.

– Łatwo powiedzieć, ale jak mam dać temu wiarę? Nie słyszałeś go, Flynnie. Nie miał innego celu w życiu, jak przywieść ojca do zguby. Musiał podejrzewać, że ojciec żyw jeszcze, i wykorzystał mnie, by do niego trafić.

Flynn się zniecierpliwił.

– Jest coś, co powinnaś wiedzieć, a czego ci nie chciałem mówić, z lenku, że wszystko przekabacisz. Mogliśmy pojmać twojego ojca, major nas powstrzymał. Widzieliśmy, jak sir Robert szedł do łodzi, i daliśmy mu sposobność do ucieczki. Kiedyśmy usłyszeli wystrzał, wiesz, jakeśmy się czuli, jak się czuł major? Patrzyła na niego przez całą minutę.

– Och, Flynnie, czemuś mi tego nie powiedział wcześniej?

– Bom myślał, że weźmiesz majora za potwora, któren odgadł, że twój ojciec odbierze sobie życie, wyrencza-jonc go w tym niewdzięcznym zajenciu.

– Przestań, proszę. – Próbowwała bez powodzenia powstrzymać łzy spływające ciurkiem po policzkach. I rada słuchała, że Julian gotów był darować jej ojcu życie, czyniąc to tylko przez wzgląd na nią, i użalała się nad sobą. Za późno w niego uwierzyła. Żaden mężczyzna nie zechce kobiety, która weń zwątpiła. Straciła go z własnej winy.

Flynn nie miał miłosierdzia.

– Jako że z całych sił postanowiłaś mu nie dowierzać, rada w radę znajdziemy powody, dla których godzin bendzie twojej nienawiści.

Wpatrywała się w jego kamienną twarz, ale nie mogła się dopatrzeć w niej niczego poza potępieniem.

– Jakaż byłam głupia – szepnęła łamiącym się głosem.

– Trudno zaprzeczyć. Pociągnęła nosem.

– Nie zechce mnie już. Już nie. Pewnie mną gardzi.

– Ani bym się dziwił. Odwróciła wzrok.

– Lady Amelia... lady Amelia go chce dla siebie.

– Gorzej mógłby trafić. – Widział, że już się jeży, i postanowił dolać oliwy do ognia. – Bendzie z nich ładna para. Pienkna z niej i z fantazjom niewiasta. I dobrze, kiedy zamyśla jechać z nim do Ameryki. Bendzie mu pomocom. Powiadajom, że on chce wejść do parlamentu czy jak to tam u nich zwom.

– Lady Amelia – odpowiedziała posyłając mu zabójcze spojrzenie – byłaby każdemu pomocą, jest tylko jeden drobiazg, którego ani ona, ani ty nie bierzecie pod uwagę.

– Cóż takiego? – zainteresował się Flynn.

– Że Julian ma już żonę.

Opuściła pokój z takim impetem, że Flynn zląkł się, czy drzwi nie wylecą z zawiasów.

Powóz zatrzymał się, Flynn wyskoczył i pomógł jej wysiąść. Teraz, kiedy stała przed jaskinią lwa, odeszła ją cała odwaga.

Flynn ruszył przodem, kierując się do bocznego wejścia. Wyglądając spódnicę usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Przypomniała sobie, że Flynn jest teraz współwłaścicielem domu gry.

– Nie marudź, Sereno. Mówiłem ci, że Julian idzie dzisiaj do Stowów, a ty masz tylko kilka minut, żeby powiedzieć, co chcesz powiedzieć.

Chociaż zdenerwowana, uśmiechnęła się. Flynn spędzał ostatnio tyle czasu w klubie, że mówili już sobie z Julianem po imieniu. Inaczej się wysławiał, inaczej zachowywał. Dzentelmen całą gębą. Nie mogła uwierzyć i nacieszyć się, że zaszedł tak wysoko. Z kieszeni wystawało mu zaproszenie na to samo przyjęcie, na którym miał być Julian. Jej rodzina nigdy nie śmiała aspirować do składania wizyt u księstwa Stów, żadne z nich nie przekroczyło nigdy progu wspaniałej rezydencji przy St. James Square.

– Może powinniśmy byli uprzedzić Juliana, że przyjadę – szepnęła. Od progu patrzyła na oświetlone świecami schody, które zdawały się stanowić przeszkodę nie do pokonania. – Albo wysłać mu bilecik z zaproszeniem do złożenia wizyty? Flynn cmoknął.

– Tym sposobem nie zbliżyłabyś się do niego choćby na milę. Nie bardzo cieszysz się jego łaskami w tej chwili. Prawdę rzekłszy, nie śmiem wymówić w jego obecności twojego imienia z lęku przed eksplozją.

– To... brzmi dość zachęcająco. Nie sądzisz?

Nic nie powiedział, ale spojrzenie, które jej posłał, zgasiło resztki odwagi, jaka się w niej jeszcze tliła.

– Może to nie najlepszy pomysł – szepnęła niepewnie.

– Jak sobie chcesz. Twój pomysł, nie mój.

Obojętność Flynnna podziałała niczym ostroga. Dzielnie przestąpiła próg i postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów.

– Zaczekam w powozie – oznajmił Flynn. Odwróciła gwałtownie głowę.

– Co? Nie idziesz ze mną?

– Nie, Sereno. Nie mam zamiaru znaleźć się między młotem a kowadłem. Powodzenia. – Wypowiedziawszy te pocrzepiające słowa trzasnął drzwiami.

Chwilę trwało, zanim zebrała się na odwagę i zaczęła wchodzić na górę. Dama, która potrafiła zorganizować szlak przerzutowy dla jakobitów, nie powinna się lękać kilku kwaśnych słów. Kto ją natchnął tym pomysłem? Flynn, ma się rozumieć, tyle że Flynn nigdy nie widział Juliana, kiedy ten wpadał w złość.



Julian kiedyś jej powiedział, że nie powinna zapominać, że jest tyleż Victorią, co Sereną. „Victoria” – szepnęła, jakby przywoływała swojego anioła stróża. Victo-ria: dzielna, pewna siebie, kobieta honoru, pełna wdzięku, żywa... Jęknęła. Szkoda, że nie ma z nią Victorii. Musi zadowolić się Sereną.

Strasznie strome okazały się te schody, dużo bardziej, niż je zapamiętała. Każdemu niepewnemu stąpięciu towarzyszyły szelest spódnic i skrzypienie desek. Oczekiwała, że w każdej chwili na szczycie schodów ujrzy Juliana. Zapyta, dlaczego pojawia się chyłkiem w jego domu, albo, co gorsza, weźmie ją za włamywacza. Tak czy inaczej, było wielce prawdopodobne, że ją wyrzuci za drzwi.

Zasłużyła na to, ale i on nie był bez winy. Wyrzuty sumienia. Niewinność. Wszystko nieważne. Ważne, że się kochają, to chciała mu uświadomić. O ile, ma się rozumieć, pierw jej nie wyrzuci.

Kiedy znalazła się wreszcie na korytarzu, zobaczyła, że wszystkie drzwi są zawarte na głucho, z wyjątkiem tych, które prowadziły do sypialni Juliana. Usłyszała głosy: Juliana i drugi, którego nie rozpoznawała. W każdym razie męski głos. Gdyby usłyszała kobiecy, już by jej tu nie było.

Zatrzymała się przy drzwiach. Lokaj pomagał mu włożyć jasnozielony atlasowy fraczek wyszywany srebrem. Swoim zwyczajem lekko upudrował włosy. Stał odwrócony do niej tyłem, ale mogła widzieć jego odbicie w lustrze. Taki się jej wydał męski, przystojny, arogancki, że serce się jej ścisnęło ze strachu. Gdyby mogła przywdziać najpiękniejsze szaty... Tymczasem miała na sobie czarne suknie, jak przystało damie w żałobie. Kiepski efekt, kiedy chce się kogoś uwieść.

Nie wiedząc, co robi, weszła do pokoju. Julian podniósł głowę. Ich oczy spotkały się w lustrze. Stanęła, zmrożona jego lodowatym spojrzeniem.

– Możesz odejść, Tibbets – odesłał lokaja.

Nawet służący wyczuł lód w powietrzu. Powstrzymując dreszcz, posłał Serenie współczujące spojrzenie i już go nie było.

– Co tu robisz, u diabła? – zapytał Julian. Nawet się nie odwrócił. Szperał w szufladzie za jakimiś drobiazgami, które upychał po kieszeniach.

Przygotowana przemowa uleciała jej z głowy.

– Ja... postanowiłam dać ci jeszcze jedną szansę.

Podszedł do niej tak spieszenie, że miała ochotę czmychnąć. Minał ją i sięgnął po leżącą na łóżku szpadę.

– A na co mi jaka szansa? – zapytał przypasując broń.

– Bo się kochamy. Bo obydwoje pobłądziliśmy. Bo... Julianie, nie ułatwiasz mi tej rozmowy.

– Nie mam ochoty ułatwiać ci czegokolwiek, ale chciałbym wiedzieć, czemuś zmieniła

zdanie.

Zapatrzyła się w swoje splecione dłonie.

– Kiedy Flynn mi powiedział, żeś chciał dać mojemu ojcu sposobność do ucieczki, zrozumiałam, że było to dla ciebie ważniejsze niż pragnienie zemsty.

– Aha.

Nie pora po temu, żeby dawać tyły.

– Nie w tym rzecz, Julianie. Kocham cię, ot co.

Bez uprzedzenia zdmuchnął świecę. Przez jedną krótką radosną chwilę już myślała, że chce się z nią kochać, ale on wyszedł na korytarz i ruszył ku schodom. Ocknąwszy się z osłupienia, pobięła za nim.

– Julianie, co za bzdura.

– W rzeczy samej – rzucił przez ramię. – Czemu depczesz mi po piętach?

– Bo chcę, żebyś mnie wysłuchał, żebyś mi wybaczył.

Kiedy znaleźli się na ulicy, podszedł wprost do powozu, przez nią najętego, za jej własne pieniądze. Wsiadł, ani jej pomógł. Uniósłszy spódnicę, umościła się obok niego łyskając gniewnym okiem.

– Dobrze, żeś po mnie przyjechał, Flynnie – rzekł Julian.

Ledwie wsiadła jednym drzwiczkami, Flynn pierzchnął drugimi.

– Myślę – oznajmił zastrachanym nieco głosem – że lepiej mi będzie jechać na koźle.

Serena rozsiadła się na ławeczce naprzeciwko Juliana. Desperacja brała w niej zdecydowanie górę.

– Julianie. – Próbowwała dobyć najszczerzego tonu, nie płaszcząc się przy tym i nie upokarzając. – Powiedz mi tylko, co mam czynić, a klnę się, że zrobię wszystko.

– Co możesz uczynić? – powtórzył obojętnie.

Nim zdołała sformułować odpowiedź, odwrócił wzrok i zapatrzył się w okno.

W rytm turkotu kół po bruku Serena zapadała się w bagno rozpacz. „Za późno, za późno, za późno!” Nawet klekocący powóz zdawał się z niej szydzić. Mignęła jej przed oczyma ponura perspektywa życia bez Juliana.

– Przebóg – szepnęła porywczo – nie pozwól, żebym dożyła setki.

– Coś mówiła? – zapytał Julian.

– Skręcamy na plac.

Kiedy powóz zatrzymał się przed Stów House, Julian lekko wyskoczył na chodnik. Serena zawahała się chwilę, po czym już była u jego boku. Nie podda się przecież.

Wszak tu zdjęły ją wątpliwości. Wokół kłębiły się barwne jak tęcza tłumy, a ona w żałobie. Nie przystoi damie pogrążonej w smutku bywać na przyjęciach. Zaproszenia też nie miała.

– Chodź, Victorio – zachęcił ją Julian. – Mówiłem ci, że bardzo ci do twarzy w czerni? Wszystkie damy będą ci zazdrościć, że nie są w żałobie.

Oto otucha, której potrzebowała. Prowadzona przez Juliana i Flynna weszła do domu. Nikt do niej nie podszedł, nie prosił okazać karnetu. Miała za towarzyszy dwie najznakomitsze postaci w Londynie, dwóch szulerów: trochę groźnych, nieobliczalnych, zuchwałych. Krótko mówiąc, ludzi doskonale ją dopełniających.

– Przekleństwo – sarknął Flynn. – Jakże człowiek ma zachować równowagę, kiedy mu co takiego dynda między nogami. Taż się mogę ukrzywdzić. – Tu przyjąwszy pomoc Juliana ułożył szpadę pod bezpiecznym kątem.

– Jesteście niczym jagnięta w tygrysiej skórze. Wiecie o tym?

Zaśmiewając się, stanęli w kolejce recepcyjnej do wielkiego salonu. Goście podchodzili jeden po drugim do majordoma, ten zaś stukając złotą laską wywoływał ich nazwiska.

Kiedy przyszło do Flynna, majordomus wystukał przedziwny rytm, całkiem podobny sekretnym hasłom Sereny. Bo też Flynn zarządził tak dla własnej chwały, przeświadczony, że jego świetna kariera jest powodem do narodowej radości.

– Pan Richard Flynn! – wykrzyczał ile sił w płucach majordom i dla pewności, że nazwisko nie umknie niczyjej uwagi, zakrzyknął je raz jeszcze.

Serena patrzyła na Flynna, odnajdując w nim uosobienie elegancji. Włosy związane w hacap zieloną aksamitką w tym samym co kołnierz kolorze. W lewym uchu szmaragd, świadectwo Flynnowej nonszalancji. Serce pękało jej niemal z dumy, posłał jej uśmiech, dzielił z nią moment triumfu. Przełamał bariery klasowe i nic już go nie powstrzyma. Julian się do tego przyczynił.

Teraz jej kolej.

– Powiedz mi tylko, co mam czynić?

– Co czynić?

Julian miał już podać ich nazwiska majordomowi.

– Poczekaj! – krzyknęła. Raptem wiedziała, co powinna zrobić, co zrobiłaby Victoria, gdyby znalazła się na jej miejscu. Victoria nie bała się wyzwania. Victoria nie pozwoliłaby, żeby mężczyzna, którego kocha, ot tak się jej wymknął. Naprawdę poczuła się Victorią.

Rzuciła Julianowi spojrzenie na tyle pełne miłości, na ile było ją stać, i oświadczyła:

– Pani Julianowa Raynor, w rzeczy samej, pani Julianowa Raynor.

Zaległa cisza, jeden z drugim podnieśli brew. Jakież szeptki.

Zanim majordomus raz jeszcze spróbował stuknąć laską, Julian go powstrzymał gwałtownym ruchem ręki.

W Serenie wszystko zadrżało. Nie kocha jej, nie chce jej. Wszystko zniszczyła i on teraz zawstydzi ją przed tymi ludźmi. Obstawiała i przegrała.

Cisza, strasznie długa, przymusiła ją spojrzeć na Juliana. I tu dech jej zapało, serce żywiej zabiło. Promieniował miłością i szczęściem. Nikt nigdy w życiu tak na nią nie patrzył.

– Nie? – zapytała nie całkiem wyważonym tonem. Podał jej dłoń, a ona ją przyjęła. Trząsał się prawie tak samo jak ona.

– Renney – oznajmił. – Nie Raynor.

Majordomus łypnął w stronę Sereny, szukając potwierdzenia. Nawet tego nie zauważyła. Z otwartymi ustami patrzyła na pierścionek, który mąż wsuwał jej na palec. Szmaragd wielki jak jajo gila, otoczony rubinami i brylantami. Jeszcze nie doszła do siebie, kiedy Julian przyczynił jej tym większego wstrząsu. Przyklękawszy na jedno kolano, ucałował kraj jej sukni.

Spełniając swe obowiązki, majordomus okrzyknął ich jak należy:

– Pan Julian Renney i pani Julianowa Renney. Flynn uniósł kieliszek w cichym toaście, po czym zgubił się w ciżbie ciekawskich.

Obudziła się szczęśliwa, z poczuciem harmonii, świadoma, że ten moment na zawsze pozostanie jej w pamięci jako najszczęśliwszy. Nigdy dwoje ludzi aż tak się nie kochało, nigdy nikt nie zaznał aż takiej radości.

I nie w tym rzecz, jak się kochali, nie w uściskach i obłapce. Długo w noc rozmawiali, odkrywając przed sobą serca.

Zawsze pozostanie wierna pamięci ojca i brata. Chociaż wiedziała, że nie okazaliby żadnej litości Julianowi, przecież ich kochała. Julian to rozumiał, jak ona rozumiała, dlaczego przyszło do takich rozliczeń. Nie do wiary, że pośród podobnego paskudztwa, kiedy wszystko sprzysięgło się przeciwko nim, czuli do siebie taki pociąg od pierwszego spojrzenia. Jak powiedział Julian, siły wyższe obrały ich sobie, żeby położyli kres tej tragicznej i smutnej historii. Ona i Julian kończą przecież szczęściem, dając początek czemuś nad wyraz rzadkiemu i pięknemu.

Nie mogła oderwać oczu od pierścionka, który dostała od Juliana. Nigdy w życiu nie miała czegoś równie wspaniałego i drogiego. Godnego królowej. Podniosła dłoń ku światłu i przyjrzała się dokładnie klejnotowi. Cenny nie przez to, że piękny, że taki kosztowny, ale dlatego, że był symbolem miłości, która potrafiła zatriumfować wbrew wszelkim przeciwnościom.

– O czym myślisz? – Julian przygarnął ją do siebie. I ona go objęła.

– Podziwiałam pierścionek, który mi dałeś.

– Chyba nie za... kosztowny?

Owszem, przyszła jej taka myśl do głowy, ale zdusiła ją, uznawszy za nielojalną.

– Ma się rozumieć, że nie – odparła jakoby z urazą. – Będę nosiła twój pierścień z radością i dumą.

Uśmiechnął się.

– Chciałbym podarować ci coś niezwykłego na znak, jak cię miłuję.

Zobaczył łzy w jej oczach. Przestał się uśmiechać.

– Co się dzieje, Sereno?

– Prawie cię straciłam – szepnęła. – Gdybym nie zdobyła się na śmiałość...

Klepnął ją ze śmiechem w pupę i wyskoczył z łóżka.

– Ejże. Wszystko układało się podług mojego zamysłu. Ubieraj się teraz, kobieto. Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to żeby pogłoski o naszym małżeństwie doszły do twojej rodziny. – Tu spojrzął na zegar obok łóżka.

– Późno już, ale... – posłał jej sprośny uśmiech – tego należy po nas oczekiwać. – Padł przed nią na kolana. – Moja biedna miłości, takim cię umęczył? Uśniesz przecież w drodze do Henley. Jak się zwie ta posiadłość lorda Charlesa?

– Stanworth – odpowiedziała jak automat. Założył ręce za głowę, całkiem niepomny swojej nagości.

– Co chciałeś rzec mówiąc, że wszystko układa się podług twojego zamysłu?

– To, żeś moją żoną i potrafisz to przyznać przed ludźmi.

Tu się roześmiał na wspomnienie, jakiego wstrząsu byli dla gospodarzy przyczyną. Duma go zdejmowała, że mógł ją mieć przy sobie; żonę, kobietę. Mieli też po swojej stronie Kirklandów, którzy bez słów dali do zrozumienia, że on i Serena należą do rodziny. A ona była cudowna: pełna wdzięku, ciepła, serdeczna, wspaniała kobieta i prawdziwa dama. Czyż nie jest najszcześniejszym mężczyzną na świecie?

– Julianie?

Obrócił się ku niej.

– Och, powinienem był ci powiedzieć, że służący przyniósł dzbanek z gorącą wodą, jest w garderobie. – Kiedy nie miała zamiaru ruszyć się z łóżka, dodał: – Dla twojej wygody.

– Ale... – Wpatrywała się zdumiona w swój pierścionek.

– Ale?

– To być nie może!

– Zapewniam cię, że Tibbets zawsze jak najsolenniej wypełnia moje polecenia. Za tymi drzwiami znajdziesz wszystko, co potrzebne damie.

– Julianie! Powiedz mi prawdę! Zaplanowałeś to? – Tu podniosła dłoń z tkwiącym na palcu pierścionkiem.

– Czy to ważne? – zapytał.

– Owszem, ważne.

– Do diabła! Powinienem milczeć. To absurd, Sereno. Co znaczy, jeśli nawet trochę dopomogłem losowi? Ja kocham ciebie, ty kochasz mnie. Tak powiedziałaś. Wreszcie jesteśmy

razem. Nie psuj tego.

– Mów!

Wziął jej dłonie w swoje, przycisnął do ust.

– Ja posłałem do ciebie Amelię – powiedział cicho – a Flynn zrobił resztę.

Patrzył na nią pytającym, niepewnym wzrokiem. Ona przeciwnie, doznała olśnienia i rzuciła się na niego ze śmiechem.

– Nigdy nie mógłbym cię stracić. Nie mógłbym.

– Ani mowy o tym nie było, moja miłości – szepnęła.

– Chciałem, żebyś do mnie przysła z własnej woli. Taka próba, moja miła.

– Dlategoś pocałował kraj mojej sukni?

– Uczyniłem to z porywu serca. Przeszłaś wszelkie oczekiwania. – Tu odpowiedział na jej nie wyartykułowane pytanie. – Już miałem maj ordomowi dać nasze nazwiska: Julian Renney i pani Renney, kiedyś mnie ubiegła. Wiesz, co czułem.

– Ale żeby całować kraj mojej sukni, Julianie! Doskonale pamiętam, że jesteś wrogiem takich romantycznych gestów.

– Tom uczynił wiedziony porywem. – Policzki mu pokraśniały. – Nigdy więcej, choćbym i stu lat dożył. Nie prosz nawet.

– A pierścionek? – zapytała cichutko. – Okropnie musiałeś mnie być pewien, Julianie.

– Tak. – Tu odchrząknął. – Flynn... hmm... powiedział mi, że trzymasz nasz akt ślubu w komodzie, a jeśli go nie zniszczyłaś nawet po tym, co zaszło w Riverview, liczyłem, że jest dla mnie nadzieja.

– Flynn ci powiedział? Szperał w moich rzeczach?

– Dla mnie to robił.

Serena nie posiadała się z oburzenia, Victoria znajdowała to raczej ujmującym, a że dzień do Victorii należał, przeto dała pokój i rzekła z uśmiechem.

– Bardzo to paskudnie.

– Coś jeszcze Flynn znalazł, co dało mi nadzieję. – Spojrzał na nią rozmiłowanym wzrokiem. – Pięćdziesięciofuntowy bilet bankowy i kółko od portier. Wiedziałem, że musisz mnie kochać, inaczej nie dbałabyś o takie głupstwa.

– Dbałam? – Popatrzyła na niego bezmyślnie, a potem zaniosła się śmiechem. Im bardziej się śmiała, tym bardziej był wściekły. Im bardziej był wściekły, tym bardziej zanosila się śmiechem.

– Mogłabyś z łaski swojej powiedzieć, co cię tak ubawiło?

Próbowała mu odpowiedzieć, ale krztusiła się ze śmiechu.

– Ten bilet na pięćdziesiąt funtów. Trzymałam go, żeby wsadzić ci go w nos.

– Sereno – przemówił poważnie.

– A to kółko od portier... Boże... nie. – Patrzyła na jego twarz. – Nie, nie ośmielę się ci powiedzieć, jaki miałam z niego zrobić użytek. Podpowiem ci tylko, dobrze? Rezerwowałam je dla pewnej części twojej anatomii, żebyś już przestał być lubieżnikiem.

– Sekutnica.

Zarzuciła mu dłonie na szyję.

– Zboreźnik – Pocałowała go czule. – Klnę się, Julianie, nigdy już nie będziesz musiał wystawiać mnie na próbę.

– Nie? – zapytał z uśmiechem i przygarnął ją do siebie.

– Nie. Kocham cię, Julianie Renney, i mam zamiar spędzić resztę życia dowodząc ci tego. – I po namyśle dodała: – Obyśmy obydwójce dożyli setki.